

PAWEŁ FLESZAR

A young girl with bright blue eyes is peering over her hands, which are held up to her face. She has a tear on her cheek. The background is a cityscape with a prominent church with a green dome. The title 'PIEKŁO NIEBO' is written in large, white, distressed letters at the bottom.

PIEKŁO
NIEBO

PAWEŁ FLESZAR

PIEKŁO
NIEBO



Opracowanie graficzne okładki: kris3rdeye@icloud.com

Ilustracja na okładce: Adobestock

Redaktor prowadząca: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Magdalena Mendys

Korekta: Monika Ulatowska

© 2023 by Paweł Fleszar

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2023

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

ul. Domaniewska 34a

02-672 Warszawa

www.harpercollins.pl

ISBN: 978-83-276-9372-3

Opracowanie ebooka

Katarzyna Rek

ROZDZIAŁ 1

1

Klaudia śni śmierć. Spazmy i konwulsje.

Absolutną koncentrację na niedużej postaci. Usta otwarte do bezgłośnego krzyku, wyszczerzone zęby, wybałuszone oczy. Kolana unieruchamiające drobne ciało. Piski, stęknienia i rżenie. Smukłe, ale twarde dłonie, które ściskają i ciągną coraz mocniej, mocniej, mocniej.

Rączkę uderzającą bezsilnie, coraz krótszymi ruchami, w plastikową powierzchnię. Szum w uszach i bicie serca z podniecenia i emocji. Skurcze gardła, przez które nie przejdzie już oddech, jakiego coraz bardziej rozpaczliwie domagają się płuca. Zapach pierwszej majowej nocy, którego on już nie poczuje. Nogi wierzgające w agonii. Podmuch wiatru na dwóch twarzach: tężejącej i rozpalonej w ekscytacji.

Osuwającą się bez czucia sylwetkę. Siebie – pochylającą się nad nią.

2

Zalew Nowohucki był dla Mariana Stasiaka punktem stycznym do osi życia. Oś stanowiła aleja Solidarności, dawna Lenina, łącząca osiedle Szkolne, gdzie mieszkał, z hutą, w której przez czterdzieści pięć lat pracował jako suwnicowy. Zawsze wstawał za piętnaście piąta; golenie, śniadanie, jeden przystanek tramwajem, o piątej czterdzieści przechodził przez bramę, szatnia, a za pięć szósta krzątał się już na stanowisku. Od późnej wiosny do wczesnej jesieni zaczynał dzień kwadrans wcześniej i siedł na nogach, a jeśli nie dospał, zwłaszcza w lecie, gdy ostre słońce przebijało przez zasłony w oknie – dokładał do tego kilkanaście minut i obchodził zalew z trzech stron.

Na emeryturze ciągle budził się wcześniej. Nie będzie przecież leżał w łóżku niby jakiś wałkoń, więc wstawał niedługo po szóstej, a po odprawieniu łazienkowych powinności nie jadł, tylko wychodził na spacer. Zatoczywszy pełną pętlę wokół zbiornika wodnego, wracał na aleję, gdzie w starym, dobrym Społem kupował masło, mleko i twaróg, a w kiosku przy skrzyżowaniu z Orkana brał świeże bułki. Budził Emilię, przygotowywał śniadanie i razem jedli. W dzień wolny, jak dzisiaj, zaopatrzenie czekało już w mieszkaniu, ale nie zaniedbywał rytuału. Zakładając zmechacony polar i wiążąc adidasy, wspominał leniwie bizantyjski rozmach pochodów pierwszomajowych i galowe stroje nawet takich szeregowych jak on uczestników. Nie wiedział, że wróci do domu roztrzęsiony, żona długo nie zje śniadania, bo będzie go uspokajać i pomagać w zawiadaniu policji, a on sam nie odzyska apetytu do wieczora.

Ominął zawodówkę, liceum i boisko. Przez parę lat towarzyszył mu na tej trasie kundelek z uszami gończego polskiego (Emilia nazwała go Kłapouchem), ale okazało się, że ma guza, i został uśpiony.

Na następnego psa się nie zdecydowali. I tak za dużo było śmierci dookoła – co tydzień nie mógł się powstrzymać, żeby nie zacząć lektury „Głosu” od *Kroniki pamięci*, by sprawdzić, kto ze znajomych odszedł drogą wszystkich ludzi, a kto z nieznanym był w podobnym wieku do niego.

Alejka oplatająca zalew była puściutka. Jak zwykle, z żalu nad marnotrawstwem, odwrócił wzrok, mijając ogrodzone pozostałości po drewnianej teźni, sfajczonej rok temu przez jakiegoś debila. W tygodniku pisali, że niedługo ma się zacząć odbudowa i rewitalizacja nabrzeża.

Wczoraj było ciepło, na noc pochłodziło, zeszła mgła. Pośród unoszących się nad powierzchnią kłębków waty ujrzał niebieski rower wodny w kształcie samochodu, z literkami MO, dryfujący powoli w stronę Małpiego Gaju. Prychnął. Nigdy nie lubił milicji, a od czasu akcji pod Arką Pana w latach osiemdziesiątych – wręcz nie znosił. Gdy jednak znalazł się na brzegu położonym nieco wyżej, mógł zajrzeć do środka samochodziku zbliżającego się do wyspy. Zobaczył niedużą figurkę, bezwładną, dziwnie wykręconą, leżącą na brzuchu, w poprzek siedzeń. Dziecko miało dresowe albo piżamowe spodnie ściągnięte do kolan i wypiętą pupę.

3

Artur Sulima wyskoczył z opła przed zielonym toi toiem, niedaleko Domu Rybaka, odkopnął dwie plastikowe skrzynki, którymi jakiś cwaniaczek zajął sobie miejsce parkingowe. Innego wolnego nie było na całym odcinku Bulwarowej wzdłuż zalewu. Zanim ponownie wysiadł z samochodu, sprawdził w lusterku wstecznym, czy nie zburzył się przedziałek, który wczoraj układał mu Hansio w Chłopcach z ferajny przy Dietla, jego ulubionym barber shopie. Trzymał się idealnie, podobnie jak i trapezowato przycięta broda.

Gość w białym kitlu wrzeszczał do niego z ośmiokątnej, otwartej z pięciu stron na placyk ze stolikami, drewnianej budki. Pokazał mu więc z daleka blachę.

– Ej, no coś pan, panie!?! Taką szmatą to każdy se może machać! – wściekał się tamten. – To miejsce zarezerwowane dla naszego grilla.

Nie zareagował, ale już czuł, że to będzie dzień użerania się z hołotą. W alejce kłębili się ludzie w różnym wieku, niemal wpychając się nawzajem do wody. Na przeciwległym brzegu technicy krzatali się przy rowerze wodnym udającym milicyjne auto. Zasłonili się z trzech stron granatowymi ekranami, ale nie mogli ustawić ich na wodzie, więc zgromadzeni obserwatorzy z ekscytacją komentowali ich poczynania. Paru filmowało smartfonami, zauważył nawet dwie lornetki. Co to, kurwa, jest, reality show!?! Naprawdę nikt nad tym nie panuje?!

Biała-czerwoną taśmę rozciągnięto już w najbliższym rogu zalewu; stojącego przy niej chłopaka z ósmego komisariatu na osiedlu Zgody poznał podczas grudniowej sprawy nożownika spod Teatru Ludowego.

– Dzień dobry, panie podkomisarzu. – Tamten też najwyraźniej go pamiętał.

– Był dobry. Weź jeszcze kogoś i odsuńcie trochę tych gapiów – rozkazał Sulima.

– Tak jest, spróbuję. – Wyprostował się posterunkowy. Jakże on miał na imię? – Ale co my im poradzimy, takiej grupy nie usuniemy stąd we dwójkę.

– Nie szkodzi, poprzestawiajcie ich trochę, pohandryczcie się z nimi. To im przynajmniej utrudni obserwację. Skąd tu tyłu ludzi i to jeszcze z dziećmi?

– Miał być piknik na powitanie maja. Dla dzieciaków właśnie – odpowiedział posterunkowy. Damian. Miał na imię Damian. – Organizator już przychodził się awanturować, ale nasz komendant go usadził. Powiadomił, że będą mogli zacząć dopiero, kiedy zakończymy czynności, może nawet po południu. Ale ludziom tego nie przetłumaczysz. Atrakcję mają.

– Dobra, Damian. To ją przynajmniej trochę popsuj. – Klepnął w ramię chłopaka, który wyraźnie się ucieszył, że oficer śledczy z wojewódzkiej pamięta jego imię. Takie nic nieznaczące gesty budują sympatię, która później może się przydać.

Ruszył wzdłuż placu zabaw z napisem na płocie „Park linowy NH” i przesłaniającą wszystko, olbrzymią, zielono-wiśniowo-żółtą konstrukcją nadmuchiwanej zjeżdżalni. Ustrojona balonikami scena potwierdziła informacje Damiana o pikniku.

– Cześć. Siema – przywitani się aspirant Tomasz Gomułka i starszy aspirant Andrzej Markowski. Jeśli dostanie od starego tę sprawę, będą stanowili jego tradycyjny zespół. Wśród idiotów i leni wypełniających komendę oni byli w miarę rozzagnięci i posłuszni. Warto było utrzymywać z nimi półoficjalne relacje.

– Mamy zamordowanego chłopca. – Andrzej, nazywany Lewym, bo był mańkutomem, wskazał przykryty nieprzezroczystą folią kształt rozciągnięty w poprzek roweru wodnego.

– Pokażcie. – Podkomisarz ukucnął na brzegu, nad ciałem, które odsłonił dla niego jeden z techników. Od burej dresówki chłopca odcinały się jasno pośladki. – Patolog już był? Można go przewrócić?

– Tak, Obolewicz był, teraz czeka na ciało przy Grzegórzeckiej – odparł Lewy. – Spieszył się, bo miał tam coś do zrobienia. Technicy też już zdjęli z niego próbki.

Artur ostrożnie obrócił ciało. Obrzmiała twarz, w półprzymknięte prawe oko, grymas wykrzywający kąciki ust. Długawe, niestrzyżone włosy spadające na brwi i przyklejone do policzka. Na szyi wyraźne czerwone pręgi. Chłopiec był w wieku szkolnym, ale nie miał więcej niż dziesięć lat.

– Przykryjcie go i niech zabierają – zadysponował Sulima, omijając wzrokiem obnażone podbrzusze dzieciaka. – Co powiedział patolog?

– Że uduszony. A dalej to, co zawsze, że nie może dokładnie stwierdzić, ale plamy opadowe, stężenie pośmiertne wskazują, że od zgonu minęło sześć–dziewięć godzin. Czyli między północą a trzecią nad ranem. Więcej powie po dokładniejszych badaniach i tak dalej.

– Technicy? – Sulima pokazał ekipę, która akurat pakowała się do samochodu. Wcześniej oziębło skinęli mu na powitanie. Z tymi patafianami nie dało się żyć w zgodzie.

– Też mają przygotować raport, ale już wiadomo, że chuja z tego będzie – westchnął Gomułka. – W rowerze jest mnóstwo śladów, bo od świąt był w użyciu, a od weekendu nie padało, za to naciągnęło trochę wody przez nietrzymające uszczelki przy pedałach.

Rzeczywiście, na dnie stała kałuża brudnawej cieczy, na której unosiły się opakowania po słodyczach, jakaś kolorowa kartka, dwa wąskie paski, chyba bilety.

– Czy te rowery nie były wypożyczane? Po drodze minąłem przy brzegu jeszcze dwa, też samochodziki. A skoro tak, to powinny być przymocowane – zastanawiał się na głos Sulima.

– Ten też chyba był, cienkim łańcuchem zamkniętym na kłódkę. Ale łańcuch i kłódka leżą przy pomoście, kłódka otwarta – opowiadał Lewy. – Albo miał klucz, albo wytrych.

– Albo tuman, który opiekuje się rowerami, zapomniał zamknąć – uszczypliwie stwierdził podkomisarz. – Trzeba go znaleźć, przepytac. Może ktoś zwrócił jego uwagę. Morderca mógł być tu w przeszłości, zdjął odcisk klucza i sobie dorobił.

– No tak – pokiwał głową Lewy. – W rogu, gdzie jest stanowisko tych rowerów, akurat nie świeci latarnia, już sprawdziliśmy. Stłuczona. Może to sprawca ją zepsuł. Ten skurwiel miał wszystko zaplanowane i przygotowane. Wiedział, że nigdzie dookoła nie ma kamer.

– To akurat każdy wie. – Artur popatrzył na niego z politowaniem. – W mediach było o tym głośno, już kiedy zjarała się tężnia. I co pewien czas pokazują się nowe artykuły, że dzielnica boksuje się z magistratem o założenie monitoringu.

Podkomisarz Sulima stał na mostku nad Dłubnią; w zagajniku, który oddzielał zalew od osiedla domków i willi ulokowanych przy Wańkowicza, w pobliżu dworku Matejki w Krzesławicach i tego zabytkowego drewnianego kościoła. To był jeden z problemów – zalew ze wszystkich stron przesłaniały zarośla, więc z otaczających go mieszkań i skupisk ludzkich, w środku nocy, raczej nikt nie mógł niczego zauważyć. A jednocześnie istniało sporo miejsc, gdzie ten bydlak mógł oporządzić dzieciaka. Pod kątem prostym do tego minilasku i Dłubni ciągnęła się aleja Solidarności, a za nią ogródki działkowe. Dopiero dalej i po skosie zaczynały się stare bloki osiedla Stalowego. Podobnie za Bulwarową: dwie szkoły i boisko z szatniami – opustoszałe nocą, pełne zakamarków – odgradzały od zalewu bloki osiedla Szkolnego. Krótszy bok za parkiem linowym zamykały nieczynne jeszcze baseny Krakowianki czy tej, jak jej tam teraz, Wandzianki. Za nią był jeszcze hotel – najbliższy budynek z funkcjonującą kamerą monitoringu, jednak na nagraniach nie zobaczyli nic podejrzanego. W ogóle niemal niczego tam nie było, poza dwoma samochodami z imprezującymi nastolatkami i kilkoma hotelowymi gośćmi, którzy ściągnęli do Krakowa na majówkę. Jedna para wybrała się na noc do dwóch klubów przy Szewskiej, wrócili taksówką o piątej nad ranem. Artek właśnie niedawno obudził ich i przepytał, Lewy znalazł w śródmieściu widocznego na nagraniu złotótkarza, ale żadne z nich nie dostrzegło niczego niepokojącego.

Robiło się coraz cieplej, w nosie wierciły mu nierozpoznane zapachy albo i pyłki roślin. Wszędzie pełno drzew, na nich liści, co wszystko zasłaniają, krzaków. Zielona Nowa Huta, kurwa mać!

I jak na ironię, słyszał dźwięki muzyki i rosnący nad zalewem gwar rozpoczynanego z opóźnieniem pikniku. Od Wielkanocy, zwłaszcza w weekendy, przewijały się tu zawsze za dnia gromady ludzi zostawiających pierdyliard śladów, więc oni nie mieli czego szukać na alejkach, ławkach i trawnikach.

Czekał na retuszowane przez technika na komendzie zdjęcie tego dzieciaka, które po wydrukowaniu w paru egzemplarzach miał przywieźć Bartek. Przejdą się z Lewym po mieszkaniach najbliższych bloków, on weźmie na siebie domy za zagajnikiem. Lepiej nie zostawiać tego niepociumany krawężnikom z ósmego komisariatu.

Szymański, który był prokuratorem dyżurującym, przyjechał z opóźnieniem, pokiwał zafrasowany głową, zlecił im śledztwo, stwierdził, że poprowadzi sprawę, zwołał zebranie na osiemnastą i się zwinął. Pewnie ma zaplanowaną wycieczkę z dziećmi albo co najmniej rodzinny obiad.

Przejrzał neta na smartfonie. Sprawa zamordowanego dzieciaka nad Zalewem Nowohuckim żyła już od paru godzin, serwisy opublikowały informacje z zastrzeżeniami rzecznika komendy, że morderstwo nie zostało jeszcze potwierdzone. W mediach społecznościowych musiały się pojawiać prywatne zdjęcia i filmiki, bo parę portali wrzuciło próbki.

To sprawa, na którą czekał, która może dać mu sławę. Chuj ze sławą. Najważniejsze, że dzięki niej pokaże, na co go stać. To dobrze, że jest taka trudna, jest do niej przygotowany lepiej niż matoly, z którymi ma styczność na komendzie. Nie ma możliwości, żeby jej nie rozwiązał.

4

Mucha przedtem brzęczała na szybie, ale teraz ośmieliła się ich bezruchem i łąziła po stole konferencyjnym. Ani naczelnikowi wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej, Sławomirowi Mani, ani prokuratorowi Łukaszowi Szymańskiemu nie wypadało się poderwać i zabić owada.

Nie ma zresztą odpowiedniego sprzętu, żadnej gazety w polu widzenia, pomyślał ten drugi. No, on mógłby ewentualnie zdjąć kłapek z nogi, bo podinspektor nawet do tego nie jest przygotowany – ubrał się formalnie i do długich spodni założył półbuty. Czekali na Sulimę i jego współpracowników, którzy spóźniali się trochę, bo przytrzymał ich wciąż powstający wstępny raport z sekcji.

– Słuchaj, Sławek, to może być syfiasta sprawa. Sulima sobie poradzi? – zagadnął Manię.

– Uważam, że akurat do niej świetnie się nadaje, bo jest zdolny, bardzo skrupulatny, uparty – odparł podinspektor.

– Tutaj może być potrzebna współpraca różnych jednostek, a on nie jest zbyt lubiany, ludzie uważają go za buca.

– Bo on uważa ich za niedorozwiniętych umysłowo i to czują – westchnął Mania. – Nie mamy na tyle dużo kandydatów zdatnych do tej pracy, żeby dobierać ich charakterologicznie. W ogóle nie da się grymasić; masz przykład Witka Nawrockiego, którego trzeba było znowu wziąć do służby. Artek jest chorobliwie ambitny, ale ma wyniki, po trochu właśnie dzięki temu. Nikt nie odmówi mu pomocy w sytuacji, kiedy szukamy zabójcy dziecka. Zresztą po to tu przyszedłem, żeby wiedział, że będzie miał moje wsparcie.

– Byłbym jednak spokojniejszy, gdyby właśnie Nawrocki się tym zajął – obstawał przy swoim prokurator.

– Nie będę go ściągał z urlopu, nie wiem, gdzie się podziewa.

Szymański przypuszczał, że Wit siedzi w Krakowie i w komendzie wojewódzkiej są tego świadomi, ale nie chciał zarzucać policjantowi kłamstwa.

– Gdybym odsunął teraz Sulimę, być może straciłbym go – kontynuował podinspektor. – A Nawrocki wróci po niedzieli do roboty i w razie konieczności zawsze może dołączyć do śledztwa.

– Ślady na szyi i karku wskazują, że chłopiec został uduszony garotą, którą morderca zarzucił od tyłu. O duszeniu świadczy również krwotok punkcikowaty, powstający w naczyniach krwionośnych wokół oczu. – Podkomisarz Sulima referował wstępny protokół patologa. Prokurator przyglądał się jego wymuskanej fryzurze, brodzie, opaleniźnie widocznej na odsłoniętych częściach twarzy. Tamten musiał się przebrać w ciągu dnia, bo rano występował w skórzanej kurtce, a teraz miał luźną koszulę, zmienił też podkoszulek. Było tak ciepło, że wystarczyłby T-shirt, ale pod koszulą ukrywał kaburę z pistoletem. To typ człowieka, który zawsze musi mieć przy sobie broń, pomyślał Szymański.

– Siła była dość duża, stwierdzono naruszenie kości gnykowej, chroniącej grdykę. Moim zdaniem jednak morderca nie użył drutu, struny fortepianowej, nic w tym rodzaju, bo poderznąłby gardło – kontynuował obiekt jego obserwacji. – Nie była to także lina, ślad na szyi jest zbyt cienki. Z krwawymi podbiegnięciami, ale skóra nie została przecięta. To musiał być jakiś kabel, może telefoniczny lub taki, jakiego używają do montażu internetu...

– Koncentryk – wtrącił Andrzej, którego nazywali chyba Lewym. Otworzył usta, ale nie powiedział nic więcej, bo zdał sobie sprawę z niezadowolenia przełożonego.

– Właśnie – uciął podkomisarz. – Ale nic grubszego, w rodzaju sznura od żelazka czy kabla do lodówki.

– Ofiara stawiała opór, są ślady szarpaniny? – spytał prokurator.

– Żadnych.

– Chłopiec bez najmniejszych zastrzeżeń poszedł za zabójcą i spokojnie czekał, aż ten od tyłu zarzuci mu garotę? Trudno też przypuszczać, że go zaskoczył w środku nocy nad zalewem. Może to ktoś mu bliski?

– Niewykluczone, ale niech pan pozwoli mi skończyć. – Sulima popatrzył na Szymańskiego niechętnie. – Dzieciak miał we krwi zero i dwa promila alkoholu. Obolewicz, jak to on, unika konkretnych twierdzeń, ale sądzi, że przyjęta ilość była większa.

– Przede wszystkim nie wiadomo, jak zareagował na tę dawkę tak młody organizm – poparł go naczelnik, po raz pierwszy zabierając głos. – Dzieciak mógł być na rauszu, zupełnie bezwolny.

– Dokładnie. – Sulima kiwnął energicznie głową. – To wszystko jednak mały pikus. Mamy pierdolonego zboczeńca, pedofila albo i nekrofila.

Szymański odniósł wrażenie, że w głosie tamtego zabrzmiała nutka triumfu. Miał swoją wymarzoną głośną sprawę. Podkomisarz zrobił pauzę, by informacja głęboko wniknęła w świadomość słuchaczy, po czym podjął:

– Są ślady penetracji analnej dokonanej już po śmierci chłopca!

– Jesteś pewny?!

– Obolewicz tak to ocenia: w odbycie znalazł znikome podbiegnięcia krwawe, więc w ciele nie było już krążenia. Zabójca zrobił to w prezerwatywie, na co wskazują pozostałości lubrykantu i substancji powlekających. Prawdopodobnie po to, by nie zostawić swojego DNA. Choć nie można wykluczyć kolejnej aberracji seksualnej – współżyje w gumce z trupem.

– Może bał się, czy nie złapie czegoś od dziecka – wtrącił Lewy. Szymański i Mania popatrzyli na niego z uznaniem, a Sulima z irytacją.

– A czy to nie mógł być wypadek: podduszał go, zaczynając stosunek, i go udusił? Albo chciał go poddusić na tyle, by pozbawić przytomności, żeby chłopak był zupełnie bezbronny, i niechcący udusił? – ośmielił się milcząco dotychczas aspirant Gomułka.

– Słuszna uwaga. – Szymański nieco teatralnie wskazał na niego palcem, żeby podrażnić Sulimę. – To nie musi być nekrofil, choć na pewno jest ciężko zaburzony seksualnie. Pewnie normalnie mu nie staje, nawet do dziecka.

– Są jakieś ślady w tym rowerze wodnym, na nabrzeżu, świadkowie, a przede wszystkim: czy wiadomo coś o ofierze? – Naczelnik wydziału kryminalnego przywrócił podkomisarza do rozmowy.

– Niestety, nie mamy prawie nic. – Sulima wypchnął językiem od wewnątrz skórę pod dolną wargą. – Badania luminolem i lampą Wooda wykazały brak krwi i spermy w rowerze wodnym i na nabrzeżu, do którego był pierwotnie przymocowany, zanim zdryfował. Spośród okolicznych mieszkańców, z którymi rozmawialiśmy, nikt nic nie widział. Będziemy kontynuować rozpytanie, bo przez majówkę wielu ludzi nie ma teraz w domach, a mogli być jeszcze minionej nocy. Najgorsze jednak, a zarazem najdziwniejsze, że nikt nie zgłosił zaginięcia dzieciaka. Nie ma sygnału z żadnego komisariatu w województwie, nikt nie pytał o chłopca w żadnym z krakowskich szpitali. Powiadomią nas natychmiast, gdyby taka sytuacja się zdarzyła.

– To musi być syn żuli. Łaszki na sobie miał bardzo nędzne – mruknął Lewy.

– Ale nawet margines społeczny powinien się zorientować do wieczora, że nie ma dziecka w domu. Już się ściemnia. – Prokurator wskazał okno. – Jeśli do jutra nikt się nie zgłosi, damy informację do mediów. Zdjęcie, zamordowane dziecko, bez wchodzenia w szczegóły obrażeń. Prosimy o kontakt wszystkich, którzy rozpoznają chłopca albo przynajmniej widzieli cokolwiek podejrzanego w okolicach Zalewu Nowohuckiego w nocy z wtorku na środę. Zaczniecie też przeglądać przypadki gwałtów pedofilskich, które miały podobne cechy. OK?

Wszyscy skinęli głowami.

– Zastanawiam się jeszcze nad jednym – podjął Szymański. – Czy zwłoki pozostawione w samochodziku milicyjnym to nie jakiś sygnał dla nas, dla was. Prowokacja?

– Panie prokuratorze, to nie thriller psychologiczny w sobotniej TV. – Sulima odmierzył w głosie równe porcje ironii, sceptycyzmu, wyższości i kpiny. – Ten rower wodny był jednym z czterech, stał

pierwszy. Możliwe, że morderca zrobił swoje na brzegu i wrzucił dziecko do samochodziku, po czym odciął mocowanie i popchnął, a ten dryfował po wodzie. Raczej nie zabił go w dużej odległości od zalewu, bo musiałby transportować bezwładne ciało. Mógł to jednak zrobić gdzieś w pobliżu, w krzakach, przy szkole, w tym opuszczonym budynku nad Dłubnią.

Szymański miał zamiar mu odpalić, ale naczelnik zgasił w zarodku ewentualną awanturę.

– Na tym skończmy i bierzmy się do roboty. Profiler będzie po niedzieli. Mamy majówkę... Pamiętajcie o jednym: niczego nie zakładamy. Tak jeśli chodzi o miejsce, jak i sposób morderstwa, a przede wszystkim sprawców. W niedzielę wieczorem para siedemnastolatków, która zwiła z ośrodka wychowawczego nad morzem, bez powodu zarąbała faceta siekierą. Piętnaście ciosów, potem na taczkach przewieźli zwłoki do rowu. U nas nad zalew też mogły zabłądzić zjeby owładnięte chorym pomysłem zabicia kogoś albo zwyczajnie naćpane, a potem dla zabawy zbezpieściły zwłoki. Musimy być otwarci na wszelkie motywy.

ROZDZIAŁ 2

1

Od strony kopca Kościuszki, po którego zboczu spływał białoczerwony pas, wiał mocny wiatr, więc ustawione na łące na baczność flagi głośno łopotąły. Podekscytowana Izka, urobiona przez Marka, relacjonowała jej wczoraj, że ma ich być aż dziesięć tysięcy, a po południu każdy będzie mógł wziąć sobie jedną do domu. Znajac swoją sześciolletnią córeczkę, Klaudia zastanawiała się, czy skończy się na jednej i jak bardzo zmieni się przez to wystrój ich mieszkania. Ale może mała zyska pierwszą porcję wiedzy o własnej tożsamości i odrobinę uczuć patriotycznych. Pewnie spacerują gdzieś tutaj, trzymając się za ręce, a Marek opowiada jej o królach i królowych mieszkających na Wawelu. Jak to on, cenzuruje historię, pomijając morderstwa, zemsty i zdrady, ale nie zwiedzie tym nieodrodnej córki swojej matki. Słuchając kiedyś o Wandzie, co nie chciała Niemca, Iza spytała, czy na pewno sama się utopiła, czy ktoś ją wepchnął do wody.

Klaudia rozglądała się za nimi, ale jeszcze się nie pojawili w pobliżu jej radiowozu, stojącego w alejce przytykającej do wierzchołka Błoi. Prawdopodobnie kręcą się między namiotami, w których prezentowane są broń i rękodzieło ludowe.

– Zauważyłaś, Kladzia, że najczęściej na czerwonym świetle przechodzą emeryci, starsi ludzie generalnie, a także bezrobotni lub bezdomni, menele, pijackowicze – odezwał się Imbir, dotychczas w milczeniu żujący gumę, patrząc w kierunku przejścia dla pieszych przy Focha. – Oni mają najmniej czasu.

– Życie im stygnie.

– A jeszcze te pijaczki zwykle mocno utykają, bo już ktoś ich pierdyknął, ale niczego to ich nie nauczyło. Paczaj, jaka raszpla – ożywił się. – Wygląda, jakby była winna pięć zeta Mojżeszowi.

Przechodząca przed maską samochodu kobieta była sporo po siedemdziesiątce, ale w wytwornym kostiumie, starannym makijażu i kapeluszu nie przypominała babci.

– Co ty, przeszkadzają ci już nawet eleganckie starsze panie dzielnie walczące ze swoim wiekiem? – spytała Klaudia. Swojego partnera poznawała od dwóch miesięcy wciąż z nowej strony. Nierzadko negatywnej.

– Właśnie przez taką hadrę posunęli mnie z kryminalnej. Wyglądała podobnie, miała jeszcze płaszcz i parasol, bo było zimno i padało.

– Ale ty nic z nią nie... tego... no wiesz...? – Przyzwyczaiła się, że większość jego spraw prywatnych miała przynajmniej podtekst erotyczny.

– Pogięło cię?! Spotkałem ją w spożywczyku, takim z samoobsługą. Odpicowana pańcia brała gołą ręką bułki, macała, czy miękkie, i odkładała z powrotem do pojemnika. Widziałaś fleję? Ludzie to potem kupują i jedzą. Powiedziałem do niej: „Mam nadzieję, że bułki, które pani wybierze, dotykał wcześniej luj; tą samą ręką, którą trzymał niemytego od dawna fiuta, szczając za pawilonem”.

– I co ona na to? – Klaudia wbijała paznokcie w wyściółkę kierownicy, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

– Kolnęła mnie parasolem w brzuch. Metalową końcówką, cholernie zabolalo. Złapałem odruchowo za ten parasol i pociągnąłem, żeby jej wyrwać, ale trzymała niespodziewanie mocno, więc poleciała do przodu na regał ze słodyczami. Przewróciła się, a z góry sypały się na nią czekolady, batoniki i różne takie.

Klaudia pochyliła głowę, wycierając chusteczką znaczek KIA, który właśnie opluła. Ramiona jej drżały.

– Śmiej się, śmiej – burknął z urazą Imbir. – Okazało się, że to pani mecenasowa, pan mecenas czterdzieści lat gra w brydża z profesorem prawa, a profesor był na UJ-ocie promotorem pracy magisterskiej wiceministra spraw wewnętrznych. Złożyła skargę i udupili mnie.

– Za coś takiego cię przenieśli?! Nie wystarczyłaby nagana? – zdziwiła się.

– Miałem już wcześniej nagrabilione...

Przerwało mu radio.

– Jednostka G219, zgłoś – rozległ się chrypliwy alt dyżurnej.

– G219 zgłaszam. – Imbir pierwszy chwycił za głośnik.

– Jedźcie na Grodzką, nie mam kogo tam wysłać. Mamy zgłoszenie awantury w kościele ewangelicko-augsburskim.

– W kościele?! Księżulowi ktoś lutnął? Czy wręcz przeciwnie? – zarechotał Imbir.

– Zgłoszenie jest od kobiety, była zdenerwowana i nie wiem, czy dobrze ją zrozumiałam – podjęła dyżurna. – Jakiś mężczyzna uderzył turystę albo kilku turystów i chyba zamknął się sam w kościele. Nie jest uzbrojony. Raportujcie, czy nie będziecie potrzebowali wsparcia.

– Przyjąłem. – Imbir klepnął Klaudię wierzchem dłoni w ramię. – Zadupcamy na bombach. Dobrze, że coś zaczęło się dziać, bo tu można się zestarzeć w oczekiwaniu na akcję.

Wyrazami o źródłosłowie „dupczyć” był w stanie opisać większość czynności życiowych, nie tylko seksualnych, włącznie z jedzeniem („wdupcam”) i mówieniem od rzeczy („co ty dupcys?”). Włączając syrenę, przebijając się przez ruch w Alejach i przyspieszając na Piłsudskiego, Klaudia zastanawiała się, czy dostała takiego partnera i przydzielają jej tyle służb świątecznych i absurdalnych zadań dlatego, że jest nowa czy że ciągnie się za nią smród z Płocka. Wszystkiego i tak chyba nie wiedzą. Nawet tam nie wiedzieli.

Jutro msza na Wawelu, a potem pochód na plac Matejki. Mają być Szydło, Gowin, a ona znowu zabezpiecza z daleka, pilnuje porządku. Ale to i tak lepsze niż pierwsze miesiące po przenosinach do Krakowa, kiedy kiśła ogóra w zespole organizacji służby oddziału prewencji. Do jej obowiązków należało zapewnienie prawidłowego obiegu dokumentów, pomoc w prowadzeniu Kancelarii Tajnej oraz Składnicy Akt – same pasjonujące i odpowiedzialne zadania.

2

Podkomisarz Artur Sulima siedział przy biurku i wklepywał w laptopa raport ze sprawy, przygotowując dokumenty dla prokuratury. Magda Iwańska z Wydziału Prezydyjnego docinała mu, że jest jedynym śledczym w Małopolsce, który lubi zajmować się papierologią. Pokpiwała i śmiała się ze wszystkich jego żartów, póki byli razem, bo odkąd złożył jej wymówienie, nie słyszała nawet, gdy mówił „cześć”. Na szczęście, zawięła się z komendy na menedżera do prywatnej przychodni medycyny estetycznej czy stomatologicznej. A może stomatologii estetycznej?

Dawniej odpowiadał, że jest jednym z niewielu śledczych w województwie, którym język polski nie sprawia kłopotów. Za to nie zwierzał się jej (z zasady nie zwierzał się kobietom), że praca

biurowa go uspokaja.

Dzisiaj też udało mu się na chwilę zapomnieć o frustracji. Przepytali resztę mieszkańców okolicznych bloków, ale nic to nie dało. Zadzwoił do nich ten Stasiak, który znalazł ciało. Kiedy Artur rozmawiał z nim wczoraj, nie dowiedział się niczego przydatnego, ale dzisiaj facet otrząsnął się z szoku i skojarzył, że nad Zalewem Nowohuckim często spotykał dwóch wędkarzy, łowiących od świtu. Wczoraj przed siódmą rano ich nie było, ale może siedzieli choć chwilę wcześniej. Obu znał z nazwiska i z osiedla. Dość szybko udało się namierzyć Waldemara Przybyłę ze Słonecznego i Bogdana Kordyla z Centrum D. Pierwszy jednak zalał mordkę we wtorkowy wieczór i w ogóle nie poszedł na ryby, a siedzący samotnie w mieszkaniu ojciec drugiego wyjaśnił im, że syn z żoną w środę rano wyjechał na majówkę i łowi nad Jeziorem Rożnowskim.

Mieli jeszcze dostać pełny raport z sekcji. A przede wszystkim nie mogli się doczekać na jakiegokolwiek informacji o personaliach dzieciaka. Przed południem wciąż nikt się nie zgłosił, więc przygotowali notatkę, powiesili ją na policyjnych stronach internetowych i rozesłali do mediów. Włączyli przeglądarkę. „Kurier Krakowski” i lajkiidlakraka.pl opublikowały ją parę minut temu.

– Chłopak ma zrośnięte stare złamanie, zrosty kostne świadczące o biciu, blizny. – Podkomisarz, patrząc w ekran laptopa, referował Markowskiemu i Gomulce rozszerzony raport Obolewicza, który niedawno dostał mailem.

– Jakaś patologia – pokręcił głową Lewy. – Może zamordowali go ci sami, którzy wcześniej go bili. Rodzina lub opiekun. Może nawet przez przypadek.

– Albo morderca ich uprzedził – dorzucił Bartek.

– Aspirancie, to nic nie wnosi. – Sulima spojrzał na niego ostro. Miał mu jeszcze za złe wczorajsze popisy na zebraniu. – Tych śladów nie jest tak dużo, co oczywiście nie usprawiedliwia winnych, ale wskazuje, że dzieciak nie był regularnie katowany. Jeszcze ciekawszy jest skład treści żołądkowej. A przypominam, że miał alkohol we krwi. Tutaj dochodzą cukier, karmel amoniakalno-siarczynowy, kwas fosforowy, kofeina.

Andrzej patrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem, a Bartek uśmiechnął się pytająco.

– Coca-cola?

Sulima pokiwał głową.

– Walił driny z colą? – Lewy wytrzeszczył oczy.

– Nie rznij głupa większego, niż jesteś! – Podkomisarz zacisnął pięści. – Przecież jeśli morderca chciał go odurzyć, to nie dał mu czystej wody czy lychy, ale właśnie alkohol zamaskowany colą, którą wszystkie dzieci lubią.

Zadzwoił telefon Gomulki.

– Tak? Tak. Dziękuję! A nazwisko? Ma pani adres? Proszę, zapamiętam. – Aspirant aż się wyprężył podczas rozmowy.

– Dostałem sygnał z Żeromskiego, zostawiłem im wczoraj namiar, gdy obdzwaniałem szpitale – opowiadał ożywiony po odłożeniu aparatu. – Przymyła tam jakaś zadżumiona baba i pytała, czy nie przywieziono do nich jej syna. Gdy recepcjonistka ją przycisnęła, a nie było łatwo, bo od flądry ponoć zionie jak z gorzelnicy, ta zeznała, że nie widziała chłopca od wtorkowego wieczora. Nazywa się Manuel Byrda, ma dziewięć lat.

– Zatrzymali ją? – spytał Sulima.

– Nie, ale tamta dziewczyna jest ogarnięta i wzięła adres. Osiedle Willowe. – Gdy wypowiadał te słowa, jego koledzy już zrywali się na nogi.

Do placu Wszystkich Świętych poszło całkiem szybko, lecz później musiała przepuścić eskortowaną przez radiowóz z Pędzichowa kolumnę rolników, która startowała z Krupniczej, ale po zatoczeniu pętli po mieście teraz nadciągnęła z dołu Grodzkiej i na Rynku miała kończyć świętowanie. Poirytowany Piotrek lekko uderzał potężną pięścią w podsufitkę. Klaudia zerknęła na niego kątem oka. Niewiele brakowało mu do dwóch metrów, zwały mięśni na piersi, ramionach i udach drżały pod mundurem, ale miał też okazały kocyk tłuszczu na brzuchu. Pierwszego dnia oddał jej prowadzenie samochodu, tłumacząc, że woli poświęcić się obserwacji, lecz rozumiała, że trudno mu było wygramolić to cielsko z kierownicy.

– Czemu właściwie nazywają cię Imbir? – zagadnęła, żeby obniżyć nieco napięcie w kabinie. – Imię dobre dla kota, a włosy masz klasyczny blond.

– Ale futro na kłacie i niżej jest imbirowe. Mogę ci kiedyś pokazać. – Co dziwne, jego uśmiech nawet nie był obleśny.

– Aż taka ciekawa nie jestem. Mam dość koszmarów we śnie, choćby z poprzedniej nocy.

– Może to nie był sen?...

Rolnarze przejechali, tłum za nimi zamknął się jak woda po wyjęciu z niej dużego przedmiotu, więc musiała się skupić na przeciskaniu przez ciżbę. Po lewej duży kościół z rzeźbami na ogrodzeniu, za nim następny – stareńki, kamienny, biały z szarymi i brązowymi naciekami. Ale obydwie katolickie, a naprzeciwko nich otwierał się plac z facetem na kolumnie pośrodku.

– To tu. – Imbir zatrzymał ją na wysokości budynku wciśniętego pomiędzy mur a kamienicę, wyglądającego niby człowiek z ramionami przyklejonymi do tułowia.

W metalowej bramie przepuścili starszą parę szwargoczącą w niezrozumiałym języku z wyraźną dezaprobatą. Akompaniowała im podniosła muzyka organowa, słyszalna wyraźnie przez czarne drewniane wrota. Na schodkach przed nimi stała szatynka w średnim wieku, o której można by powiedzieć, że ma spokojną urodę, gdyby nie była zdenerwowana tak bardzo, że drżały jej ręce.

– To pani dokonała zgłoszenia? – spytała ją Klaudia.

– Tak, jestem diakonem parafii. Magdalena Ciszewska. – Kobieta wyciągnęła rękę.

Klaudię tknęła obawa, że Imbir wyskoczy z typowym dla siebie burackim komentarzem, ale on przywitał się uprzejmie i przedstawił ich:

– Starsza aspirant Klaudia Bator i aspirant sztabowy Piotr Grzywacz. Proszę powiedzieć, co tu się stało? Dostaliśmy sygnał o zajściu, pobiciu, a słyszymy, że trwa koncert.

– No tak... koncert. To nawet lepiej, że państwo tak późno przyjechali... Nie robię państwu wymówek, w żadnym razie... Ale dzięki temu może nie będzie skandalu... – Kobieta załamywała ręce.

– Spokojnie, proszę pani, postaramy się załatwić sprawę delikatnie. – Klaudia próbowała mówić kojącym tonem. – Jeśli sytuacja nie wymaga od nas szybkiej reakcji, proszę po kolei opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Mamy cykl koncertów organowych. Współpracujemy z Polskim Towarzystwem Bachowskim, muzyka wielkiego kantora z Lipska tak wiele znaczy dla naszej religii... Przepraszam, mówię nie na temat. Organizujemy najróżniejsze koncerty, między innymi w godzinach wczesnopopołudniowych grywają najzdolniejsi studenci Akademii Muzycznej. Na ich występy przychodzi niewiele osób, jednocześnie kościół jest otwarty dla turystów. I dzisiaj jeden ze słuchaczy zerwał się i zaczął chłostać pozostałych ludzi. Jeśli dobrze zrozumiałam, skórzanym paskiem, który wyciągnął ze spodni.

Policjanci spojrzeli po sobie, oboje w identyczny sposób zagryzali dolną wargę.

– To dlaczego koncert ciągle trwa? Sprawca jest w środku? Gdzie są poszkodowani? – Klaudia miała nadzieję, że wyjąłowiła swój głos z wszelkiego rozbawienia.

– No tak, trwa... Może organista wcale nie zauważył? Wiedzą państwo, oni żyją muzyką i dla muzyki, grając, przebywają we własnym świecie. – Pokiwali ze zrozumieniem głowami, bo Magdalena Ciszewska spojrzała na nich, jakby tego oczekiwała.

Zniecierpliwiony Imbir nacisnął szeroką klamkę. Nie ustąpiła.

– Kościół jest zamknięty od wewnątrz. Niestety klucz był w zamku... Podobnie z drugim wyjściem, od strony ołtarza. – Kobieta wróciła do gestu załamywania rąk. – Żeby tylko z tego skandalu nie było...

– Kto jest w kościele? Czy sprawca zamknął się tam razem z poszkodowanymi? – spytała Klaudia.

– Nie, wygonił ich ze środka. Ale poszkodowanych nie ma. To znaczy rozeszli się, bo nie chcieli im się czekać. Właściwie to zostali nieznacznie poszkodowani, chyba chłostał jedynie po nogach. Pewien pan odniósł materialną szkodę, bo w trakcie ucieczki spadły mu okulary i pękło szkieleko. Ale on poszedł pierwszy, zaraz po tym, kiedy się pojawiłam. Ostatni byli ci Szwedzi, z którymi państwo minęliście się w bramie. Taki skandal...

Gdy to mówiła, brzmienie organów urosło i ucichło, rozległy się pojedyncze, ale gorące oklaski, a po chwili – zgrzyt klucza w zamku. W drzwiach stanął szczupły mężczyzna w średnim wieku. Cały był jakiś szary – począwszy od szpakowatych włosów, przez bladawą twarz, koszulę, która kilka lat temu była pewnie popielata, po garnitur, od którego marynarkę trzymał przewieszoną przez ramię. Klaudia odruchowo spojrzała niżej – pasek był na swoim miejscu.

Mężczyzna popatrzył na nią, na Grzywacza, na Ciszewską, znowu na Grzywacza i bez słowa wyciągnął do przodu nadgarstki, jakby do skucia. Z piersi pani diakon wydarło się coś pomiędzy westchnieniem a szlochem.

– Powoli. Czy może pan nam wyjaśnić, co i dlaczego zrobił w kościele? – Uspokajający gest dłonią Imbira był bardziej skierowany do niej niż do niego. – Pani może sprawdzi, czy wszystko w porządku, jak miewa się muzyk.

– Chciałem nauczyć ich szacunku dla sztuki, bo wyobraźni i kultury nauczyć się nie da! – Mężczyzna gestykułował nerwowo, ale nie agresywnie, raz po raz zarzucając głową, od czego fruwały mu włosy. – Tak jest na każdym koncercie: łążą, gadają, zdjęcia robią, pokazują sobie palcami balkon, gdzie siedzi organista. Dzisiaj nie wytrzymałem. *Suita Gotycka* Léona Boëllmanna, muzyka narasta do potężnego *crescendo*, mury drżą, a tu szczękanie plastikowych kubeczków, bo stonka musi się napić darmowej wody z automatu przy drzwiach!

Gdy Imbir zabierał Władysława Kowalskiego (tak się nazywał) do radiowozu, sprawdzał, czy nie jest notowany (nie był), spisywał go (okazało się, że mieszka przy Koletek, kilkaset metrów dalej) i tłumaczył, że skończy się na pouczeniu wyłącznie ze względu na szacunek wobec pani diakon (facet stwierdził, że takiej awantury już nie wywoła, bo zrezygnuje z darmowych koncertów), Klaudia na wpół się wyłączyła, zastanawiając, dlaczego w Krakowie ciągle natyka się na dziwaków i absurdalne sytuacje. W niedzielę nad ranem napruty matoł spod Miechowa wjechał oplem na drogę techniczno-pożarową prowadzącą na perony Dworca Głównego. Przejechał przed pociągiem, który na szczęście dopiero ruszał, więc zdążył wyhamować. Potem wycofał i tyłem zaparkował na peronie. Kiedy przyjechali z Imbirem, błąkał się koło wind. Nie mógł trafić do galerii handlowej, gdzie wybrał się po flaszkę. Miał już zakaz prowadzenia samochodu, bo w przeszłości złapano go na jeździe po pijaku. Balonikiem zmierzyła mu dwa i pół promila w wydychanym powietrzu, w samochodzie walały się puste butelki. Od połowy maja miał odbywać trzymiesięczną karę więzienia, ale teraz pewnie położą go na dłużej.

Pomyśleć, że do matury Artur w ogóle nie był w Hucie. Mama uważała, że to siedlisko elementu i nie należy się z nim zadawać. Zresztą w liceum, a tym bardziej w podstawówce, nie miał kolegów stamtąd. Potem, nawet kiedy został policjantem, też z rzadka odwiedzał teren poza granicą Krakowa, za którą przyjął linię wytyczoną przez ulice Nowohucką, Stella-Sawickiego i Wiślicką. Znosi się, że teraz będzie przekraczał ją codziennie.

Minęli pocztę i parę konstrukcji z nastroszonych metalowych płytek. Nowoczesne rzeźby? Za to bloki były staromodne: szarobure, z czerwonymi spadzistymi dachami, rzadziej jednopiętrowe, na planie kwadratu, częściej – dwupiętrowe, prostokątne. Sporo drzew, wszędzie żywopłoty. Po prawej zaczynały się ogródki działkowe, ciągnące się aż do alei Solidarności. Podkomisarz uświadomił sobie, że jeśli morderca wywabił Manuela z domu, to mógł z nim przejść ogródkami, niezauważony, aż do Zalewu Nowohuckiego. Albo przenieść ciało... Ale dlaczego chciałoby mu się wlec trupa aż nad zalew, zamiast porzucić go w zaroślach na którejś działce?

Willowe to jedno z najstarszych osiedli Nowej Huty. Jej pierwotny obszar, oddzielony Kocmyrzowską, Jana Pawła i Łakami Nowohuckimi, stał się w znacznej mierze dzielnicą emerytów, a wbrew przesądom wyznawanym nie tylko przez jego mamę – przestępczości jest tu mniej niż w wielu innych częściach Krakowa.

Lokatorzy położonego na drugim piętrze mieszkania zaniżali średnią wieku, ale na przestępców nie za bardzo się nadawali. Jedyne drzwi w bloku, przed którymi nie było wycieraczki, otworzyła kobieta w granicach trzydziestki, z półdługimi włosami farbowanymi na blond i psującymi jej atrakcyjność grubymi rysami twarzy.

Nawet nieprzesadnie zniszczona jak na alkoholicką, uznał Sulima. A może po prostu nią nie jest? Zadżumiona w nomenklaturze Gomułki znaczyło pijana, bo takie wrażenie odniosła recepcjonistka w szpitalu, ale podkomisarzowi wydawało się, że pani Byrda jest raczej nieco obok rzeczywistości. Jak po zażyciu środków psychotropowych.

– Przywieźliście Manuela? Nie? Ale by się cieszył, gdyby mógł się z wami przejechać. Chodźcie – powiedziała beznamiętnie i poprowadziła ich w głąb mieszkania, nie czekając nawet, aż Artur przedstawi sprawę.

Sprzęty w pokoju – meblóścianka z szafami, szafkami, oszklonymi półkami i barkiem, wersalka, fotele – nadałyby się do modelowego peerelowskiego wnętrza z reklamówki Communism Tour, wycieczek organizowanych w Hucie dla cudzoziemskich turystów. Pewnie służyły jeszcze poprzednim właścicielom. Na wersalce siedział przed telewizorem mężczyzna o parę lat starszy od swojej towarzyszki, z intensywnie czarnymi, ale rzadziejącymi włosami, parodniowym zarostem i wąsami w kształcie odwróconej podkowy, niby z hipisowskich czasów. Jedyne telewizor był nowy. Plazma.

W powietrzu unosił się aromat alkoholu. Sulima zrezygnował z prezentacji, wyciągnął z aktówki zdjęcie twarzy chłopca i podsunął kobiecie, która tymczasem opadła na wersalkę. Razem z Lewym usiedli na krzesłach przy okrągłym stole. Gomułkę z drugim zdjęciem wysłał na rozpytanie po sąsiadach.

– Czy to państwa syn, Manuel Byrda? – spytał. Z fascynacją obserwował, jak na otępiałej twarzy kobiety pojawia się rozpoznanie, po nim zrozumienie, dalej rozpacz, wreszcie wściekłość. Zerwała się i rzuciła na niego z rozcapierzonymi dłońmi. Złapał ją za ramiona powyżej łokci i ściągnął w dół, sadzając siłą na łóżku. Skuliła się i zaczęła wyc.

Facet skoczył, Sulimie błysnęło w głowie, że teraz on go zaatakuję, ale pohamował odruch obronny, bo tamten skierował się do szafek. Wrócił z listkiem tabletek i zanim Artur zdążył zareagować, wycisnął z niego dwie, trzy sztuki i włożył kobiecie do ręki. Ona nawykowym ruchem wrzuciła je do ust i dosyć gładko przełknęła bez popijania. Odtąd dużo ciszej, acz żałośnie, płakała.

– Zaraz jej przejdzie – zapewnił wąsaty.

– Pan jest ojcem chłopca? – spytał Lewy, bo podkomisarz był jeszcze oszołomiony i przez chwilę się nie odzywał.

– Tak jakby. Roman Byrda jestem. Ojciec odszedł, jak Baśka poroniła z drugim dzieckiem. Znacząca ciąża pozamaciczna była. – Wskazał kobietę, kołyszącą się na wersalce. – Ja z nią się z nią ohajtną gdzieś rok później i dzieciaka uznałem. Co się z Mańkiem stało?

– Niestety, pański syn nie żyje. Najprawdopodobniej w efekcie morderstwa. – Kiedy Lewy wypowiadał te słowa, podkomisarz zastanawiał się, czy dojdzie do drugiego wybuchu. Tymczasem Barbara Byrda, wciąż się kołysząc, położyła się na wersalce. Oczy miała otwarte, ale popadła w stan podobny do katatonii.

– O kurwa! – Nie wiedzieli, czy okrzyk mężczyzny odnosi się do wiadomości, czy zachowania żony. – Chyba za dużo jej dałem, bo już coś brała przed południem. Lubi se łyknąć pigułkę, kobita.

Artur Sulima sprawdził jej puls. Był dość wyraźny, choć zwolniony.

– Wezwij karetkę – polecił Markowskiemu. – W tej sytuacji pan odpowie na kilka pytań. – Zwrócił się do mężczyzny. – Kiedy ostatnio widział pan chłopca?

– No tu, w mieszkaniu. We wtorek? – Byrda jakby liczył coś na palcach. – No tak, dzisiaj czwartek, to we wtorek wieczór, kiedy szedł spać. Wczoraj go nie było, ale żeśmy myśleli, że na wycieczkę pojechał. Bo miał jechać, na majówkę. Do takiego miasteczka z pałacem, który nazywają zamkiem? Pokazywał mi zdjęcie w komputerze. Do Łańcuta? Sam mu pieniądze dawałem.

– Chyba nie pojechał w ogóle na tę wycieczkę.

– No tak, dzisiaj Baśka se przypomniała, że wycieczkę odwołali, bo za tydzień komunია i na jutro ksiądz zarządził próbę generalną.

– Bił pan Manuela? – Podkomisarz liczył, że zaskoczy go pytaniem. Udawał, że całą uwagę poświęca notesowi, w którym zapisywał odpowiedzi przesłuchiwanego. Zwykle wolał sam notować, nie polegając na podwładnych. Przynajmniej miał pewność, że nic nie zostanie pominięte.

– No coś pan?! – obruszył się Byrda. – Ja nie swoich dzieci nie biję, taką mam zasadę. No i do Reichu na roboty jeżdżę, to nawet mnie tu nie ma.

– Chłopiec ma ślady urazów, złamania ręki.

– Jak był w pierwszej klasie, to zleciał z drabinek i złamał. Przez miesiąc do szkoły nie chodził. On co chwila gdzieś właził i spadał. W Indianina się bawił czy kowboja. Nikt go tu nie bił, panie. Baśka nie miała do tego zdrowia.

– Ale alkohol mu dawaliście? – Sulima aż zacisnęła zęby na wspomnienie wyników sekcji.

– Eee, nie, panie, to żart był. – Ku ich zaskoczeniu, tamten uśmiechnął się wyluzowany. – Przyszedł tu i nam kolkę podpijał, co żeśmy se wódzie maili. No to żartem chlapanąłem mu kapkę czystej do szklanki. I tak wypił, strasznie był za słodkimi napojami przepadzisty. Ale nikt mu wody normalnie nie dawał, za młody jeszcze był. Ja sam dopiero, kiedy podstawówkę kończyłem, to z moim starszym oficjalnie żeśmy przy stole z flaszka usiedli. Tak mnie wychowali i sam tak dziecko wychowuję.

Sulima ucieszył się, że nie jest krawężnikiem, noszącym tonię u boku, bo resztę rozmowy z tym bucem przeprowadziłby za jej pomocą.

– Zostań tu z nimi, zwróć uwagę, czy jej stan się nie pogarsza – powiedział do Lewego. – Manuel miał swój pokój? – spytał Byrdę. – Chcę go obejrzeć.

– Pierwsze drzwi na prawo.

Pokój to była wąska kiszka, którą zagracała kolejna, tym razem rozłożona, wersalka. Pościel zmiętoszona i nie najświeższa. Nad łóżkiem plakat samochodu. Na pozostałych ścianach półki zastawione podręcznikami szkolnymi, zarówno z drugiej klasy, do której chłopiec pewnie chodził, jak i z pierwszej. Dużo komiksów. Pod oknem stolik z przykręcaną lampką, na nim komputer. Stary rzęch.

Pojawił się Gomułka z biuletynem.

– Z opowieści sąsiadów wynika, że to żule, ale takie umiarkowane – opowiadał. – Facet do Niemiec jeździ, ale jest leniem, więc nie za dużo zarabia. Na gościnnych występach chyba też pije. Ona niekiedy sprawia wrażenie niezrównoważonej, na lekach. Raz pracuje, raz nie, ostatnio sprzedawała w warzywniaku na osiedlu Stalowym, ale to w ubiegłym roku, póki był sezon. Zdarzały się awantury, dzieciak wyglądał na trochę zaniedbanego. Żaden z sąsiadów się nie przyznał, ale ktoś musiał zgłosić sprawę do MOPS-u, bo w lutym, marcu kobieta stamtąd była na kontroli. Ale chyba żadnych efektów to nie przyniosło.

– Musimy znaleźć tę kobietę i protokół z kontroli – zadysponował podkomisarz. – Zaczynaj przeszukiwać dokładnie pokój. Zaraz ci pomogę, tylko muszę jeszcze kochanemu tatusiowi zadać parę pytań. Ma zadatki na podejrzanego.

Wrócił do dużego pokoju, gdzie akurat starszy aspirant sprawdzał puls kobiecie, a jej mąż nalewał sobie, trzymając butelkę i szklaneczkę nisko, pomiędzy udami.

– Czy mają państwo alibi na noc z wtorku, trzydziestego kwietnia, na środę, pierwszego maja? – zadał pytanie oficjalnym, suchym tonem, licząc, że go przestraszy. Tamten jednak powoli odstawił szkło na podłogę, usiadł wygodniej na kanapie, potarł nos grzbietem dłoni.

– No nie... ale mogę mieć – powiedział z zastanowieniem. – Od Darka. Szwagra.

– To rodzina?

– Dzięki za taką rodzinę. Dyma moją żonę, to szwagier, no nie? Jak klienta kiedyś nakryję, to mu jaja urwę, a na razie go toleruję. Baśce pomaga, kiedy mnie nie ma, a kiedy jestem, to odwiedza mnie. Przyszedł we wtorek, wypiliśmy, co było. Potem poszedł przekimać do pokoju Mańka. Już dawniej u niego czasem nocował, bo tam szeroka leżanka jest.

– Kiedy opuścił wasze mieszkanie?

– Nie wiem. Jak my we środę wstali, to go nie było i do tej pory już go nie widział.

ROZDZIAŁ 3

1

Artur Sulima, nigdy wcześniej nie będąc na działce, dzisiaj rano zrozumiał, że nazwa Rodzinne Ogródki Działkowe opisuje w miarę precyzyjnie ich wygląd, a żarcik „wakacje na RODos” – oddaje przeznaczenie. To nie połączenie sadu z parkiem, wspólne dla grupy mieszkańców, jak sobie wcześniej wyobrażał. W wieku dwudziestu dziewięciu lat dowiedział się, że składają się one z dziesiątek niedużych parcel, każda z altanką lub nieco solidniejszym, ale małym domkiem, a czasem ledwie z większą szopą. Na każdej kawałek trawnika, drzewka, krzaki i grill (chyba że przenośny, to schowany), mnóstwo kwiatków. Często spłachetek uprawnej ziemi, jeszcze nieobsadzonej. Niektóre tak zadbane, że wręcz doprowadzone do wibracji. Dla wielu posiadaczy to jedyne miejsce spędzania wolnego czasu, zresztą dzisiaj niektórzy zaczęli pojawiać się tutaj już rano.

I wszystkie działki miały ogrodzenia! Często z drucianej siatki, półtora metra wysokości. Niemożliwością byłoby przenoszenie przez nie nieżywego chłopca ważącego ponad trzydzieści kilo, długiego na sto kilkadziesiąt centymetrów. Niezależnie, ile ważył i mierzył Manuel, nie dałoby się tego zrobić bez pozostawienia śladów na ciele. Nie mógł też przechodzić dobrowolnie, nawet z pomocą mordercy, bo też znalazłby wyraźne tego oznaki – zadrapania, zmierzwione włosy, podziurawione bądź ponaciągane ubranie.

Jeśli nawet się krył, to siedł lub szli nocą przy ogrodzeniu ROD „Wanda” od strony Bulwarowej, w cieniu drzew. Policjanci spenetrowali ten pas trawnika. Bez skutku.

Takie same efekty osiągnęli w pogoni za Dariuszem Szreniawskim. Byrda nie mógł sobie przypomnieć nazwiska, ale znalazł jego kartę promocyjną do hipermarketu budowlanego, na której widniał adres. Od razu tam pojechali, jeszcze wczoraj, ale w zbudowanej z pustaków chałupie w Kocmyrzowie nie było nikogo. Od sąsiadów dowiedzieli się, że Szreniawski mieszka tam z bratem i jego rodziną, ale od dwóch dni nikogo w domu nie widziano. Dzisiaj nic się nie zmieniło.

Barbara Byrda została poddana odtruciu na Oddziale Toksykologii Szpitala Rydygiera, przespała noc, lecz gdy zjawił się dzisiaj, by ją przesłuchać, przypomniawszy sobie, co się stało, i znowu dostała hysterii. Zaaplikowano jej środki uspokajające i przez kilka godzin nie będzie się nadawała do użytku.

Ustalili też tożsamość biologicznego ojca Manuela. Grzegorz Pasternak sześć lat temu opuścił żonę i Kraków, wyjeżdżając do Warszawy. Mało prawdopodobne, żeby zainteresował się teraz synem, ale podkomisarz zadzwonił do stołecznej komendy z prośbą o odszukanie go i sprawdzenie alibi. Nadzieja, że zrobią to przed końcem długiego weekendu, była jednak niewielka.

Minęło piątkowe południe, niebo się chmurzyło, ludzie stresowali, czy pogoda nie zepsuje im planów, a on dwie i pół doby po morderstwie nie miał prawie nic. Kandydaci na podejrzanych i świadków byli nieobecni lub spali, natomiast w winę Romana Byrdy trudno mu było uwierzyć.

Zgadzał się z tym prokurator, który po wygłoszeniu kilku cierpkich uwag polecił skoncentrować się na analizie przypadków pedofilii, które mieli w rejestrze.

2

Komisarz Wit Nawrocki rozkrawał ziemniaki na sadzonki. Tak jak trzy dekady temu uczyła go babcia: białe wypustki, które ona nazywała kulami, miały pozostać na obu połówkach. Jeśli ziemniak był nieduży lub kule miał wyłącznie po jednej stronie – szedł do ziemi w całości.

Uprawę ziemi – zrazu jako element terapii, potem procesu ozdowieńczego, a wreszcie odskocznię od pracy policyjnej – doradziła psycholożka, pomagająca mu wydobyć się z uzależnień i traum. Akurat trafiła się działka w Słoneczniku, naprzeciwko Bonarki, po drugiej stronie Kamieńskiego. Znajomi się rozwodzili, ale kłócili o podział majątku i status prawny działki. Nie mogli jej sprzedać, więc Wit się nią opiekował.

Skoszenie trawnika trzy razy do roku, przycięcie krzewów i uprzątnięcie uschłych gałęzi wiosną, pozbieranie owoców latem oraz zagrabienie liści jesienią były zajęciami łatwymi i przyjemnymi. Poza tym jednak działka nie wpływała na niego uspokajająco, lecz irytująco. Dwa lata temu nasadził cebuli, bo zdrowa. Trzy czwarte zbiorów, jeszcze w ziemi, zeżarły mu chrząszcze o nazwie z dziecięcych bajek: turkuć podjadek. Rok temu przerzucił się na marchew i pietruszkę, ale większość pogniła przez deszcze, które na początku lipca wywołały tę straszną powódź.

Teraz postanowił posadzić niewielką ilość ziemniaków. Dawniej na pierwszego maja zjeżdżała do dziadków na wieś cała rodzina, gdyż wszyscy mieli wolne od pracy lub szkoły, i wspólnie obsadzali wielką połąć ziemi. Pług ciągnięty przez konia, potem przez traktor, za pługiem dziadek, na traktorze wujek. Wit technologicznie cofnął się do średniowiecza (choć nawet wtedy rolnicy używali pewnie zwierząt). Sznurkiem przywiązanym do drzewa wyznaczył pierwszą linię, a potem jakoś mu poszło z następnymi, równoległymi. Trójzębnym kopaczem robił dołki, wsadzał w nie ziemniaki i przysypywał, tworząc szeregi niedużych, stożkowatych kopczyków. Za parę tygodni trzeba będzie podsypać ziemi, żeby uformować podłużne rowki, później plewić, tępić stonkę. We wrześniu może coś uda się wykopać. Jak to dziadek mawiał: „Rolnik poza robotą ma tyle zysku, co krowa nasra”.

Prostując się i masując lędźwie, Wit zerknął na Jaśka, gdy ten akurat wymierzył do niego z pistoletu na wodę, a usta ułożyły mu się w bezgłośnie „paafff!”.

– Dobrze, że nienaładowany, będziesz mógł mnie zastrzelić kilka razy – powiedział zachęcająco do dziewięciolatka.

– Ciebie nigdy bym nie zastrzelił. Ćwiczyłem się tylko w celowaniu – odparł chłopiec i nie czekając na odpowiedź, zatopił wzrok w trzymany na kolanach komiksie. Sporą ich kupkę miał obok siebie na kocyku, na którym siedział po turecku pod drzewkiem wiśni. Wyposażenie dopełniała stojąca pod ręką puszka lemoniady ze słomką.

Dziwny dzieciak. W pewnym momencie podejrzewali nawet autyzm, ale badania to wykluczyły. Diagnoza brzmiała, że jest po prostu silnie introwertyczny, ponadprzeciętnie inteligentny. Do Wita lgnął bardziej niż własny.

Nawrocki ostrzegał go przed kleszczami, ale Jasio przykrył sobie włosy liściem łopianu zerwanym sąsiadom z za płotu, gdy w pierwszym okresie gorączkowej aktywności zwiedził wszystkie zakamarki. Później będzie musiał dokładnie obejrzeć mu głowę, szyję i plecy. Już lepsze

jednak spotkanie z kleszczami niż z pedofilem, co przytrafiło się temu biednemu chłopcu znad Zalewu Nowohuckiego. Kraków żył środowym morderstwem tym mocniej, im dłużej pozostawało nierozwiązane. Dzisiaj rano „ptasie radio” sąsiadów wyprowadzających pieski pod blokiem nadawało wyłącznie o tym.

Podszedł do altanki, nawykowym ruchem sięgnął do papierosów zostawionych w wiatrówce, ale tylko zacisnął dłoń w pięść. W lutym rzucił palenie, a konieczność ruchu na świeżym powietrzu, pomagającego w pozbyciu się nałogu, była jeszcze jednym argumentem za rozpoczęciem trzeciej rundy walki z przyrodą.

Napił się mineralnej z półtoralitrowej butli, sprawdził telefon. Dostał dwa SMS-y od Żółwika. W pierwszym było zdjęcie Julki z Mariką Jaworską, szczerzących się na tle pałacu Buckingham. W drugim podpis: *Czekamy na księcia Harry’ego*. Odpisał: *Jeszcze nikt z rodziny królewskiej nie poleciał na panienki bez matury*. I zaraz posłał drugą wiadomość: *Ale ja spotkam się z Tobą w niedzielę, tak jak się umawialiśmy*.

Jego córka wyjechała na wycieczkę do Londynu z Mariką i jej rodzicami. Przemknęło mu przez myśl, że Julia zżymałaby się na sadzenie ziemniaków w święto. Ale przecież w tak niewielkiej ilości była to właściwie rekreacja, niePOCHłaniająca więcej energii niż choćby obsługa grilla. Zresztą na ogół wykonywał znacznie gorszą pracę w dni świąteczne...

3

Na liczniku miał sto osiemdziesiąt, ale chmury nad głową zdawały się z nimi ścigać. Jechali z Lewym do Nowego Wiśnicza, pogadać z facetem odsiadującym dwunastoletni wyrok za morderstwo.

Sulima zastanawiał się, czy pojawi się dzięki temu cień tropu, czy to jednak już desperacja. Przejrzeli we trójkę akta osadzonych pedofilów, przypadki, w których ofiara gwałtu poniosła śmierć lub przynajmniej była duszona. Do tego „bestie” przebywające w Gostyninie. Okoliczności żadnej ze spraw nie pasowały jednak do morderstwa Manuela Byrdy. Różniły się metodą uśmiercenia, momentem wykorzystania seksualnego ofiary, sposobem i miejscem ekspozycji ciała. Mimo woli powtórzył sobie historię Trynkiewicza, któremu już w 2014 roku skończył się wyrok, ale został osadzony w ośrodku odosobnienia w Gostyninie na podstawie ustawy o postępowaniu wobec osób z zaburzeniami psychicznymi stwarzających zagrożenie życia.

Trynkiewicz, znany i lubiany w Piotrkowie nauczyciel wuefu, zaczynał od duszenia. Zwabił do swojego mieszkania trzynastoletniego chłopca, oferując mu możliwość postrzelania z wiatrówki, a potem udział w obozie strzeleckim. Zgwałcił go, a później udusił, wpychając do gardła gąbkę do mycia naczyń. Ciało praktycznie złamał w pół i upchnął do kartonu po powiększalniku fotograficznym. Pakunek ukrył w leśnej jamie i przysypał liśćmi. Trzech następnych chłopców zakłuł w swoim mieszkaniu nożem.

Byrdy nie zabił najprawdopodobniej żaden recydywista, być może nawet nikt z oskarżanych dotychczas o jakiegokolwiek przestępstwa seksualne wobec dzieci. Jeśli jednak pedofil znad zalewu powtórzy swój czyn, na wzór Trynkiewicza, któremu ewidentnie pierwszy raz zaostrzył apetyt na następne, zacznie się medialny bal. Już teraz mieli szczęście, że nie wypłynęły wszystkie szczegóły morderstwa w Nowej Hucie.

Nagle przyszło mu do głowy jedno z głupawych powiedzonek Imbira: „Rozjebałeś się jak żaba na liściach”. Zgrzytnął zębami. Wyrzucił z głowy myśl o porażce i obraz tego spaślaka. To on jest

porażką.

Z miejsca, gdzie zaparkowali, widać było okrągłe baszty zamku. Zakład karny natomiast mieścił się w dawnym klasztorze karmelitów bosych i – z czerwono-brązowymi spadzistymi dachami oraz białoszarymi murami – na klasztor wyglądał. Monarchia Habsburgów zamieniła go w więzienie ponad dwieście lat temu. Za czasów c.k. Austrii siedzieli w nim między innymi tatrzańscy zbrojnicy, w początkach II RP – jeńcy wojenni, Niemcom służyło za obóz przejściowy przed uruchomieniem Auschwitz, w peerele trafiali tu opozycjoniści. Dawid Pietrek nie należał jednak do żadnej z tych kategorii; był okrutnym, spaczonym skurwielem.

Wygolona czaszka, nalana gęba czterdziestolatka, który ćwierć życia spędza mało aktywnie, wytatuowane splecione węże wypełzające spod drelichu na szyję, gruba, obwisła dolna warga, przypominająca dzióbek lub korytko. Siedział naprzeciwko nich w pomieszczeniu udostępnionym przez zastępcę dyrektora zakładu karnego, który dał osadzonemu do zrozumienia, że współpraca z przybyłymi z Krakowa policjantami przyniesie mu hopy w przyszłym traktowaniu. Trzymał lekko przekrzywioną głowę i się uśmiechał – może nie bezczelnie czy ironicznie, ale jakby z dystansem albo wyższością.

– Skąd ta ksywa: Santana? – zagał Artur Sulima. Chciał stworzyć klimat luźnej konwersacji, licząc, że przyniesie mu ona informacje, pomysły czy nawet skojarzenia. Etymologia przydomka była oczywista u człowieka, który zabił żonę struną gitarową.

– Przyjechaliście tu z powodu tego dzieciaka, o którym pisali na Tele, że go w Nowej Hucie znaleźli? – Pietrek pochylił się w ich stronę. – Ale mnie chyba nie podejrzewacie? Mam alibi.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Bo mnie to zaciekawilo. Nie mówcie, że ktoś go zadusił, tak jak moją ślubną?!

Nie był matolem. Przeczytali w aktach, że skończył liceum w Rybniku, a po przenosinach na Sądecczynę przez parę miesięcy pracował nawet w roli przewodnika, obwoząc turystów po okolicy i opowiadając o Państwie Muszyńskim, co łączył z funkcją w siatce przerzutu nielegalnych imigrantów i narkotyków. Teraz błyskawicznie domyślił się wszystkiego. Albo po prostu miał intuicję.

Wspomniany kanał informacyjny nie zdziwił podkomisarza. Telegazeta, która wyszła z użycia wraz z nastaniem internetu, była wciąż popularna wśród więźniów, mających dostęp do TV. Za jej pomocą, w dziale z ogłoszeniami, otrzymywali grypsy od współników i rodzin. O ile mieli dostęp do pilotów, które na ogół były zakazane... Ale to nie jego problem.

– Pan podkomisarz zadał ci pytanie. Odpowiadaj, kurwa, nie mędrkuj! – Andrzej Markowski zerwał się z krzesła, czym sprowokował zaledwie nieznaczne uniesienie głowy przez więźnia i jego zaciekawione spojrzenie.

– Spokojnie. Usiądź, Lewy. – Sulima pociągnął go za rękaw. Z cymbalami nie da się pracować. Najpierw Gomułka odkrył w sobie asa wywiadu, teraz ten zgrywa twardziela i zrazi Santanę. Czemu wydawało mu się, że ta dwójka wyrasta nieco ponad właściwy dla małopolskiej komendy poziom gruntu? – Proponuję, żebyśmy pogadali na luzie, a jeśli będzie miło, to na końcu sprzedam ci trochę więcej, niż jest na Tele. OK?

Pietryka skinął głową.

– Santana nazwali cię po tym zabójstwie struną? – spytał podkomisarz. Markowskiemu dał znak, żeby się nie odzywał.

– A nie, to dlatego, że wymiatałem na gitarze. Na topie był wtedy Slash, ale u nas na podwórku mieszkał jeszcze jeden chachar i on kazał się tak nazywać. Nie grał lepiej, ale był trzy lata starszy i mnie sprął, gdy żeśmy się pokłócili o ksywę. Nie gra już, zmarło mu się, marskość wątroby. A mnie jeszcze wcześniej to znudziło, instrument sprzedałem. Tylko ksywa została.

– I struny...

– Nowe kupiłem, drogę do sklepu ze sprzętem muzycznym znam.

– A skąd pomyśl, żeby to zrobić struną?

– Na filmie widziałem. Nie pamiętam tytułu ani kto grał, ale na pewno tę kasetę miałem z wypożyczalni, którą w sąsiednim bloku w piwnicy otworzyli. Dziwna ta pamięć, co?

Dawid Pietrek po raz pierwszy poszedł siedzieć, gdy metalową strunę od gitary zarzucił na szyję romskiego wójta. Ten jednak zdążył włożyć do środka dłoń, a pierścienie, które nosił na każdym palcu, zatrzymały ostrze. Sąd zakwalifikował to jako usiłowanie zabójstwa, ale usiłowanie nieudolne, i zamiast minimalnych dla tego przestępstwa ośmiu lat – dał Pietryce trzy. Najwięcej kosztowało to przyszłą żonę Santany, który z więzienia wyszedł po dwóch latach, po roku się ożenił, a po niespełna trzech „rozwiódł”. Poszukiwany listem gończym ukrywał się u dawnych przemysłowych kompanów na Zamagurzu Spiskim. Kiedy jednak kłótnię z jednym z nich próbował rozstrzygnąć za pomocą duszenia, Słowacy pobili go, skrępowali, przywiązali do drewnianej drabinki malarskiej i w takiej postaci podrzucili na nieczynne przejście graniczne w Leluchowie.

Przypominaniem o tym chyba nie zyskałby przychylności rozmówcy. Podobnie jak uwagę, że garota, choć niekoniecznie zrobiona ze struny gitarowej, była w przeszłości popularną bronią. Lepiej go polechtać.

– Miałeś naśladowców?

– Jacyś tam byli.

– A wśród pedofilów?

– Nie lubię.

– To tak jak ja. Nie wiesz, czy ktoś w ten sposób dzieciaka załatwił?

– Ja się w temacie dzieciojebców nie doktoryzowałem. Ale w Sączu garowałem z takim Krzychem Małyszem. Jak ten skoczek, tylko z „a” na końcu. Małysza. Lubił sobie przemacać młódki, ale siedział za dwieście osiemdziesiątkę.

Paragraf dwieście osiemdziesiąt to był rozbój z włamaniem. Podkomisarz wiedział, że Pietrek przed wiśnickim zwiedzał właśnie więzienie w Nowym Sączu.

– Ten Krzychu to był frajer w porządku – kontynuował Santana. – Na spacerunku szlugami częstował, to go nie odganiałem. Parę żeśmy na multiplayerze spalili.

– Multiplayerze?!

– No, razem. Po dwa machy, na zmianę. Kiedyś zagadywał coś o struny, gitarowe, fortepianowe.

– I co mu odpowiedziałeś?

– Że z gitary się nie nada, lepsza cienka linka. Wziąłem strunę, to przecięło babie gardło, krew trysnęła i nowe dzinsy mi zapaskudziła. Porządne wranglery, doprać się nie dało. A jeszcze przez te ślady krwi o mało mnie nie złapali.

– I co się z nim później stało?

– Przenieśli mnie tutaj, a on został. Nie wiem, ile mu kat dał z brewiarza.

– Co o tym sądzisz? – spytał Lewego w drodze powrotnej. Wcześniej zadzwonił do Gomułki, żeby sprawdził Krzysztofa Małyszę. Santanę zbył paroma banałami, nie zdradził żadnych szczegółów, ale tamten i tak sprawiał wrażenie zadowolonego.

– Nie wierzę kurwom jeszcze bardziej niż oni nam. – Lewy był naburmuszony, albo wskutek starcia z Santaną, albo traktowania przez Sulimę.

– Mógł nic nie mówić, ale skoro już mówił, to może nie kłamał – odparł podkomisarz.

– Chodzi mi właśnie o to, dlaczego z nami gadał. Z psami. – Starszy aspirant kręcił głową. – Trochę za łatwo poszło.

– Niby tak, ale może miał coś do ugrania w pierdłu. Pojechaliśmy do jedynej w Małopolsce osadzonego skazanego za morderstwo za pomocą garoty. Może te informacje nam nie pomogą, ale czasem właśnie takie przypadkowe trafienia, zdarzające się w żmudnej pracy śledczej, przynoszą rozwiązanie sprawy.

Zadzwoił telefon. Gomulka. Podkomisarz włożył smartfon do uchwytu na desce rozdzielczej i przełączył na głośnomówiący.

– Mam tego Małysza.

– Małyszę.

– W każdym razie Krzysia. Siedział za napad na stację benzynową przy starej „czwórce”, koło Dębicy. Sterroryzował dwóch ludzi z obsługi pistoletem czarnoprochowym. Wypalił z niego do kamery, czym tak ich przeraził, że oddali mu nie tylko utarg, ale nawet własne pieniądze. Nie wiedzieli, że to czarnoprochowiec i musiały go naładować, żeby wystrzelić ponownie. Nieźle zatarł ślady, po pistolecie też nie dało się go namierzyć. Wiadomo, nie trzeba ich zgłaszać. Wpadł, bo kręcił się koło podstawówki w Tarnowie. Widzieli go tam kilka razy, w końcu nauczycielka zgłosiła to do naszych. Patrol podszedł, żeby go wylegitymować, a Małysza nie uciekał, ale lutnął jednemu, więc drugi psiknął mu gazem i po zabawie. Sąd w ogóle nie zajmował się podejrzeniami o pedofilię, choć pojawiały się ponoć już wcześniej.

– Co z nim, wyszedł? – spytał Artur Sulima.

– W ubiegłym roku. Przeniósł się do Krakowa, zatrudnił w pizzerii w Nowej Hucie, jako ten ichni kucharz, no...

– Pizzer.

– Właśnie. Sęk w tym, że miał się spotykać z kuratorem drugiego każdego miesiąca, ale wczoraj się nie pojawił, a dzisiaj nie przyszedł do roboty po dwóch dniach wolnego.

ROZDZIAŁ 4

1

Mężczyzna ogląda fotografie. Na wszystkich uwieczniono nieduże ciała, powykręcane w przedśmiertnym paroksyzmie, z twarzami, na których zastygł grymas zaskoczenia, strachu, bólu. Lewą ręką głaszcząc się delikatnie między nogami. Część ujęć jest jego autorstwa. Przesuwając kółeczkiem w myszce powiększa zdjęcia i jak zwykle w takich momentach cmoka niezadowolony, bo wprawdzie twarze się przybliżają, ale rozpikselowany obraz gubi szczegóły. Dokładnie jednak widać, że chłopcy są martwi.

Luźne spodnie dresowe mężczyzny napinają się w kroczu. Mocniej pociera tkaninę. Kutas sztywnieje, jak oni, myśli. Ustawia na ekranie najnowszy obraz – chłopca otoczonego przez wodę – puszcza myszkę i prawą rękę wkłada pod gumkę spodni. Przydałoby się już coś nowego, przemyka mu przez głowę, zanim uciekną z niej wszystkie myśli wyparte przez żądę i rozkosz.

2

W sobotę Barbara Byrda ocknęła się z wcześniejszej apatii, choć najaktywniejsze były jej palce, przebiegające po kolanach i udach niczym po klawiaturze fortepianu. Twarz pozostawała nieruchoma, zastygła w smutku, ale co ważne – udawało się wydobyć z niej pojedyncze zdania. Siedziała na brzegu łóżka, z opuszczonymi nogami, podkomisarz Sulima przycupnęła naprzeciwko niej na taborecie.

– To dobry dzieciak był. Żywy, ale greczny. Bawić się lubiał. Na polu. – Taką charakterystykę Manuela jego matka powtarzała niby refren. Refren piosenki, której zwrotki wypełniały zaledwie potakujące bąknięcia, kiwnięcia, wzruszenia ramionami, niemrawe kręcenie głową. Sulima zdołał uzyskać raptem potwierdzenie czwartkowej opowieści jej męża. Jasne było, że za wiele nie wiedziała o swoim dziecku, bo choć spędzała w domu więcej czasu niż sporo innych matek, to częściej od nich odklejała się od rzeczywistości.

Może o domniemanym kochanku będzie miała coś do powiedzenia.

– Wie pani, gdzie możemy znaleźć Dariusza Szreniawskiego?

Poderwała głowę, a jej spojrzenie po raz pierwszy, odkąd Sulima ją poznał, stało się bystrzejsze. A może raczej – czujne.

– Czego od niego chcecie? Co wam Romek nagadał?

– Proszę pani, to jest przesłuchanie. Nieformalne, ale i tak to ja zadaję pytania! – Artur zaczynał się irytować.

– No bo Romek gada o nim różne farmazony... A on nic takiego złego nie zrobił... Pomógł mi czasem, kiedy byłam samotna. Romek se pojedzie, nie ma go, nie wie, jak to jest. A Darek był... I czasem Manuelem się zajął.

– W jaki sposób?

Znowu poderwała głowę.

– No co pan, panie policjancie! Co pan myśli? Darek nie z takich. Ja wiem, że Manuela ktoś skrzywdził, jakiś pedofil; Romek mówił, co żeście powiedzieli. Ale Darek by czegoś takiego nie zrobił, on woli kobiety. Dorosłe kobiety. Ja to wiem. A Manuelem się czasem zaopiekował i zabrał go gdzieś.

– Gdzie?

– No, na Wandę, tu zaraz, na ten żużel. Na karuzelę, plac zabaw nad zalewem. Takie. Niedaleko, bo Darek gruby jest i chodzić nie lubi.

– Pływali po Zalewie Nowohuckim?

– O nie, to na pewno nie. Darek wody się boi, pływać nie umie, topił się kiedyś, jak był dzieckiem. Nawet na basen z nim nie poszedł, choć go Manuel nudził. Bał się o Manuela, że się utopi, chociaż tam przecież, na basenie, ratownik jest. Teraz do Norwegii pojechał, ale na platformie, tej, co benzynę czy ropę wydobywają i kupę forsy można zarobić, nie będzie pracował, bo się boi. Te platformy na morzu są, wie pan.

– Wyjechał do Norwegii? Kiedy?

– No, właśnie rano miał jechać pociągiem do Świnoujścia i dlatego już nie opłacało mu się wracać do siebie, więc miał się przespać w pokoju u Manuela. Manuel go bardzo lubił, on nic by mu nie zrobił.

– O której wyszedł? Widziała go pani wtedy? A może mieliście kontakt później?

– Nie, nie. On woli teraz nie dzwonić, kiedy Romek jest.

– Wie pani, gdzie pracuje w Norwegii?

– Nie wiem gdzie. Kartkę ma przysłać kiedyś. Chyba na farmie u rolnika pomaga, bo wie pan, on boi się wody i na platformie...

– Tak, wiem. – Sulima przerwał jej niecierpliwie. – Ma pani jego numer telefonu?

– No, mam, ale na pamięć nie znam. W komórce mam, a komórka w mieszkaniu została, jak mnie w czwartek pogotowie zabierało.

3

Podkomisarz wyszedł przed budynek szpitala. Po kilkudziesięciu minutach spędzonych w otępiającej chmurze środków czystości, preparatów odkażających, leków, wyziewów chorujących ciał, aż podrażnił mu nozdrza zapach bzów i kasztanów poruszających się na wietrze. Wybrał numer Lewego, jednak ten był zajęty, więc zadzwonił do Gomułki.

– Czołem, komisarzu. Właśnie miałem do Ciebie dzwonić.

Artur Sulima miał zasadę przechodzenia na ty ze wszystkimi ludźmi, z którymi współpracował. Niezależnie od tego, co sądził o nich i ich kompetencjach, uważał, że pewna doza poufałości pomaga we wspólnym wypełnianiu obowiązków.

– Masz jakieś wyniki?

– Eee, no właśnie, tę pizzerię, Tombola się nazywa, otworzą dopiero po południu. Zadzwoniłem do właściciela, ale on stwierdził, że mało miał kontaktów z Małyszem, znaczy Małyszą... No... z naszym podejrzanym. Nie sprawiał problemów. Prosił, żeby przyjść po południu i pogadać z kelnerkami, one lepiej go znają. Miałem też namierzyć tę kobietę z pomocy społecznej, która była na kontroli u Byrdów. I namierzyłem, ale ona pojechała gdzieś pod Skierniewice do rodziny męża, a telefonu nie odbiera.

– Próbuje co pewien czas, a póki co masz inne zadanie. Pojedziesz do mieszkania Byrdów i z komórki Barbary wyciągniesz numer do Szreniawskiego. Jeśli nie dostaniesz się do książki kontaktów i mąż nie będzie umiał ci pomóc, to zawieszysz aparat do niej do szpitala i ona wyciągnie numer. Wtedy się zgłoś.

Od kilku minut dobijał się do niego starszy aspirant Markowski.

– No, co tam? – spytał Sulima.

– Oddzwaniam, ale w sumie to i tak dzwoniłbym sam, bo mam ciekawe info! – Lewy był wyraźnie podekscytowany. – Gadałem z tym kuratorem. Mówi, że Małysza nie sprawiał do tej pory problemów. Za bardzo wylewny nie był, nie zwierzał mu się. Rozwiedziony od dawna. Kurator go raz spytał, czy jest z kimś związany, znaczy, czy ma babę.

– Lewy, ja rozumiem zwrot „być z kimś związanym”...

– Ale jemu chodziło o to, że wyraźnie nakierował to pytanie na kobiety, no i udawał, że nic nie wie o tym incydencie pod przedszkolem. Małysza odpowiedział, że na razie chce się ustawić finansowo, zanim ułoży sobie życie prywatne, ale ten kurator czuł, że to taka szampowa, przygotowana wcześniej odpowiedź. Że facet nie jest zainteresowany tematem. No w każdym razie tak mu się wydawało, choć może zasugerował się tymi pogłoskami o pedofili. To już mój wniosek.

– Nie dzwonisz chyba, taki podniecony, żeby się nim podzielić? W mieszkaniu Małyszy byłeś?

– Tak, ale tam też nic. Nikt nie otwiera, tak samo po sąsiedzku. Za to mamy numer komórki, to jest w sieci Gadulec, wiesz, z nimi mam dobre układy. Dostałem dane łączenia ze stacją bazową. W nocy z wtorku na środę przez kilka godzin logowałem się do stacji Kombinat. No, to jest przy Zalewie Nowohuckim! Co ciekawe, tuż po drugiej w nocy telefon został wyłączony, będąc w tej lokalizacji, i odtąd nie logowałem się już nigdzie.

– Dobra, robimy mu przeszukanie w mieszkaniu. Zadzwonię do Szymańskiego, żeby wystawił nakaz, spotkamy się na miejscu.

4

Małysza wynajmował kawalerkę w jednym z punktowych wieżowców przy ulicy Piasta Kołodzieja, leżącej w dużo nowszej części Nowej Huty, powstałej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, diametralnie różniącej się architekturą od miejsc odwiedzanych przez nich w ciągu ostatnich trzech dni.

Było tu wszystko – pokój, przedpokój, łazienka, kuchnia – ale wszystko małe, więc Sulima, Lewy i Gomułka, który dołączył do nich w trakcie, ledwo się omijali. Za to przetrzepali całość dokładnie.

Kurator miał dane właściciela mieszkania, ale nie udało się zdobyć kluczy, bo tamtego oczywiście, śladem połowy krakowian, wywiało z miasta na majówkę. Kawalerkę otworzył wytrychem jeden z techników, którzy zdjęli odciski palców i pobrali próbki DNA, zanim wpuścili ekipę Sulimy.

Umeblowanie i wyposażenie mieszkania było standardowe, prawdopodobnie zapewnione przez właściciela. Nieduża lodówka w kącie kuchni działała, znaleźli w niej resztki jedzenia, otwartą puszkę z pasztetem, napoczętą margarynę do smarowania, parę plasterków sera żółtego w sklepowym zawiniątku z papieru obciążonego folią. Otwarte były też zawory odcinające gaz oraz ciepłą i zimną wodę. Małysza raczej nie przewidywał długiej nieobecności w mieszkaniu. A może po prostu nie przykładał wagi do takich zabezpieczeń lub był fleją. Albo jedno i drugie.

W pokoju też nie znaleźli raczej nic ciekawego. W szafie trochę ciuchów, na półkach odbiornik radiowy, jakieś szpargały – dokumenty bankowe, medyczne, stare numery krakowskich gazet

otwartych na stronach z ogłoszeniami mieszkaniowymi. Kilka książek o broni i rusznikarstwie. Żadnych magazynów erotycznych dla jakiegokolwiek orientacji seksualnej.

Telewizor. Nie było komputera stacjonarnego, laptopa ani smartfona. W nadstawce szafy stało puste tekturowe pudełko po sportowych butach ze sprężynującą podeszwą, których brakowało też na półeczce w przedpokoju. Obok – drewniana kasetka podobnej wielkości, zamknięta, ale z kluczykiem wetkniętym w otwór. Była pusta, wyścielona suknom. Nie miała wgłębienia uformowanego na kształt pistoletu czy rewolweru, ale Sulima, zbliżając do niej nos, poczuł zapach oliwy do konserwacji broni.

– Spluwę, skurwieli, zabrał ze sobą – wycedził Lewy, zaglądający mu przez ramię.

– Popatrzcie, co mam – nagle odezwał się Gomułka. W dłoniach trzymał coś w rodzaju metalowego pudełeczka, może piórnika, na zawiasach, zamykanego na zatrask. Ostrożnie wysypał zawartość na stojący pod oknem niski stolik telewizyjny, przy którym klęczał. Uklękli obok niego. Na blacie leżały złota obrączka, spinki do mankietów, odznaka jubileuszowa 100-lecia Akademickiego Związku Sportowego, karta promocyjna służąca zbieraniu punktów do sieci stacji benzynowych, którą Małysza obrabował. A obok karteczka z szeregiem cyfr, w niektórych przypadkach urozmaiconymi literami i kreskami.

– Szyfr? – zdziwił się Lewy.

Sulima westchnął.

– Raczej elektroniczne loginy i hasła dostępu. Sporo ludzi notuje je sobie, bo się boją, że zapomną – wyjaśnił. Jego mama pod bielizną, gdzie dawniej chowała kopertę z dolarami „na czarną godzinę”, teraz trzymała cieńszą kopertę z kartką zawierającą dane konta, na które wpłacała pieniądze, plus założonych lokat.

– Też tak uważam. To będą piny do komórki, kod do karty płatniczej albo takiej, której się używa w oddziale banku, nie pamiętam nazwy. – Gomułka wodził palcem po czterocyfrowych rzędach. – Poza tym mamy tu chyba hasło do przelewów internetowych, do maila, może nawet do fejsa. Mam pomysł...

– Chcesz mu się włamać na konto? – spytał Lewy.

– Czemu włamać? Po prostu zalogować. – Gumi patrzył na podkomisarza, czekając na jego opinię. – Od kuratora mamy adres mailowy, który pewnie jest loginem. Wystarczy, że dostanę się do jego poczty elektronicznej, to na fejsie przy logowaniu poproszę o zresetowanie zapomnianego hasła i przyślą je mailem. W skrzynce pocztowej mogą być ślady kont w innych mediach społecznościowych, jakie sobie Małysza założył. Zawsze wysyłane są z nich mailowe prośby o potwierdzenie.

– Dobra, działaj! – zdecydował Sulima. – Nie będę dzwonił do Szymańskiego, potem się to jakoś przykryje.

– Nikt nie musi wiedzieć. Boty handlujące tożsamościami co chwilę przejmują komuś konto, później są one sprzedawane w pakietach po kilkaset tysięcy albo i milion sztuk. Spróbuję najpierw dostać się na maila, to będzie któreś z tych trzech dłuższych haseł. Nawet jeśli nie trafię od razu, to nie ma ryzyka, bo konto blokują po trzech błędach.

5

Dopiero obserwując poczynania aspiranta, Artur Sulima uwierzył, że wszystko może pójść tak łatwo. Za drugim razem Bartek zalogował się do poczty elektronicznej. Przejrzał skrzynkę, w której nie było zbyt wielu wiadomości, zwłaszcza korespondencji z osobami prywatnymi. Trochę reklam,

ofert banku, o którym wiedzieli, że Małysza ma w nim rachunek. Jedyny przejaw obecności w mediach społecznościowych – informacja z Facebooka o zakończeniu procesu rejestracji. Wprowadzie za jej pomocą Gomulka nie dostał się do konta na FB, ale kliknął tam w link „Nie pamiętasz hasła?” i poprosił o wysłanie go na maila. Za moment był na profilu pod nazwą: Krzychu Małysz(a).

Ich podejrzany nie zdradził na nim swojego wieku, za to na niektórych zdjęciach można było rozpoznać jego twarz, gdy celował na stojąco do tarczy i do rzutków. Parę obrazków z uzi i kałachem ze strzelnicy strzelectwa dynamicznego znajdującej się w hotelu w Zielonkach, zaadaptowanym z dziewiętnastowiecznego austriackiego fortu. Musiały pochodzić sprzed 2014 roku, kiedy strzelnicę zlikwidowano. Zresztą jeszcze wcześniej Małyszę zamknęli do więzienia. Sporo było fotek broni, na ogół czarnoprochowej i pneumatycznej, a opisy opiewały przyjemności strzelania. Największy fanatyk broni palnej, jakiego Sulima spotkał w życiu, instruktor Szkoły Policji w Pile, twierdził, że celny strzał oddany z pistoletu wygodnie leżącego w dłoni czuje się w jądrach i fiucie. Tutaj nie znaleźli takich porównań; wpisy skierowane były raczej do młodszego odbiorcy, niekiedy nawiązywały do gier komputerowych (*Counter-strike na żywo, Lepsze niż Call of duty!*). Dotarło do niego, że Małysza wabił w ten sposób chłopców. Jak Trynkiewicz, tyle że z wykorzystaniem technologii cyfrowej – ta myśl go zmroziła.

– Musimy przejrzeć jego korespondencję, prawdopodobnie kontaktował się z dziećmi, może z Manuelem. – Podniósł się podkomisarz. Do tej pory klęczeli obok stolika, zaglądając Gomulce przez ramię. – Możemy robić to jednocześnie, każdy na swoim telefonie?

– Tak, login i hasło wysłałam wam właśnie mailem. – Aspirant szybko przebieierał palcami po ekranie.

Małysza założył profil na FB jesienią ubiegłego roku, konwersacji nie było dużo. Ustalili, że cofną się do początku, każdy będzie wybierał co trzecią osobę i śledził korespondencję z nią do końca.

Z tych, które przypadły Sulimie, dwie urwały się szybko – pedofil sam zagadnął w nich chłopców. W innej dwukrotnie odzywała się do niego kelnerka z Tomboli, ale Małysza ją zbywał. Czwarta rozmowa była długa; Daniel Pasterz przerywał ją bez pożegnania, potem wznawiał znienacka, zdarzały się nawet trzy tygodnie przerwy i ostatecznie także zakończył ją Małysza. To znaczy – nie podjął zaczepki („elo będzie strzelane na święta?”) wysłanej przed Wielkanocą. Po chwili podkomisarz zrozumiał dlaczego. Podejrzany był już w trakcie rokujującej dużo lepiej konwersacji. Rozpoczął ją chłopiec podpisany Maniek Baniek, o dacie urodzenia 1 stycznia 2006 roku, twarzy zasłoniętej na zdjęciach spoconymi włosami, pomalowanej w indiańskie barwy wojenne bądź na podobieństwo kowboja przewiązanej chustką poniżej oczu. Na tym ostatnim zdjęciu trzymał zabawkowy rewolwer.

Sylwetka wskazywałaby na chłopca sporo młodszego, ale Sulima wiedział, że nie powinien sugerować się podanym tutaj wiekiem, bo wymogiem założenia konta było skończenie trzynastu lat, więc dzieciaki nierzadko wpisywały fałszywe daty. To mógł być nawet dziewięciolatek. To mógł być Manuel!

Serce biło mu coraz szybciej, kiedy widział mimochodem rzucane przez Małyszę propozycje spotkania w ustronnym miejscu i wypróbowania czarnoprochowca. I wreszcie w ostatnią niedzielę chłopak sam o tym przypomniał:

Chyba najlepiej będzie w tym opuszczonym hotelu na Ujastku Mogiłskim. Nikt nie będzie przeszkadzał, a gdyby się trafił jakiś żul, to go przegonimy. No i echo tam jest fajne – pisał Małysza. – Pasuje Ci ósma wieczorem we wtorek?

Git nie ma szkoły w srode. Tylko lepiej z godzinie albo i dwie później. Starzy maja dzampreze wieczorem o dziewiatej już beda naebani a ja na luzie wyjde z chaty i raz dwa tam przylece.

Chłopiec nie korzystał z polskich znaków, ale coś innego niepokoiło Sulimę w jego wpisach. Uznał to jednak za zwykłe natręctwo. Wszystko się układało: Manuel miał z Bulwarowej do Ujastku dwa przystanki tramwajem, nawet na nogach, na przełaj, mógł tam dotrzeć dosyć szybko. A jego rodzice mieli właśnie we wtorek imprezę...

Git, to się widzimy. Przyjdę o 21 i najwyżej chwilę na Cb poczekam – brzmiał ostatni wpis Małyszki. Podkomisarz zerwał się z tapczanu, na którym przysiadł.

– Zbieramy się! Ruchy! – krzyknął na podwładnych.

6

– Wchodzimy w szyku taktycznym, ja przodem, wy ubezpieczacie, w razie wymiany ognia wezwiecie wsparcie. – Podkomisarz zaimprovizował odprawę w niewyafaltowanej, błotnistej zatoczce przed skupem palet, nieopodal skrzyżowania Ujastku Mogińskiego z aleją Solidarności, zbliżającą się w tamtym miejscu do Kombinatu. Do hotelu mieli kilkaset metrów. Zakładali kamizelki kuloodporne wyjęte z bagażnika służbowego samochodu, którym przyjechali Markowski z Gomułką. – Gość co najwyżej jest uzbrojony w tego czarnoprochowca, nie stanowi wielkiego zagrożenia, więc nie ma sensu czekać. Pojedziemy obydwoma samochodami, będziemy bardziej mobilni, gdyby trzeba było szybko reagować lub się rozdzielić.

Tamci tylko pokiwali głowami, sprawdzając pistolety. Właśnie dlatego z nimi współpracował. Nawet jeśli brakowało im punktów w ilorazie inteligencji, to wiedzieli, kiedy jest pora działania, bo liczy się czas. Zdawali sobie sprawę, że łamią regulamin i że nie ma sensu się nad tym roztkliwiać.

– Jedno wiemy: Manuela tam nie ma – dodał podkomisarz, aby ich podkręcić. – Ale może Małyszka się tam chowa i może dzisiaj będzie chciał się zwinąć. Może podniecony, że tak świetnie mu poszło, porzucił zupełnie wszystko, co go łączyło z normalnym życiem. Może trzyma tam kolejnego dzieciaka. Idziemy po niego!

Parę miesięcy temu słyszał nawet na komendzie rozmowę o tym biznesie na Ujastku. Zostało to pomyślane i stworzone z rozmachem: hotel, restauracja, stacja benzynowa, sklep motoryzacyjny, myjnia samochodowa. Facet przeprowadził inwestycję w całości na kredyt, bo liczył, że wkrótce powstanie w pobliżu obwodnica Krakowa, należąca do drogi ekspresowej S7, prowadzącej od Gdańska przez Warszawę aż do Rabki. Ale to jest Polska, tu szybko buduje się jedynie w marzeniach. „Jaś nie doczekał”, szydził inspektor Hadyna. Właściciel umarł, a komornik musiał zaspokajać wierzycieli. Już blisko dekadę budynki stoją opuszczone.

Zielona ściana przy ulicy prowadzącej od alei Solidarności do kopca Wandy rozstąpiła się nagle po lewej stronie i ukazał się kompleks wyglądający zupełnie jak na *street view*, ale z powybijanymi szybami. Lewy i Gomułka skręcili od razu, a Sulima przejechał wzdłuż żywopłotu, w którym zielony pas był podbity ciemnofioletowym. Nad nim, w głębi, widać było jedyny niezdewastowany element – wiśniowego koloru szylt: JB. Hotel ***.

Wjechał od strony stacji benzynowej i zaparkował samochód w głębi, obok niedosłej myjni. Przeładował glocka leżącego dotychczas na siedzeniu. Wysiadł i bez słów dał znaki tamtej dwójce. Nad tylnym wejściem wznosiło się piętro z restauracją, której ściany i część dachu zbudowano z szyb. Mogła wyglądać pięknie.

W środku nie dało się poruszać cicho, pod nogami chrzęściły kilogramy potłuczonego szkła oraz odpadłego ze ścian i sufitu tynku.

Pierwsze pomieszczenie, chyba sklep. Wiszące kable, metalowe rury, kończące się dwa metry nad podłogą, szafki w kącie. Czysto!

Drugie pomieszczenie, bar. Pod ścianą niezdefiniowana budowla z szarych cegieł, coś między paleniskiem a połową fontanny, usłana śmieciami. Obok ślady regularnego oddawania moczu. Dwie białe kolumny w centrum, z boku kontuar. Czysto!

Ogołociony pionowy tunel szybu windy, obok zdemolowana ubikacja. Czysto!

Schody bez poręczy, u ich podnóża i obok plastikowe pojemniki po najróżniejszych płynach, buty, ubrania. Czysto!

Hotelowy korytarz z resztkami pogruchotanych mebli i hałdami pokruszonego styropianu. Czysto!

Pokój z centralnie ułożonym materacem. Białym, ale wybrudzonym tak, jakby przemaszerowała po nim drużyna piłkarska wracająca z meczu na błotnistym boisku. Skłębiona firanka, ubrania, zwisająca ze ściany pod oknem, ponadrywana tapeta. Czysto!

Kolejny pokój. Płyty i deski z szaf i szafek ustawione porządknie pod ścianą, ale ściany poranione jak w poprzednim pomieszczeniu, a zwyczajowy syf na podłodze urozmaicony dziesiątkami plastikowych uszczelek i taśm. Czysto!

Zajrzał do restauracji. Wysoka roślina, ususzona, bez donicy, ale w bryle ziemi. Na gałązkach wiszące skarpetki. Czysto!

Pomieszczenie administracyjne. Biurko, na nim jedynie oderwana z telefonu zielona słuchawka, duży zeszyt i kalendarz, ale dookoła kilkudziesięciocentymetrowa przyrna dokumentów (nierządkiem w foliowych koszulkach), skoroszytów, plakatów i folderów reklamowych hotelu. Czysto!

Nie wiedział później, czy najpierw usłyszał brzęczenie, czy poczuł smród. To była kuchnia. Na sznurze przyczepionym do haka umieszczonego centralnie na suficie kołysał się powieszony za rękę człowiek. Nie, nie kołysał się, taki efekt stworzyły rojące się na nim muchy, które poderwały się, gdy podkomisarz wbiegł do pomieszczenia. Odśloniły obrzmiałą twarz, której dolna część była zbita na miazgę. Gdy podszedł bliżej, zrozumiał, że to nie zmasakrowane wargi i broda, ale obcięta moszna wystająca z ust, do których głęboko włożono męskiego członka. Spojrzał niżej, trup miał nogi skrępowane w kostkach, a spodnie po kastracji naciągnięto aż po biodra. Nie opadały, bo były sztywne od zakrzepłej krwi.

Ktoś rozgłośnię wymiotował za jego plecami. Wtedy ustąpiła blokada powonienia wywołana szokiem wizualnym i w pełnej skali dotarł do niego straszliwy fetor rozkładających się zwłok.

Zdążył tylko częściowo odwrócić głowę, a w trakcie tego ruchu treść żołądka trysnęła z niego i poszybowała łukiem. Rzyg turystyczno-krajoznawczy, jak nazywali coś takiego na licealnych balangach.

ROZDZIAŁ 5

1

W niedzielne przedpołudnie niczym z piosenki Maanamu przez witraże kościoła Świętej Małgorzaty przy ulicy Dekerta wpadało niewiele światła. Wnętrze świątyni rozjaśniały lampy, dzięki którym dzieci przystępujące po raz pierwszy w życiu do Komunii Świętej, miały czteroelementowe cienie.

Gdyby to był komiks i nad głowami zgromadzonych wyrysowano by dymki oznaczające myśli krążące im po głowach – ich zawartość byłaby bardzo urozmaicona.

Kobieta w kostiumie w stylu Chanel, z koralową spódnicą i koralowym żakietem z białymi lamówkami i kieszeniami, nad fryzurą poddaną w czwartek, za piętnaście stówek, metamorfozie (dekoloryzacja, kolor, refleks, strzyżenie) przez samą Martę Korabik, ma dymek pełen irytacji. Na przyjęcie pierwszokomunijne Pascala wynajęli pokład barki przy Kładce Bernatka, a tu rano cztery stopnie. No świetnie, po prostu. Wprawdzie uspokajali ją, że stoliki będą osłonięte daszkiem, a obok staną ogrzewacze, takie jak w całorocznych ogródkach przy Rynku, zapewniające kilkanaście stopni, ale to jednak nie ten sam efekt. Marek już wcześniej kręcił nosem, że za kasę wydaną na organizację Pierwszej Komunii można by samochód kupić. Ale kto by jeździł samochodem za kilkanaście tysięcy?! Zarabia, to niech ludzie o tym wiedzą.

Chłopiec z buzią w kształcie jajka, nakrapianą piegami niczym pisanka farbka, dochodzi do wniosku, że Najświętszy Sakrament smakował zupełnie jak opłatek, którym co roku dzielą się w Wigilię. Choć oni przy stole nigdy nie mieli takich małych, okrągłych, ale prostokątne – żółte, niebieskie, a nawet różowe. Często są złamane i z inicjatywy dziadka posmarowane miodem.

Trzydziestoletnia kobieta z twarzą o dwadzieścia lat starszą hamuje łyzy podchodzące jej do oczu. Przecież to było tak niedawno, myśli, kiedy ona stała przy ołtarzu w białej sukience, wianku, lakierowanych bucikach, z malutką torebeczką. A potem, przez resztę maja, codziennie ubierała się tak na nabożeństwo. Boi się nawet przypominać sobie, jakie miała wtedy marzenia, bo wie, że żadne się nie spełniło.

Myśli zbliżającego się do pięćdziesiątki małżeństwa krążą wokół tych samych tematów. Mają tak, odkąd się poznali i zakochali w podstawówce. A potem nauczyli się dzielić nie tylko radości, lecz także zmartwienia, przez wiele lat lecząc się z niepłodności. Aż wreszcie urodziły się im bliźniaki, Adam i Ewa, które właśnie w tej chwili wspólnie przyjmują Pierwszą Komunię Świętą (dziewczynki i chłopcy stoją w dwóch kolumnach, a podchodzą parami, po jednym z każdej grupy). Żeby nie zostały skrzywdzone i nie krzywdziły innych, modlą się ich rodzice.

To grillowanie przez pięć dni z rzędu jest zabójcze, gdy ma się czterdziestkę, utyskuje mężczyzna, który przezornie usiadł w ostatniej ławce. Wolałby stanąć na świeżym powietrzu, nawet mimo dzisiejszego chłodu, ale to nie uchodzi, bo to przecież święto jego Maćka. Wódka rozmajona w trzech litrowych butelkach z colą, oznaczonych dyskretnie flamastrem czerwonym V, jest już przygotowana od wczoraj. Żeby tylko nie trafiła się przez pomyłkę którejś z dewotek. On

musi pociągnąć parę łyków jeszcze przed rosółem, bo będzie rozdrażniony i znowu pokłóć się ze starą, jak w Wielką Niedzielę.

Dziewczynka z włosami zebranych w dwa warkocze i zawiniętymi w koronę dookoła głowy przyjmowała święty sakrament jako jedna z pierwszych. Pomodliła się, a teraz przygląda się pozostałym dzieciakom z jej szkoły podchodzącym do ołtarza. Jednych lubi, niektórych nie. A tego Mateusza z trzeciej be jest jej żal. Dorośli i ksiądz mówili, że wszystkie dzieci ubierają jednakowe alby, żeby zapobiec festiwalowi mody, a przecież u niego widać wystające spod szaty zniszczone adidas. Mama mówiła, że jego rodzicom nie chciało się przyjść na żadne zebranie, chociaż mieszkają dwieście metrów od kościoła. Dziś też spóźnili się na mszę; widziała, jak Mateusz rozglądał się coraz smutniejszy, a poweselał dopiero przy ewangelii, gdy z tyłu rozległo się głośne szuranie.

Młoda brunetka z okazałym biustem, produktem kliniki prosperującej obok pętli tramwajowej na Salwatorze, i ustach wymodelowanych kwasem hialuronowym zastanawia się, czy jednak nie lepiej było założyć tę czerwoną suknię z dekoltem, zamiast czarnej, pod szyję. Ale chyba cioci „komunisty” nie wypada ubierać się zbyt wyzywająco. Zresztą taka msza i późniejsze przyjęcie jest kiepskim terenem polowania, większość facetów to żonaci, nieletni albo księża. Jej uwagę przykuwa wynajęty fotograf, dokumentujący uroczystość. Szczupły i wysoki, o włosach blond, niemal jasnopopielatych, spadających niesforne na jedno oko. Uroczy. Ubrany trochę dziwacznie, ale może to taka artystyczna elegancja: sztruksowe spodnie i skórzana kamizelka, nałożona na dżinsową koszulę. Nagle zdaje sobie sprawę, że ten koleś znacznie więcej uwagi poświęca chłopcom niż dziewczynkom. Ciągłe kręci się przy grupie stojącej po prawej, obfotografowuje ją ze wszystkich stron, robi zbliżenia twarzy.

2

Artur Sulima nie wiedział, czy łeb bardziej napierdziela go od braku snu, adrenaliny buzującej jeszcze w efekcie wczorajszej akcji i znaleziska, czy od krzyków Szymańskiego. Prokurator zebrał ich w niedzielne południe, nawrzeszczał, nawrzeszczał, zarzucił nieudolność i łamanie procedur, a potem pobiegł kultywować swoje życie rodzinne.

„U was wykrywalność oznacza odnajdywanie kolejnych trupów! Pod tym względem jesteście nadskuteczni!! Wyłącznie pod tym, bo oprócz tego nadajecie się do tarcia chrzanu!!!” – huczało jeszcze w uszach podkomisarza.

Czynności w opuszczonym hotelu trwały przez niemal całą noc. Po wyjęciu przyrodzenia z ust zamordowanego dość łatwo dało się go zidentyfikować jako Krzysztofa Małyszę. Nawet przed orzeczeniem lekarza oczywiste było, że zmarł w efekcie upływu krwi. Nie miał żadnych innych poważnych obrażeń, nawet ust mu nie zakleili. Nie musieli się przejmować, czy ktoś usłyszy krzyki. O ile to byli „oni”. Obezwładnić, skrępować i powiesić Małyszę mógł jeden silny mężczyzna. Zabiegu kastracji mógł już dokonać każdy, niezależnie od siły. Na pewno użył bardzo ostrego narzędzia, może brzytwy. Sprawcą mógł być zaślepiony zemstą ojciec skrzywdzonego przez Małyszę dziecka.

Rozjuszony Szymański opanował się na tyle, by zaakceptować wystosowanie wniosku do Facebooka o ujawnienie informacji na temat osoby, która założyła profil Maniek Baniek. Na coś takiego czekało się jednak tygodniami. Chyba że to był profil Manuela? Małyszka ściągnął go do hotelu, udusił, zgwałcił, podrzucił nad zalew, a potem zginął w tym samym miejscu, gdzie popełnił

bestialski czyn? Nie mieli na razie dokładniejszych danych – Małyszka mógł umrzeć w nocy z wtorku na środe lub następną, ewentualnie w dzień pomiędzy nimi.

To w hotelu JB jego telefon mógł się logować do stacji Kombinat. Nie znaleźli jednak przy nim ani smartfona, ani pistoletu. Właściwie nic przy nim nie znaleźli, jakby zabójca wyczyścił mu kieszenie. Na miejscu było za to mnóstwo śladów, niestety pozostawionych w ciągu kilku lat przez wielu różnych ludzi... Selekcjonowanie śmieci w hotelu zajęło im kilka godzin, lecz nie przyniosło konkretnych rezultatów.

Sulima, ciągle z posmakiem wymiocin w ustach, położył się do łóżka, gdy już świtało. Drażniło go przebijające przez zasłony światło, głośne śpiewy ptaków, zapachy. Wreszcie podniósł się i zamknął okno, ale kiedy już przysypiał, wstała mama i zaczęła hałasować w kuchni garnkami, odprawiając święty obrządek – gotowanie niedzielnego obiadu. Drugim rytuałem będzie narzekanie, że Artek znowu go nie zjadł z nią i siostrą, która specjalnie w tym celu przyjedzie z mężem i dzieckiem z podkrakowskiej Skały.

Zdrzemnął się wreszcie, ale niebawem obudził go telefon. Dariusz Szreniawski, który nie odebrał dwukrotnie wczoraj, teraz oddzwaniał. To od podkomisarza usłyszał, co się stało, jęczał mu w słuchawkę, że nie wiedział, nie spodziewał się, że gdyby coś podejrzewał, to sam by poszedł szukać chłopca. Opowiadał nieskładnie, jak krety, że gdy wstał, to Manuela nie było w łóżku, ale uznał, że jest w kiblu. Zaraz jednak sam Darek poszedł się odlać i jednak chłopca tam nie spotkał, ale już się nad tym nie zastanawiał, bo było prawie wpół do piątej i bał się, że się spóźni.

– Budzenie w komórce nastawiłem na czwartą, ale pierwszego dzwonka nie usłyszałem, przy drugim myślałem, że to pierwszy, i go zlekceważyłem, a zwlokłem się już grubo po tym, gdy się skończył trzeci – to zdanie akuratnie oddawało sens, logikę i konsekwencję wszelkich wywodów Szreniawskiego.

Wścickły Sulima kazał mu wracać do Polski, bo inaczej wystawi za nim międzynarodowy list gończy. Tamten, spanikowany, zgodził się od razu. Coś zaczął bełkotać, że musi sprawdzić połączenia, ale podkomisarz się rozłączył.

Ciekawe, kto będzie z nim gadał, bo Szymański przed wyjściem rzucił tonem pogroźki, żeby spodziewali się decyzji i konsekwencji. Mogą odebrać mu sprawę. Ten stary ćpun Nawrocki pewnie już przebiera nogami.

3

Julia nakręciła filmik z gwarnymi ogródkami restauracyjnymi przy Szerokiej oglądanymi z wysokości pięciu pięter, umieściła go na Instastory, a teraz robiła zdjęcia rozpościerającej się stąd panoramy. Nawrocki zauważył, że zlekceważyła Wawel i stare miasto na rzecz przekroju Kazimierza z kościołem Bożego Ciała, a przede wszystkim – zielonego pagóra Podgórze, z wyrastającymi z niego kopcem Kraka, wieżą telewizyjną na Krzemionkach i spiczastym zwieńczeniem tego kościoła w Rynku Podgórskim. Świętego Józefa chyba. Nie spyta, skąd taki wybór, bo Żółwik pomyśli, że sobie z niej kpi. Z nastolatką nigdy nic nie wiadomo (zresztą i w dzieciństwie miała chwile protestacyjnego wycofania, po których zostało jej sympatyczne przezwisko). Prawdopodobnie chodziło o psujące obraz śródmieścia dźwigi budowlane.

– Kurde, no, w Londynie takich widoków nie było. – Jego córka sapnęła z zadowoleniem, wracając do stolika. A wcześniej przez niemal godzinę opowiadała mu o atrakcjach zakończonej wczoraj wycieczki.

Komplement słodszy od tiramisu, które zjedli z jej inicjatywy, gdyż spotkanie na dachu hotelu Rubinstein było jego pomysłem. I nawet pogoda się do niego przychyliła, bo poranny ziąb zmienił się w popołudniowe kilkanaście stopni.

– Pijemy kawę? – Poprawił się w foteliku.

– Tak, ale dla odmiany ja stawiam. Zostało mi sporo z tej kasy, którą mama i Tomasz dali mi na wyjazd.

Z tego, co wiedział, zawsze ojczyzna tytułowała w ten sposób, nigdy nie nazywała go tatą, nawet w bezpośredniej rozmowie, nigdy nie zdrabniała imienia, nawet opowiadając o nim.

– Naprawdę tu mieszkała ta Helena Rubinstein, która zarobiła furę hajsu na kremach? – spytała Julka.

– Chyba po sąsiedzku, zanim wyemigrowała za chlebem – odparł.

– Fajnie się złożyło, bo mam do ciebie podobną sprawę. – Uśmiechnęła się. – Mamy napisać esej na temat, jak przeszłość artysty, sylwetka, dorobek, wpływają na odbiór jego dzieła. Generalnie, jak kontekst wpływa na zrozumienie utworu. Musimy znaleźć kilka przykładów.

– A z czym to się fajnie złożyło?!

– No, że akurat tu mnie zaprosiłeś. Do miejsca związanego z polską Żydówką, która wyszła ze strasznej biedy i w Ameryce stworzyła imperium kosmetyczne.

Spryt tego dziecka niekiedy go zadziwiał. To miała po mamie.

– A chciałem cię zabrać na ławeczkę pod Smoczą Jamę...

– No, nie bądź taki. Baba od polaka wymyśliła sobie ten temat, stwierdziła, że ma to uwolnić i pokazać naszą kreatywność.

– Ja już jestem kreatywny, pokazuję to w robocie, a w dni wolne unikam uwalniania, bo za bardzo kojarzy mi się to z przestępczością.

– Tatuś, plizzz. Jutro mam to oddać i nic mi nie przychodzi do głowy. Nawet specjalnie poszliśmy w Londynie do National Gallery i Marika złapała temat: będzie pisać o Van Goghu, a mnie jakoś nic nie przychodzi do głowy. To nie musi być malarstwo, może być literatura, muzyka, nawet współczesna, pop, tak nauczycielka powiedziała. Chodzi o to, żebyś mnie zainspirował, podpowiedział, a ja już resztę zrobię.

– OK, skocz zamówić kawę, będzie mi się lepiej myślało.

Obróciła migiem, a siadając, nieznacznym ruchem, z porozumiewawczym uśmiechem, przesunęła telefon na środek stolika.

– No co ty, chcesz to nagrywać?!

– Przecież nie spamiętam wszystkiego!

– O ile powiem więcej niż dwa zdania.

– O to jestem spokojna. Znam cię prawie osiemnaście lat.

– Dobra, jedziemy. Frank Sinatra – znasz go czy nie, w dwudziestym wieku był jednym z najpopularniejszych piosenkarzy i aktorów na świecie. Miał niezwykły, sugestywny głos.

– Coś słyszałam. O nim i jego. Taki nastrojowy kawalek, *Strangers in the Night*.

– Jeden z wielu przebojów. Ale tu będzie o *My Way*. Widziałem w telewizji jego występ, gdy był już po siedemdziesiątce. Stoi na scenie, stara się trzymać prosto, ale twarz ma pobrużdżoną, a włosy siwe. I śpiewa: „Zbliży się koniec... przeżyłem pełnię życia... kochałem, śmiałem się i płakałem... żałowałem niektórych rzeczy...”. A jego życie to była wielka sława i kasa, najpiękniejsze kobiety, niektóre nawet zostały jego żonami... Przyjmowali go papież, prezydenci Stanów i szefowie mafii. Został sportretowany w *Ojcu chrzestnym*, jako aktor, któremu pomagają włoscy gangsterzy, a producent, który nie chce go zatrudnić, budzi się w łóżku obok odciętej głowy ukochanego konia.

– Yyyyy. Poważnie?

– To jest mafia. Normalnie urywali głowy ludziom. Resztę barwnych zdarzeń z jego biografii sobie wygooglasz, nie znam wszystkiego. Między innymi był liderem takiej nieformalnej grupy świetnych aktorów i piosenkarzy, Rat Pack. Chodziło tam chyba głównie o zabawę. Napiszesz o koncercie, na którym śpiewa, będąc już właśnie staruszkciem. Plus tekst tej piosenki. Każda jej zwrotka kończy się wersem: *I did it my way*, czyli „To była moja droga” albo „Zrobiłem to po swojemu”. Słyszałem też polską wersję, gdzie przetłumaczyli kwestię na: „Żyłem, jak chciałem”.

– Luks. Pasuje idealnie.

– Drugi przykład jest zbudowany na podobnej zasadzie, za to postać tragiczniejsza. Edith Piaf.

– A to też chyba wiem. *Non, je ne regrette rien?* Spoko nuta.

Gwarowe powiedzenia wrzucane niekiedy przez jego córkę do wypowiedzi Wit traktował jako zagadki intelektualne. Zdarzało się, że dopiero z kontekstu udawało mu się domyślić znaczenia. Ostatnia akurat była prosta. Zdawał sobie również sprawę, że w rozmowach z nim Julka stara się ograniczać.

– Dokładnie ten utwór mam na myśli, ale będziesz musiała sama trochę o niej przeczytać, bo ja znam ją tylko z filmu. Wychowywała się w domu publicznym, gdzie u swojej siostry zostawił ją ojciec, który był wędrownym akrobatą czy kimś takim. Mama już wcześniej od nich odeszła. W tym burdelu Edith zapadła na chorobę oczu, długo nie widziała, groziła jej całkowita ślepotą.

– Od czego ta choroba?... – spytała Julia znaczącym tonem.

– Nie wiem. Raczej nie miała nic wspólnego z tradycyjną działalnością tego miejsca. – Nawrocki zorientował się, o co jej chodzi. – Dziewczynka nie była prostytutką, żyła gdzieś na zapleczu, w części mieszkalnej. W każdym razie wyzdrowiała. Wreszcie ojciec wrócił, zabrał ją, a gdy występował na ulicy, pracowała razem z nim, zbierając datki od widzów. Potem sama śpiewała na chodnikach i w knajpach, zobaczył ją impresario czy kompozytor. Dzięki niemu zaczęła występować na scenie, nagrywać. Zrobiła wielką karierę, ale spotkało ją straszne nieszczęście. Marcel Cerdan, jej największa miłość, słynny bokser, zginął w katastrofie lotniczej. A przez ostatnie kilka lat życia cierpiała na raka kości, który ostatecznie ją zabił. I właśnie w tym okresie śpiewała piosenkę, która w filmie jest tłem wzruszającej sceny finałowej, gdy Piaf umiera, i napisów końcowych. „Niczego nie żałuję... Wspomnieniami rozpalłam dziś piec... Zaczynam wszystko od zera...”

– Ekstra! Jeśli znajdę ten film w necie, to go obejrzę.

– Film nosi w Polsce bodaj ten sam tytuł co piosenka: *Niczego nie żałuję*. Oryginalny jest inny. Mam jeszcze jeden pomysł, też dotyczy utworu muzycznego, ale zupełnie z innej parafii, że się tak wyrażę. Wykonywanego w kościele.

– Może być, kościół zawsze na propsie.

– Nie chwytam.

– Taki żarcik. Niedługo ci wytłumaczę.

– A teraz nie możesz?

– Niech się sprawa wyklaruje. Może już w przyszłym tygodniu zadzwonię i opowiem wszystko, będę też miała pewną propozycję.

– Strach się bać. No dobra. Jeszcze nie było cię na świecie, kiedy pojechalśmy z mamą w podróż poślubną do Paryża. Będziesz musiała to przedstawić jako opowieść znajomego albo przerobić na własne doświadczenie.

– Wspomnienie taty z podróży poślubnej będzie wyglądało super.

– Zwłaszcza w kontekście rozwodu, którym małżeństwo się zakończyło... Poszliśmy w niedzielę na mszę do takiego niedużego kościółka, niedaleko placu Concorde i Madeleine. Prawdopodobnie Świętego Wojciecha, ale nie jestem pewny, musisz to sprawdzić. W każdym razie to polska parafia, przychodzi tam sporo emigrantów, nierzadko od dawna mieszkających w Paryżu. Nie wiem, czy do

dzisiaj tak jest, ale w tamtych czasach w każdą niedzielę przed kościołem handlowano polską prasą, nie tylko magazynami czy tygodnikami, ale nawet dziennikami. Mimo że internet stawał się coraz popularniejszy. Czyli przychodzili tam ludzie, którzy mieli w sobie nostalgię za krajem ojczystym. Tęsknili za polskim słowem.

– Kumam. I co się z nimi stało?

– Nic się nie stało. Siedzieliśmy na mszy, a na koniec zabrzmiała pieśń, która zaskakująco mnie poruszyła: ci ludzie, po których widać było, że nie są turystami i nie wszyscy sprawiają wrażenie szczęśliwych, wzruszająca melodia i początkowe słowa: „Jest zakątek na tej ziemi, gdzie powracać każdy chce”.

– Znam ją, *Czarna Madonna*. – Żółwik świdrował go wzrokiem spod gęstych, zmarszczonych brwi. – Nie obraż się, ale nikt by nie uwierzył, że policjant mi wymyślił tak zarąbisty esej.

– A może to właśnie dzięki temu, że jestem policjantem, zostałem wyćwiczony w kojarzeniu najróżniejszych, pozornie niepowiązanych faktów?...

– Eee tam, przekorny jesteś, jak zwykle. Mam na myśli inteligencję i wrażliwość.

– Przez grzeczność nie zaprzeczę. Zbierajmy się, bo znowu zimno wyłazi.

4

Klaudia mocniej objęła przedramieniem szyję przeciwniczki, kolanami z całych sił ścisnęła tułów, który szamotał się coraz słabiej. To koniec, nareszcie! – pomyślała triumfalnie.

Wtedy właśnie Gaba gwałtownie zgięła się wóół, wnętrzem rękawicy uwolnionej lewej dłoni pociągnęła ją za głowę, aż kark Klaudii przeszyło ostre dźgnięcie. Pochyliła się, aby zneutralizować ból, rozluźniła uścisk, a Gaba, kontynuując pierwotny ruch, przerzuciła ją przez siebie. Skoczyła i dwukrotnie kopnęła Klaudię w bok. Ta się przeturłała, aby uniknąć następnych ciosów.

To przez te wszystkie ochraniacze nie można założyć precyzyjnego, mocnego chwytu, byłoby już po wszystkim, irytowała się.

Wstała i rzuciła się na przeciwniczkę z pięściami. Ulokowała kilka celnych sierpowych, ale Gaba nieźle się zasłaniała, a jedną z kontr trafiła ją idealnie w podbródek. Klaudia zachwiała się, tamta poprawiła kolanem we wcześniej skopany bok i skoczyła na nią, przewracając na matę. Za chwilę przygniatała ją całym ciężarem, wbijając kolano boleśnie we wzgórek łonowy, a łokieć w pierś.

– Stop – stęknęła Klaudia.

Jeszcze nie wygrała, odkąd w lutym podeszła do niej ciemna blondynka, której wąskie wargi, pociągnięte tuszem rzęsy mrużonych często oczu i cienkie, wyskubane brwi tworzyły zbiór równoległych, poziomych kresek. Miała coś z urody gwiazd filmowych okresu międzywojennego, ale usta rozciągały się w uśmiechu dziesięcioletki. Gabriela Potoniec, przedstawiła się.

– Nie miałabyś ochoty posparować ze mną? – zaproponowała. – Męczy mnie już ćwiczenie z facetami, zwłaszcza gdy podśmiechujki sobie robią.

– Podśmiechujki to oni – odrzekła Klaudia, wywołując radosne parsknięcie rozmówczyni.

Pakt przypieczętowały w niedalekim Corso, przy Lipowej, kremowym sernikiem z serka Philadelphia z gorącym karmelem marakujowym. Siedziały długo i gadały, aż kelner kilka razy podchodził do nich z kartą. Lokal położony w sercu dzielnicy hipsterów nastawiał się raczej na całodzienne serwowanie posiłków, a nie kawiarniane pogawędki.

Odtąd spotykały się na ogół raz w tygodniu, bijąc w stylu przypominającym nieco MMA, lecz niemal bez zasad. Ustaliły tylko, że będą uderzać ochraniaczami i rękawicami bokserskimi, wystrzegając się zostawiania na ciele rywalki śladów, które następnego dnia zostałyby dostrzeżone w pracy. Pojedyunki trwały, póki któraś nie miała dość. Były w tym samym wieku, zbliżonego wzrostu, wagi, siły. Miały podobną dynamikę i koordynację. Klaudia była bardziej agresywna, ale Gaba wygrywała dzięki... sprytowi, opanowaniu? Większej inteligencji, powiedzmy sobie szczerze, uznała samokrytycznie Klaudia.

Nie zawsze sparowały, niekiedy po prostu ćwiczyły wspólnie, aby porządnie się zmęczyć. Klaudia od początku nie chciała korzystać z siłowni urządzonej w starych barakach przy siedzibie Komendy Wojewódzkiej, za dużo w niej było gliniarzy. Jeszcze mniej podobały się jej zajęcia z aerobiku organizowane dla policjantek w tamtejszej salce gimnastycznej.

– Dobra walka, Kla – stwierdziła Gabriela, zdejmując ochraniacze ze stóp i kolan oraz nagolenniki z odwróconą literką „a”.

Ochraniacze na przedramiona, które właśnie ściągała Klaudia, miały logo przypominające połączenie nietoperza i czaszki pająka.

– Dla ciebie dobra – odpowiedziała. Czuła, że dzisiaj nie wyczyściła głowy z całej agresji, jakby w balonie pozostało trochę powietrza unoszącego ją ku nieznanemu, gdzie czaiły się złość i gwałtowne czyny.

– Czytałam o tym zamordowanym chłopcu znad Zalewu Nowohuckiego. Mam nadzieję, że złapiecie potwora, który to zrobił – powiedziała koleżanka.

– Jestem zwykłym krawężnikiem i trzymają mnie daleko od takich spraw – uzmysłowiła jej Klaudia. – Z tego, co słyszałam, rodzina tego Manuela to też jakieś męty.

– Nie znam ani ich, ani jego, ale to tak, jakbym widziała ciągle ten sam film. – Gaba pokiwała głową. W poradni położonej tuż obok Rydlówki była psychologiem kwalifikującym dzieci i rodziców do adopcji. – Tacy rodzice są warci tego mordercy, powinniście ich skierować do obozu pracy. Niech na przykład sprzątają największe polskie wysypisko śmieci w Łubnej, które teraz jest w likwidacji. I bez wyrobionej normy nie dawać im jedzenia.

– A ja bym ich wsadziła razem z pedofilem do celi i niech się biją o żarcie – podsumowała Klaudia.

Gaba zwierzała się kiedyś, że w jej pracy cierpliwość jest jedną z kluczowych cech, a po cotygodniowej sesji z Klaudią jest spokojna jak aniołek. To bardziej przysposabianie do adopcji dorosłych niż dzieci, a w sporej mierze polega wręcz na zniechęcaniu, pokazywaniu trudności i niebezpieczeństw – opisywała zaskakująco.

Mieszkała na Azorach, ale niedaleko ośrodka (czy raczej – obu ośrodków, bo pracowała również w opiekuńczo-wychowawczym, funkcjonującym po sąsiedzku), spieszyła się do domu, ponieważ miała na jutro przygotować jeszcze jedną opinię. Pożegnały się pod świecącym szyldem Krak-Fitu, łączącego klub fitness i szkołę walki. Gaba ruszyła do samochodu, który zaparkowała w pobliżu, przy redakcji „Kuriera Krakowskiego” i „Gazety Małopolskiej”. Klaudia przystanąła pod obsypanym kwiatami kasztanem, wciągając powietrze. Do siebie miała znacznie bliżej, na Rybitwy, za to samochód zostawiła trochę dalej, za rogiem, przy Dekerta. Czuła jednak, że powrót na łono rodziny nie jest tym, czego teraz najbardziej potrzebuje.

ROZDZIAŁ 6

1

Klaudia śni wściekłość. Płynny żar wędrujący żyłami po ciele. Huczący w głowie wodospad, który poskromić można w jeden sposób – rzucając się w przyspieszający przed progiem nurt i spadając wśród odmętów. Poddając się im, poddając się instynktom. Śni uderzenie o lustro wody, razem z masami, które wgniatają ją głęboko pod powierzchnię. A potem wypływa, kilka metrów dalej, w spokojnym akwenie.

Śni agresję, która przenosi jej wściekłość na ofiarę. Naprężenie swoich mięśni, cienki kabelek wrzynający się w dłonie przez rękawiczki. Dłonie krzyżujące się i ciągnące do zewnątrz. Śni wiotczenie ofiary i rosnącą wraz z nim własną ulgę. Śni huk zmieniający się w głowie w cichy poszum. Ani przyjemny, ani przykry. Usypiający.

2

Na ogół po okresie wzmożonego napięcia, gdy jego powody mijają, przychodzi rozluźnienie owocujące gadatliwością. Podczas operatywki szefów Policji Małopolskiej ta zasada nie zadziałała.

W poniedziałek nad ranem sześćset sześćdziesiąt trzy szkoły w Polsce, w tym trzystaście z Małopolski, a siedem z Krakowa, otrzymało maile tej treści: *Przeciwnik rządu zbudował bombę odłamkową. O g. 11 nastąpi detonacja. Bomba jest ukryta w sali, w której zdający piszą egzamin. Ratujcie się, wszyscy zginą.*

Szał, ewakuacje, blokady; nerwy funkcjonariuszy, irytacja nauczycieli i radość uczniów. Wszystkie alarmy okazały się fałszywe, w liceach numer trzy i dwadzieścia w Krakowie matury z języka polskiego zaczęły się z opóźnieniem.

Media, po długim weekendzie, z grillowania kielbasy i karkówki przerzuciły się na przypiekanie policji za opieszałość w poszukiwaniu zabójcy chłopca znalezionego nad Zalewem Nowohuckim. Na szczęście, nie dowiedziały się jeszcze o bestialsko zamordowanym, a może zamęczonym na śmierć, mężczyźnie z hotelu przy Ujastku Mogiłskim. Trudno się było jednak oszukiwać, że śledztwo nie zabrnęło w ślepią uliczkę.

Do tego właśnie dzisiaj wpłynął do sądu akt oskarżenia przeciwko Psychofans, kibolom Ruchu Chorzów, członkom gangu producentów amfetaminy. Świadkiem był Misiek, do niedawna przywódca Sharksów – ich wspólników i sprzymierzeńców z Wisły, a teraz renegat i zdrajca.

– Żeby tylko wojny na mieście z tego nie było – westchnął inspektor Witold Chrostecki, komendant wojewódzki.

Jego zastępcy i naczelnicy wydziałów pokiwali fraszobliwie głowami. Niektórzy bez słów zrozumieli, o co mu chodzi, inni nawykowo potakiwali szefowi.

– Kurwa, to jest chyba najgorszy pierdolnik od dwudziestu pięciu lat, kiedy Gumiś podkładał bomby z żądaniem okupu. – Chrostecki mechanicznym ruchem, tył–przód, pocierał wierzch głowy. Na komendzie żartowano, że od tego zrobiła mu się łysina, wszak okalał ją obwarzanek gęstych włosów. – Ale wtedy byłem gówniarzem w niebieskim mundurze i ganiałem za nim po Krakowie, za niewiele rzeczy odpowiadając.

– Ciesz się, że nie jesteś bossem komisariatu na Szeremietewie – zakpił inspektor Adam Hadyna. On nigdy nie podlizywał się komendantowi, którego był pierwszym zastępcą, bo kumpłowali się od czasów wspólnej nauki w szkole w Szczytnie. – Wczoraj wieczorem Suchoj Superjet lądował awaryjnie, odbił się od pasa, wleciał na kilkanaście metrów i pieprznął o beton. Pogruchotane podwozie, przebite zbiorniki paliwa, eksplozja, pożar. Straż pożarna, zamiast czekać na płycie lotniska, przyjechała z opóźnieniem. Ludzie umierali, dusząc się dymem, albo płonęli żywcem. Zginęło czterdzieści parę osób, ponad połowa obecnych w samolocie.

– Ruski bardak i rzeźnia, typowe – skwitował komendant. – Sławek, gdzie jesteście w kwestii tego dzieciaka z Huty? – zwrócił się do naczelnika wydziału kryminalnego.

– W hotelu znaleźliśmy przy tym zarzniętym facecie trochę śladów biologicznych, ale nie udało się ich zidentyfikować, nie muszą pochodzić od mordercy – odparł podinspektor Mania. – Coraz bardziej prawdopodobne, że nie było związku pomiędzy nim a śmiercią chłopca.

– Martwy pedofil niespecjalnie mnie zajmuje, niech mu ziemia ciężką będzie. Liczy się ten, który chodzi na wolności. – Chrostecki popatrzył na niego surowo.

– Szymański prowadzi sprawę, naciska na odebranie śledztwa Sulimie i zaangażowanie Nawrockiego. – Mania koncentrował się na swoich splecionych dłoniach i złączonych kciukach.

– A co tam z Wiciem, nie dręczą go już schizy? – wtrącił Hadyna.

– No nie, przecież już ponad rok... – Teraz przerwało Mani energiczne pukanie i głośne „proszę” Chrosteckiego.

– Przepraszam, panie komendancie, ale kazał pan, żeby przerywać, jeżeli będzie coś w związku z tymi kluczowymi sprawami, a tutaj mówią, że to może być ważne. – W uchylonych drzwiach ukazała się farbowana na czerwono głowa Zuzy Mireckiej, sekretarki komendanta głównego. – Na piątym komisariacie mają zgłoszenie zaginięcia dziewięcioletniego chłopca.

3

Wit Nawrocki robił akurat porządkę po urlopie, kiedy w drzwiach stanął Hadyna. Pozbierał stare wydruki, które jego koledzy zostawili na szafkach i parapetach, wyrównał w porządną stosik i schował pod blatem biurka.

– Po kiego gwinta zbierasz śmieci?! – Sardoniczna na ogół twarz inspektora przybrała wyraz autentycznego zdziwienia.

– Mogą się przydać do notatek i różnych takich – odpowiedział Nawrocki. Starał się nie okazywać zaskoczenia, choć wizyta pierwszego zastępcy komendanta w pokoju podwładnego nie była rutyną. Powinien go wezwać telefonicznie i to za pośrednictwem sekretarki. Musiało zdarzyć się coś, czego obawiały się – jak ich nazywał Imbir – „prezesiki”.

– To w razie czego weźmiesz se czysty papier.

– Szkoda drzew.

– Niech ci będzie. – Tamten machnął ręką. – Chodź do mnie, jest zadanie do wykonania. Zaraz Sławek Mania do nas dołączy, gdy załatwi Sulimę.

Na korytarzu zwierzchnik udawał, że interesuje go życie prywatne i samopoczucie komisarza, a ten udawał, że chętnie i szczerze odpowiada na jego pytania.

W drzwiach zeszli się z bezpośrednim szefem Nawrockiego, naczelnikiem wydziału kryminalnego.

– Słyszałeś o chłopcu zamordowanym i zgwałconym nad Zalewem Nowohuckim? – zaczął zastępca komendanta, gdy zajęli miejsca.

Komisarz skinął głową.

– Dzisiaj mamy następnego dziewięciolatka, który zniknął – kontynuował inspektor. – Mieszka przy Kiełkowskiego, na Zabłociu. Mama nie zastała go w łóżku, kiedy rano chciała obudzić go do szkoły. Na razie jest uważany za zaginionego, dajemy ogłoszenie do mediów. Stworzysz zespół do wyjaśnienia sprawy Manuela Byrdy, a gdyby się okazało, że ten drugi dzieciak nie żyje, a okoliczności śmierci są podobne, to zajmiesz się także nim.

– Przecież sprawę w Hucie prowadzi Artek Sulima – powiedział Nawrocki. Usłyszał o tym na komendzie już rano, wraz ze streszczeniem minionych pięciu dni, które spędził na urlopie.

– Nasz podkomisarz nie może ostatnio znaleźć fiuta w rozporoku – warknął Hadyna.

– Mamy też byłego więźnia ze skłonnościami pedofilskimi, zamordowanego w tym opuszczonym hotelu w Hucie. – Mania pochylił się ku Nawrockiemu. – Sulimie wydawało się, że to on może być zabójcą chłopca, ale to raczej niemożliwe. Z porównania raportów z sekcji zwłok wynika, że tamten facet umarł nieco wcześniej, ewentualnie w tym samym czasie. A niemal na pewno obaj zginęli w miejscach, w których zostali znaleźieni. Dowiesz się wszystkiego z dokumentacji. Sulima poprowadzi sprawę tego faceta, a ty dzieciaka. Będę bezpośrednio nadzorował i koordynował obydwie śledztwa; codziennie obaj będziecie zdawać mi relację i jeśli w którymś momencie okaże się, że jednak się łączą, przejmiesz wszystko. Masz swobodę w doborze metod i środków, tak jak lubisz. Oczekuję tylko jednego: rezultatów – z naciskiem podsumował zastępca komendanta.

– I wolną rękę w doborze współpracowników? – spytał Wit.

– Tak, tyle że przy działającej grupie Sulimy i paru innych trwających dochodzeniach w wydziale kryminalnym zaczyna brakować ludzi – skrzywił się podinspektor Mania.

– To nie problem, bo ja chcę gościa spoza wojewódzkiej. Piotrką Grzywacza z pierwszego komisariatu. – Nawrocki uniósł brwi, patrząc na naczelnika, bo spodziewał się reakcji. Był on głównym orędownikiem usunięcia Imbira z kryminalnego.

– Pomijając jego przewinienia dyscyplinarne, nie potrzebuję, żeby mi tu dymał sekretarki na komendzie!

Nie zawiódł się. Mania zareagował niczym pies na widok kota.

– Nie przesadzaj, Sławek, Imbir nie musi być blisko żeńskiego personelu, ani tym bardziej długo, żeby wymienić z nim płyny ustrojowe – podinspektor Hadyna zajął się tym, co najbardziej lubił. – Legenda głosi, że poderwał kasjerkę na bramkach wjazdowych na autostradę w Balicach, a postój tam trwał trzy minuty. Potwierdzisz, Witek?

– Imbir nie opowiada mi o swoich podbojach seksualnych, bo wie, że tego nie lubię. Kiedy jeszcze służyliśmy razem, rozmawialiśmy o pracy, poezji albo globalnym ociepleniu. – Nawrocki był jedynym oficerem na komendzie zdolnym stawić czoła Hadynie na polu dowcipu i jednocześnie nieobawiającym się tego.

– Słyszałem, że liczył drobne, żeby zapłacić za wjazd, i ledwo wydolił. – Nie rezygnował inspektor. – Wręczając jej pieniądze, spytał, co by było, gdyby nie miał czym zapłacić. Ona się śmieje: „Musielibyśmy pana aresztować”. Imbir: „Gdy patrzę na panią, żałuję, że mi starczyło kasy”. Ona na to: „Proszę zostawić numer telefonu, bo jeszcze może się okazać, że monety były

falszywe”. Dał jej numer i zanim dojechał do bramek przed Katowicami, dostał od niej SMS-a z propozycją spotkania.

– Zdolny chłopak – skwitował Wit. – Ale w pracy śledczego ma nie mniejsze atuty i dlatego mi na nim zależy.

– Przepisy pozwalają na stworzenie zespołu międzywydziałowego i coś takiego zrobimy. – Zastępca komendanta kiwnął głową. – Zaraz pogadam z Jaśkiem Domańskim z pierwszego. Ale skoro jesteśmy przy temacie, to przydałaby się trzecia osoba. Ty mi narzucisz Imbira, ja ci narzucę starszą aspirant Klaudię Bator i tak będzie uczciwie.

– Nie znam, kto to jest? – Wit podejrzewał, że dziewczyna będzie wtyką Hadyny.

– Od nowego roku przeniosła się do Krakowa z Płocka razem z mężem, który dostał dobrą robotę w jakiejś korporacji – wyjaśniał podinspektor. – Siedziała w biurze, a teraz jest w prewencji, bo jej bardzo zależało na czynnej pracy. Ale w Płocku była w dochodzeniówce i miała wyniki, póki w ostatnim roku jej nie odsunęli.

– Za co?

– Któryś oficer klepnął ją po tyłku, za co ona kopnęła go kolanem w jaja.

– To jeszcze nie powód, żeby ją odsuwać; wypłaciła mu tyle, ile się należało. – Nawrocki wzruszył ramionami.

– Jądro mu pękło, był operowany i chłopaki nie chcieli z nią pracować. Wstawiał się za nią jeden mój stary funfel, jeszcze z Legionowa, a Krzysiek Halaba, komendant miejski z Płocka, potwierdza, że jest tego warta. Dobrze się składa, bo jeżdżą razem z Imbirem, więc wszystko załatwię jedną rozmową z komisarzem Domańskim.

– Taka żyleta jest z Imbirem w parze?! – zdziwił się Mania.

– Chyba dobrze się dogadują, bo jeszcze go nie okaleczyła. Tu możesz ją wstępnie poznać. – Hadyna podsunął Nawrockiemu teczkę.

Wit otworzył ją, a ze zdjęcia popatrzyła intensywnie niebieskimi oczami – nie tyle na niego, co obok niego – niebrzydka blondynka z włosami zebranymi w koński ogon. Wysokie czoło, pod nim brwi niewiele ciemniejsze niż włosy, twarz bardzo jasna, nieco płaska, miłe usta. Zupełny kontrast z dotychczasowymi opowieściami. Widoczne prawe ucho bez kolczyka, wargi bez szminki, odrobina tuszu na rzęsach. Tylko to spojrzenie, ni to nieśmiałość, ni to nieszczerze.

– To bystra dziewczyna, przyda ci się – przekonywał Hadyna. – I ponoć słucha doświadczonych oficerów, gorzej z resztą świata.

4

Kludia nie byłaby zdziwiona treścią ich rozmowy, za to nieco zaskoczyłby ją fakt, że Nawrocki miał te same odczucia, oglądając jej zdjęcie, co teraz ona – na jego widok. Imbir już kilka razy opowiadał o nim jak o piłkarskim idolu albo gwiazdzie rocka, a dzisiaj przez całą drogę z Szerokiej na Mogiłską był podniecony niczym dzieciak przed pierwszym spotkaniem z Robertem Lewandowskim.

Tymczasem stał przed nią mężczyzna w średnim wieku, średniego wzrostu i urody. Włosy ciemnawe, ani za gęste, ani zbyt mocno przerzedzone. Twarz z pewną ilością zmarszczek i pękniętych naczynek krwionośnych. Mocno zbudowany, ale bez wybitnej masy, raczej krępy. Wyróżniały się w nim dwie rzeczy: oczy – zielone, spoglądające uważnie, kryjące inteligencję i chyba... ból?... a może wrażliwość? – oraz sandały. Zresztą nosił się generalnie oldskulowo: luźne dżinsy, biały T-shirt i narzucona na niego wiśniowa, sztruksowa koszula.

– Widzę, że ciągle ubierasz się jak bohaterowie serialu *Przyjaciele*. – Wbrew kpiącym słowom w głosie Imbira zabrzmiała nutka rozczulenia i przywiązania. Klaudia czekała, kiedy zacznie podskakiwać na wzór pieska z tej starej kreskówki, która tak się podoba Izuni, i popiskiwać: „Spike, wykopać ci kość? Będiesz moim przyjacielem? Będziesz?”.

– Na tyle mi starcza z pensji. – Komisarz uśmiechnął się z ironią i podał Klaudii rękę. – Wit Nawrocki. Mam nadzieję, że współpraca dobrze nam się ułoży. A przede wszystkim, że złapiemy sprawcę przestępstw.

– Klaudia Bator. Przestępstw? – spytała odruchowo. Zastanawiała się jednak nad czymś innym. Nawrocki ani słowem nie zdradził, dlaczego znalazła się w jego zespole. Raczej o niej dotychczas nie słyszał, więc musieli mu ją podsunąć, ale tego nie skomentował. Zrozumiała, że ma do czynienia albo z człowiekiem taktownym, albo ostrożnym i wyrachowanym. – Wezwano nas tutaj bez większych wyjaśnień, sugerując tylko, że zajmiemy się wraz z panem tym morderstwem nad Zalewem Nowohuckim.

– Na pewno przejmujemy śledztwo, które do tej pory prowadził podkomisarz Sulima – odparł Nawrocki. – Dzisiaj w nocy zaginął dziewięcioletni chłopiec z Zabłocia. Na razie trwają poszukiwania i mam nadzieję, że go odnajdą całego i zdrowego, ale gdyby się okazało, że sprawy są podobne, będziemy musieli poprowadzić obie.

– Wszystko mi się udaje ostatnio – rzekł z satysfakcją Imbir. – Łupania nie brakuje. Dostałem partnerkę, z którą da się współpracować i na którą przyjemnie się patrzy. Teraz wracam do Wicia i jeszcze będę zajmował się śledztwem, które zabrali temu niedojebowi Sulimie. Wszystko mi wychodzi. Chyba muszę sobie badania krwi zrobić.

– Teraz lepiej nie, bo jeszcze cię wyślą na leczenie, a jesteś mi potrzebny przy śledztwie – zimnym głosem odpowiedział komisarz.

– No co ty, żartowałem, przecież uważam – obruszył się teatralnie Imbir.

– Miałem na myśli brak wrażliwości i empatii oraz buractwo. Choć nie wiem, czy to uleczalne – warknął Nawrocki. – Wracając do tematu: w tym pokoju będzie nasza baza. Dzisiaj przeczytajcie akta sprawy Manuela Byrdy, pozamykajcie wszystkie swoje zobowiązania na pierwszym komisariacie, ja w tym czasie rozejrzę się na Kiełkowskiego, gdzie mieszkał zaginiony Mateusz Matlak.

Podniósł rękę w geście pożegnania i poszedł, a lekko oniemiała Klaudia starała się nie patrzeć na Piotrka i jego minę pokrzywdzonego dziecka. Położyła rzeczy na najbliższym biurku – dostawionym przodem do krótszych boków dwóch innych, zsuniętych frontami.

5

Wyjeżdżając tylną bramą komendy, pomiędzy boiskiem Dąbskiego a hotelem z podwójnym drzewem w nazwie, dzielącym się na części dla mniej i bardziej zamożnych, żałował tej pokazówki z Grzywaczem. Już go nie wychowa, zresztą to nie jego rola. Chłopak będzie naburmuszony przez najbliższe dni, a Klaudia pomyśli, że to była celowa demonstracja władzy. Jeśli chciał wykorzystać jego styl bycia, mógł to zrobić, gdy się poznali niespełna dziesięć lat temu, a tamten w bezobciachowej formie komunikował otoczeniu swoje potrzeby i preferowane sposoby ich zaspokajania. Czasem jednak wyłaziły z Imbira gruboskórność i nieokrzesanie – jak to Żółwik nazywa – *level master*, a on reagował impulsywnie.

Porzucił te bezproduktywne rozmyślenia, zjeżdżając z mostu Kotlarskiego, minął szereg biurowców z wyróżniającymi się szyldami krakowskich gazet oraz Krak-Fitu i skręcił w Dekerta.

Tu kościół, tam obiekty KS Podgórze z zielonym boiskiem i niebieskim hangarem hali tenisowej. Teraz zakręć w lewo i znalazł się w jednej z kilku enklaw przeszłości zachowanych na Zabłociu. Apartamenty i lofty zastąpiły w znacznej części dzielnicy dawne budynki fabryczne. Sto metrów stąd na południe pysznił się połyskujący szklanymi powierzchniami szereg biurowców firm komputerowych i finansowych. Nawet przy równoległej Wałowej kamieniczki były nieźle utrzymane, ale przy Kiełkowskiego ciągle straszyl rząd gruchotów o trzech wysokich kondygnacjach i elewacjach upstrzonych liszczami po odpadniętym tynku i jasnymi plamami dytky w niektórych oknach.

– Witam, panie komisarzu, pan mnie poznaje? Sierżant Konrad Nakielny, do usług – przed głównym wejściem kamienicy przywitał się z nim blondyn o szerokiej twarzy i jasnej grzywce wyzierającej spod daszka czapki.

– Serwus, pamiętam, chyba ze cztery lata temu współpracowaliśmy przy sprawie tej nastolatki zamordowanej przez faceta, z którym zaszła w ciążę – odparł, a tamten aż pokraśniał, choć wtedy jego udział w sprawie ograniczał się do przeczesywania Lasku Borkowskiego.

– A to jest starszy posterunkowy Marek Postrożny – przedstawił kolegę Nakielny. – Byliśmy właśnie u tych grzmotów z pierwszego piętra.

– Grzmotów?

– Tych Matlaków, co zgubili dziecko z mieszkania – skrzywił się sierżant. – Zrobiliśmy dokładniejszy wywiad, także po sąsiadach. Poszła informacja do mediów i na to najbardziej liczymy, bo na dobrą sprawę nie ma go gdzie szukać. W szkole przy Limanowskiego na pewno go nie było. Może uciekł, to by chyba było dla niego najlepsze.

– Tak tam źle? Alkoholicy?

– Jeszcze nie, ale nieźle się zapowiadają. Rano się powstrzymują, bo w kuchni Brata Alberta przy Dietla nie wydają żarcia pijanym. Potem różnie bywa. Ale generalnie to są ludzie bez pomysłu na życie, ambicji i motywacji. Miglance. Żerują na opiece społecznej, organizacjach dobroczynnych. Siedzą w chacie, popijają, słuchają muzyki, oglądają seriale, grają na konsoli. Młodzi ludzie, trzydziestki nie mają.

– Ten Mateusz jest ich jedynym dzieckiem?

– Tak, dziewięć lat, wczoraj miał Pierwszą Komunię. Na przyjęciu było niewiele osób, przerodziło się w imprezkę z dzointami i piwem, ale goście wyszli wieczorem. Rozmawialiśmy z nimi. Już po ich wyjściu, niedługo po dwudziestej drugiej, rodzice odpalili głośno muzykę, jeden sąsiad poszedł ich uciszać i zauważył, że chłopiec był w mieszkaniu. W podstawówce nikt go dzisiaj nie widział. Jeśli pan chce, udostępnimy wszystkie zeznania.

– Dzięki. Na razie chcę się rozejrzeć, może pogadam z nimi luźno. Mam nadzieję, że chłopiec się znajdzie i nie będę prowadził tej sprawy. Robię tylko rekonesans.

Przestępując próg, po pożegnaniu z funkcjonariuszami z piątego komisariatu, jakby przekroczył granicę innego świata. O zaciekach, plamach, odłupanych płatach farby, osadach grzybicznych lub wręcz wykruszonych fragmentach muru nie ma nawet co wspominać – nie były domeną jedynie tej starej krakowskiej kamienicy, choć może tutaj występowały liczniej.

Już w korytarzu powitały go skrzynki starego typu, bez otworu, do którego można wrzucać listy, połowa z otwartymi lub wręcz wyłamanymi kłapkami. Otwarta wnęka z licznikiem gazu, odłupany kawał sufitu na klatce schodowej, odsłaniający cienkie, powykrzywiane deseczki i coś w rodzaju wikliny. Ominął na razie pierwsze piętro, gdzie mieszkali Matlakowie, wyszedł aż na strych, na którym ani ceglane ściany, ani drewniane belki, ani deski tworzące poszycie dachu nie sprawiały wrażenia solidnych. Zewsząd wypełzała wilgoć, na płachcie niebieskiej folii rozlewało się jeziorko deszczówki. Dziewięcioletni chłopiec, który tak jak on zignorowałby tabliczkę „Wstęp

wzbroniony”, miałby tu działającą na wyobraźnię przestrzeń do zabawy. Nawrocki wiedział jednak od policjantów, że dokładnie spenetrowali już strych i nie znaleźli śladów Mateusza.

Tylko jedno mieszkanie na drugim piętrze miało drzwi, i to niedawno osadzone, o czym świadczyły pasma zaprawy murarskiej wokół futryny. Z sąsiedniego lokalu ktoś ledwo co się wyprowadził, zostawiając rozbebeszone łóżko, baterie pustych butelek po winie na stole i biurku, pewną ilość rozwieszonych po podłodze ciuchów, lustro z trupa czaszką, ściany popisane czarnym flamastrem oraz wiszący na jednej z nich drogowy znak zakazu ruchu z ludzką postacią w środku. W następnym mieszkaniu za to nie było żadnych pozostałości po lokatorach poza zieloną, dwumetrową palmą wymalowaną na białej ścianie oraz wiadrami stojącymi na podłodze pod zmurszałym sufitem.

Wyszedł na balkon okalający studnię podwórka, ozdobionego zieleniącą się, sięgającą dachu topolą. Balkon ostrzegawczo zatrzeszczał pod jego stopami, ale komisarz wychylił się, patrząc w dół. Dzieciak nie wypadł stąd. Zostałby już znaleziony, bo o ludzkiej aktywności na podwórzu świadczyło świeże pranie suszące się na sznurkach rozciągniętych między trzepakiem i kratami w oknie na parterze.

To pewnie jedna z tych kamienic, o które procesują się spadkobiercy, więc nie ma kto o nią zadbać. Albo właściciel został wyłoniony, ale – jak to niekiedy w Krakowie bywa – wstrzymuje się z remontem, żeby skłonić mieszkańców do wyprowadzki bądź przyspieszyć proces eksmisji.

Wreszcie zapukał do drzwi bez judasza i tabliczki z nazwiskiem, opatrzonych numerem cztery, z których rozległo się gromkie „wlaazł!”. Dwa kroki z maleńkiego, kwadratowego przedpokoju zaprowadziły go do pomieszczenia, które mogłoby być sypialnią lub salonem, gdyby nie służyło za jedno i drugie, osiągając trudny efekt jednoczesnego skąpego umeblowania i zabałaganienia.

W rogu leżał gruby, niezasłany materac, który kojarzył się z barłogiem, pod ścianą stał kontrastujący z nim telewizor plazmowy, naprzeciwko niego kanapa. Do tego niska ława, niepasujące do niej krzesło, pod parapetem – taboret, plus walające się po podłodze ciuchy, buty i najrozmaitsze przedmioty codziennego użytku. Tak jakby spoczywający na kanapie gospodarze nie mieli szaf ani szafek i przechowywali dobytek pod stopami. Obydwoje ubrani byli w popielatoszare dresy, rozczochrani, do tego blond włosy kobiety urozmaicone różowymi pasemkami, a mężczyzna nosił zarost w rudawym kolorze fryzury.

– Dzień dobry, nazywam się Wit Nawrocki, jestem komisarzem policji. Mogę zająć państwu chwilę? – poprosił.

– Policja, znowu policja, dopiero wyszła policja – zagadkała kobieta.

– Wyluzuj, Aga, widzisz, że to spoko koleś – mitygował ją mężczyzna, patrząc na sandały policjanta. – Walniesz bronxa, ziom? – Podniósł puszkę piwa, która do tej pory stała przy jego nodze.

– Nie, dziękuję, nie zostanę długo. Chciałbym tylko zadać parę pytań o Mateusza, zobaczyć jego pokój.

– Aga, zaprowadź pana, co będziemy we trójkę tłok robić – zadysponował mąż i pstryknął jakiś guzik w trzymanej na kolanach plastikowej konsoli. Zatrzymane po wejściu Wita figurki zaczęły się poruszać po zielonym boisku na ekranie telewizora, a z głośników popłynął podłożony do gry komentarz Dariusza Szpakowskiego.

W pokoju chłopca mebli było niewiele więcej – regał, stolik z krzesłem i wąska szafa – a posłanie, podobnie jak u rodziców, składało się z leżącego na ziemi materaca. Nad nim kołysały się w przeciagu, powstałym po otwarciu drzwi i okna, płyty kompaktowe zawieszzone na żyłkach u sufitu. Pościel leżała w jednym z rogów zwinięta w tobołek okręcony prześcieradłem.

– Pani to złożyła? – spytał Nawrocki matkę chłopca.

– Nie, ja mu nie ścielę, musi się uczyć porządku – fuknęła. – Pewnie pan myśli, że się o niego nie troszczymy? – zaatakowała. – Wcale nie był zaniedbany, nawet komórkę miał i to przed komunią.

Komisarz wiedział, że została już wysłana prośba o namiary telefonu ze stacji BTS, ale odpowiedź od operatora jeszcze nie nadeszła.

– A to skąd się wzięło? – Pokazał płyty rzucające różnobarwne refleksy w świetle ostatnich promieni zachodzącego słońca.

– Sam sobie to zrobił, płyty dostał od ojca.

– Mateusz jest jedynakiem?

– Tak, zamkłam już warsztat. Jedno dziecko trudno wychować, a jeszcze chłopaka, po co więcej. Nawet za pińcet plus się nie opłaca.

Ostatnie słowa wypowiedziała do pleców Nawrockiego, który zmęczony jej obłudą i głupotą znalazł się w przedpokoju.

– Spoko, luz, Mati się znajdzie – usłyszał jeszcze kwestię ojca, który jednak nie oderwał wzroku od ekranu. – Dostał w prezencie na komunię miecz Jedi, to go zabrał i pewnie gdzieś z nim się szwenda.

ROZDZIAŁ 7

1

Rożen holował świnię w głąb kamieniołomu, gdzie między drzewkami i krzakami leżały zwalone pnie, opony, betonowe walce. Pamiętał to miejsce, bo kiedyś kumple ściągnęli go tu na melanz. Będzie mógł oprzeć ją o nie przodem albo tyłem i elegancko wydupczyć.

Taka sytuacja. Na chacie kipisz, stara zwąchała, że diluje towar na mieście, nie wpuściłaby go z nikim obcym. Żaden kumpel nie dał się tknąć, a na hotel szkoda mu było kasy. Musiał korzystać z okazji, dziunia akurat dzisiaj dała się skołować, bo w weekendy kelnerowała w knajpie przy Rynku. Romantyczna, kurwa mać! Namotał ją na oglądanie księżycy z kopca, ale naprała się winem jak PKS i o mało mu nie zleciała po zboczach wzgórza. Za to jak jej pomagał wleźć na górę, a potem zejść do kamieniołomu, to ręcznie dokładnie sprawdził ofertę. Wyposażona nieźle, cycki mogłyby być większe, ale przynajmniej są prawdziwe. Silikony plasowały się u niego w żółtym kontenerze na śmietniku. Rokowała dobrze, bo gdy szedł z nią w ślinę, to językiem napierała tak, że o mało mu zębów nie wybiła.

Świnia przetrzeźwiała trochę od wiatru na kopcu, trzymana za rękę szła za nim równo. I dobrze, bo skończyła się ta wygodna dróżka z kamiennych płyt, które podobno Niemcy zabrali z żydowskich grobów. Teraz dreptali po ziemnej ścieżce, którą z obu stron ograniczały szpalery krzaków, a miejscami podmywały oczka wodne. Dobrze, że księżyc był jasny i Rożen przyświecał sobie jeszcze komorą, bo szkoda byłoby zamoczyć nowe air maksy.

Porozgarniał gałęzie, w głębi zobaczył ciemniejsze garbate kształty. Pociągnął tam świnię, zatoczyła się i podparła ręką. Zabrała ją z krzykiem; Rożen poświecił na to, czego dotknęła, i wtedy zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć.

2

Kiedy o świcie obudził Klaudię telefon, nie wiedziała, czy jęki brzmiące jej jeszcze w uszach wydała sama wyrwana z głębokiego snu, czy się jej śniły, a jeśli tak, to czy jęczała ona czy ktoś za jej przyczyną. Otworzyła oczy, ale, usiłując zebrać myśli, nie sięgnęła od razu po aparat, który jazgotał na stoliku fanfarą z *Gwiezdnych wojen*.

– Duśka... to chyba twój... – wystękał Marek, zabierając rękę z jej brzucha i odwracając się do niej plecami. – Odbierz, prosz... – końcówka zginęła w poduszce. Dziwne, że się ocknął, bo normalnie potrafił spać nawet osiem, dziewięć godzin jak zabity. Może melodia to sprawiła.

Na ekranie zobaczyła hasło *Aspirsztab Grzywacz*, pod jakim pierwszego dnia wspólnej pracy zapisała sobie numer nowego partnera.

– Cześć, ciesz się, że Nawrocki nie wziął od ciebie wczoraj kontaktu, bo pewnie by cię dzisiaj zbudził już pół godziny temu. Na mnie ma trochę focha. – Była tak oszołomiona, że słyszała słowa,

ale nie rozumiała, o czym Imbir gada. – A ja dałem ci jeszcze chwilę pospać, bo pamiętam, że mieszkasz na Rybitwach i będziesz miała blisko.

– Blisko dokąd? Co się stało?

– W Libanie znaleźli nieżywego chłopca. Nie ma jeszcze potwierdzenia, ale prawdopodobnie to ten poszukiwany, co wczoraj zaginął. I chyba dopadł go ten zjeb z Huty... – zawiesił głos Imbir.

– W Libanie?!

– W tym kamieniołomie i to w głębi, w największej gęstwinie. Ale my mamy spotkać się z Wiciem przed Zarządem Zieleni Miejskiej przy ulicy Za Torem. Wbij sobie w nawigację. Ruchy, Kładzia, o szóstej się widzimy.

Gdy dotarła do celu, komisarz stał obok starej toyoty zaparkowanej pod siatkowym ogrodzeniem naprzeciwko dwóch czerwonych przyczep z napisem ZIKIT. Imbir przyjechał, gdy wychodziła z samochodu.

– Serwus. Wsiadajcie – rzucił im Nawrocki, pokazując swój wóz i lokując się za kierownicą. – Patrol załatwił już z ochroną, że puszczą nas przez ich tereny. To jedyny możliwy wjazd samochodem na teren Libana.

Klaudia знаła inną, pieszą drogę do kamieniołomu. Tu jechali pomiędzy blaszanymi hangarami a murowanymi magazynami o wielkich wrotach, sięgających niemal pod dach. Uliczka wyprowadziła ich na sągi pociętego drewna, pod pionową kamienną ścianą z lewej stał budynek z czerwonej cegły, a oni skręcili ostro w prawo, w bramę.

– Mam tu działkę niedaleko. – Komisarz machnął ręką w stronę lasu, zatrzymując się kilkadziesiąt metrów za ogrodzeniem przy pomazanym graffiti niskim budyneczku, w którym jedną ze ścian zastępowała zamknięta na kłódkę krata. Stał za nim radiowóz z piątego komisariatu i dwa nieoznakowane pojazdy.

Imbir, który siedział z tyłu, a wysiadając skręcił masywny tułów jeszcze bardziej, dostrzegł to pierwszy.

– Kurwa, patrzcie!

Poza krawędzią uskołu, na skraju grubej kratownicy pozostajej po większej konstrukcji, stał nagi, bielutki chłopiec metrowej wysokości. Włoski przylegały mu do głowy, wypukły brzuszek wyglądał jak u dzieci ze zdjęć z niemieckich obozów koncentracyjnych. Oczy miał spuszczone, twarzą był zwrócony do trzech potężnych walcowatych konstrukcji.

Wtedy zobaczyli, że u szczytu schodków prowadzących do środkowego, pionowego walca stoi druga biała postać. Nie była naga, ale odziana w chustę, którą przytrzymywała jedną dłonią. Chyba dziewczynka, bo spod chusty wystawała dłuższa grzywka, delikatniejsze były również rysy twarzy.

– Ale to chyba sztuczne? – wydukał zdławionym głosem Imbir.

– Rzeźby – mruknął Nawrocki.

Były piękne i straszne. Klaudia powzięła surrealistyczne przekonanie, że te ciała to odbiorniki, które przyjęły nagranie śmierci chłopca leżącego dalej, a teraz odtwarzały je jak niemy, potworny wyrzut. Aż poczuła się winna.

– Trzeba to będzie później sprawdzić. Teraz chodźcie, dalej czeka nas gorszy widok – powiedział Nawrocki.

Chłopaki z Piątki pilnowali obydwu dróg na dno kamieniołomu. Komisarz spytał ich o identyfikację zwłok.

– Dokonałiśmy jej zaraz na początku, za pomocą zdjęcia, które otrzymaliśmy wczoraj po zgłoszeniu zaginięcia chłopca – odparł jeden z nich. – To Mateusz Matlak. Ubranie też się zgadza z opisem.

– A kto znalazł ciało?

– To Rożen, znany nam z miasta z drobnej dilerki. Przyprowadził tu sobie panienkę w wiadomym celu. – Policjant w obscenicznym geście dwukrotnie wypchnął od środka policzek językiem. – Ale wykazał się obywatelską postawą, bo zawiadomił. Przewieźliśmy oboje do nas na Zamojskiego, są do wglądu.

Zrezygnowali z wysokich i stromych metalowych schodków, tylko zeszli na dno kamieniołomu znaną Klaudii krętą ścieżką wyłożoną ostrymi kamykami. Flankowała ją gęstwina drzew i krzaków; część obumarłych, powalonych, omszałych, ale większość obsypanych świeżą zielenią. Natura z domieszką dzikości i tajemniczości – to byłby przyjemny spacer, gdyby na końcu, w największym gąszczu, nie czekał ich koszmar. Tym razem chłopiec spoczywał na szerokiej oponie, miał granatową piżamę w gwiazdki i księżycy, ale poza tym wyglądał jak ten ze zdjęć nad zalewem: równie nieruchomy, z identycznie obnażoną i wypiętą pupą. Pobliskie, trzydziestometrowe skalne ściany, jasno- lub ciemnoszare, miejscami wpadające w beż, dodawały sytuacji klaustrofobicznej grozy.

Wokół ciała krzętałi się dwaj technicy, z którymi Klaudia zetknęła się już w przeszłości, oraz nieduży, jakiś taki niewyraźny, blondynek w okularach bez oprawek. To on odwrócił się do nich i powiedział:

– Jeszcze nie udostępniamy miejsca zbrodni, panie komisarzy. – Widać było, że trochę się boi Nawrockiego, a jeszcze bardziej go nie lubi.

– W porządku, proszę sobie nie przeszkadzać – wycedził Wit, który ewidentnie odwzajemniał to drugie uczucie. – Czy zostały wykonane odlewy odcisków pozostałych w ziemi? – Zwrócił się do jednego z techników.

W niektórych fragmentach pozostającej ciągle w cieniu, otoczonej jeziorkami wody polanki podłoże było nieco miększe.

– Tak, ale wszystko pozadeptywane. Jedyne wyraźne odciski pochodzą z dużych sportowych butów oraz małych, najprawdopodobniej kobiecych, z wyższym obcasem.

– Trzeba będzie wziąć dla porównania odciski butów tej pary, która znalazła ciało. Są w piątym komisariacie – polecił.

– Ten sam schemat: zhańbione i trochę obscenicznie upozowane zwłoki, miejsce ich porzucenia teoretycznie odludne, ale tak uczęszczane, że śladów jest mnóstwo. – Klaudia nie wiedziała, czy Nawrocki mówi do nich czy do siebie, porządkując myśli.

Opony leżały w cieniu pryzmy betonowych walców. Wokół ścieliły się pety, zwyczajowe opakowania po alkoholu w trzech rodzajach i co najmniej dziesięciu gatunkach, celofaniki po ciastkach, batonikach i kabanosach oraz zużyte chusteczki. Tuż obok opony leżał odstający nieco od reszty śmieci element: zgnieciony papier, który wcześniej tworzył chyba jakiś kształt, pomalowany na niebiesko i czerwono, pobrudzony ziemią z odcisniętym bieźnikiem sneakersa.

– To głównie pozostałości po działalności weekendowej. Dlatego poprzedniej nocy były małe szanse, że ktoś skurwielowi przeszkodzi, a starych śladów jest od pyty. – Imbir zatoczył ręką, wskazując śmieci. – Szczęście, że te betony się jeszcze nie sturlały i nie przygniotły nikogo.

3

Kilkanaście minut temu ciało Mateusza Matlaka w pokrowcu zostało przeniesione na noszach do furgonetki, którą odwieziono je do Zakładu Medycyny Sądowej.

Wit patrzył na swoich współpracowników i miał irracjonalne wyrzuty sumienia. Poczucie winy pulsowało nawracającą niczym natręctwo myślą, że już wczoraj podświadomie spodziewał się, iż zaginionego chłopca z Zabłocia spotkało to samo, co Manuela, więc wkrótce pojawi się nowe ciało ze świeżymi śladami. Na darmo tłumaczył sobie, że i tak nie mogli uratować Mateusza. Obolewicz wstępnie stwierdził, że od jego śmierci upłynęła co najmniej doba. Został uduszony cienkim, giętkim przewodem, tak jak Manuel Byrda, ma też podobne obrażenia wokół odbytu. Na dokładny raport patologa trzeba będzie poczekać co najmniej do jutra, a na wyniki selekcji i badania śmieci przez techników oraz dane od operatora sieci komórkowej pewnie dłużej.

Przy denacie nie znaleźli telefonu ani miecza Jedi, który Mateusz dostał w prezencie pierwszokomunijnym.

Zerknął na Imbira wpatrującego się w ekran smartfona. Chrząknął.

– Biorąc pod uwagę szacunki patologa, chłopiec najprawdopodobniej został zamordowany w nocy, niedługo po zniknięciu z domu. Pozostaje kwestia, czy umarł w kamieniołomie czy wcześniej, a potem został tutaj przetransportowany.

– Dla mordercy byłoby wygodniej zrobić to w miejscu, gdzie znaleziono chłopca – odezwała się Klaudia. – Nieść kilkudziesięciokilogramowe zwłoki po takich wertepach musi być strasznie ciężko. Zbieżne wnioski wysunął w sprawie nad zalewem podkomisarz Sulima.

Imbir prychnął gniewnie, słysząc to nazwisko.

– To prawda, podobnie byłoby, gdyby wcześniej tylko obezwładnił dzieci, też musiałyby borykać się z ciałami i ich wagą – przyznał jej rację Nawrocki. – Po drodze nie ma śladów walki, co sugeruje, że Manuel i Mateusz musieli znać wcześniej sprawcę, ufać mu i poszli za nim z własnej woli.

Klaudia i Piotr pokiwali głowami.

– Obaj mieli blisko z miejsca zamieszkania na miejsce zbrodni – wtrącił ten drugi. – Skurwiel mógł wyznaczyć Mateuszowi spotkanie na cmentarzu Podgórskim. W nocy nikt nie mógł ich tam zobaczyć, a przez ogrodzenie cmentarza łatwo przedostać się do kamieniołomu.

Klaudia popatrzyła uważnie na partnera.

– To ma sporo sensu – zgodził się komisarz. – Rozejrzyjmy się. Pójdę w stronę cmentarza, Klaudia sprawdzi dojście przez lasek od strony Swoszowickiej, a Imbir weźmie teren Zarządu Zieleni Miejskiej. Niby jest ochrona, ale nie ma gwarancji, że czuwali w środku nocy. Przepytaj ich, znajdź człowieka, który miał wtedy dyżur.

Wit, idąc w górę, w stronę ściany, za którą znajdowały się cmentarz Podgórski i kopiec Kraka, zrozumiał, że mało prawdopodobne było, aby ochroniarz czy dozorca z Zarządu Zieleni Miejskiej zauważył cokolwiek, co tutaj się działo. Przejście prowadziło zagajnikiem, a przede wszystkim zakrywał je fragment nasypu. Ścieżka odsłoniła się dopiero z przeciwnej strony – na najgłębszą nieckę, gdzie wydobyto najwięcej kamienia i gdzie, na przeciwnym końcu, znaleziono ciało. Z jego perspektywy, mimo że patrzył z góry, miejsce, gdzie leżał chłopiec, maskowała zielona głusza. Bliżej była trawiasta sawanna, poprzetykana miniaturowymi jeziorkami.

Dzieciak zginął na terenie przypominającym olbrzymi, różnorodny, działający na wyobraźnię plac zabaw, pomyślał Nawrocki. Podobnie rzecz się miała z terenami nad Zalewem Nowohuckim. Mordercy było łatwiej zwabić dzieci w takie miejsca. Ale jak to zrobił? Znał je? A jeśli tak, to skąd? Odpowiedzi na te pytania naprowadzą ich na trop.

Szedł dalej w kierunku cmentarza. Ścieżka była, etapami, na przemian stroma i w miarę płaska, a pomiędzy brzegiem kamieniołomu i ogrodzeniem cmentarza także bardzo wąska. Pamiętał to z jakiejś dawnej wycieczki i dlatego nie wysłał tutaj Imbira, żeby nie stwarzać problemów jemu i ludziom, z którymi stutrzydziestokilogramowy zwierz musiałby się wymijać. Ale nawet on

zmieściłby się w dziurze, którą Nawrocki znalazł w ogrodzeniu. Siatka była rozdarta na całej wysokości, szerzej dołem, dosyć dawno, bo pozbawione ochronnej farby druty rdzewiały. Komisarz spędził długą chwilę w kucki, szukając śladów, które mogły pozostać na ostrych końcówkach, jednak nie dojrzał nawet włókienka.

– W nocy z niedzieli na poniedziałek zmianę miała dozorczyńni – relacjonował Imbir. Spotkali się przy samochodzie Wita i jechali przed bramę frontową Zarządu Zieleni Miejskiej. – Przyszła w niedzielę rano na dwadzieścia cztery godziny, teraz ma wolne do dzisiejszego wieczora. Wziąłem jej numer telefonu.

Poza dziurą w płocie żadne z nich nie znalazło śladów, które dałoby się choćby luźno powiązać ze zbrodnią.

Nie było już miejsca na pasie parkingowym, więc stanął bokiem do aut współpracowników, lewymi kołami na ulicy. Pojazdy razem z płotem utworzyły coś w rodzaju niewielkiego pokoiku, w którym urządził zaimprovizowane zebranie.

– Musimy jeszcze raz porozmawiać ze wszystkimi ludźmi z otoczenia Manuela i Mateusza – powiedział komisarz. – Zabójca może być jednym z nich albo w pewien sposób z którymś z nich związany. Sprawcą jest najprawdopodobniej ta sama osoba. Nie może być mowy o naśladowcy, bo szczegóły dotyczące pierwszej zbrodni nie zostały ujawnione. Nie zamykamy się jednak na inne możliwości. Bądźcie czujni na wszystko, co nietypowe.

– No właśnie, jeśli jesteśmy przy dziwnych i nietypowych: wpisałem w Google „rzeźby w kamieniołomie Libana” i wyrzuciło mi niejakiego Tomasza Górnickiego. Jest artystą, parę miesięcy temu sprowadził się z Warszawy do Krakowa, a w kwietniu umieścił tu instalację, którą nazwał *Apocalypto*. Opowiada tu, co ona ma oznaczać. – Imbir podniósł aparat.

– Trzeba go przepytać o jego motyw, sprawdzić, czy coś go nie wiąże z ofiarami, czy czegoś podejrzanego nie widział, kiedy montował tutaj rzeźby – przytaknął Nawrocki. – Pojedziemy wszyscy na Zamojskiego. Przesłuchacie osobno tych dwoje, którzy znaleźli chłopca. Porównacie zeznania; nawet jeśli coś uzgadniali, to mogą się wygadać. Potem ty, Klaudia, namierzysz rzeźbiarza i spotkasz się z nim, najlepiej na jego terenie, a gdy skończysz, przesłuchasz dozorczyńnię. Imbir pojedzie do podstawówki przy Limanowskiego, gdzie pogada z dziećmi i nauczycielami z klasy Mateusza. Ja wezmę materiały zebrane wczoraj przez chłopaków z piątego komisariatu. Przeczytam je, pojedę zawiadomić rodziców, potem zabiorę się za sąsiadów z Kielkowskiego i gości z niedzielnego przyjęcia pierwszokomunijnego. Może ktoś powie coś więcej, coś nowego. Skontaktujemy się po południu i umówimy spotkanie dla porównania wyników.

– A co z mediami?

Wit zdziwił się, że Klaudia o to spytała.

– Nas wszystkich i tak obowiązuje poufność – odpowiedział. – Zadzwoń zaraz do Hadyny, razem z Chrosteckim podejmą decyzję, czy i co podawać do mediów. Będę ich namawiał, żeby się wstrzymały z informacjami możliwie długo i nie wzbudzać hysterii na temat grasującego w Krakowie gwałciela i mordercy dzieci. Liczę, że zdążymy go w tym czasie znaleźć.

4

Przy Zamojskiego odbyła sesję z Pauliną Zagulą, ubraną niczym modelowa dyskotekowa niunia, ale tak zmarnowaną strachem, kacem, zmęczeniem i wstydem, że budziła niemal współczucie. Po

przywiezieniu na komisariat zmierzono jej alkomatem dwa i dwie dziesiąte promila, jej niedoszły kochanek miał jeden i sześć dziesiątych. Podczas przesłuchań (Imbir wziął byczkowatego mężczyznę o ksywie Rożen do innego pokoju) byli już jednak względnie trzeźwi, choć ciągle przeżywali zagadnienie, czemu wieczór i noc, jakich wiele, nie skończyły się zwyczajowo (Rożen nadal miał nieużyte prezerwatywy w kieszeni džinsów), lecz szokująco. Podali nazwy dwóch knajp na Kazimierzu, w których powinni być pamiętani. Na wzgórzu, na którym wznosi się kopiec Kraka, widzieli jedną nieznaną parę popijającą wino, ale odkąd przeszli do rogu cementarza, a od niego stromą ścieżką w dół i potem w lewo, w głąb kamieniołomu – nie spotkali już nikogo.

Największa korzyść odwiedzenia piątego komisariatu była taka, że na jego terenie leżało Forum i kiedy Klaudia zwierzyła się, że musi odszukać zagadkowego rzeźbiarza, jeden z chłopaków skojarzył, że w nieczynnym hotelu od niedawna pracownię ma jakiś artysta z Warszawy. Postanowiła od niego zacząć – jeśli to nawet nie ten, to może będzie coś wiedział o Górnickim.

Kiedy przejechała po brukowanym mostku nad rzeczką uchodzącą do Wisły, po drugiej stronie hotelu budziła się do życia modna plenerowa knajpa przy łuku rzeki. Była tam niedawno z Markiem i dwiema parami jego znajomych z firmy; drinki smakowały nieźle, jednak to widok na Wawel i kościół Na Skałce był bezkonkurencyjny.

Głos przy szlabanie u stóp Forum źle ją pokierował, więc zanim trafiła do pracowni Górnickiego, zdążyła zwiedzić salon Porsche i Jaguara, warsztat samochodowy, sklep z winami oraz szkoły tańca i jazdy na motocyklu (tę drugą pod gołym niebem). Hotel nie był taki opuszczony, jak się wydawało, w podziemiach i na parterze egzystowało w nim sporo innych przedsięwzięć, lecz sprawiał smutne wrażenie. Szczególnie przygnębiło ją dawne paradne wejście, wiodące długim pasażem, krytym wiatą, teraz służącą jako daszek dla parkujących samochodów, ale poza tym nieużywane i nieodwiedzane.

Wreszcie miła dziewczyna z recepcji klubu fitness, nad którą widniała przekrojona limonka, skierowała ją we właściwe miejsce.

Zapukała do drzwi, zza których dobiegał równomierny hurgot, a po drugiej próbie weszła, uznawszy, że człowiek wewnątrz jej nie słyszy. Znalazła się w pomieszczeniu przestronnym i jasnym, którego dłuższa ściana składała się niemal w całości z okien. Na postumencie zrobionym z drewnianej palety i czterech nóg stała (czy raczej – siedziała na piętach) rzeźba mężczyzny bez głowy i ramion, za to z wyrastającymi z tułowia licznymi dłońmi o złożonych bądź rozcapierzonych palcach. Mężczyzna w pobrudzonych płóciennych portkach, bluzie dresowej i wełnianej czapce szlifował z zapamiętaniem to dzieło czymś w rodzaju deseczki. Wyczuł jednak chyba jej obecność, bo przerwał i podniósł wzrok.

– Dzień dobry, przepraszam za wtargnięcie, ale chyba nie słyszał pan pukania. Jestem z policji, starsza aspirant Klaudia Bator. Pan Tomasz Górnicki?

– Tak, to ja. Nie sądziłem, że to policja będzie mnie ścigać.

Klaudia ze zdziwienia uniosła brwi.

– Dotąd straż miejska lub inne służby komunalne zajmowały się moimi „partyzanckimi” instalacjami. – Zakreślił czterema palcami znak cudzysłowu. – Bo przychodzi pani w sprawie *Apocalypto*?

– Ach, tak – zrozumiała. – Ale nie po to, by pana ścigać czy karać za ustawienie tych rzeźb. Prowadzimy śledztwo kryminalne i takimi sprawami się nie zajmujemy. W kamieniołomie Libana zostało popełnione przestępstwo, rozmawiamy ze wszystkimi, którzy mogli mieć cokolwiek wspólnego z ofiarą bądź miejscem.

– Znalezione tego chłopca, który zginął wczoraj z domu? Nie żyje?

– Skąd pan wie?!

– Intuicja, połączyłem fakty. Czyli moje rzeźby były świadkami morderstwa.

Poczula lekkie ukłucie lęku. Przypomniała sobie poranne skojarzenie z kamieniołomu i internetowe zdjęcia instalacji Górnickiego z innych miast. Postać siedzącą z podwinętymi nogami w przejściu podziemnym, a przede wszystkim klęczącego pod mostem nagiego chłopca z rękami związanymi drutem za plecami. I tytuł rzeźby – *Przepraszam to za mało*.

– Ma pani dziwną minę, powiedziałem coś nie tak?

– Nie, to raczej same rzeźby wzbudzają emocje, poczucie winy, a nawet wyrzuty sumienia.

– Nosi pani w sobie uczuciowość i życiowe doświadczenia pozwalające na odbiór sztuki. – Uśmiechnął się powściągliwie. – Przynajmniej mojej. Uważam, że każde pokolenie, każdy czas ma swoje demony, które się czają. Instalacja zrodziła się z lęku, którego doświadczam w obliczu rzeczywistości kryzysu ekologicznego, cywilizacyjnego i kulturowego. Martwię się o przyszłość moich synów. A przeszłość kamieniołomu Libana, nazistowskiego karnego obozu pracy przy Konzentrationslager Plaszow, jest dobrym kontekstem dla tych rzeźb.

Górnicki był niewiele starszy od niej, ze skąpym zarostem. Zdjął czapkę, ukazując podgoloną głowę i zmierzwioną grzywkę. Z tematyką jego działalności i treścią słów kontrastowały szerokie wrażliwe usta i miękki, ciepły głos.

– Uporządkujmy fakty. – Klaudia wyciągnęła notes i długopis, licząc, że rutynowe czynności pomogą jej odzyskać równowagę. – Kiedy umieścił pan te rzeźby w kamieniołomie?

– To był czwartek albo piątek po Wielkanocy. Nadchodził ostatni weekend kwietnia, potem długi weekend majowy, uznałem, że w tym okresie więcej ludzi, spacerowiczów, zobaczy moje prace.

– Dlaczego w takim razie nie postawił pan ich w bardziej popularnej lokalizacji?

– Fascynują mnie miejsca zniszczone, opuszczone i samotne, widzę je jako odzwierciedlenie kondycji człowieka. W moich miejskich realizacjach działałem bez pozwolenia, często udając służby miejskie, więc muszę zachować pewien balans. Zbyt uczęszczane miejsca, zbyt duża uwaga mogłyby spowodować szybszą i bardziej zdecydowaną reakcję tych służb.

– Czy był to piątek, dwudziesty szósty kwietnia? – Klaudia policzyła w pamięci datę.

– Jednak czwartek. Bardzo ciepły dzień. Pamiętam, bo spocilem się w uprząży alpinistycznej, targając posąg z brązu i montując je do metalowych konstrukcji.

– Działalność artystyczna kojarzyła mi się inaczej...

– Rzeźba to niekiedy czyste fizjostwo. Dużo spawania, przerzucania kilogramów, gliny, stawiania rusztowań, spadania z nich.

– Jest pan silny.

– Daję radę.

– Nie zauważył pan niczego podejrzanego, ustawiając te rzeźby?

– Nie. Zauważyłem kilka razy, że ktoś z zaciekawieniem mnie obserwuje, ale to było naturalne. Nikt mnie nie zaczepiał, zresztą byłem bardzo zajęty i nie zwracałem większej uwagi na otoczenie.

– A w następnych dniach był pan w kamieniołomie?

– Dwukrotnie, w ubiegłym tygodniu, żeby sprawdzić, czy nic im się nie przytrafiło. Raz zabrałem synów, bo chcieli zobaczyć, jak ich podobizny wyglądają w niecodziennym otoczeniu.

Czyli druga rzeźba nie przedstawiała dziewczynki – uzmysłowiła sobie Klaudia.

– Zawsze zadawałem sobie pytanie, jak ja i moja rodzina poradziłibyśmy sobie w rzeczywistości przemocy. Do czego doprowadziłby nas instynkt przetrwania? Kiedy patrzę na swoje dzieci, w ich drobnych ciałach widzę siłę, a w oczach determinację. Chcę wspierać i wzmacniać to, co od urodzenia w nich jest, niczego nie zabrać, nie zepsuć. Próbuje przewidywać i budować w nich odporność oraz umiejętność adaptacji do niepewnego jutra. Ale w świetle tego morderstwa widać, że to może nie wystarczyć. Że nie zawsze da się obronić dziecko, że mogą przyjść chwile, kiedy będzie ono bezsilne w obliczu zagrożenia.

Pokiwała głową.

– Mam nadzieję, że moja instalacja nie miała wpływu na to, co się wydarzyło? – spytał nagle. – Że nie zainspirowała w żaden sposób mordercy.

– Nie, nie, nie przypuszczam – wyjąkała Klaudia. – Ta zbrodnia jest powiązana z inną, wcześniejszą, dokonaną w zupełnie innym miejscu.

Uznała, że powinna pójść, zanim zacznie zdradzać temu człowiekowi tajemnice śledztwa albo swoje. Wzięła od Górnickiego adres, numer telefonu i się pożegnała.

Dopiero wsiadając do samochodu, uświadomiła sobie, że nie spytała go o alibi na noc, kiedy zamordowano obu chłopców.

5

Małgosia jeszcze raz szarpnęła biodrami, krzyknęła, a potem z długim jękiem opadła na niego. Wit już się nie powstrzymał i dopiero po dłuższej chwili spazmów poczuł, że dwoje ciepłych i sprężystych kociąt, które dotychczas kołysały się nad nim, teraz oparło się o jego pierś, a ich właścicielka mruczy mu do ucha.

Przeciągnęła dłonią z jego głowy na twarz, szyję, biceps, podparła się i podniosła. Zdjęła gumkę spinającą w kucyk ciemnobrązowe włosy, które teraz rozsypały się na piegowate ramiona.

– Idę do łazienki i kuchni. Przynieść ci coś do picia? – spytała.

– Łyknę sobie z twojej szklanki.

Poznał ją ponad dwa lata temu, gdy wychodził z kryzysu, a ona w tym procesie pomogła i go przyspieszyła. Od jesieni ubiegłego roku, kiedy jej starszy syn, Kacper, wyjechał na studia do Szwajcarii, ich relacje przybrały postać trwałego związku. Spędzał u niej coraz więcej czasu i częściej nocował. Być może zaczęła wtedy poszukiwać u Wita bezpieczeństwa. Czterdziestoletnia wdowa z dwojgiem dzieci, której mąż zmarł na raka, kiedy młodszy z chłopców miał cztery lata, na pewno od dawna nie miała tego poczucia w nadmiarze. A może wcześniej trochę wstydziła się przed dorosłym synem?

Nawet jeśli za późno na wielką miłość, nawet jeśli trochę się wypalili we wcześniejszych związkach, teraz było im ze sobą dobrze, a nie tylko wygodnie.

Wróciła w czarnym T-shircie z fioletową sową o popielatych oczach wielkości i kształtu spodków, który zakrył bardzo duże piersi, delikatną wypukłość brzucha, łagodną krzywizną schodzącego do złączenia ud. Cała była miękka i ciepła, do przytulania, co podkreślała włóczkowymi sweterkami i flanelowymi spódnicami. W przedszkolu, gdzie pracowała, dzieci ją uwielbiały.

Za to głos miała trochę figlarny, a oczy rzucały zachęcające niebieskie błyski.

Nawrocki zwykle jej nie odwiedzał, jeśli był zbyt zajęty śledztwem i kończył pracę późnym wieczorem, ale tym razem bardzo potrzebował ucieczki do miłego, dobrego świata, więc zajechał pod blok na Górcę Narodowej po dwudziestą drugą, gdy Jasiak już spał.

– I co, nadal nic mi nie powiesz? – spytała, wracając do łóżka. Ciągnęła go za język w sprawie zamordowanych chłopców już w czasie spożywanej bez apetytu kolacji.

– Teraz tym bardziej nie. Nie masz już żadnych argumentów przetargowych – odparł kpiąco, choć zupełnie nie było mu do śmiechu.

Potargała go za ucho i położyła się obok.

– Współczuję rodzicom, nie chciałabym żyć, gdyby coś takiego spotkało moje dziecko – westchnęła.

- Zostałoby drugie, dla którego musiałabyś żyć – wybąkał.
- Mhm – przytaknęła i zamilkła, ale długo jeszcze nie spała, czuł jej kciuk głaszczący wierzch jego dłoni.

Rozmyślał, że dochodzenie rozłazi mu się w rękach; przybywa mnóstwo materiału, ale nie wnosi nic konkretnego. Nie ma żadnych śladów, podejrzanych i wyrazistych hipotez.

Zdarzają się śledztwa rozwiązywane od kopa, dzięki klarownemu śladowi na miejscu przestępstwa, drobiazgowej pracy śledczych, która przynosi poszlaki wskazujące na sprawcę, czasem dzięki donosowi, a częściej dlatego, że przestępca nie wytrzyma napięcia i zrobi fałszywy ruch. Ale niektóre sprawy ciągną się tygodniami, miesiącami i niekiedy pomaga je rozwiązać dopiero szczęśliwy splot okoliczności albo błąd ściganego przy kolejnym czynie. W przypadku serii, na jaką zanosi się tutaj, zwiększa się prawdopodobieństwo pomyłki mordercy, ale rośnie liczba ofiar, co jest niedopuszczalne, potęguje się koszmar ich rodzin i śledczych, strach społeczeństwa, histeria mediów.

Dzisiaj rozmawiali we trójkę w sumie z kilkudziesięcioma osobami, ale dowiedzieli się jeszcze raz niemal tego samego, co policjanci prowadzący wczoraj poszukiwania w sprawie zaginięcia. Mateusz – fan gwiazdnych wojen i kosmicznych technologii, filmów i gier (stąd choćby te, imitujące gwiazdy, płyty kompaktowe nad łóżkiem) – tworzył sobie własny świat, do którego uciekał. Rekompensował tym brak zainteresowania rodziców, co przyznawali nawet ludzie im bliscy.

Po raz drugi, po Sulimie, przeanalizowali rejestr pedofilów, ale nie znaleźli żadnych tropów. Zresztą zawiera on wyłącznie prawomocnie skazanych, w znacznej mierze po pierwszym październiku 2017 roku, kiedy weszła w życie ustawa wprowadzająca ów spis, a niektórych sprawców wykreślił sąd. Wieczorem mieli zebranie we trójkę, a potem Mania, Hadyna i Szymański urządzili im kocioł bardziej przypominający przesłuchanie niż ich własne rozmowy ze znajomymi ofiary.

Zastanawiał się nad Klaudią, która przez cały dzień była pasywna, zwłaszcza na miejscu zbrodni. Chyba ani razu nie wykazała się inicjatywą. Rezultaty jej rozmowy z rzeźbiarzem wyglądały jak wywiad dziennikarki zainteresowanej sztuką i podekscytowanej spotkaniem z artystą. A przecież symptomatyczny był sposób, w jaki przedstawiał sylwetki chłopców, uwagę budziła jego siła fizyczna. Należało go docisnąć, niezależnie od tego, że jako ojciec kiepsko nadawał się na podejrzanego.

Bardzo pobieżnie przepytala też dozorczynię z Zarządu Zieleni Miejskiej, już na wstępie wykluczając ją z grona podejrzanych, „bo to przecież kobieta”.

ROZDZIAŁ 8

1

Artur Sulima nigdy nie dostał papierowego listu wysłanego na adres komendy wojewódzkiej, czy IV Komisariatu przy Królewskiej, w którym służył wcześniej. W ogóle nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio dostał list pocztą. Może w podstawówce coś takiego się zdarzyło raz czy dwa, ale raczej chodziło o wakacyjną pocztówkę wysłaną w kopercie. Nie był wtedy zbyt popularny. Odkąd zaczęły królować maile i SMS-y, częściej bywał adresatem pozdrowień i wiadomości.

W dłoniach ubranych w lateksowe rękawiczki obracał zwykłą białą kopertę z granatowym paskiem „PRIORYTET” i niebieskim znaczkiem. Z pieczętki odcyfrował, że list został wysłany przedwczoraj, o godzinie 11:59. W Warszawie.

Zaadresowany odręcznie, wielkimi, czarnymi, drukowanymi literami, ale jakby drżącą ręką.

*KOMISARZ ARTUR SULIMA
KOMENDA MAŁOPOLSKA POLICJI
UL. MOGILSKA 109
31-571 KRAKÓW*

Ktoś go awansował. Miejmy nadzieję, że nieznacznie wyprzedził rzeczywistość.

Adresu nadawcy nie było.

Delikatnie rozciął kopertę ramieniem biurowych nożyczek, wyjął pojedynczą kartkę ze szkolnego zeszytu w szerokie linie. Treść, wypisana w taki sam sposób jak adres, w oddzielnych wierszach, była jeszcze bardziej zadziwiająca:

*MORDERCA KRZYSZTOFA MAŁYSZY MIESZKA W CENTRUM B 14/123
TO RAFAŁ KONARSKI
ZABIŁ GO Z ZEMSTY ZA ZNIEPRAWIENIE MŁÓDKI
MÓJ SYN ZOSTAŁ BARDZIEJ SKRZYWDZONY, ALE UWAŻAM, ŻE TO POLICJA I SĄD POWINNY WYMIERZAĆ
KARĘ
GRZEGORZ PASTERNAK*

Grzegorz Pasternak. Tak nazywa się biologiczny ojciec Manuela Byrdy, który z Krakowa wyprowadził się ponoć do Warszawy, ale do tej pory nie zdołała namierzyć go tamtejsza policja. Stolyca, kurwa mać. Wydaje im się, że są najlepsi, a często to większe ciućmoki niż ci tutaj.

Wrzucił na bęben tego Konarskiego i wyskoczył mu gość urodzony i do dziś zameldowany w Limanowej, skazany ponad dwanaście lat temu za kradzież samochodu w Nowym Sączu. Był wtedy tuż po siedemnastych urodzinach, odpowiadał jako dorosły. Pech. Dostał wyrok w zawieszeniu, ale później chyba się zresocjalizował, bo nie był już notowany.

Są odciski palców, krótki rysopis, zdjęcie. Blond włosy, grubo ciosana twarz typowego wieśniaka, ale wygląda na silnego, ocenił Sulima. Potwierdzały to dane, już wtedy mierzył sto

dziewięćdziesiąt centymetrów. Ktoś taki mógł w pojedynkę załatwić Małyszę, powiesić u sufitu i okaleczyć. Trzeba to sprawdzić. Przekazał list do techniki operacyjnej, wezwał Markowskiego i Gomułkę.

2

Na nic zdał się im wyfasowany dzisiaj służbowy samochód. Nieoznakowana vectra o dwulitrowym silniku turbo i mocy dwustu sześćdziesięciu pięciu koni mechanicznych tak samo utykała w korkach jak inne auta. Jechali na spotkanie z pracownicą MOPS-u, która badała zgłoszenie sąsiadów w sprawie Manuela Byrdy. W Nowej Hucie ruch był znacznie płynniejszy niż w śródmieściu Krakowa, ale tworzyły się zatory, gdy z dwóch pasów jeden znieścacka odpadał, wyłączony do skrętu, a na tym do jazdy prosto zapalało się czerwone. Postali tak właśnie przez dwie zmiany świateł przed Placem Centralnym, w miarę sprawnie minęli hotel i Muzeum PRL-u, ale przytknęło ich znowu, kiedy się ustawili, by zjechać w lewo, w Bulwarową.

– O tam, tam, w kącie pomiędzy cmentarzem, placem targowym, stacją benzynową i całodobowym monopolowym są najlepsze hamburgery w mieście. – Palec Imbira dźgał powietrze przed nosem siedzącej za kierownicą Klaudii.

– Sądziłam, że bazujesz na kebsach.

– Tłuste kotlecikiwa to też moja alejka. Ale rzadko trafiają się tak dobre i niedrogie jak tutaj. I takie to niepozorne – mała budka z plastikowych płyt, obok niej grill, taki trochę większy ogrodowy. A za piętnaście zeta dostajesz dwadzieścia pięć deko świeżo upieczonego mięsa, trzy plasterki sera, pieczarki, pomidory i takie tam. Sosy jakieś. Kobieta przy tobie grilluje wszystko, nawet wielką bułę, do której to wsadza. Po to się żyje na tym świecie.

– O trzech rzeczach mówisz z prawdziwą pasją: pieprzeniu, pracy policyjnej i żarcie – odrzekła z przekąsem Klaudia, poirytowana ślamazarnością stojących przed nią samochodów, z których tylko kilka załapało się na zmianę świateł. Ten, który stał najdłużej i zablokował kolejkę, bo się zagapił lub nie mógł odpalić, przejechał oczywiście na czerwonym.

– Jak nie, jak tak. Ale trzeba uczciwie stwierdzić, że żarcie jest na pierwszym miejscu.

– Na pierwszym miejscu to masz brzuch, gdzie byś się nie ruszył.

– To nie otyłość, jedna znajoma mnie zdiagnozowała.

– Lekarka? I co stwierdziła?

– Kelnerka z nocnego klubu, w którym dorabiałem jako ochroniarz. Powiedziała, że to spuchlizna głodowa. Złośliwa bestia, ale chętna zawsze i wszędzie – wyszczerzył się Imbir.

Piotrek chyba nie do końca rozumiał, że właśnie za popychanie pierdół, brak delikatności i taktu wobec tego, czym się zajmowali, zrugął go w poniedziałek Nawrocki. Ale też Klaudia coraz lepiej zdawała sobie sprawę, że nie był aż takim pozbawionym empatii burakiem, na jakiego pozował, a hedonistyczne obyczaje i opowieści o nich pozwalają mu zachować higienę psychiczną w zetknięciu z potwornościami.

– A właśnie, à propos, zdejm sobie blokadę identyfikacji z telefonu, bo nie wiem, czy to ty dzwonisz.

– À propos czego? – zdziwiła się Klaudia.

– À propos lasek. Czasem dzwonią z pretensjami albo i gorzej, więc dla bezpieczeństwa i spokoju ducha wolałbym nie odbierać, gdy wyświetla się „numer prywatny”.

Jej towarzysz postanowił, że zaparkują obok bloku Byrdów i przejdą stamtąd pieszo nad zalew, gdzie wyznaczyła im spotkanie Krystyna Tokarczyk z MOPS-u. Na osiedlu minęli dwie konstrukcje

nazywające się chyba rzeźbami; obie składały się z cienkich, ostrych stalowych płytek: zielonych, przyklejonych do dwóch wąskich słupów, i ciemnoszarych – umieszczonych na czymś w rodzaju potężnego rogu. Imbir pociągnął ją na drugą stronę Bulwarowej, gdzie dostrzegł coś w pasie zieleni między drzewami. Z bliska okazało się, że to ukryty w wysokiej trawie kamień, przed nim kilka wypalonych zniczy, wbity obok metalowy krzyżyk z wąską tabliczką, ale bez napisu.

– Wypadek? Co powiesz, Kładzia?

Pokiwała głową. Takich pomniczków tragedii, upamiętniających ofiary samochodowych kraks lub potrażeń pieszych przecinających jezdnię, stało przy polskich drogach wiele. Nie było sensu szukać jego związku z Manuelem, nawet jeśli znajdował się przy ostatniej w życiu trasie chłopca.

Nad wodą siedziało na krzeselkach turystycznych paru wędkarzy, wózek z niemowlakiem pchała świeżo upieczona mama, inny pojazd, ze starszym dzieckiem – raczej babcia. Na rowerze wyprzedził ich, owiewając chmurą intensywnych, słodkich perfum, siwy pan w łososiowej koszulce polo i beżowych spodenkach.

Przed wiśniowo-żółtym budynkiem po lewej kucała nastoletnia dziewczyna. Umieściła smartfon na parapecie nisko położonego okna parteru. Z aparatu dobiegała muzyka, a ona w jej rytmie wykonywała przed ekranem obiema dłońmi gesty, w których nadreprezentowany był wyprostowany środkowy palec.

Spotkanie wyznaczono im po drugiej stronie zalewu, naprzeciw wysepki porośniętej przez wierzby muskające końcami gałęzi wodę. Na ławeczce siedziała krótko ostrzyżona blondynka, z dołeczkiem pośrodku brody i sporą brodawką po jej prawej stronie.

– Państwo z policji, prawda? – Wstała na ich widok i wyciągnęła dłoń. – Krystyna Tokarczyk. Przepraszam, że dopiero dzisiaj się z państwem spotykam, ale korzystając ze sprzyjającego kalendarza, wzięliśmy z mężem po trzy dni urlopu i wyjechaliśmy na tydzień.

Przedstawili się, Klaudia podziękowała za punktualność.

– Mam tutaj trzy rodziny, dwie po drugiej stronie, na osiedlu Sportowym, a trzecią niedaleko na Krakowiaków – odparła kobieta w wieku około czterdziestu lat.

– Aż trzy rodziny? Swoją, męża i... – zdziwił się Imbir.

– Ach, to taki skrót myślowy pracowników socjalnych – zaśmiała się. – To nie moje rodziny, w sensie krewniacy, ale rodziny, którymi się zajmuję, opiekuję. To tutaj został znaleziony Manuel? – Twarz jej spochmurniała.

– Niedaleko – przytaknęła Klaudia. – Poznała go pani przy okazji procedury Niebieskiej Karty?

– Odebraliśmy dwa anonimowe telefony od kobiet przedstawiających się jako sąsiadki. – Krystyna Tokarczyk pokiwała energicznie głową. – Choć później przypuszczałam, że najwyższej jedna mogła być jego sąsiadką, a druga to jej znajoma, która dzwoniła dla wzmocnienia powagi sprawy.

– Dlaczego?

– Obydwa telefony były bardzo podobne, jakby zostały uzgodnione, a w tym niedużym bloku nie ma raczej dwóch kobiet, które miałyby bliski kontakt z rodziną Byrdów. Wydaje mi się, że jedną z nich jest sąsiadka z parteru, która powiedziała mi to, co dyżurnej przez telefon, tylko szerzej. Matka lekomanka, ojca nie ma, ojczym przyjeżdża rzadko, piją, zaniedbany chłopiec, więc pewnie jest też bity – to był ciąg faktów, przesłanek i wniosków, który powtórzył się kilkakrotnie w rozmowie.

To właśnie ta sąsiadka musiała wyjawić aspirantowi Gomulce podczas rozpytania, że Byrdami interesował się Miejski Ośrodek Pomocy Społecznej, pomyślała Klaudia.

– Zresztą liczba telefonów nie miała znaczenia, i tak sprawdziłabym wszystko – kontynuowała pracownica socjalna. – Okazało się jednak, że wprawdzie Manuel jest rzeczywiście nieco zaniedbany w kwestiach materialnych, matka ma pewne problemy zdrowotne, ale nie zachodzi

podejrzanie o fizyczne znęcanie się nad dzieckiem. Nie było też podstaw do wnioskowania o choćby czasowe odebranie praw rodzicielskich.

– Nic nie wskazywało na jakąkolwiek formę przemocy? – Ciężar zadawania pytań wciąż spoczywał na Klaudii.

– Nic, poza sugestiami tamtej sąsiadki. Rozmawiałam z dwoma nauczycielami; poza wychowawczynią, także z panem od wuefu, który mógłby zauważyć ślady pobicia. Ostatecznie przekonał mnie sam Manuel i to nie zaprzeczeniami, ale swoim zachowaniem. Rezolutny, rozgarnięty chłopiec, nie był przygaszony, jak typowe ofiary przemocy. O swoich przygodach i odniesionych obrażeniach, na przykład złamanej ręce podczas wspinaczki na drzewo, opowiadał jak o ranach wojennych. Wszystko opisałam w protokole, przyniosłam państwu kopię.

Już przez telefon zapowiedzieli jej, że mają postanowienie prokuratora o udostępnieniu dokumentów, ale Krystyna Tokarczyk nie poprosiła o okazanie go. Podała Klaudii kilka spiętych kartek. Imbir zajrzał jej przez ramię i po kilkadziesiąt sekundach spytał:

– Czyje są te numery w rubryce „telefony kontaktowe”? Zwłaszcza ten oznaczony gwiazdką? – Gruby paluch policjanta niemal zakrył ciąg dziewięciu cyfr.

Klaudię po raz kolejny zaskoczył kontrast pomiędzy jego spostrzegawczością a egoistycznym zapatrzeniem w siebie i koncentracją na własnych przyjemnościach.

– Zwykle wpisujemy tu numer do opiekuna. Ten pierwszy jest mamy. A drugi to telefon Manuela.

Oboje aż lekko poderwali się z ławki.

– Powinam powiedzieć o tym wcześniej? – stropiła się, widząc ich reakcję. – To w ogóle była zabawna historia. Manuel na początku spytał, dlaczego to nie policja przyjeżdża i sprawdza, czy dzieciom nie dzieje się krzywda. Wyglądał na zawiedzionego. A na koniec powiedział, że bardzo fajnie się rozmawiało, więc gdybym jeszcze kiedyś chciała pogadać, to mogę zadzwonić. I dał mi numer. Ośmiolatek! Taki stary malutki.

– Kto jeszcze mógł mieć ten numer? – spytał z napięciem Imbir.

– Do Manuela? Ode mnie nikt go nie dostał. No chyba, że ktoś zobaczył w protokole. Ale nie jest wyraźnie oznaczony.

– A gdzie jest przechowywany protokół, kto mógł go widzieć?

– Gdyby wniosek był zasadny, kopie poszłyby do paru instytucji, w tym do policji, a tak to jest u nas w archiwum. U nas, czyli w filii na osiedlu Szkolnym.

3

– Zdarzało się, że kromka chleba ratowała życie, proszę pani.

– To był poniedziałek wielkanocny sześćdziesiątego roku, pamiętam jak dziś, stałem pod Świttem po bilety na *Zezowate szczęście*, samochód zajechał przed blok na Teatralnym, czterech z niego wyskoczyło i pobiegli do klatki.

– To jest, kurwa, szajka. Dawniej był dozorca państwowy i wszystko było dobrze. A teraz spółki, spółeczki, nie wiadomo co.

Dochodziło południe, Artur Sulima przechadzał się chodnikami przekreślającymi na kształt iksa park Ratuszowy. Czasem przechodził ktoś w jego wieku; jakiś obibok po zakupy na śniadanie bądź przeciwnie – monter czy przedstawiciel handlowy zmierzający do następnego klienta. Parę młodych kobiet z dziećmi w wózkach. A poza tym mnóstwo ludzi w wieku jego mamy i starszych,

mających tyle samo wolnego czasu, co wspomnień z epoki, gdy budowali – dosłownie i w przenośni – Nową Hutę. Spacerowali, siedzieli na ławeczkach, gawędzili w grupkach.

Korony bujnie już obrosłych liśćmi drzew zasłaniały mu widok na okno mieszkania zajmowanego przez Konarskiego. Osiedle Centrum B przypominało twierdzę, a skojarzenie to umacniały dwie baszty w narożnikach od strony alei Róż. Jedna przy Placu Centralnym, drugą od parku Ratuszowego oddzielała jedynie aleja Przyjaźni. Wyrastały nieco ponad pozostałe budynki, miały po osiem kondygnacji; dwie ostatnie jakby na osobnych nadbudówkach, a szóstą separował od poniższych szeroki gzyms. To właśnie tam mieszkał ich podejrzany.

Wysłał Markowskiego z prokuratorskim nakazem udostępnienia danych do administrującej osiedlem spółdzielni Zagórze. Andrzej zdobył adres właściciela mieszkania i pojechał do niego, przepytał go i wziął zapasowe klucze. Lewy jest pobudliwy, ale to dobrze, wsiądzie na tamtego w razie oporu. Skoro Konarski nie był zameldowany, to prawdopodobnie właściciel, powszechnym zwyczajem, nie zgłosił najmu do urzędu skarbowego. Może się opierać przed ujawnieniem informacji.

Założyli obserwację z kamer umieszczonych w dwóch samochodach. Białe seicento udało się zaparkować wewnątrz pierścienia tworzącego osiedle (pobliski śmietnik z wysokim ażurowym ogrodzeniem z drewna odpadł jako punkt obserwacyjny), granatową pandę – przy alei Przyjaźni po drugiej stronie pasa ruchu. Z kilku kamer pokazywały obraz na wylot klatki schodowej, bramę i przestrzeń, gdzie figurant może się skierować po wyjściu. Dalej już przejmie go ekipa. Inaczej nie dało się tego obstawić, bo wewnątrz osiedla stanowiło olbrzymi teren i można było je opuścić siedmioma drogami: przez cztery bramy wjazdowe i trzy przełączki dla pieszych.

Dostali do pomocy młodą dziewczynę z wydziału dochodzeniowego i gościa z VIII Komisariatu, leżącego nieopodal, na osiedlu Zgody. Po pięćdziesiątce, nieogolony, ubrany marnie, prawie wszędzie niezłe się wtapiał w otoczenie.

Furgonetka z monitoringiem stała po drugiej stronie parku Ratuszowego. Do tej pory jednak figurant się nie pokazał, ani na ekranach, ani żadnemu z funkcjonariuszy rotacyjnie przechadzających się po okolicy.

Sulima minął stoliki szachowe, teraz przykryte serwetami z papieru lub z tkaniny, które przymocowano elastycznymi taśmami do blatu stolika. To po to, aby karty się nie ślizgały. Każdy ze stolików obsadzony przez czwórkę panów siedemdziesiąt plus. Wietrzyk zawiewa, więc karty wkładają pod taśmę.

Wszedł do furgonetki, w której przed sześcioma ekranami siedział gość z wydziału techniki operacyjnej. Obok tajniak z „Osemki”, który już przed południem zdążył uwiarygodnić swój wizerunek, bo zajeżdżało od niego piwem. Nie było o czym z nim gadać.

Po niespełna dwudziestu minutach nastąpił alarm.

– Jest – powiedział technik, nie odwracając głowy. Podkomisarz pochylił się nad nim, za jego plecami stanął ten z VIII Komisariatu. Odór przetrawionego alkoholu był teraz mocniejszy.

Wychodzący z klatki schodowej mężczyzna, bardzo podobny do Konarskiego ze zdjęcia – drągalowaty blondas, nieprzesadnie dopakowany mięchem, ale grubokościsty – pokazał się najpierw w kamerze z podwórka, potem w zewnętrznej. Ruszył w dół aleją Przyjaźni.

– Gumi! – Sulima wywołał Gomułkę przez radio jego młodzieżową ksywę, której ten używał zwłaszcza w akcjach wymagających zwięzłości przekazu. – Figurant kieruje się aleją Przyjaźni na wschód, przejmujecie go.

– Tak jest – szczerknął Bartek.

Razem z dziewczyną z dochodzeniowego siedzieli w osławionej za komuny restauracji Stylowa, w alei Róż. Po chwili przemknęli na obrazie z pierwszej, a potem drugiej kamery zamontowanej

w pandzie.

– Figurant wszedł do pizzerii Tombola – zameldował Gomułka po kilku minutach. – Co robimy?

Przecież Tombola to lokal, w którym pracował Małysza – natychmiast uprzytomnił sobie podkomisarz. Zapomniał, że pizzeria mieści się w pobliżu mieszkania Konarskiego, po lewej stronie ulicy, nieco po skosie od północno-wschodniej krawędzi osiedla. O co tu biega?!

– Wejdźcie za nim – polecił. – Starajcie się jak najlepiej kamuflować, ale nie spuszczaście go z oczu. Spróbujcie zdobyć odciski palców dla rozstrzygającej identyfikacji figuranta.

Przerwali łączność, aby nie dekonspirować tamtych. Bartek i dziewczyna, na imię miała chyba Beata, weszli do pizzerii, udawali parę. Sulima wziął ze sobą tajniaka, zostawił go na ławce w najbliższym Tomboli rogu parku Ratuszowego. Kiedy Konarski wyjdzie z lokalu, facet go przejmie.

Minął północno-wschodni brzeg Centrum B i wszedł do parku Szwedzkiego, kryjąc się za „chińczykiem” zajmującym pawilonik przypominający powiększony warzywniak. Widział stąd dwie cywilnych policjantów przy szybie pizzerii, Konarski musiał siedzieć w głębi.

Obawiał się, że przesiąknie zapachem smażonego mięsa i orientalnych przypraw. Po kilkunastu minutach z powrotem przeszedł ulicę w kierunku najnowszego na osiedlu bloku, z balkonami na przemian, w pionowych rzędach, to wiszącymi, to schowanymi we wnękach.

Centrum B zostało zaprojektowane na planie trójkąta prostokątnego, położonego najdłuższym bokiem na alei Solidarności, ale uciętego tam, gdzie powinien być najostriejszy kąt. Ten czwarty, najkrótszy bok tworzył właśnie blok z balkonami. Sulima wyczytał w necie, że miał ponad siedemdziesiąt metrów długości, podczas gdy najdłuższy – blisko trzysta metrów, a dwa pozostałe – mniej więcej po dwieście czy dwieście z kawałkiem.

Jak tu czysto, zielono, przestronnie i przyjemnie – przemknęła mu przez głowę nieoczekiwana myśl. Zdarzają się korki, ale ulice są przepustowe, a chodniki szerokie.

Wszedł do wnętrza osiedla. Albo bloki wznoszono w różnych stylach, albo raczej sposoby ich wykończenia, modernizacji lub choćby odnowienia wywierały wrażenie, że budową rządziło kilka różnych pomysłów architektonicznych. Poza gmachami tworzącymi mury „twierdzy” dwa olbrzymie usytuowano też w środku. Przedszkole, plac zabaw, biały kiosk nieokreślonego przeznaczenia, dużo drzew, krzewów i trawników, coś w rodzaju miniparku. W takim wehikule czasu można by się spodziewać nawet dzieciaków w wieku szkolnym dokazujących gromadnie na podwórku. Aż takich cudów nie ma – uśmiechnął się do siebie.

Przeszedł przez pięciometrową, łukowato zwieńczoną i przedzieloną kolumnami bramę i ruszył przez park do furgonetki.

4

Przed południem informacja o znalezieniu drugiego zamordowanego dziecka ukazała się na portalu lajkidlakraka.pl, szybko została powielona przez inne serwisy, a teraz telefony na komendzie kipiały. Dzwonili ludzie zaniepokojeni, ludzie znający sprawców zbrodni, ludzie wykorzystujący okazję, aby zyskać choć dziesięć gramów własnej istotności – w tym przypadku przez opieprzenie policjanta za opieszałość. No i dziennikarze z pytaniami o szczegóły. Sygnał do mediów musieli przekazać rodzice Mateusza, ktoś z pary, która znalazła zwłoki, rzeźbiarz lub człowiek z firmy. Ale nikt z uczestniczących w śledztwie, bo widać, że pismakom brakowało konkretów oraz powiązań między obydwojma przypadkami.

Nawrocki wiedział, że kapusiem nie mógł być Obolewicz, gdyż ich niemiła znajomość zaczęła się niespełna dziesięć lat temu od tego, że zdradził dane o sprawie praktykantce z „Echa Małopolski”, która mu się podobała. Omal nie wyleciał wtedy z roboty z naganą, z dziewczyną też nic mu nie wyszło i odtąd tego nie powtórzył. Niezależnie od wad charakteru i wściekłości za odstawienie na boczny tor, nie mógł to być również Artek Sulima. Na tyle go znał. Miał silne poczucie lojalności, a przede wszystkim raczej czułby się winny, że do drugiego porwania doszło, kiedy jeszcze formalnie prowadził sprawę i nie znalazł pedofila.

Komendant zwołał na czternastą konferencję prasową.

Wit ustalił z dyżurującymi schemat zadawania pytań kontrolnych ludziom zgłaszającym podejrzanych. Przekazywali mu te sygnały i namiary. Oddzwonił do trzech osób, ale okazało się, że jeden mężczyzna jest podejrzany, bo „samotny i hałasuje w nocy”, drugi podpadł, gdyż wracając późno, parkuje samochód dwoma kołami na pasie zieleni, a dwoma w alejce prowadzącej do przepelnionego parkingu, wskutek czego utrudnia wyjazd. Trzeci przesiaduje na ławeczce przy Orliku obok kościoła Świętej Jadwigi, w czasie, gdy chłopcy grają tam w piłkę, i tego trzeba będzie sprawdzić. Nie mógł pojechać tam od razu, bo Hadyna zażyczył sobie jego obecności na konferencji.

Pewna starannie wysławiająca się kobieta przekazała przez dyżurnego propozycję, aby dowódca śledztwa odwiedził ją i wylosował jedną z dwudziestu dwóch kart tarota, która wprawdzie nie wskaże mordercy, ale naświetli problem oraz da cenne i pouczające rady. Do niej Nawrocki się nie pofatygował.

Gdy już szedł na konferencję, na wyświetlaczu telefonu pokazał się Żółwik. Zapisał córkę pod ksywą, bo dzięki temu łatwo i szybko znajdował ją w książce kontaktów.

– Serwus.

– Szeeeeść! – Zrazu pomyślał, że to nowomodne młodzieżowe przywitanie. – Dostałam szóstkę za esej. Dzięki! Dzięki! Dzięki!

– Cieszę się. Ale jaki esej i dlaczego mi dziękujesz?

– No ten, jak postać artysty, jego dorobek, niezamierzona inscenizacja towarzysząca wykonaniu wzmacniają lub zmieniają wymowę utworu. Bardzo mi pomogłeś!

– Za moich czasów nazywało się to wypracowaniem, a nie esejem. Nie wiem tylko, czy powinniśmy się cieszyć. Kiedy szóstkę podzieli się na dwie osoby, to zostaje po trójce. Kiepszczina.

– No już nie zdziwiał, to była klasyczna praca zespołowa. Kiedy drużyna wygrywa, to cała stoi na podium i wszyscy dostają złote medale. Powinniśmy to kontynuować.

– A może po prostu się zamienimy? Chętnie wrócę do szkoły, jeśli nie będę musiał zajmować się tym, co teraz.

– Słyszałam właśnie. Jejku, wierzę, że złapiesz tego zbrojnego. – W głosie Julii słychać było autentyczne przejęcie.

– Mam nadzieję. Muszę kończyć.

– Ale ja mam jeszcze jedną sprawę!

– Dzwońmy się. – Rozłączył się, mimo okrzyku protestu, bo wchodził już do pomieszczenia, w którym przykuł uwagę większości zgromadzonych.

Sala konferencyjna imienia Marka Woźniczki, przedwcześnie zmarłego inspektora, który był szefem Wita już w I Komisariacie, była utrzymana w policyjnych barwach, czyli srebrno-szarej i różnych odcieniach popielatego, z granatowymi wstawkami. Dziennikarze siedzieli przy stołach ustawionych równoległe do dwóch rzędów kolumn, policjanci – prostopadle do nich. Miejsce Wita wypadło przed mapą województwa, tak pokolorowaną różnymi odcieniami niebieskiego, że powiaty układały się w kształt smoka, Inspektora Wawelka, maskotki Małopolskiej Policji.

Na lewo miał Hadynę, dalej Chrostowskiego, Szymańskiego i rzecznika, który nastąpił w trakcie jego nieobecności, więc Wit go nie znał, nie pamiętał nawet dobrze jego nazwiska. To tamten wziął na siebie wstęp; dość umiejętnie – jak piłeczki pingpongowe ścinane z nad stołu do kosza na śmieci – odbijał też niektóre pytania dziennikarzy, zostawiając je bez odpowiedzi. Wita przedstawił jako wymarzonego kandydata na prowadzącego dochodzenie:

– Komisarz Nawrocki odnosił już sukcesy w ubiegłej dekadzie, ale żeby nie zanudzać państwa wykładem historycznym, przypomnę jedynie, że latem ubiegłego roku miał decydujący wpływ na likwidację gangu handlarzy kobietami, którego baza znajdowała się w Swoszowicach.

Pomruk aprobaty w sali. Wszyscy pamiętali wydarzenia podczas lipcowej powodzi, a ten akurat rozdział, w przeciwieństwie do innych, został dość dokładnie i publicznie wyjaśniony.

Od zakończenia rozmowy z Julią męczyło go odczucie, że powiedziała coś ważnego, co mogłoby rzucić światło na jego sprawę. To o inscenizacji, o kontekście zmieniającym postrzeganie dzieła sztuki. Może chodzi o coś związanego z tym rzeźbiarzem? Nie, to byłoby zbyt oczywiste.

– Wierzę, że każdy niekorzystny przebieg wypadków można odwrócić. To jest tak, jak we wczorajszym meczu, kiedy Liverpool wygrał z Barceloną 4:0, odrabiając porażkę 0:3 na wyjeździe. – Hadyna, który lubił błyszczeć w mediach i potrafił to robić, chyba zabrął w zbyt ryzykowne porównanie. – Podobało mi się to nawet bardziej niż finał Liverpoolu w Lidze Mistrzów, z 0:3 do przerwy i 3:3 na koniec. Tylko Dudka broniącego karne brakowało. Ale my mamy komisarza Nawrockiego i wierzę, że już wkrótce zmieni on przebieg śledztwa.

Zwrócił tym samym znowu uwagę na Wita, który musiał odeprzeć serię pytań, na ogół zasłaniając się dobrem toczącego się postępowania.

Gdy uznał, że już się poddali, znowu zaczął krążyć wokół postrzegania ludzi, rzeczy i zjawisk zmieniającego się w zależności od punktu widzenia. Ale to przecież banał. Tak się wyłączył, że nie zauważył, iż nieco niechlujny młodzian z kucykiem znowu kieruje pytanie do niego. Dopiero rzecznik go obudził. Wit podniósł wzrok na dziennikarza.

– Czy pańskie kłopoty zdrowotne już minęły? – Facet miał paskudny, porozumiewawczy uśmiešek, jakby wiedział wszystko o jego przeszłości.

– Miną dopiero, gdy złapiemy mordercę. Czuję się źle, wiedząc, że chodzi na wolności. – Studiując politologię na UJ-ocie, Nawrocki zaliczał przedmioty w rodzaju komunikowania marketingowego, *public relations*. Tam nauczył się podstaw, ale przede wszystkim zauważył, że ma talent do uprzejmego wysyłania natrętów w buraki.

Już wychodząc z sali, przez ciąg pokręconych skojarzeń, zaczynających się od złego i dobrego samopoczucia, a wiodących do niedzielnego spotkania z Żółwikiem, kiedy opowiadał jej o jasnych i mrocznych epizodach z życia artystów, Nawrocki uprzytomnił sobie, co widział wczoraj w kamieniołomie i jak to się ma do tematu eseju Julki.

5

Bartek z Beatą, zaróżowieni z emocji, musieli przylecieć z pizzerii jak na skrzydłach, bo tylko nieznacznie poprzedził ich meldunek, że figurant opuszcza Tombolę. Sprawnie przejął go facet z „Ósemki”.

– Wszystko wskazywało, że Konarski jest tam bywalcem – relacjonował Gumi. – Kelnerka i barmanka uśmiechały się do niego, witały jak starego znajomego. Zamówił dwa pizzaburgery, klasyczny i meksykański. Wiesz, to jest mięso z burgera, a ciasto z pizzy, zamknięte w kształcie

buły, do tego ser, tyle że do klasycznego wsadzają jeszcze bekon, ogórek i pieczarki, a do meksykańskiego salami, papryczki jalapeño, kukurydzę. Pychota!

– To ma znaczenie dla śledztwa? – Podkomisarz sprowadził go na ziemię. – Jedną z wad ludzi o ograniczonej inteligencji jest nieumiejętności oddania istoty sprawy w zwięzłej wypowiedzi.

– No, nie... Ale pokazuje, że spust gość ma. No i kasę, z napiwkami rzucił pięć dych, za obiad w dzień powszedni.

Beata nie mogła się doczekać, aż Gomułka dopuści ją do głosu, wreszcie bez słowa podsunęła Sulimie swoją otwartą torebkę, z której wystawała brązowa butelka po piwie.

– Wzięłam ją za szyjkę w taki widelec. – Kobieta zademonstrowała rozchyłone palce wskazujący i środkowy. – Kelnerka wyciągała piwo z lodówki, więc będą tam jej odciski, ale oprócz tego musi być sporo wyraźnych linii papilarnych figuranta. Brał ją do ręki ze trzy razy i po trochu nalewał sobie do szklanki.

– Dobra robota. – Pochwały też mają znaczenie. – Tu i tak jesteście spaleni. Weźcie to i zawieźcie na Mogiłską do laboratorium kryminalistycznego.

Na komendzie pewnie jest już po konferencji prasowej, zrobili sobie autoloda, ale może to on dorwie prawdziwego bandytę.

6

– Ładnie wybrnąłeś, Wiciu – pochwalił go ironicznie Hadyna, gdy się rozstawali się na korytarzu. Stwarzał pozory, że mniej przejmuje się sprawą, jej reperkusjami dla ofiar i ich rodzin, a nawet samej policji. – Niestety, zbyt długo tak się nie da. Kurwa, mam nadzieję, że ci dwaj chłopcy nie odjechali Czarną Wołgą.

– A to nie była miejska legenda z lat siedemdziesiątych? – Nawrocki zdziwił się, że ten sceptyk, jajcarz i oportunistą wyciąga takie sensacyjki.

– Ludzie wierzyli, że kierowca Czarnej Wołgi porywa dzieci. Mnie też tym straszono. Nikt jej nie znalazł, ale też nikt nie udowodnił jej nieistnienia. Pojawiły się nawet przypuszczenia, że to zjawisko paranormalne, na kształt UFO albo duchów. Przyszło też coś do Sulimy, co może, ale nie musi mieć związku ze sprawą chłopców. Wieczorem zrobimy podsumowanie, będę cię informował. Jak tam posiłki z Płocka?

– ...Nadadzą się. – Tamten tak gwałtownie dwukrotnie zmienił temat, że Wit dopiero w drugim tempie załapał, że pytanie dotyczy Klaudii. Nie chciał mówić Hadynie o swoich wczorajszych zastrzeżeniach wobec niej, bo jeśli jest jego wtyką, miałyby się to z celem, a jeśli nie, to tym bardziej szkoda dziewczynę pogrążyć.

– Skoro jesteśmy przy wsparciu, ktoś od Haliny ma przygotować profil tego zbrojcy. Dostali kopię materiałów sprawy, ale skontaktują się z tobą, żeby uściślić dane.

Podinspektor Halina Magoń kierowała Sekcją Psychologów Komendy Wojewódzkiej, działającą dwutorowo: uzupełniając pracę dochodzeniową oraz sprawując opiekę nad funkcjonariuszami. Wit miał z nimi do czynienia, będąc na chorobowym, a potem orzekali o jego zdolności do pracy.

– Nie jestem przekonany co do ich skuteczności – ciągnął Hadyna. – Każdy człowiek ma swojego zajoba, ale najbardziej popieprzeni są ci, co się zajmują psychologią zawodowo.

– Każda pomoc się przyda – uciął Nawrocki. – Lecę do roboty. Przypuszczam, że nie zyskaliście zbyt wiele czasu tą konferencją, a mordercę może ona wręcz sprowokować.

W pokoju otworzył w laptopie foldery ze zdjęciami z obu miejsc zbrodni. Wśród obrazów z niebieskiego roweru wodnego znalazł to samo, co widział w kamieniołomie. Podekscytowany chwycił za telefon. W Laboratorium Kryminalistycznym odezwał się Andrzej Micuła.

– Cześć, Jędrzek. Wziąłeś z kamieniołomu tę pomiętą kartkę, pomalowaną na czerwono i niebiesko?

– Tak, jest wśród rzeczy zabezpieczonych jako potencjalne dowody.

– Świetnie. Poszukaj na niej wszelkich śladów. Odciski palców, jeśli będą, najszybciej pod zdjęciami kartki. Widzę na zdjęciach, że podobna kartka była też nad zalewem. Zabraliście ją?

– Nie dało się.

– Kurwa, nie rób mi tego!

– To samo wtedy powiedziałem. Ale uwierz mi, tak była przemoknięta, że rozpadła mi się w rękach, gdy próbowałem ją wyłowić. Zresztą po paru godzinach w wodzie nie znalazłbym na niej śladów biologicznych. Tę z kamieniołomu zbadałem wstępnie, to klasyczny papier do drukarki. Raczej standardowy, uprzedzając twoje pytanie.

Komisarz uznał, że nie ma sensu strofować Micuły za tę kartkę, bo zdarzenia nie cofnie ani nie naprawi, a jeśli znajdą się ślady na egzemplarzu znalezionym w Libanie, to najprawdopodobniej takie same, jakie byłyby na tym znad zalewu.

Przeglądał jeszcze zdjęcia, powiększając je, gdy z Nowej Huty wrócili Klaudia i Imbir. Ona zamyślona, on rozochocony.

– Jest coś! – huknął z satysfakcją. – Ten chłopiec, Manuel, miał telefon komórkowy! Tak samo jak Mateusz. To znaczy, że z obydwojma skurwiel mógł się kontaktować tą drogą.

– Dlaczego nie było tej informacji w materiałach ze śledztwa Artka Sulimy? – spytał Nawrocki.

Imbir parsknął, ale Klaudia uprzedziła jego komentarz:

– Nikt o tym nie wiedział. Zadzwoiłam po drodze do Byrdowej, była zaskoczona. Powiedziała, że widywała chłopca z telefonem, ale myślała, że to pożyczony od Darka, który miał taki sam aparat. Darka, czyli tego Szreniawskiego, który wyjechał do Norwegii.

– Właśnie, powinien już przyjechać i się zgłosić – zauważył Wit. – Trzeba go sprawdzić, czy był za granicą w momencie śmierci Mateusza. Może coś będzie wiedział o tym telefonie.

– A może Manuel dostał telefon od mordercy? – rzuciła Klaudia. – Ale musiałyby go znać długo, bo miał aparat już w ubiegłym roku, kiedy rozmawiała z nim pracownica MOPS-u.

– To ciekawa hipoteza – odrzekł Wit. – Od tej kobiety wiecie o telefonie?

– Tak, ale numer był wpisany do protokołu z procedury Niebieskiej Karty – odezwał się Imbir. – Morderca mógł go poznać w ten sposób.

– Wracamy do Huty, zrobimy nalot na MOPS – zdecydował Nawrocki. – Musimy ustalić, kto mógł mieć dostęp do protokołu. Tylko wrzucę numer do Wydziału Techniki Operacyjnej. Mam nadzieję, że uda im się uzyskać szybko spis połączeń i miejsc logowania. Na dane Mateusza Matlaka czekamy drugi dzień.

– Czytałam w aktach, że informacje o telefonie Małyszki zostały ujawnione przed upływem doby. Skąd taka różnica? – zdziwiła się Klaudia.

– Poza procedurą... – mruknął Nawrocki.

– Podkomisarz Sulima załatwił to u operatora?

– Nikt nie zrobiłby grzeczności temu kondonowi – zachnął się Imbir. – Sulima był jednym z tych dzieci, które zimą trzymano w workach z sieczką, i teraz jest antypatycznym robotem. Gościem w stylu: „moczyłem się przez cztery noce, bo w ubiegłym miesiącu nie byłem najlepszy, ale teraz to już na pewno wam pokażę”. To Lewy albo Gumi musieli mieć tam znajomości. Ale tamten numer był w sieci Gadulec, a telefony zamordowanych chłopców są w innych.

– Ja też coś mam, ale bynajmniej nie nastraja mnie to optymistycznie – westchnął ciężko komisarz, gdy już stanęli na parkingu. – Przy ciałach zamordowanych dzieci leżała zabawka: piekło-niebo.

Odniosł wrażenie, że podkomendni patrzą na niego nierozumiejącym wzrokiem, a przede wszystkim – z wyczekiwaniem.

– Za komuny, kiedy brakowało zabawek, sporo różnych rzeczy służących rozrywce robiło się z papieru. Starsze dzieci grały w okręty albo w państwa-miasta, a młodsze miały między innymi piekło-niebo. Takie ówczesne origami. Mam nadzieję, że o origami słyszeliście...

– Wiciu, ale przecież tam nie było żadnej zabawki – powiedział ostrożnie Imbir, jak gdyby się obawiał, że komisarz ma starcze omamy.

– Była, tyle że nad zalewem rozmoknięta w wodzie, a w kamieniołomie rozdeptana. Piekło-niebo układa się z jednej kartki, tworząc kształt z czterema rożkami, a w środku maluje się ścianki na niebiesko i czerwono. Nie pokażę wam, bo nigdy nie potrafiłem tego zrobić. Do rożków wkłada się kciuki i palce wskazujące i rozchyła niebieskie lub czerwone wnętrza. Pierwsze oczywiście oznacza niebo, a drugie piekło. To symboliczne, bo bardzo szybko można się przenieść z nieba do piekła, więc jeśli on to zostawia przy ofiarach...

– O ja pierdołę! – przerwał mu donośny jęk Imbira.

– Sam bym tego lepiej nie ujął. To oznacza, że szukamy psychola, który ma jakiś plan. Nie przestanie zbyt szybko, a niedługo zaatakuje znowu.

7

Akurat mieli zaczynać umówione na wieczór zebranie z prokuratorem, kiedy zadzwonili z laboratorium. Wreszcie się wyrobili.

– Mamy trzy tożsame trafienia – zakomunikował Micuła.

– Jak to trzy?! – zdziwił się Sulima.

– Pierwsze zdjęte z listu, drugie z butelki, a za trzecie liczę dane z rejestru. Wszystkie należą do Rafała Konarskiego. Oczywiście na butelce były też odciski dwóch innych osób, nienotowanych, pewnie to obsługa tej pizzerii, o której mówił Gumi, kiedy ją przywiózł. Odciski na kopercie zostały częściowo starte, częściowo zamazane. Prawdopodobnie użyto do tego waty lub szmatki z odrobiną alkoholu. Natomiast na kartce z tekstem są wyraźne ślady linii papilarnych Konarskiego.

– OK, zgodność butelki z rejestrem jest w porządku. Ale list? Jesteś pewny?! Nic się nie pochrzaśniło?

– Pańskie opinie na temat kolegów z komendy są znane, panie podkomisarzu – zimno odparł Micuła. – Ale tym razem musi je pan skierować do odczynników chemicznych i komputera, bo wskazania od nich pochodzą. Niewykluczone, że chętniej pana posłuchają.

Rozłączył się, nie czekając na odpowiedź. Jaki drażliwy.

Podkomisarz zreferował rozmowę zgromadzonym. Hadyna, Lewy, Gomułka i prowadzący sprawę prokurator Krzysztof Soból patrzyli na niego głupio. Co jest, nie łapią czy są zadziwieni, jak on?

– To tak, jakby Konarski wysłał z Warszawy list z donosem na samego siebie – przetłumaczył im Artur.

– Przechuj komandos, brakowało mu emocji, więc sam je sobie sprokurował – skomentował Hadyna. – Albo po prostu gościowi winda nie dojeżdża do ostatniego piętra.

– Panie inspektorze, musimy podjąć ważną decyzję. Apeluję o powagę – tonem ni to karzącym, ni to proszącym odezwał się prokurator.

– To było na poważnie. Luźniej mogę doradzić, żeby zdjąć gościa, niech sam wszystko wyjaśni – odpowiedział zastępca komendanta.

– Macie Konarskiego pod ciągłą obserwacją? Co się z nim teraz dzieje? – Soból spytał Sulimę.

– Poza wyjściem do pizzerii, o którym panu raportowałem, nie ruszał się z domu. Wracając, zrobił zakupy w sklepie spożywczym, więc w kwestii pozostałych posiłków jest samowystarczalny.

– Pewnie siedzi w chacie i ogląda seriale – wyrwał się Gomułka.

– Albo przycina w gierki na konsoli – uzupełnił Lewy.

Prokurator milczał przez chwilę, zastanawiając się. A może chce tylko stworzyć takie wrażenie, pomyślał Artur.

– W porządku, wydam postanowienie o zatrzymaniu go – odezwał się wreszcie. – Człowiek podejrzany o tak okrutne morderstwo nie może pozostawać na wolności, chyba że zostanie oczyszczony z zarzutów. Proszę wykorzystać antyterrorystów.

ROZDZIAŁ 9

1

Mężczyzna przegląda fotografie. Palcem wskazującym prawej ręki przesuwa kółeczko w myszce, a trzema palcami lewej pociera wypukłość w kroczu. Jest ubrany w cienką bawełnianą piżamę, ale mimo stymulacji przez lekki materiał, członek twardnieje zaledwie na chwilę. Ostatnie wieści dekoncentrują mężczyznę, powodują uczucie zagrożenia. Nie może się oprzeć przeświadczeniu, że ktoś jest na jego tropie, coraz bliżej.

Poirytowany zamyka folder z fotografiami chłopców, otwiera stronę internetową, klika w artykuł o śledztwie. Niepokoi go ten policjant. *Z nieoficjalnych źródeł dowiedzieliśmy się, że komisarz Wit Nawrocki miał poważne problemy osobiste i zdrowotne. Są one jednak już historią, jak twierdzi nasz informator. Podobne wnioski można wysnuć po spotkaniu z dowódcą grupy dochodzeniowej, który wywołany do tablicy deklaruje...*

Jakie miał problemy osobiste, w tym zdrowotne? Jak można tak pisać? Nawet nie wiadomo, o co chodzi. Same aluzje. Wywołany do tablicy?! Co to w ogóle ma znaczyć? Mężczyzna parska ze złością, czyta jeszcze raz wypowiedź policjanta, z którą zetknął się już na nagraniu wideo z konferencji, opublikowanym przez jeden z portali. Ciekawe, jak byś się czuł, gdyby krzywdą spotkała kogoś ci bliskiego, myśli mściwie. Czy wyglądałbyś na takiego opanowanego i błędzącego myślami gdzie indziej, jak podczas tej konferencji? Czy ty w ogóle wiesz, co to są problemy rodzinne?

Mężczyzna wypuszcza powoli powietrze, następny oddech wciąga przez nos. Spokój. Nie ma się czym denerwować. Jest sprytniejszy i bardziej zdeterminowany od nich. Wyprzedza ich o krok, a nawet o kilka. Nie spodziewają się, gdzie uderzy znowu.

2

Markowski i Gomułka zdrzemnęli się parę godzin na komendzie, ale Artur Sulima nie zmrużył oka. Uczestniczył w odprawie z zespołem Samodzielnego Pododdziału Kontrterrorystycznego Policji, a później razem z technikiem siedział przy monitorach. Furgonetkę przeparkowali w pobliże skrzyżowania alei Róż i Przyjaźni.

Zdawał sobie sprawę, że jest trochę odsunięty od głównego nurtu decyzyjnego, realizacją miał dowodzić oficer z SPKP, ale to był koszt falstartu w sprawie chłopca znad zalewu. Wkrótce powinien odrobić to z nawiązką.

Gdyby nie ekscytacja oczekiwaniem na nieznane, kilka nocnych godzin upłynęłoby mu w morderczej nudzie. Serce wielkiej dzielnicy, praktycznie samoistnego miasta, a tu nawet porządnej burdy pijackiej nie uświadczysz. Choć pewnie w inne noce, zwłaszcza w weekendy, to miejsce nie jest aż taką oazą spokoju.

Przypomniał sobie czytane niedawno statystyki z 2018 roku. W Nowej Hucie, która niegdyś cieszyła się najgorszą sławą, teraz zdarzyło się trzynaście kradzieży samochodów oraz piętnaście bójek i pobić. Dla porównania, w śródmieściu w tym samym okresie odnotowano tysiąc czterysta kradzieży, sześćdziesiąt cztery rozboje, sto osiemdziesiąt pięć przypadków uszkodzenia ciała. A sprawcami nie byli wyłącznie przestępcy i chuligani...

No, ale i w Hucie majowe statystyki się pogorszą.

Rozmyślenia przerwało mu przybycie podwładnych, na zewnątrz furgonetki się rozjaśniło, na ulicach pojawiało się coraz więcej ludzi zdążających na pierwszą zmianę. Antyterrorysty już w nocy zajęli pozycje na klatce schodowej, powyżej i poniżej mieszkania Konarskiego.

Przed szóstą zobaczył na ekranie obraz z kamerki przymocowanej do hełmu jednego z członków grupy uderzeniowej. Wszystko ustalili wcześniej, porozumiewali się gestami dłoni i palców.

Wybija szosta. Antyterrorysty ustawieni rządkiem w korytarzu, z glauberytami przygotowanymi do strzału, osłaniają kolegę, gdy ten przykłęka przed drzwiami z kluczem, który Lewy dostał od właściciela mieszkania. Nastraszył go, że ostrzeżenie Konarskiego będzie równoznaczne z oskarżeniem o współudział w zbrodni. Coś jest jednak nie tak z tym kluczem, bo policjant długo grzebie nim w zamku, a potem odwraca się i kręci przecząco głową.

Podbiega dwójka z taranem taktycznym, trzymanym za uchwyty na wierzchu i końcu. Rozhuśtują go, wałą w drzwi w okolicach zamka i ten puszcza już po pierwszym ciosie.

Podkomisarz widzi na monitorze plecy dwóch szturmowców poprzedzających „kamerzystę”. Wbiegają do mieszkania, którego rozkład uzyskali od właściciela, od razu do sypialni. „Policja! Podдай się! Jesteś otoczony”, „Policja! Połóż się na ziemię!”, rozlegają się okrzyki.

Konarski, najwyraźniej obudzony przed chwilą hałasem powstałym przy wyważaniu drzwi, stoi na łóżku. RzUCA w antyterrorystów kłębem kołdry, która rozwija się w locie i zasłania widok z kamery. Jeden ze szturmowców puszcza serię z pistoletu maszynowego. Słychać „Puk! Puk! Puk! Puk! Puk! Puk!” wystrzałów z użyciem tłumika – wygłuszone, ale nie tak ciche, jak wydawałoby się twórcom filmów i kinomanom.

Artur Sulima wyskakuje z furgonetki, z zadartą głową przebiega skrzyżowanie alei Przyjaźni i alei Róż. Słyszy z prawej pisk hamujących opon i klakson, ale nie zwraca na to uwagi, bo na gzymsie pod oknami szóstego piętra widzi człowieka. To Konarski, w samych slipkach, przesuwa się w prawo, czepiając kurczowo szyb, okiennic, a potem ściany, które uchwytu mu nie dają. Musiał uciec natychmiast po rzuceniu kołdry i seria z peemu poszła w pustkę. Przez okno wychyla się jeden z antyterrorystów. Mierzy do Konarskiego i krzyczy: „Stój! Wróć, bo będę strzelał!”.

Konarski oddala się od niego dwoma szybkimi ruchami, bosa stopa zsuwa mu się po gzymsie. Gzyms jest szeroki, ale pokryty blachą, wilgotną i śliską po nocy. Konarski łapie równowagę, przesuwa się dalej i znowu prawa stopa zsuwa się z podłoża. Palce bezradnie drapią ścianę, opada, prawym kolanem uderza mocno w krawędź, odbija się i odpada od budynku.

Leci niespełna sekundę, bez okrzyku, i z donośnym łomotem uderza w płyty deptaka, którym w tym miejscu jest aleja Róż.

Sulima dobiega do leżącego jak połamana lalka Konarskiego. Kłęka, widzi krwawe bańki na jego ustach.

– Zabiłeś Małyszę? Powiedz! Kto wydał ci rozkaz? Co wiesz o zamordowanych chłopcach? O co chodzi w całej tej sprawie? – Dopiero teraz dociera do niego, że bez sensu jest zadawanie tylu pytań umierającemu.

Po drugiej stronie pochylają się nad ciałem Gomułka i Lewy, a Konarski, ku osłupieniu podkomisarza, szepcze z wysiłkiem:

– Gumi... Gum...

I odpływa.

3

Klaudia powtórnie czytała opis sekcji zwłok Mateusza Matlaka. Za pierwszym razem nie mogła się pozbyć niejasnego uczucia niepokoju; niczym *déjà vu*, jakby wszystko już знаła. To pewnie po prostu zbieżność wielu szczegółów ze zbrodnią znad Zalewu Nowohuckiego, z której materiały przestudiowała w poniedziałek.

Niestety, wspólny dla obu spraw był brak jakichkolwiek śladów umożliwiających identyfikację mordercy. Nie było linii papilarnych, pozostałości DNA. Raport techników z Kamieniołomu Libana dotyczący odcisków stóp stwierdzał, że całe są jedynie ślady najnowsze – pary, która odkryła ciało – a pozostałe zostały zdeptane. Zresztą raczej nie były widoczne nawet przed wizytą Roźna i jego towarzyski, bo nad ranem z niedzieli na poniedziałek pokropił lekki deszczyk, a wcześniej ziemia była twardsza.

– Morderstwa podobne jak dwie krople wódki – burknął Imbir. Zafrasowany, łokciami opierał się na biurku, a dłońmi mierzwił włosy.

Plamy opadowe, powstające, gdy ustaje praca serca, a krew przestaje krążyć i spływa w dół ciała, wskazywały, że Mateusz został uduszony w pozycji, w jakiej go znaleźli, lub ułożony w niej zaraz po śmierci. To znaczy, że spoczywał na brzuchu w trakcie stosunku. Penetracja była krótka, co wskazywałoby na jedną osobę. Chyba że gwałcieł miał pomocnika-kibica. Wszystkie te informacje zostały przekazane profilerowi, z którym mieli się spotkać jutro, razem z prokuratorem.

Badanie substancji w odbycie chłopca pokazało, że prezerwatywy użyte przez sprawcę w obu przypadkach były tej samej marki.

– Czy laboratorium nie mogłoby wykonać analizy porównawczej z różnymi prezerwatywami dostępnymi na rynku? – powiedziała na głos coś, co właśnie przyszło jej do głowy. – Talk, środki plemnikobójcze albo nawilżające mają chyba skład charakterystyczny dla poszczególnych marek. Może wyjdzie z tego coś nietypowego, a przynajmniej będziemy mieli konkretne określenie rodzaju kondoma, co się przyda, jeśli znajdziemy je u podejrzanego.

– Dobry pomysł – pochwalił ją Imbir. – Obolewicz nie wpadł na niego od razu, bo nie ma od czynienia z prezerwatywami. Jego życie erotyczne to nieśmiałe próby onanizmu zakończone fiaskiem.

– Wyhamuj, niewykluczone, że już zlecił te badania. A jeśli nie, to trzeba mu będzie je zasugerować – po raz pierwszy odezwał głęboko dotychczas zamyślony Nawrocki.

– Okej, ale jak gość tak często wali konia, to mu wzrok słabnie, co odbija się niekorzystnie na wykonywaniu obowiązków – wyszczerzył się Imbir.

– Dobra, część rozrywkową na czwartkowe przedpołudnie mamy odfajkowaną – zgasił go komisarz. – Pogadajmy o narzędziu morderstwa. Szerokość śladów na szyi jest taka sama jak poprzednio. Skóra nie została przecięta, więc to nie klasyczna garota, struna. Nie ma żadnych pozostałości, na przykład włókienek ze sznurka, drobin rdzy z drutu, co wskazuje na przewód z masy plastycznej.

– Albo drut obciążony taką masą – wtrącił Imbir.

– Racja. Ale dążę jeszcze do czegoś. Są pojedyncze, wyraźne krwawe podbiegnięcia i żadnych obrażeń obok nich. Wygląda to tak, że morderca zarzucił garotę, zaciągnął i szybko udusił

dzieciaka. W obu przypadkach tak samo, bez szarpania, ślizgania się garoty po szyi, poprawiania uchwytu. Bardzo „czysto”. – Komisarz zaakcentował to słowo. – Zastanawiam się, skąd taka biegłość. Sulima poszedł tropem wcześniejszych przypadków uduszenia garotą, ale zaprowadziło go to w boczną uliczkę. Jest ich bardzo mało, czy to wykrytych, czy nie.

– Ten morderca mógł poćwiczyć wcześniej – powiedziała Klaudia. – W niektórych szkołach walki uczą metod obrony przed garotą, więc siłą rzeczy zawsze druga osoba z ćwiczącej pary trenuje zarzucanie linki. Garota naszego mordercy na końcach ma pewnie pętle na dłonie albo takie uchwyty jak przy skakance, ale poprzeczne, co ułatwia posługiwanie się nią i wzmacnia siłę przy zaciągnięciu.

Zadzwoił telefon na biurku komisarza. Ten odebrał i powiedział: „Aha, dzięki, zejdę do niego”.

– Ponoć przyszedł jakiś świadek w sprawie chłopca znad zalewu – zakomunikował podkomendnym. – Zajmę się nim, wy jedźcie do Huty, tak jak się umawialiśmy, skończcie z MOPSEM i tym nauczycielem. Po powrocie Klaudia zrobi wywiad w krakowskich szkołach walki, czy gdzieś uczą obrony przed garotą albo posługiwania się nią.

– Zdupcamy, Kładzia, zobaczymy przy okazji, czy już posprzątało po Sulimie – szyderczym tonem odezwał się Imbir.

Na portalach internetowych pojawiły się artykuły zatytułowane: *Krew w alei Róż* i *Aleja Krwawych Róż*.

– Daj spokój, z tego, co słyszałem, akcja została przeprowadzona zgodnie z procedurami – mitygował go komisarz.

– Ale jakby Arturek pił w dzieciństwie więcej mleka z gipsem, to miałby lepszy chwyt i mógłby złapać spadającego podejrzanego – nie ustępował Imbir. – On i jego stara do chuja się nadają, przy czym w jego przypadku to wada, a w przypadku jego starej to zaleta.

– Jego stara?! – Klaudia była lekko zszokowana nie tylko treścią przekazu, lecz także tym, że kolega mówi pełnym głosem, wychodząc na korytarz.

– Stara flama. Miałem na myśli jego byłą. Chyba nie sądzisz, że mógłbym mówić coś złego o czyjejś matce. Nawet jeśli miała nieszczęście urodzić takiego zbuka.

4

Przy windzie był tłok, więc Nawrocki wysłał nią młodzież, a sam poszedł schodami. Lepsze kardio niż pedałowanie na stojącym rowerku w klubie fitness, no i mniejszy obciążenie niż przebywanie w towarzystwie Imbira.

Kiedy został sam, nie potrafił się ustrzec przed defetystycznymi nastrojami. Starał się utrzymywać tempo śledztwa, niby ciągle coś się działo, ale poruszali się po omacku; nie zdołali złapać żadnych punktów zaczepienia, wyselekcjonować wyrazistego podejrzanego z grupy przewijających się osób. Każdego szybko eliminowały alibi, okoliczności, nieprawdopodobieństwo psychologiczne. Dzięki temu nie musieli borykać się z gromadą kandydatów rozpychających sprawę, ale brakowało im obiektu, na którym mogliby się skupić.

Przetrzepali nowohucki MOPS, lecz nie odkryli nic poza sekretnym romansem dwójki pracowników. Jeden z nauczycieli Mateusza ze szkoły numer dwadzieścia osiem przy Limanowskiego mieszkał na osiedlu Sportowym, bardzo blisko Zalewu Nowohuckiego. Zanim jednak zdążyli posądzić go poważnie, okazało się, że w roli opiekuna ósmej klasy był na tygodniowej wymianie w miasteczku Erlangen, w południowo-wschodnich Niemczech. Wyjechali w poniedziałek, wrócili w niedzielę wieczorem. Jest na zdjęciach z wtorkowego wieczorku

zapoznawczego z tamtejszymi nauczycielami. Klaudia i Imbir mają się jeszcze spotkać z jego żoną, aby spytać o alibi na noc z niedzieli na poniedziałek.

Było coraz więcej telefonów od mieszkańców, dostali kolejnych ludzi do weryfikacji zgłoszeń. Policję na razie umiarkowanie atakowano, że jeszcze nie ujęła mordercy, bo media podkreślały, iż dzieci zniknęły w nocy z domów. Za to tym większy strach padł na rodziców.

Na krzeselku w biurze przepustek siedział skulony grubas w dresie i lekko drżał. Młody, włosy dość gęste, ale pozlepiane wielokrotnie zasychającym potem w pasma, pomiędzy którymi przeświecała skóra.

– Słucham pana – powiedział Wit, podchodząc, a tamten wstał i bez słowa podał mu paszport. Policjant tuż przed odczytaniem nazwiska Dariusza Szreniawskiego domyślił się, o kogo chodzi. Okazało się, że „przyjaciel rodziny” Byrdów był w należącej do Norwegii prowincji Svalbard, gdzie w odróżnieniu od reszty kraju obowiązywały paszporty. Powrót trwał tak długo, gdyż Svalbard to archipelag położony kilkaset kilometrów na północ od kontynentu, w Arktyce. Szreniawski miał w paszporcie pieczętki z czwartkową datą przybycia na wyspy, a wtorkową jej opuszczenia, ponieważ czekał na tańsze połączenie lotnicze do Oslo, potem podróżował na zmianę dwoma autobusami, trzema pociągami i promem. Nerwową reakcją organizmu pewnie spotęgowały zmęczenie i niewyspanie.

Nawrocki, widząc, że mężczyzna jest roztrzęsiony, nie ciągnął go do policyjnego gmachu – bo jego wnętrza działały na niektórych depresyjnie – ale zabrał na krótki spacer. Dzień był ciepły, duszny i pochmurny. Skręcili w lewo, oparli się o klomb na dziedzińcu ośrodka szkoleniowego. Szreniawski zerknął na wznoszące się za nimi gmach komendy wojewódzkiej, z wypisanym na elewacji adresem www.malopolska.policja.gov.pl. Jedenastopiętrowy, popielatoszary budynek z granatowymi elementami i przyczepionymi gdzieniegdzie skrzynkami urządzeń klimatyzacyjnych zdawał się go przytłaczać.

– Co miał pan robić w Norwegii? Pani Byrda stwierdziła, że wyjechał pan do pracy na farmie, ale w Arktyce chyba rolnictwo nie jest zbyt rozwinięte?

– A bo darli ze mnie łacha, że jadę doić renifery, i chyba się nie pokapowała. – Uśmiechnął się lekko. – Jestem hydraulikiem, miałem pracować w hotelu. Tam coraz więcej turystów przyjeżdża w sezonie, znaczy od wiosny do jesieni, zwłaszcza latem. Bo w zimie to przez trzy miesiące noc, wie pan.

– Wybiera się pan z powrotem? – Komisarz prowadził normalną, w miarę neutralną rozmowę, licząc, że dzięki temu wypłynie fakt mający znaczenie dla dochodzenia. Wyjął notatnik i długopis, starając się nie akcentować tych ruchów.

– Tak, pewnie. Tam nigdy nie jest gorąco, no i zarobię parę razy więcej. Za dwa lata może na jaką chatę uzbieram w Krakowie, bo mieszkać z bratem mi się sprzykrzyło.

– Skomplikowaliśmy panu plany tym wezwaniem.

– I tak bym przyjechał na pogrzeb. O wpół do pierwszej chowają dzisiaj Mańka na Grębałowie. Nawet dobrze, że pana kolega mnie zawiadomił o jego śmierci, bo Basia nie miała do tego głowy, a jej mąż to lepiej nie mówić, ledwo mnie trawi.

– A jak wyglądały jego relacje z chłopcem?

– Dobrze, no wie pan, w porządku. Jego i tak często nie ma, a kiedy był, to nie miał do chłopaka żadnych wątpliwości. I nie przeszkadzało mu, że ja jestem takim jak gdyby trzecim opiekunem. Bo ten pierwszy, jego ojciec, to wie pan, szkoda gadać – jakby go nie było. Nie wiem, czy przez trzy lata kiedykolwiek się z chłopakiem widział. Nawet na komunię nie chciał przyjechać.

– Na kiedy zaplanowano uroczystość?

– W tę niedzielę miała być. Mnie by nie było, wiadomo, ale za to na pierwszą próbę ceremonii, jeszcze przed Wielkanocą, chłopaka zaprowadziłem, bo matka źle się czuła, a ojczym jeszcze nie wrócił z Niemiec. Próba była porządna, nawet fotograf przyszedł, żeby oswoić dzieci z obiektywem. Tak mówił, jak żeśmy gadali pod kościołem.

– Nie wie pan, skąd Manuel miał telefon komórkowy? Rodzice kompletnie nie zdawali sobie z tego sprawy – Wit przeszedł wreszcie do konkretów.

– No, ode mnie. – Szreniawski wzruszył ramionami. – Kupiłem se nowy, to dałem mu stary aparat, no i kartę kupowałem za trzy dychy raz na kwartał. Żaden wydatek.

– Dlaczego trzymaliście to w tajemnicy?

– Żadna tajemnica. Nie mówiłem im, bo po co. Mańkowi też nie zakazywałem, ale jakoś nie mamie nie bąknął. Czasem im mniej rodzice wiedzą, tym lepiej.

– Nie widział pan, czy Manuel kontaktuje się z kimś przez telefon we wtorek wieczorem?

– Nie widziałem, bo piłem.

– Z kim się kolegował?

– Z dzieciakami klasy, a tak to ze mną. Kurde, miałem go zabrać na gokarty, kiedy wróce jesienią... – Mężczyzna nagle bezgłośnie zaszlochał, zakrył twarz dłońmi i zaczął się miarowo kiwać.

Wit pohamował odruch i nie poklepał go po plecach. Pozostawił go na chwilę pograżonego w rozpacz, po czym powiedział:

– Nie będę już dłużej pana męczył, proszę się zbierać na pogrzeb. Pewnie od nas też ktoś się tam pojawi.

– Muszę się jeszcze przebrać. – Szreniawski wyprostował się, ocierając przedramieniem oczy. – Fajno, jakby ktoś z policji przyszedł go pożegnać. Manio by się cieszył.

Kilka dni później Wit wyrzucał sobie, że nie zwrócił uwagi na tę ostatnią frazę, nie spytał, dlaczego chłopiec miałby się cieszyć. Nie dlatego, że ta wiedza zmieniałaby dalszy obrót zdarzeń, w czymkolwiek pomogła lub cokolwiek przyspieszyła, ale dlatego że zabrakło mu instynktu, w który tak przecież wierzył.

Tłumaczył się telefonem odebrany w drodze powrotnej do budynku komendy. Dzwonił Micuła.

– Miałeś nosa, są odciski na tej papierowej zabawce – powiedział bez przywitania i bez wstępów.

– I to niespełna po upływie doby... – nie mógł się powstrzymać Nawrocki.

– No dobra, możesz kpić. Nie do końca ci wierzyłem i dlatego nie zająłem się tym od razu. Miałem też furę innej roboty, między innymi od Sulimy. No to tak: mam dwa wyraźne odciski tego samego kciuka i to jest przebój.

– Pierwotnie musiało być ich więcej, bo przy składaniu zabawki z kartki papieru i operowaniu nią trzeba używać co najmniej ośmiu palców. Ale dobrze, że choć tyle udało się odzyskać.

– Niestety jest z tym problem; przepuściłem odcisk przez Asię, ale nie ma go nigdzie, ani w rejestrze poduchów, ani nołnejmów.

Była to demonstracja hermetycznej gwary Micuły i paru jego kumpli z krakowskiego laboratorium. Asią nazywali Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej, który de facto nosił skrót AFIS, pochodzący od angielskiej nazwy. W systemie znajdowały się obrazy linii papilarnych pobrane od podejrzanych o przestępstwa ludzi, zwanych poduchami, oraz niezidentyfikowane, zabezpieczone na miejscach ich popełnienia, tworzące zbiór N.N., czyli nołnejmów, dla magików z drugiego piętra gmachu komendy. Teraz odciski z zabawki znalezionej w kamieniołomie dołączą do tego właśnie rejestru.

Klaudia wzięła czystą kartkę formatu A4 z drukarki, której Marek czasami używał do przygotowywania firmowych raportów. Teraz pichcił coś w kuchni, a ona obiecała, że ułoży do spania brykającą Izę. Na szczęście, skończyły się już płacze i wrzaski protestu. Jakimś sposobem dowiedziała się w przedszkolu, że dzisiaj po południu będzie w Krakowie koncert Krzysztofa Krawczyka, i oznajmiła, że musi zaśpiewać mu na żywo „Parostatkiem w piękny rejs”. Dotychczas śpiewała to w domu lub samochodzie, do wtóru swojemu ulubionemu piosenkarzowi. Uwielbienie sześciolatki dla idola jej babć było niewytłumaczalne, ale zabawne i niegroźne, tyle że koncert odbywał się w ramach Juwenaliów UEK. Teren kampusu Uniwersytetu Ekonomicznego u zbiegu Lubomirskiego i Rakowickiej był zamknięty, zabezpieczała go firma ochroniarska, a Klaudia wolała nie załatwiać sobie wejścia po linii policyjnej. Zbyt wiele wydarzyło się w przeszłości, za dużo specjalnych względów spotkało ją ostatnio, więc lepiej nie zwracać na siebie uwagi.

Odmierzyła na dłuższym boku kartki krótszy bok; przykładając ekierkę, zagięła zbywający fragment pod kątem prostym i odcięła nożyczkami, uzyskując idealny kwadrat. Pozaginała go na pół wzdłuż i w poprzek. Izka kołysała się, klęcząc na krześle i opierając łokcie na stole, ale z uwagą obserwowała dłonie mamy. Klaudia obiecała jej stworzenie czarodziejskiej zabawki.

Teraz każdy z rogów zagięła do środka, uzyskując cztery trójkąty wierzchołkami opierające się w centrum kwadratu. Odwróciła kartkę na drugą stronę i znowu złożyła wierzchołki do środka, aż powstał mniejszy kwadrat. Ręce wykonywały poszczególne operacje praktycznie bez udziału mózgu. Umiała złożyć piekło-niebo, odkąd ponad dwadzieścia lat temu nauczyła ją tego babcia.

Poprawiła zgięcia, połączyła wierzchołki ze sobą, wyprostowała listki wyciągnięte spod spodu, dzięki czemu pod nimi powstały cztery schowki na kciuki i palce wskazujące. Poprawiła jeszcze spodnie zgięcia, a w środku zaznaczyła na czterech ściankach czerwone kropki i na czterech – niebieskie. Następnie rozłożyła konstrukcję, kładąc na stole kwadratową kopertę ze sterzącymi rogami.

– Czeką nas najważniejsze zadanie, musimy ładnie i starannie to pokolorować – powiedziała do Izuni, wręczając jej niebieski flamaster. Córeczka z wystawionym językiem zamalowywała naprzeciwległe duże trójkąty z niebieskimi kropkami, dotykając czołem czoła Klaudii, barwiącej resztę na czerwono.

Babcia miała też rozbudowaną wersję, w której ścianki malowała czterema mazakami: niebieskim, czerwonym, żółtym i zielonym. Do tego recytowała wierszyk: „Niebo, piekło, czyściec, raj, swoją duszę tutaj daj”, ale Nawrocki najwyraźniej tego nie znał. Czemu właściwie zataiła wczoraj, że wie, czym jest piekło-niebo? Może ze względu na spodziewane kpinki Imbira, które na co dzień przełykała gładko, ale przy komisarzy by ją żenowały.

– Premiera wymaga specjalnej scenografii. – Klaudia wręczyła Izce papierowy kwadrat, wzięła ją na ręce i piszczącą zaniósła do łóżeczka. Zademonstrowała, jak łącząc ze sobą parami te same palce, stworzyć jednolicie niebieskie niebo, i jak je zamknąć, a przytykając po jednym kciuku do jednego palca wskazującego – otworzyć czerwone piekło. Mała opanowała to w mig.

– Daj mi je jeszcze na chwilę, coś ci pokażę – poprosiła Klaudia. – Chcesz trafić do nieba, włóż tu rączkę.

Kiedy Izka wsunęła ostrożnie dłoń między ścianki, otworzyła wokół nich niebieską przestrzeń, a potem nagle przesunęła palcami i jej dłoń znalazła się w czerwonym otoczeniu.

– Bach i jesteś w piekle. Wrrr! – Klaudia kąsała papierowymi zębami paluszki zaśmiewającej się córki.

Oddała jej zabawkę. Wiedziała, że mała chwilę się nią pobawi i zaraz zaśnie, tylko trzeba usunąć się z jej pola widzenia.

– Mamuś, a można być jednocześnie w niebie i w piekle? – Pytanie dziewczynki sprawiło, że wychodząc z pokoju, zatrzymała się raptownie. Jeszcze jak, pomyślała.

– Nie można – powiedziała. – A wszystkie grzeczne dzieci pójdą do nieba, ale muszą słuchać rodziców i kłaść się wcześniej spać.

W kuchni okazało się, że doskonale zsynchronizowała się z mężem, który właśnie zdejmował z palnika jajecnicę. Żółta zawartość patelni była upstrzona zielonymi kropkami szczypiorku, a w powietrzu unosił się zapach drożdży. Marek pochodził z kujawskiej wsi, z której wyniósł między innymi niesztaampowe rozwiązania kulinarne. Choćby mózdzek wydobyty z zarżniętego świniaka, spożywany z jajecnicą i uważany za przysmak. Słyszac to, Klaudia udawała torsje, a Marek po raz pierwszy wówczas (chodzili ze sobą od bodaj trzech miesięcy) zrobił dla niej jajecnicę z drożdżami, dodawanymi do cebulki na etapie przyrumieniania. Twierdził, że ten smak bardzo przypomina jajka ze świńskim mózdzkiem. Nigdy nie porównała drożdżowej wersji z oryginałem, ale bardzo przypadła jej do gustu.

– Miałem cię już wołać. Średnio wysmażona, tak jak lubisz – powiedział, stawiając patelnię na drewnianej deseczce na stole.

Tak, jak ty lubisz, pomyślała Klaudia. To „średnio” go definiowało, nie tylko w dziedzinie żywieniowej. Nigdy nie jadł niczego mdłego ani mocno przyprawionego, gorącego ani zimnego, nie ubierał się wyzywająco ani zbyt formalnie. Nigdy nie wywołał żywiołowej awantury (ani nie dał się jej w taką wciągnąć), nie stać go było na niezwykłą namiętność, ale też nie był nudny czy inercyjny.

Zgarniała masę jajeczną z talerzyka do ust sporą łyżeczką od herbaty, bo od dzieciństwa tak najbardziej jej smakowała. Marek nakładał jajecnicę na bułkę pociętą w poprzek na małe kromeczki. Był idealnym mężem dla kogoś tak pokręconego jak ona: nie przeszkadzało mu to, co o niej wiedział, i nie wiedział tego, co mogłoby mu przeszkadzać.

– Izka zasnęła? – spytał.

– Podrajcowała ją nowa zabawka, ale powinna już zasnąć razem z nią. Nie będzie nam przeszkadzać.

– Przeszkadzać? – znacząco zawiesił głos na drugiej sylabie.

– No bo przecież tę jajecnicę zrobiłeś nie bez powodu i nie głównie dla mnie... – Mrugnęła do niego.

ROZDZIAŁ 10

1

– Wczoraj po południu było jakoś ciemnawo, a na dodatek zaczęło mżyć. Porobiliśmy zdjęcia, ale komorą w takich warunkach nie zdziałaś wiele. – Aspirant sztabowy Grzywacz wyciągnął aparat i zaprezentował na dowód kilka niezbyt ostrych ujęć. Uwieczniona na nich liczna grupa żałobników składała się głównie z dzieciaków i młodzieży ze szkoły Manuela Byrdy. – Był za to fotograf, taki wyżłowaty blondyn w skórzanej kamizelce. Ponoć współpracuje z tą podstawówką, więc gdybyśmy potrzebowali lepszych zdjęć, to możemy uderzyć do niego. Ale ja nie wierzę w mordercę wracającego na pogrzeb ofiary.

Prokurator Łukasz Szymański zaczął spotkanie od pytania o wczorajszy pochówek Manuela. Czekali jeszcze na profilerą. Przy stole konferencyjnym obok niego siedziała ta nowa dziewczyna, której nazwisko wyleciało mu z głowy. Klaudia. Naprzeciwko miał Nawrockiego, którego przy świadkach tytułował komisarzem, ale prywatnie nigdy nie nazywał inaczej niż Witkiem. Już od ćwierć wieku.

Poznali się w tej samej klasie czwartego liceum, a zakumplowali, odgrywając gromadę żydowskich dzieciaków, gdy Spielberg kręcił *Listę Schindlera*. Położenie „Czwórki” dawało najszersze w mieście spektrum możliwości wagarowania i włóczenia się po lekcjach: Wisła, Krzemionki (zwłaszcza lasek i górki za telewizją), park Bednarskiego, stadion Korony, a dalej – kopiec Kraka, Liban, Konzentrationslager Plaszow. Nigdy nie byli przyjaciółmi, ale zawsze dobrymi kolegami. Po maturze kontakty się poluźniły, choć studiowali na jednym wydziale i zajęcia mieli w tej samej części starego miasta.

Wiarę w jego zdolności śledcze Szymański opierał paradoksalnie nie na dokonaniach (choć, do czasu problemów „zdrowotnych”, były spore), ale na szkolnych wspomnieniach. Witek zawsze był przenikliwy, a nawet gdy nie przygotował się do lekcji, rzucał mądre, błyskotliwe uwagi.

Pukanie, wszedł trzydziestoparoletni mężczyzna w staromodnych rogowych okularach, a jego strój, twarz i włosy składały się kolorystycznie na szeroką paletę odcieni szarości. Marcin Sujecki, psycholog. Szymański już z nim współpracował. Profiler lubił pozować na człowieka, którym był w rzeczywistości. Chłodnego naukowca, beznamiętnie obserwującego, analizującego i komentującego rzeczywistość.

Przywitał się, przedstawił, rozdał pliki kartek z wydrukowaną opinią.

– Nie ukrywam, że stworzenie profilu sprawcy nastęrcza poważnych trudności – zaczął.

Tego zdania nie było na kartkach. Następne już tak.

– Przede wszystkim niektóre kluczowe kwestie pozostają niejednoznaczne. Seryjny morderca uaktywnia się co pewien czas. Z przerwami liczącymi się w miesiącach, a nierzadko latach. Przez ten okres czuje się zaspokojony ostatnim czynem, czerpie satysfakcję ze wspomnień, podsyca ją zdjęciami, trofeami. Ten cykl ulega później skróceniu, jednak tutaj odstęp jest zadziwiająco nikły. Oczywiście nie mamy punktów odniesienia, być może to nie są pierwsze zbrodnie tego człowieka.

– Identyczne dotychczas się nie wydarzyły. To zostało bardzo dokładnie sprawdzone – odezwał się Nawrocki. – A jeśli nawet w przeszłości ktoś został w podobny sposób uśmiercony czy zgwałcony, ale ciała nie znaleziono, bo przestępca dobrze je schował, to jest tu zasadnicza różnica – teraz ofiary nie są ukrywane.

– Ma pan rację, do tego ostatniego aspektu jeszcze przejdę – przytaknął Sujecki. – Jeśli jednak chodzi o poszukiwanego sprawcę, to wcześniej mógł dokonać czynów niepodobnych. Mordercy seksualni doskonalą swoje metody, niekoniecznie nawet pod kątem skuteczności, ale przede wszystkim – przyjemności, jaką z tego czerpią.

Sujecki gładko wpadał w ten swój ton wykładowcy wyjaśniającego zasady działania bezosobowego mechanizmu.

– Nasz sprawca prawdopodobnie brzydzi się ofiarami, dlatego nie dusi ich rękami, tylko garotą – kontynuował. – Wskazywałaby na to również krótka penetracja – tak, by szybko mieć to za sobą. Choć może też spieszyć się z obawy przed nakryciem.

– Wchodzi to w grę w pierwszym przypadku, ale w kamieniołomie nie musiał się bać, że ktoś go nakryje – powiedziała Klaudia. Bator, Szymański przypomniał sobie jej nazwisko i niejasne plotki o funkcjonariuszce z Płocka, której groziła tam sprawa dyscyplinarna. Chronił ją jednak ponoć tamtejszy komendant, który załatwił teraz ze swoim kumplem Hadyną przenosiny do wydziału kryminalnego.

– Taka reakcja może być podświadoma czy nawykowa – odparł psycholog. – Możemy też domniemywać, że morderca znał ofiary i dlatego, mimo że już nie żyły, nie chciał patrzeć na ich twarze podczas gwałtu. Wstyd i poczucie winy mogą zastępować obrzydzenie wśród jego motywacji.

– Gwałci chłopców już po zamordowaniu. Czy to znaczy, że mu nie sta... Sorry. – Grzywacz nagle się zreflektował. – To znaczy, że ma problemy ze wzrodem w kontakcie z żyjącym dzieckiem? Podnieca go uległość? Dlatego też nakłada gumkę – żeby stworzyć imitację stosunku?

Szymańskiemu wydało się, że profiler skwitował tę domorosłą psychologię pobłażliwym spojrzeniem.

– Prezerwatywy używa przede wszystkim po to, by nie pozostawić śladów biologicznych – odpowiedział, a pozostali, włącznie z Imbirem, pokiwali głowami. – W przestępstwach seksualnych chodzi o zdobycie władzy i kontroli. W przypadku nieżywego dziecka ma stuprocentową kontrolę, pełną uległość ofiary.

– To może być gej? – nie ustępował Imbir.

– Niewykluczone, ale skłaniałbym się raczej ku tezie, że nie prowadzi satysfakcjonującego życia erotycznego, ani z kobietami, ani z mężczyznami.

– Dlaczego dziewięciolatek? I na dodatek przystępujący do Pierwszej Komunii, jeden niedługo przed, drugi tuż po. – Prokurator spytał o kwestię, która poruszyła go szczególnie, bo jego młodsza córka, Oliwia, była rówieśniczką ofiar.

– Chodzi panu o pewne sacrum, jakim są otoczone te dzieci? – Profiler przybrał minę manifestującą namysł. – To może mieć dla niego znaczenie. Ale może też być zbiegiem okoliczności. Być może poluje na dzieci w określonym wieku: dziewięciolatek raczej łatwo obezwładnić, zdominować, a jednocześnie jest już dosyć rozwinięty. A dziewięcioletnie dzieci idą w maju do komunii – to właśnie ten zbieg okoliczności.

– Jaki sens, wymowę ma pozostawienie zwłok w łatwo dostępnym miejscu? – spytał Nawrocki. – Przy czym oba przypadki są różne, za pierwszym razem ciało zostało wyeksponowane wręcz publicznie. Odziera je w ten sposób z szacunku? To by nie pasowało do wstydu i poczucia winy, o których pan mówił.

– Przypuszczam, że miejsce miało znaczenie dla ofiar, z nieznanых powodów łatwo je było tam zwabić – odparł profiler. – A dlaczego nie zostały ukryte? Być może sprawca chce w ten sposób obrazić społeczeństwo, okazać swoją niechęć czy wręcz nienawiść do niego.

– A nie szydzi z policji? „Spróbujcie mnie złapać. Zostawiam wam ślad, bo jesteście łajzami i sami byście go nie znaleźli”. – Policjantka zmieniła głos, udając inną osobę, mężczyznę.

– Sądzę raczej, że do społeczeństwa, otoczenia ma żal.

– A piekło-niebo to nie metoda kontaktu z policją? – to znowu Klaudia.

– Symbolika tej papierowej zabawki jest dość oczywista: morderca przenosi dzieci z dobrego, przyjaznego świata w mrok, nicłość...

– One wcale nie miały takiego dobrego, przyjemnego życia – zaoponował Grzywacz.

– To dzieci, które częściowo żyły w świecie imaginacji, czuły się w nim dobrze, nawet jeśli ich relacje rodzinne, warunki domowe były kiepskie – podkreślał Sujecki. – Przerwał mi pan, chciałem powiedzieć, że mimo tej symboliki i stwarzanej przez nią mnogości interpretacji, pozostawianie tych zabawek to sposób rozniecenia, spotęgowania zainteresowania. A jego, niezależnie od ostrożnego, lękliwego stosunku do ofiar, podnieca zainteresowanie ludzi. Czyta, ogląda w mediach informacje na temat sprawy, śledztwa, komentarze dziennikarzy, reakcje ludzi. To ważny dla niego element zaspokojenia, obok zdjęć czy trofeów. Takich jak choćby miecz drugiego z chłopców... Mateusza Matlaka. – Profiler przerwał, aby sprawdzić nazwisko w raporcie.

– Nie wiemy na pewno, czy dzieciak doniósł miecz do kamieniołomu. I co w takim razie zabrał Manuelowi?

Szymański pomyślał, że Imbir, kliniczny przypadek faceta naładowanego testosteronem po uszy, wszystko traktuje jak rywalizację, nawet rozmowę z psychologiem, który przypuszczalnie uraził jego męską dumę. Ale partnerka najwyraźniej nie bała się mu narazić albo miała gdzieś jego uczucia.

– Oba chłopcom mógł zabrać komórki – przypomniała.

– Kogo szukamy? Jak scharakteryzowałyby pan mordercę? – Prokurator zwrócił się do Sujeckiego.

– Samotny mężczyzna, koło trzydziestki, czterdziestki. Mógł być w przeszłości żonaty, nawet mieć dzieci, ale nie mieszka i nie czuje się poważnie związany z nimi. Może mieć do czynienia z dziećmi, na przykład w pracy lub w jakiejś formie życia towarzyskiego.

– W roli nauczyciela?

– Raczej nie. Oni bywają surowi, zdarza się, że traktują dzieci oschle. Taka skaza. Ale zdrowie i życie dzieciaków jest dla nich najważniejsze. Poza tym sądzą, że morderca ma trochę uroku osobistego, sporo wyobraźni, inteligencji.

– To człowiek wykształcony? – spytał Szymański.

– Niekoniecznie. Zresztą teraz prawie każdy ma dyplom, przynajmniej licencjat. – Psycholog wzruszył ramionami. – Może robi coś twórczego. Może w sensie artystycznym, a może po prostu prowadzi własny, choćby nieduży biznes. W każdym razie jest kreatywny w dziedzinie życia, którą się zajmuje.

– Czy to może być ten rzeźbiarz? – ocknął się z zamyślenia Nawrocki.

– Żona dała mu alibi – zwrócił uwagę prokurator.

– Ale we wtorek był rano w pracy. Zwierzył się, że czasem w nocy, gdy czuje natchnienie, wyjeżdża do pracowni. Żona być może nawet nie wie, kiedy to się stało. Czy on może cierpieć na coś w rodzaju schizofrenii? Wrażliwość i duża siła fizyczna. Z jednej strony dramatyczne apele o bezpieczeństwo dzieci, a z drugiej żywi się ich cierpieniem.

– Mogłoby tak być, ale szczerze w to wątpię. – Sujecki kręcił głową podczas całej wypowiedzi komisarza. – Cała jego sztuka świadczy o niewinności. Te dzieci, sposób, w jaki je przedstawia,

świadczą o trosce o nie, ale także o głębokim szacunku dla ich człowieczeństwa, cielesności, delikatności.

Łukasz Szymański odchylił się na oparcie krzesła. Ciekawe, przeszło mu przez głowę, czy pozostali też doszli do wniosku, że wiedzą dużo więcej niż rano, a ciągle nie wiedzą nic?

– Jeszcze jedno. – Profiler podniósł palec. – Pedofile są nierzadko ludźmi molestowanymi w dzieciństwie, choć to nie reguła. Ten postępuje tak gwałtownie, brutalnie, jakby został na domiar złego ukształtowany przez dramatyczne wydarzenia.

2

Imbir wparował do pokoju rozpromieniony. Klaudia spojrzała na niego, pytająco uniosła brwi, ale nigdy by nie zgadła, co usłyszy.

– Postawiłem klocka.

– *Breaking news* – mruknął komisarz, uzupełniając w laptopie raport ze śledztwa.

– I to cię tak uradowało? – spytała, próbując nie wybuchnąć śmiechem i prostując się w jednym z ćwiczeń rozciągających: z rękami wyciągniętymi wysoko nad głową i splecionymi palcami odwróconych dłoni.

– Cieszcie się, cieszcie – z lekką urazą fuknął Imbir. – Zaraz będziecie się cieszyć bardziej. Tłumaczę, że byłem w kłopot na szóstym piętrze, bo u nas zatłoczony i śmierdzi, a wychodząc, spotkałem Pufcia z techniki operacyjnej. Mówi, że właśnie dostali lokalizacje i spis połączeń komórki Manuela, zaraz ma ci przesłać. Rozmawiał też z człowiekiem od operatora komórki Mateusza Matlaka, lada chwila mają udostępnić zestawienie. Sprawdzaleś pocztę? Masz otwartą skrzynkę mailową? Zobacz! Trzeba będzie te maile wydrukować. Mógłbyś przerzucić to do nas na pocztę, ale najwygodniej będzie analizować całość na papierze, każdy na swoim wydruku.

Klaudia widziała, że Nawrocki jest nieco oszołomiony liczbą informacji i wymagań przekazywanych mu naraz przez Imbira. Posłusznie jednak zaczął klikać myszką i otwierać przeglądarkę.

– Jest, ale póki co jeden – stwierdził. – Podłączcie mnie do tego pudła – wskazał ustawioną na parapacie drukarkę, zawierającą również skaner, faks i ksero.

Klaudia szybko znalazła odpowiedni kabelek, podłączyła też urządzenie wielofunkcyjne do prądu, bo nie korzystali z niego od wtorku, kiedy trafiło do ich pokoju z komentarzem, że prowadzą priorytetowe śledztwo, więc dostają najlepsze wyposażenie. Rozległ się szum wypływających kartek, przez który przebił się rozochocony głos komisarza.

– Pufcio przesłał mi właśnie drugiego maila. Raport Mateusza. Już drukuję. Spotkanie z psychologiem najwyraźniej uwolniło dzisiaj lawinę informacji.

Odśunęli wszystko w róg biurka i rozłożyli raporty przed sobą, każdą kartkę pojedynczo.

– Są lokalizacje: telefon Manuela wędrował od Kombinat, przez Mogilę, potem przeplata się Przewóz i Rybitwy – głośno analizował Nawrocki. – Tłumaczyli mi, że kiedy aparat znajdzie się na granicy zasięgu różnych stacji bazowych, to czasami łapie raz jedną, raz drugą.

– Drugi od Bonarki, przez Bagry, znowu Rybitwy – podjął Imbir. – Wygląda na to, Kładzia, jakby obydwa jechały do ciebie.

Spojrzała na niego spłoszona, ale zobaczyła, że szczerzy zęby.

Na zestawieniach połączeń w pierwszej kolumnie były daty i godziny, w drugiej: numery telefonów, w trzeciej: oznaczenie, czy połączenie było wychodzące czy przychodzące, a w czwartej – długość rozmowy lub adnotacja, że chodzi o SMS-a.

– Numery z ostatnich połączeń są różne. – Komisarz trzymał palce wskazujące na szczytach obu list. – Morderca mógł jednak kontaktować się z chłopcami z różnych numerów lub wcześniej.

– Przedostatni u Manuela i czwarty od końca u Mateusza są takie same – rzucił Imbir niejako mimochodem, ciągle skanując wzrokiem listy.

Zgadzało się, to były SMS-y.

– Jest! Jest! Ten sam numer wysłał do Manuela „eskę” we wtorek rano, a do Mateusza w sobotę wieczorem. – Imbir zacisnął obie pięści na wysokości barków w geście zwycięstwa. – Mamy skurwiela.

– Trzeba wysłać prośbę o identyfikację – powiedział Nawrocki. – Ale może przyspieszymy sprawę, a na pewno uporządkujemy, porównując numery z tych zestawień z kontaktami telefonicznymi, które braliśmy od osób przesłuchiowanych. Może uzyskamy identyfikację bez czekania na odpowiedź sieci, a przy okazji zobaczymy, kto najczęściej kontaktował się z chłopcami w innych sytuacjach.

W tym momencie zadzwoniła komórka komisarza.

3

To była Gosia. Wyszedł, zaintrygowany, z pokoju, bo ona na ogół nie wykonywała pierwszego kroku, to on kontaktował się z nią, żeby się umówić. Najbliższy wspólny wieczór miał być jednak wyjątkowy. Odebrał i usłyszał jej płacz.

– Kochanie, co się stało? – spytał zaskoczony.

– Jaś... on zniknął... zaginął... – wyjąkała, pochlipując.

– Jesteś pewna? Przecież nie jest jeszcze późno – starał się ją uspokoić słowami i tonem głosu.

– Pięć godzin temu miał wrócić ze szkoły... a o trzeciej ja wróciłam... i byliśmy umówieni, że pojedziemy do galerii, kupię mu koszulkę z Avengersami, którą tak chciał mieć... bo jest coraz cieplej i można już chodzić w koszulce... z tego by nie zrezygnował... nie ma go w domu... nie ma po nim śladu w domu... dzwoniłam wszędzie... nikt go nie widział po wyjściu ze szkoły...

– Kochanie, nie denerwuj się tak, na pewno jest jakieś rozsądne wyjaśnienie; Jasiak gdzieś poszedł, do któregoś z kolegów...

– W Krakowie ktoś morduje dziewięcioletnich chłopców, a ty mi każesz się nie denerwować!? – przerwała mu krzykiem. – Nie złapaliście tego zbrojcy i ja mam się nie denerwować! – rozszlochała się znowu.

– Jesteś u siebie? Przyjadę tam zaraz i razem go poszukamy – powiedział szybko, a gdy usłyszał w słuchawce coś w rodzaju potwierdzającego jęku, rozłączył się.

– Zaginął syn mojej bliskiej znajomej, muszę do niej jechać – oznajmił współpracownikom. Na obu twarzach odmalował się niepokój. Imbir wiedział, o jaką znajomość chodzi, Klaudia się domyśliła.

– Ile ma lat? – spytała.

– Dziewięć...

– Pomożemy ci go szukać! – Imbir na w pół zerwał się z krzeselka.

– Nie! Macie tu priorytetowe śledztwo. Idźcie tropem telefonów, rozplanujcie wszystkie, starajcie się rozszyfrować powtarzający się numer, ja poszukam dzieciaka. Mam, kurwa, nadzieję, że się przy nim nie spotkamy... – W ostatnim zdaniu po raz pierwszy poddał się emocjom. Poczul, że ogarnia go trwoga.

W bagażniku toyoty woził koguta, którego nigdy nie używał, ale teraz postawił na dachu. Mimo to jazda na Banacha w piątkowych, opieszale się przed nim rozstępujących, korkach zajęła mu ponad kwadran.

Gdy otwierał drzwi kluczem, który Gosia dała mu kilka miesięcy temu, przybiegła, ale na widok Nawrockiego rozczarowanie wypełzło jej na twarz. Dla kontrastu przytuliła się do niego, kryjąc twarz w zagłębieniu między obojczykiem a szyją.

Szkoła, do której chodził Jasek, znajdowała się niedaleko, przy Porzeczkowej. Wit zaparkował przed siatką ogradzającą boiska z zieloną, sztuczną nawierzchnią. Sala gimnastyczna za nimi była ozdobiona kolorowymi prostokątami podkreślającymi okna, jak makijaż oczy. Czerwone w dwóch odcieniach, a żółte – w trzech, przechodzących niemal w pomarańcz. Na pozbawionych okien bocznych ścianach widniały jeszcze większe, pionowe, ale równie barwne kształty. Komisarz poczuł irracjonalny powiew optymizmu.

Małgorzata rozmawiała wcześniej z wychowawczynią, ale nie dodzwoniła się do nauczycielki angielskiego, która miała z Jaśkiem ostatnią lekcję. Teraz znaleźli ją w szkole; okazało się, że udzielała prywatnych korepetycji, ale wróciła na zebranie. Wezwana przez portiera, wyszła im na spotkanie wesółą, bardzo młoda blondynka, pewnie niedługo po studiach. Paulina Adamus, przedstawiła się z szerokim uśmiechem. Spoważniała, słuchając, co przywiodło tu jej gości.

– Ależ ja go widziałam wsiadającego do samochodu z Bartkiem Woźniakiem. Jego mama była za kierownicą. Zupełnie niegroźnie i bezpiecznie to wyglądało. – Patrzyła na nich szeroko otwartymi, niebieskimi oczami.

– Jest pani pewna? – spytał Nawrocki. Jego towarzyszka jakby zaniemówiła i tylko miarowym ruchem dłoni pocierała szyję.

– Tak, wychodziłam też w tamtym momencie, bo miałam niespełna dwadzieścia minut, żeby dotrzeć na Żabiniec.

– Ale... ale ja dzwoniłam do Bartka, który powiedział, że Jaśka nie ma u nich, a ostatnio widział go po zakończeniu lekcji – bezbarwnym głosem powiedziała Gośka.

– Sprawdźmy to, pojedziemy tam – przejął inicjatywę. – Gdzie oni mieszkają?

– Przy końcu Piastowskiej, już za Rudawą – odparła anglistka.

– Tak daleko?

– Wcześniej Woźniakowie mieszkali tutaj na Górcie, rok temu kupili mieszkanie w nowym apartamentowcu – wyjaśniła. – Bartek jednak był bardzo przywiązany do naszej szkoły, przede wszystkim do kolegów, i wymógł na rodzicach, że zostanie u nas. Mama go przywozi i odbiera.

– Rozumiem. Czy korzystając z okazji, możemy zobaczyć jeszcze rzeczy Jasia? Nie wiem, szatnię, szafkę? Może coś zostawił, jakiś ślad...

– Szatnię, hm. – Nauczycielka uśmiechnęła się z zakłopotaniem. – To zwyczajny boks, bardziej przystosowany dla gimnazjalistów, tyle że dla nich z kolei był ciasny. Są tam zaledwie haczyki, na których dzieci wieszają kurtki czy inne ciuchy. Za to w klasie każdy uczeń ma własną szufladę przy stoliku, gdzie wkłada książki, zeszyty, czasem przybory lub inne prywatne rzeczy.

Paulina Adamus zabrała klucz z portierni i poprowadziła ich do klasopracowni przypisanej do drugiej B, do której chodził Jasek. W jego szufladzie znaleźli kilka książek i zeszytów ćwiczeń.

– Jeśli nie ma zadania domowego z danego przedmiotu, dzieci zostawiają pomoce do niego tutaj, żeby nie dźwigać ich niepotrzebnie – wyjaśniła nauczycielka, widząc zdziwione spojrzenie komisarza. – A niektórzy, co zdolniejsi, odrabiają zadania już w czasie lekcji, nawet z innego przedmiotu. Niekoniecznie z pilności, ale żeby mieć wieczorem w domu spokój. Jasek tak robił; wiem, bo go przyłapałam.

Nawrocki przekładał podręczniki. Jasnozielony o tytule *English Adventure* miał na okładce samolot z uśmiechem rekina i zezującymi oczami.

– Ja akurat nic dzisiaj nie zadałam. A zobaczymy ćwiczenia z nauczania wczesnoszkolnego. – Wzięła z rąk Nawrockiego książkę z wieloma barwnymi postaciami i przedmiotami na okładce, pod wybijającymi się wielkimi białymi literami *KLASA 2 i 3*. Przekartkowała. – Zadania z matematyki na poniedziałek ma rozwiązane. On jest bardzo bystry, tylko nie zawsze komunikatywny...

– Ciągłe czytał, nosił, układał i segregował komiksy. Tutaj jednak nie ma żadnego – powiedział Nawrocki ni to do siebie, ni to do nich.

– Dzieci nie zostawiają w szufladach takich cennych rzeczy. – Tym razem nauczycielka przybrała teatralnie poważną minę. Chyba nie potrafiła martwić się niczym zbyt długo. – Na podręczniki nikt się nie połakomi, a jeśli nawet – mała strata. Z komiksami i zabawkami jest odwrotnie...

Piątkowe korki nie zdążyły się rozładować do wieczora, na dodatek w kwartale wyznaczonym przez Błonia, Aleje, Reymonta i Piastowską spotęgowały je samochody kibiców zmierzających na mecz Wisły. Nie chciał używać sygnału, wszędzie były patrole, poza tym pogodził się z faktem, że pośpiech niczego nie zmieni. Zadzwoił na komendę, nie było jednak żadnych zgłoszeń. Na razie zachowywał dyskrecję, nie mówił ani o zniknięciu Jaśka, ani o swojej relacji z nim. Nie do końca zresztą wiedział, w jaki sposób go przedstawiać i czy jego obecne śledztwo wiąże się z tym zniknięciem.

– Odrobił zadania, był już gotowy na weekend i na poniedziałek – powiedziała Gosia i się rozszlochała. Pogłaskała ją po głowie, ale trudno mu było znaleźć słowa pocieszenia.

Dość szybko przestała płakać. Wytarła oczy, wysmarkała nos, a potem przez resztę drogi wyciągała z paczki chusteczki higieniczne i ugniatała je w nieduże kulki.

Twarz targanej strachem i rozpaczą Gosi była wytłumaczeniem i przepustką, gdy dotarli już do dwupiętrowego budynku, którego ściany składały się w połowie ze szkła, a każdą kondygnację obiegały ze wszystkich stron tarasy, i stanęli przed mamą Bartka. Obie panie знаły się zresztą ze szkolnych okazji.

– Och, tak mi przykro. Pomyśleć, że widziałam Jasia zaledwie pół dnia temu – westchnęła pani Woźniakowa, która najwyraźniej szykowała się do jakiejś oficjalnej imprezy, bo założyła czarną, elegancką sukienkę i znaczną ilość złotej biżuterii. – Podwoziliśmy go, faktycznie, ale tylko do 29 Listopada. Chciałam nawet zajechać pod blok, ale powiedział, że chce jeszcze coś kupić w sklepie spożywczym.

– Nie mówił, jakie ma plany na resztę popołudnia? – spytał Nawrocki.

– Nie, chyba wyraził się, że zrobi zakupy i idzie do domu – zastanowiła się kobieta. – Chłopcy coś paplali między sobą na tylnym siedzeniu, ale wyłączyłam się jak zwykle, rozmyślałam o czekającej mnie jeszcze telekonferencji. Pracuję często zdalnie, na drugim etapie opiekuję się synem, co razem daje mężowi asumpt do towarzyskich żartów, że siedzę w domu – kropką na końcu tego zdania była poirytowana mina.

– Czy korzystając z okazji, moglibyśmy zadać Bartkowi kilka pytań? Może Jasiek kontaktował się z nim niedawno, może będzie miał pożyteczne informacje – poprosił komisarz.

– Tak, oczywiście, proszę za mną. – Woźniakowa odwróciła się i poprowadziła ich do salonu.

Dębowe parkiety, obrazy na ścianach, ozdoby, ciężkie, wyglądające na zabytkowe, meble. Zapach bogactwa mieszał się z wonią markowych perfum.

Wołany przez mamę Bartek przybiegł, z rozpędu powiedział „dzień dobry” do Małgosi, ale na widok Nawrockiego zastygł jak wmurowany. Znalazł sobie miejsce najdalej od niego i unikał jego

wzroku. Dlaczego on tak się mnie boi?! – zastanowił się komisarz.

Opowieść Bartka o ostatnim spotkaniu z Jaśkiem nie różniła się znacząco od sprawozdania jego mamy.

– A o czym rozmawialiście? – spytał Nawrocki.

– No, normalnie, jak zawsze. Bo ja wiem... – Chłopiec oglądał sobie pantofle.

– Jasiek mówił, co chce robić po południu?

– No mówił, bo nawet go zapraszałem, żeby jechał do nas. Ale powiedział, że idzie do chaty pograć teraz w *Minecrafta*, bo wieczorem pewnie mu starsza będzie brzęczeć. Znaczący mama, znaczący pani. – Zerknął na Małgosię z miną winowajcy.

– Mówi o mnie „starsza”? – spytała.

– Eee, nie. To ja tak mówię o mojej mamie, Jasiek mówi: matula.

– Nie rozmawiałeś z nim już później? – wrócił do tematu Nawrocki.

– No nie, nie widziałem go.

– A przez telefon?

– Jasiek nie ma przy sobie telefonu.

Wit aż zamrugnął oczami na widok emocji przemykających przez twarz dziewięciolatka, do którego natychmiast dotarło, że się wygadał. Zobaczyły je też obie kobiety.

– Skąd wiesz? A gdzie jest jego telefon? – ich pytania nałożyły się na siebie.

– A może powiesz po prostu, gdzie jest Jasiek. – Wit przechylił się w stronę chłopca.

Ten skulił się na fotelu i schylił głowę.

– Bartosz! – huknęła jego mama, stając nad nim i kładąc ręce na biodrach.

Ten, o dziwo, popatrzył teraz wprost na komisarza.

– Bo pan jest tym policjantem, prawda?

– Zgadza się.

– Jasiek pożyczał nam takie stare komiksy o kapitanie Żbiku i mówił, że pan jest lepszy od niego. Dissowaliśmy trochę z tego, to powiedział, że pan może namierzyć człowieka migiem po komórce. W końcu się założyliśmy, że wezmę jego smartfona i gdzieś go schowam, a on pana poprosi jutro, żeby pan namierzył. Ale nawet nie zdążyłem go wynieść z chaty, a pan już przyszedł.

Ciekawe, co powiedziałyby te dzieciaki, gdyby usłyszały, ile dni trzeba było czekać na połączenia i lokalizacje telefonów zamordowanych chłopców, pomyślał komisarz. Z kontekstu pjął, że dissować to kpić, naśmiewać się.

– Unieważniam ten zakład. Przynies, proszę, telefon Jaśka – powiedział łagodnie.

Bartek wyszedł, a jego mama ciągle stała z rękami na biodrach i kręciła z niedowierzaniem głową.

Nad Błoniami unosiły się obłoczki, kłęбки i pasemka mgły, bo ciepły, wilgotny dzień przeszedł w chłodny wieczór. Jasną poświatę rzucały na nie jupitery stadionu Wisły. Nie znali hasła do telefonu Jaśka, nie mogli sprawdzić, jakie SMS-y dostał, kto do niego dzwonił. Czy kontaktował się z nim numer, który znaleźli na zestawieniach telefonów Manuela i Mateusza?...

Postanowił, że pojedą do domu, sprawdzą dla porządku, czy Jasiek nie wrócił, i wtedy zgłosi jego zniknięcie. Trzeba też zwrócić się do operatora po spis połączeń. Powinno być prościej, bo telefon był zarejestrowany na Gosię. O ile w weekend dostaną te dane...

Minął koncert łomocący po lewej w studium wychowania fizycznego dwóch uczelni oraz grupę zawianych, tańczących lub bijących się, studentów – po prawej. Akurat zatrzymał się na światłach przy skrzyżowaniu z Czarnowiejską, gdy zadzwonił Imbir.

– Macie coś? – spytał Nawrocki bez przywitania.

– Wiciu, ta sprawa robi się coraz dziwniejsza. Pomieszenie kurwy z diabłem – niemrawo wystękał Imbir. – Ci z telefonii spisali się tym razem, szybko dali nazwisko gościa, który wysyłał SMS-y do dzieciaków. Nazywa się Mariusz Grzelak, trzydzieści lat. Problem w tym, że na tej liczbie się zatrzymał dziesięć miesięcy temu. W lecie ubiegłego roku zmarł w trakcie wczasów na Rodos.

ROZDZIAŁ 11

1

Jasiek leżał w ciemnym, ciasnym pomieszczeniu i coraz bardziej się bał. Nie mógł się ruszać, obezwładnione nogi i ręce z chwili na chwilę drętwiały mocniej. Bolała go pupa, poraniona przez coś twardego. Za cienką ścianką słyszał jednostajny szum i huk, który zagłuszał wszystko. Gdy się obudził, zawołał kilka razy o pomoc, ale jego głos zginął w hałasie.

Wiedział już, że sam nie zdoła się uwolnić, na sposób Clarka Kenta, kiedy więzili go i torturowali generał Sam Lane i Lex Luthor.

Był głodny i chciało mu się pić. Ale by zjadł teraz te dwa batoniki Knoppers, które kupił w Kefirku przy 29 Listopada! Niestety, zostały w plecaku.

Strasznie żałował, że wpadł na ten głupi pomysł, a potem odważył się tu przyjść.

Muszę być dzielny, powtarzał sobie, bo inaczej już nigdy nie zobaczę mamy. Mamusiu!

2

Artur Sulima został zaproszony na drugą część narady, pierwsza miała być poświęcona zniknięciom dziewięcioletnich chłopców. Odrobinę się spóźnił, bo zadzwonił do niego grafolog, że opinię pisemną wyśle w poniedziałek, ale podstawowe ustalenia może przekazać już teraz. W efekcie podkomisarz rozminął się z Imbirem i Klaudią. No i ekstra, nie musi oglądać przy sobocie tego opasłego ryja.

Przy stole siedział za to zgaszony Nawrocki. Artur nawet mu współczuł. Ale gdyby go nie odsunęli od tej sprawy, może złapałby zboczeńca przed piątkiem i synek jego dupy nie zostałby porwany.

Obecni byli Chrostecki, Hadyna i Mania.

– Mów, Artek, do czego doszliście – poprosił ten ostatni. Naczelnik wydziału kryminalnego był najbardziej z nich mu przychylny.

– Wszystkie dowody wskazują, że Konarski zamordował Małyszę w hotelu JB – zaczął podkomisarz. – W jego mieszkaniu w Centrum B znaleźliśmy pistolet czarnoprochowy, który wcześniej należał do Małyszy, są na nim odciski palców zamordowanego. Poza tym taktyczny nóż myśliwski z wygrawerowanym na rękojeści imieniem Konarskiego – Rafał. Nie ma na nim wprawdzie żadnych śladów, ale mógł zostać umyty, a idealnie nadawał się do tamtej zbrodni. Dalej, znali się. Obsługa Tomboli zeznała, że podczas wizyt Konarskiego, jeśli nie było ruchu w pizzerii, Małysza wychodził z kuchni i ucinali sobie pogawędkę. I co najważniejsze, w laptopie, który znaleźliśmy w mieszkaniu, domyślnym kontem do logowania na stronie Facebooka jest Maniek Baniek, czyli to, które posłużyło do zwabienia Małyszy do hotelu!

– Ale to sprzeczność – zareagował komendant wojewódzki. – Po co oszukiwał go za pomocą fikcyjnego konta, skoro znał go dobrze i mógł umówić się z nim w prostszy sposób?

– Nie znamy dokładnie ich relacji, być może Małysza nie ufał Konarskiemu na tyle, by spotkać się z nim poza pizzerią – odpowiedział Sulima. – Szukamy czegoś, co mogło ich łączyć lub poróżnić w przeszłości. To może jednocześnie dać odpowiedź na pytanie o motywy. Małyszę, jak wiadomo, skazano za rozbój. Konarski w młodości ukradł samochód, prawdopodobnie niejeden, ale od kilkunastu lat nie był o nic oskarżony. Inna rzecz, że znaleźliśmy u niego komplet narzędzi ślusarskich, mogących służyć także do włamań. Nawiasem mówiąc, sam sobie zmienił zamek w wynajmowanym mieszkaniu. Jadę w jego rodzinne strony, do Limanowej, poszukam znajomych, ewentualnych tropów.

– Co z tym powiązaniem z porwaniami i morderstwami chłopców? – zadając to pytanie, Hadyna zerknął kątem oka na Nawrockiego.

– Nie ma żadnych śladów, które wskazywałyby na związek Konarskiego z dotychczasowymi dwoma morderstwami chłopców – odparł podkomisarz. Nawrocki spojrzął na niego i wtedy Sulima zrozumiał, że zwrot „dotychczasowymi dwoma” był sporym faux pas. Trudno, jest policjantem, nie powinien oczekiwać, że ktoś będzie się z nim pieścił. – Zresztą nie ma w mieszkaniu innych śladów biologicznych poza należącymi do Konarskiego. Zanim się wprowadził, drugiego stycznia, zostało dokładnie wysprzątane. Nikt go nie odwiedzał, choć według opowieści sąsiadów Konarski w niektórych okresach wychodził często, czasem nie było go długo. Jedyne powiązanie ze sprawą dzieci to podpis biologicznego ojca Manuela pod listem, który dostałem.

– Co z nim?

– Stołeczna wreszcie zgarnęła Pasternaka wczoraj wieczorem, przesłuchali go, wszystkiemu zaprzeczał, strasznie był zdziwiony tym listem. Powtarzał, że nic go nie łączy z Krakowem, nawet na pogrzebie nie był, choć może by nawet pojechał, ale miał superfuchę. Zakładał instalację elektryczną w luksusowym domku na Roztoczu. Durny kutas.

– Ale czy ten list nie przyszedł do ciebie dlatego, że byłeś zaangażowany w sprawę Manuela? W poniedziałek poza komendą jeszcze nikt nie wiedział, że zostałeś przesunięty do innego śledztwa, gazety pisały o tobie w kontekście znaleziska nad zalewem. – W takich, choć niezbyt licznych sytuacjach słuchacze Chrosteckiego przypominali sobie, że awanse zawdzięczał także inteligencji i przenikliwości.

– Niewykluczone – przytaknął Sulima. – To też badamy. Mamy znoszące się dowody, że sam Konarski napisał i wysłał ten list oraz że na pewno tego nie zrobił. Na kartce są jego odciski palców, najprawdopodobniej był w poniedziałek w Warszawie. W mieszkaniu znaleźliśmy dzinsy poplamione czerwonym sosem. W kieszeni był bilet powrotny z Warszawy do Krakowa pociągiem intercity o siedemnastej pięćdziesiąt, do tego rachunek z Burger Jamy, takiego popularnego fast foodu przy Wspólnej. Z datą szósty maja, godzina czternasta trzydzieści cztery.

– Mówiłeś, że grafolog cię zatrzymał. Co stwierdził? – Podkomisarzowi przyszło do głowy, że zwierzchnicy zachowują się tak, jakby się podzielili zadaniami; zadawali pytania na przemian, po jednym. Teraz przyszła kolej na Sławomira Manię.

– List najprawdopodobniej jest pisany lewą ręką. Z urzędu miasta w Limanowej ściągnąłem kopię wypełnionego przez Konarskiego podania o wydanie dowodu osobistego. Pisał tam oczywiście prawą ręką i nie używał drukowanych liter, jak w liście, ale grafolog uważa, że to nie mógł być on. Treść też na to nie wskazuje. Ten zwrot o znieprawieniu młódki jest taki staroświecki, jakby to pisał stary człowiek. Nie ma żadnego błędu ortograficznego, choć jest parę miejsc, gdzie mógłby je zrobić. Obecnie to nie takie oczywiste nawet u ludzi z wykształceniem. A Konarski skończył zawodówkę.

– Może on sam powie?

– Marne szanse. Operowali go, teraz utrzymują w stanie śpiączki farmakologicznej, ale mózg ma obrzęknięty jak piłka, urazy narządów wewnętrznych.

– Czyli co, mamy nieboszczyka, który pisze SMS-y do dzieci, porywa je, gwałci i morduje, a także półtrupa, który doniósł policji sam na siebie, ale list dał do napisania ghostwriterowi? – sarkastycznie skomentował Chrostecki. – To może założmy komórkę zajmującą się sprawami nadprzyrodzonymi, jaką FBI ma w tym serialu...

– Z *Archiwum X* – podsunął Sulima.

– Lepiej stwórzmy team jak w *Pogromcach duchów* albo *Facetach w czerni*. – Hadyna wybuchnął rubasznym rechotem.

– Jakby tego wszystkiego było mało, facet po upadku, kiedy próbowałem coś z niego wyciągnąć, powiedział tylko „Gumi” – westchnął podkomisarz. – Lewy do dzisiaj robi sobie jaja z Gomułki, a ogłupiały Bartek codziennie mnie przekonuje, że nigdy wcześniej nie miał do czynienia z Konarskim.

– Może nie Gumi, ale Gumiś? – po dłuższej pauzie Nawrocki ocknął się z letargu.

– A co to zmienia? – cierpko spytał Sulima.

– Jeśli ten Konarski miał coś wspólnego z kradzieżami samochodów i obracał się w Małopolsce, to mógł współpracować z Sylwestrem Augustynkiem, który przez parę lat kierował gangiem przemycającym i sprzedającym bryki skrojone na Zachodzie. Ale sławę zyskał ćwierć wieku temu jako pierwszy terrorysta Trzeciej RP. Przez niego zostałem policjantem...

– A kolega Witold Chrostecki dzięki niemu jest teraz komendantem. – Hadyna powiedział to niezwykle serio, wskutek czego zabrzmiało śmieszniej.

– Ale też poznałem ciebie, każde szczęście równoważy się pechem – skontrował kolega. – A poważnie: po paru ciężkich akcjach, ewakuacjach dworców i szkół, odcinaniu całych kwartałów miasta, tonowaniu paniki ludzi, zrozumiałem, że nie chcę tego robić przez całe życie i poszedłem do szkoły oficerskiej. Chętnie brali chłopaków, którzy wiedzieli, co to szeregową służbą w prewencji.

– A ciebie, Wiciu, co skusiło do służby? – Hadyna szturchnął łokciem Nawrockiego.

– Miałem szesnaście lat i niesamowicie działało mi to na wyobraźnię. Obawy mieszkańców, chaos w mieście, pociągi zatrzymujące się w Płaszowie bądź niewyjeżdżające z Głównego. Nie było jeszcze wtedy galerii handlowych, więc podkładał bomby na dworcach. Zaczął pierwszego września, na pekaesie. Wcześniej zadzwonił do „Echa Małopolski” z informacją.

– Gość wiedział, czym to się je – włączył się Chrostecki. – W latach sześćdziesiątych służył w desancie i wysłali go do Riazania na kurs dywersji.

– A nie w Piasecznie był szkolony? – Hadyna przekrzywił głowę.

– Nie, mówię ci, że u kacapów. Uczyli ich konstruowania bomb z cywilnych składników, na przykład nawozów sztucznych. Ale w tej pierwszej torbie znalezionej na pekaesie był ładunek amonitu, używanego do rozsadzania skał w kamieniołomach. Z elektrycznym zapalnikiem czasowym, tyle że rozłączonym.

– No i przy bombie był list z żądaniem okupu: pół miliona dojcze marek – uzupełnił Nawrocki. – Podpisał go „Gumisie” i od tego wzięło się przezwisko. Potem już sam się przedstawiał jako Gumiś. A Cimoszewicz, który był wtedy ministrem sprawiedliwości, wyznaczył nagrodę za informacje, które pozwoliłyby na ujęcie go. Sto milionów ówczesnych złotych, czyli niezbyt wielka kasa, ale dodatkowo pobudziła marzenia licealisty, że jestem gliniarzem z filmu, a łapię terrorystę, który pojawił się w prawdziwym życiu.

– Dobrą masz pamięć, Wiciu – z uznaniem skonstatował Hadyna.

– Ze względów sentymentalnych interesowałem się później Augustynkiem. Nawet parę lat temu rozmawiałem z jednym starym śledczym, zaangażowanym w tamtą sprawę. Nieco wcześniej Dudę wybrali na prezydenta i Romek skojarzył, że ten Kędryna, który pomagał mu w kampanii wyborczej i został szyszką w kancelarii, ponad dwadzieścia lat wcześniej miał praktyki dziennikarskie albo staż w gazecie. Gumiś zadzwonił na telefon, przy którym akurat siedział, a chłopak był przytomny, przekazał informacje, gdzie trzeba. Nasi poprosili więc, żeby już zawsze pilnował tego aparatu, bo znajomy głos buduje zaufanie. I odtąd rozmawiał z Gumisiem, gdy ten dzwonił ze wskazówkami, gdzie będzie bomba albo gdzie złożyć okup.

Sulima z lekką ironią patrzył na panów w średnim wieku snujących gawędę w stylu „kiedyś to było”, ale zdawał sobie sprawę, że to dla nich ucieczka od ostatnich problemów, na które nie potrafią znaleźć remedium.

– Niestety, wtedy podłączyli się wariaci, ciągłe telefony, alarmy – skrzywił się Chrostecki.

– Augustynek mieszkał chyba w Trzebini? – po raz pierwszy odezwał się Mania.

– No, były nawet takie dżezy, że gdy wreszcie go namierzili i wpadli do niego na kwadrat, on siedział na ławeczce na podwórku i się przyglądał, a oni go nie poznali – ożywił się Hadyna.

– Przynajmniej sam tak utrzymywał – zaznaczył Nawrocki. – Wpadł później w Koszalinie, gdy chciał wyrobić dowód osobisty na inne nazwisko. I to jest chyba najbardziej poruszające w jego historii. Wtedy był tak głośny, że mimo znacznie skromniejszych niż dzisiaj kanałów informacyjnych wiedzieli o nim wszyscy. Jego zdjęcie wcześniej opublikowano w gazetach, więc urzędniczka go rozpoznała, choć miał brodę i wąsy. Potem do tego stopnia popadł w zapomnienie, że choć w styczniu ubiegłego roku umarł na udar w celi w Nowym Sączu, do dzisiaj media nie podały tej informacji.

3

– Szlag, gorąco się robi, lato idzie na moją zgubę – burknął Imbir.

Zatrzymali się na stacji benzynowej po zjeździe z „deteeski”, żeby skorzystać z ubikacji. We wczesne sobotnie popołudnie na samochodowym termometrze było ponad dwadzieścia stopni.

– Lata też nie lubisz?! – zdziwiła się Klaudia.

– Bo nie lubię spoconych bab i ciepłego piwa.

– Ale z tych wszystkich bab ty pocisz się najbardziej?

Stali po obu stronach vectry. Imbir wyciągnął nad dachem prawą dłoń wierzchem odwróconą w jej kierunku i przebierał palcami.

– Powiedz „stop”.

– Stop.

Na tę komendę schował wszystkie palce poza środkowym. Klaudia parsknęła śmiechem. Nie знаła tego.

Jechali do Gliwic przesłuchać byłą żonę Mariusza Grzelaka, Simonę. Byli w separacji, gdy latem ubiegłego roku wyjechał na wczasy na Rodos. Już z nich nie wrócił, utopił się podczas kąpieli. Znalaziono go po kilku dniach, ryby tak wygryzły mu twarz, że nie można było jej rozpoznać, badanie krwi wykazało, że w chwili utonięcia musiał być pod wyraźnym wpływem alkoholu. Miejskowa policja porównała odciski palców trupa z tymi z pokoju hotelowego zajmowanego przez Grzelaka. Do tego identyfikacja paru rzeczy osobistych, które na nim znalaziono.

Grzelak prowadził bujne życie seksualne, policja przesłuchiwała dwie kobiety, z którymi spędził noce w trakcie pobytu na Rodos, ale nie powzięła żadnych podejrzeń. Według zeznań

pracowników hotelu nie były jedynymi, z którymi się spotykał, lecz nikt nie miał ochoty zgłębiać tematu. Orzeczono wypadek bez ingerencji zewnętrznej. Śmierć gościa była niefortunnym zdarzeniem, powiększanie rozmiarów tragedii, a więc i rozgłosu, przez sugerowanie morderstwa popełnionego na wyspie żyjącej z turystyki nie leżało w interesie miejscowych.

To ostatnie zdanie było własnym komentarzem podkomisarza z katowickiej komendy, który przysłał im kopię raportu otrzymanego od greckiej policji, wraz z tłumaczeniem wykonanym już w Polsce.

Zwłoki nie zostały sprowadzone do kraju, lecz skremowane na greckiej wyspie. Podczas porannego zebrania z wierchuszką wydziału Klaudia wysunęła hipotezę, że morderstwo zostało sfingowane i sprawcą jest właśnie Grzelak, co spotkało się z życzliwym zainteresowaniem zgromadzonych. Co nie zmieniało faktu, że morderca ciągle był duchem. Klaudia była zadowolona, że mogła się wyrwać z Krakowa, gdzie nastroje oscyływały między wściekłością a zagubieniem, przy czym to drugie potęgowało pierwsze.

Aby się uwolnić od tamtych myśli, spytała Imbira o kwestię, która intrygowała ją od kilku dni.

– Zauważyłam, że Nawrocki stale nosi glocka.

– I co w związku z tym?

– No wiesz, jeśli masz pistolet, to musisz być gotowy go użyć, a w tym przypadku skutek często jest śmiertelny. Wbrew pozorom ściągasz na siebie większe zagrożenie, niż gdybyś go nie miał.

– Po pierwsze, nie nosi go zawsze, tylko gdy toczy się śledztwo. Polowanie na drapieżnika, jak on to nazywa. A na polowaniu powinieneś być uzbrojony.

– Ale musisz uważać, żeby ktoś nie użył go przeciwko tobie.

– Nie obawiaj się, jemu nie brakuje zdecydowania. Czeceńskiemu reketierowi, który wyłupił dłużnikowi oczy, wypalił w ryj z raketnicy, sygnałówki. Tamten mógł być pierwszym Sithem żyjącym poza filmami Lucasa, bo cały łeb miał poraniony i osmalony, w czerwone i czarne pasy.

– Mógł?

– Odwalił kitę w szpitalu. Z Wiciem nie ma srania po gałęziach.

– Byłeś z nim wtedy?

– Tak i nie. Znaleźliśmy tych Czeceńców w ośrodku żeglarskim nad Bagrami, gdzie stoi taki nieduży hotelik. Wjechaliśmy tam jak rowerem w kury, bez przygotowania, bo niespodziewanie złapaliśmy ten trop. Jeden z gangusów właśnie niemal zabrał Wiciowi glocka i dlatego ten się posłużył raketnicą. Ja miałem utrzymanie z drugim. Przycisnąłem go brzuchem do gleby, chłe, chłe, chłe.

– Nie potrzebujesz spluwy?

– Nie. Wchodzę i goście na sam widok mają kleksa w majtach. Pistolet nie daje takiego efektu, bo jest schowany.

Zajechali przed ponemiecką kamienicę, w której Simona Grzelak mieszkała u rodziców z sześciolletnią córką. Okazała się trzydziestolatką ze sporą nadwagą i włosami farbowanymi na ciemnorudo, której z tą pulchnością i kolorystyką było do twarzy. Zastanawiali się wcześniej, jak jej wytłumaczyć nagle zainteresowanie mężem nieżyjącym, w powszechnej opinii, od dziesięciu miesięcy, tak aby nie wiązać tego ze sprawą zamordowanych w Krakowie dzieci. Ona jednak obojętnie odniosła się do ich wyjaśnień, beznamiętnie opowiadała historię ich związku, sporadycznie wrzucając w treść śląskie słówka.

Grzelak pochodził z Otwocka, do Gliwic przyjechał na studia na Politechnice Śląskiej. Tu się poznali – w mieście, a nie na uczelni, bo ona po maturze uczęszczała do studium kosmetycznego. Byli małżeństwem od 2012 roku, po pięciu latach zdecydowali się na separację i rozwód. Simona

z córką wyprowadziła się od męża i wróciła do Gliwic. On został w Katowicach, gdzie pracował w firmie logistycznej należącej do Jastrzębskiej Spółki Węglowej.

– Czemu zdecydowaliście się państwo na separację? – spytała delikatnie Klaudia.

– Eee tam, separację. – Wdowa machnęła ręką. – Bo tak mu chyba adwokat doradził. Gdyby wrócił z wakacji, to byłby rozwód. Już wcześniej by był, ale ciągle jakaś haja była o spłatę mieszkania. Pewnie skończyłoby się sprawą w sądzie. – Po chwili zorientowała się, że nie odpowiedziała na pytanie. – Rozstaliśmy się, bo nie byłam już dla niego gryfno dziołcha, jak wtedy, gdyśmy się hajtnęli – powiedziała, patrząc na obrączkę na prawej dłoni Klaudii. – Ja też wolałam od niego odejść.

– A co z mieszkaniem? – nacisnęła policjantka.

– Będzie dla Amelki. Po połowie odziedziczyliśmy, ale przepisałam całe na nią. Na razie wynajmujemy. Jest jakaś sprawiedliwość, widzi pani, bo on dziecku nigdy nic nie dał. Wolał na wczasy pojechać, na dziwki, parę tysięcy na to wywalić, niż jej choćby lalkę kupić.

– To zrozumiałe, że w tej sytuacji nie miała pani ochoty sprowadzać ciała do Polski. – Pokiwał głową Imbir.

Klaudię ciągle zaskakiwały kontrasty w zachowaniu partnera. Na co dzień starał się zaliczyć każdą kobietę, która nie uciekała przed nim na drzewo, ale kiedy miał do czynienia z płcią przeciwną podczas czynności policyjnych, nigdy nie zrobił najmniejszej seksualnej aluzji. Wykazywał życzliwe zainteresowanie, empatię, a niekiedy, jak w tej chwili, wręcz się podlizywał.

– Wie pan, ile to pieniędzy stoi? Transport samolotem, przechowywanie w chłodni, koszt zakładu pogrzebowego, do tego opłaty graniczne, inne jeszcze. Kilkanaście tysięcy! Ja to w pół roku tyle nie zarobię. Sprzedawać mieszkanie, żeby to opłacić? Szkoda. A tam będzie Mariuszowi tak samo dobrze, jak tutaj. Ten ichniejszy hotel chyba w ramach ubezpieczenia miał sfinansować kremację. Nie miał kto za to zapłacić – on rodziców stracił za bajtla, a ta jastrzębska spółka to sami wiecie, jak stoi. Dla żywych im brakuje...

Dorzucała kolejne kwestie po króciutkich pauzach, jakby je sobie właśnie przypominała.

– Wie pani coś o telefonie na kartę, którego używał pani mąż?

– Nie. Gdy jeszcze mieszkaliśmy razem, to miał taki firmowy, wypasiony. Kiedy potem dzwonił do mnie, to też z niego. Znaczy z tego numeru. I odesłali go z tego hotelu, ale oddałam do firmy. Znaczy wysłałam paczkę. Może pokażę jego rzeczy, które przyszły z Rodos? – Popatrzyła na nich wyczekująco.

Wyszła, gdy Imbir skinął z aprobatą. Przyniosła drewnianą szkatułkę i położyła otwartą na stoliku przed nimi. Był tam zegarek G-Shock, okrągły i masywny, z czarnego tworzywa sztucznego, ze wskazówkami. Niezbyt pasowała do niego modna teraz złota bransoletka z ciemnymi opalizującymi kamieniami. Biżuterię uzupełniała obrączka ślubna zawieszona na łańcuszku.

– Tyle było na nim, kiedy go wyłowili. No i gacie – powiedziała Simona Grzelak. – Tę obrączkę zaczął nosić na szyi niby wisiorek, gdyśmy się rozstali. Łańcuszek był ode mnie, niedługo po zaręczynach mu dałam. A ta bransoletka to nie wiem, wcześniej jej nie miał. Może od jakiejś dzidzi.

– To wszystkie rzeczy? – spytała Klaudia.

– Ciuchy oddałam do PCK. Walizki nie było, w takim foliowym worku to przysłali, a w środku były mniejsze worki. Portfela z pieniędzmi i dokumentami nie było. Pewnie w hotelu zostawił i ukradli, kiedy się dowiedzieli, że nie żyje. – Wdowa nie zauważyła, że policjanci spojrzeli na siebie znacząco, kontynuowała z zaciętrzewieniem. – Zamiarowałam sprzedać te szejpe, ale może kiedyś Amelka będzie chciała pamiątkę po tacie. Choć tak se myślę, że lepiej nie, bo mi się zdawało, że on jej nie lubił. Nie że dziecka swojego, bo mu przeszkadzało, że nie w porę przyszło, jak to

czasem jest. Drażniła go obecność dziewczynki w domu. Jeden lubi pomarańcze, a drugi jak mu fuzekle capią.

4

Mężczyzna ogląda premierę tego tak reklamowanego wcześniej filmu Sekielskich. Nie żałuje klechów, że im jaja wybierają. Dobrze im tak – faceci, którzy chowają kutasy pod czarnymi sukienkami, nie zasłużyli na nic lepszego.

Jest jednak rozczarowany. Liczył, że będzie co dołożyć do pieca, zamiast zdjęć, które mu się trochę opatrzyły. A tu tylko trajlowanie, obrazki z ukrytej kamery i same starszaki występują.

Dopiero opowieść o sterczącym penisie, który nie chce opaść, wywołuje u niego aprobujący rechocik. W punkt, szepcze do ekranu, kiedy słyszy zdanie: „Nie ma wytrysku, nie ma grzechu”.

Scrolluje komentarze pod okienkiem wyświetlającym film. Prycha ironicznie, kwitując posty tych wszystkich współczujących duszyczek uzalających się nad ofiarami, tych oszołomów napieprzających na pedofilów, katabasów i pisiorów, tych świętojebliwych matołów, którzy ich bronią.

Wyłącza serwis YouTube dopiero, gdy dociera do wpisu:

misiek671

pedofil który trafia za kratki nie przeżywa roku, a w kościele dożywa starości – TAKA JEST RÓŻNICA!!!!

Na jednym z portali czyta reportaż o kinowej premierze filmu *Tylko nie mów nikomu*, o ludziach wychodzących w trakcie projekcji, cierpiących na nerwobóle, wymiotujących.

Cieszcie się, że nie widzieliście mojego filmu, myśli. Pora nakręcić nowy.

5

Wit zatrzasnął pokrywę laptopa. Nie obejrzał do końca tego filmu. W dziedzinie przestępstwa był wprawdzie zawodowcem; zetknął się już z wieloma potwornościami, miał też świadomość, jak dużo rozmaitych zbrodni dokonuje się w ciszy i ukryciu, nierzadko poza zasięgiem organów ścigania. Widywał rany niegojące się przez dziesiątki lat, ludzi, którzy wprawdzie ocalili życie, ale zostało ono naznaczone na zawsze. Trudno mu było jednak znieść psychiczne, elektryczne wręcz napięcie i emocje buzujące podczas spotkań sprawców z pokrzywdzonymi. A może to wydarzenia ostatniego tygodnia obniżyły jego odporność.

Przeszedł z kuchni do sypialni. Gosia siedziała na łóżku, pochylona; głowa na wysokości barków, ręce złożone między kolanami. Zdruzgotana. Wstrząsnęło nim, że jej pozycja podobna była do tej, jaką przyjął w czwartek czekający na niego Szreniawski.

Chrostecki podjął decyzję, że ze względu na osobiste zaangażowanie w sprawę Nawrocki będzie uczestniczył w dzisiejszej działalności operacyjnej jedynie w charakterze obserwatora i konsultanta. W praktyce i tak mógł zadawać pytania, sugerować pewne kroki. Cóż z tego, skoro poszukiwania i rozmowy były tak samo bezproduktywne jak wcześniej.

Gosia miała trudniej; nie mogła czynnie uczestniczyć w poszukiwaniach. Odbierała w domu telefoniczne komunikaty od Wita i czekała na telefon od Jaśka. Kilka godzin spędziła z nią koleżanka z przedszkola.

Podniosła na komisarza napuchnięte, czerwone oczy, które chyba nie miały już łez. Usiadł obok, objął ją. Położyła mu głowę na ramieniu.

– Ale ja jestem głupia. Po tym wszystkim, co mnie spotkało w przeszłości, dalej zapominam, że trzeba wykorzystywać każdą chwilę z bliskimi; nie marnować jej na złość, pretensje, małostkowość – westchnęła. – Tydzień temu ochrzaniłam Jasia, że znosi stare komiksy, w których jest pełno brudu i zarazków. Kazałam mu to wyrzucić. Obrzucił się na mnie i do końca weekendu się nie odzywał, nawet kiedy odwołałam decyzję. Dopiero po niedzieli doszliśmy do ładu. Straciłam prawie dwa dni, jedno z ostatnich, kiedy mogliśmy wspólnie miło spędzić czas.

– Nie przejmuj się, jeszcze niejedną dobrą chwilę z nim spędzisz i nie raz go opieprzysz. – Wit ścisnął lekko jej ramię, przytulił mocniej. – A za parę lat zaczniesz ci się odgryzać. Na pewno go znajdziemy.

– Tak, znajdziecie, ale w jakim stanie – powiedziała zdławionym głosem. – Gdy pomyślę, że pół roku temu kupiłam mu komórkę dla większego bezpieczeństwa, chociaż dla dziewięcioletniego dziecka to niewskazane i większość jego kolegów nie ma...

Mariusz Grzelak natomiast zarejestrował telefon na kartę w 2017 roku. Do śmierci używał go rzadko. Dzisiaj dostali pełny spis lokalizacji i połączeń, który zawierał zaledwie kilka stron. Gros połączeń stanowiły dwa numery, w których policjanci z Katowic rozpoznali kontakty do zlikwidowanych przez nich niedawno burdelików – mieszkań wynajmowanych przez dziewczyny przyjmujące tam klientów.

Od śmierci Grzelaka (rzekomej – jak sugerowała Klaudia) telefon był używany incydentalnie. Włączany co trzy miesiące i doładowywany za dwadzieścia pięć złotych, bo tak wymagał regulamin. W spisie widniało jedno połączenie z numerem telefonu stacjonarnego, wykonane w październiku ubiegłego roku, około północy. Po sprawdzeniu w rejestrze okazało się, że to numer domu dziecka w Otwocku, którego wychowankiem jest Grzelak. Numer należy do sekretariatu, lecz kiedy dzisiaj Wit i Pufcio dzwonili nań o różnych porach, zgłaszał się jedynie automat. Wiadomo – sobota. Tak samo musiało być minionej jesieni w środku nocy. Po co więc dzwonił tam użytkownik komórki Grzelaka? Żeby wysłuchać nagrania na sekretarce? Wszak połączenie trwało dwadzieścia sekund. I kto dzwonił: Grzelak, jego morderca czy ktoś trzeci?

Klarowna była za to kwestia ostatnich, wysłanych w kwietniu i maju, SMS-ów – odpowiadały SMS-om do Manuela i Mateusza, widniejącym w rejestrach ich telefonów, jakie otrzymali w piątek.

Na pewno nie został wysłany z tego telefonu SMS do Jaśka, ale to nic nie znaczyło, bo morderca mógł zmienić numer, licząc się z faktem, że w końcu zostanie zlokalizowany przez policję. Ciągłe nie znali listy połączeń i SMS-ów Jaśka, gdyż technik policyjny nie dostał się do jego aparatu.

Niczym echo jego rozmyślań rozległ się dzwonek komórki Małgosi z melodyjką dyskotekową z lat dziewięćdziesiątych. Zerwała się i podbiegła do toaletki, gdzie leżał telefon.

– To Kacper – powiedziała ze zdziwieniem. Włączyła głośnik i usiadła obok Nawrockiego. – Cześć, kochanie – przywitała się.

– Cześć, matula. Jest tam pewnie z tobą Wit?

– Serwus.

– Czołem. Czemu nie daliście mi znać, że Johnny wam zginął? – głos chłopaka zabrzmiał pretensją.

Małgorzata spojrzała na Nawrockiego z konsternacją. Skąd wie?!

Właściwie dlaczego go nie zawiadomili, przecież mógł znać hasło do telefonu Jaśka, nagle uświadomił sobie komisarz i ukłuło go poczucie winy. Wiedzieliby, kto się kontaktował z chłopcem.

– Nie chcieliśmy cię niepokoić – wybąkała Gosia.

– Ja też nie chcę was niepokoić i dlatego dzwonię od razu, żeby wam przekazać ważną informację – powiedział Kacper z przekąsem. – Znalazł się, jest u mnie.

ROZDZIAŁ 12

1

Kuba namówił babcię, żeby do kościoła pojechać tramwajem. Wprawdzie niedawno otworzyli most Grunwaldzki, ale zaraz potem zamknęli część Dietla, więc prawie wszystkie linie do Borku i Czerwonych Maków prowadziły niedaleko ich kamienicy, a potem ulicą Krakowską. Dziwił się trochę, że remontu ulicy nie zrobili w tym samym czasie co mostu, ale nie zamierzał narzekać. Więcej ruchu było w jego okolicy.

A teraz może przyjedzie Bombardier albo Krakowiak, w którym nawet jest wi-fi. Smartfon, który mama kupiła mu w ubiegłym roku, kiedy dwa miesiące mieszkała z nimi, musiał oczywiście zostawić w domu, więc z internetu i tak by nie skorzystał, ale zawsze to miło przejechać się na komunię najnowocześniejszym tramwajem w Krakowie. Kiedyś papież Franciszek jechał nim na mszę na Błonia. Nawet rowerzyści lubią nim jeździć, specjalnie dla nich porobili takie boksy z rurek, niby zagrody dla koni, które widział w telewizji.

Babcia nie była zbyt zadowolona z jego pomysłu. Sarkała trochę, że w tramwaju pobrudzi jasnokremową albę, ale przekonał ją, że tam jest teraz czystiej niż na chodniku po sobotniej nocy na Kazimierzu. Poza tym dzisiaj wiał bardzo mocny wiatr. Tata powiedział, że woli iść na nogach, przewietrzy się. Odkąd mama wyjechała z jakimś wujkiem, często spaceruje, zwłaszcza gdy nie ma pracy. Ale przynajmniej nie pije, jak dawniej z nią, kiedy Kuba był jeszcze mały.

Od ich kamienicy cofnęli się kawałek na Dietla do skrzyżowania ze Starowiślną, ale pierwsza przyjechała „dwudziestka dwójka” i to nie dwa wagony, jak zwykle na tej linii, tylko jeden, ten z obniżonym pomostem w środku i schodkami do przodu i do tyłu. Kuba był trochę zawiedziony, bo gdy wsiedli środkowymi drzwiami, babcia nie pozwoliła już chodzić po schodkach, żeby się nie pobrudził. To jednak ledwo trzy przystanki.

Wysiedli i poszli prosto Krakowską w kierunku Wisły. Gdyby się odwrócili, przeszli kilkanaście metrów i skierowali w prawo albo na ukos – Wolnicą i dalej w Wawrzyńca – dotarliby do Muzeum Inżynierii Miejskiej, jego ulubionego miejsca. Cieszył się, że nie musi już mieszkać na Wesołej, bo ma do niego dużo bliżej. Kiedyś nawet policzył i okazało się, że odległość z Brzozowej do muzeum wynosi dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem kroków. Wiedział, że ma dopiero dziesięć lat, a w miarę jak będzie rósł, kroków będzie trzeba zrobić coraz mniej.

Niestety, wiatr od rzeki wiał im w twarz, ale minęli szybko po lewej Bonifratrów i mlekomat z pysznym, zawsze świeżym mlekiem z Zebrzydowic, a przed ogromnym żelaznym mostem skręcili w prawo. Jeszcze kawałeczek i kościół. Dzisiaj trochę inny, bo na jasnym tynku ktoś zostawił wielkie, czerwone litery: *JASKINIA PEDOFILA*. Kuba nie wiedział za dobrze, co to znaczy, ale wolał nie pytać babci, bo na widok napisu zacisnęła gniewnie usta.

Do mszy pozostało jeszcze dwadzieścia minut, jednak większość dzieci i rodziców była już w środku. Kuba szybko wślizgnął się do trzeciej ławki, którą miał zajmować z Sebą, Antkiem i Marcinem. Taką czwórka, za dwiema wcześniejszymi, mieli potem podejść do ołtarza.

Rozejrzał się, czy przypadkiem mama nie pojawiła się na jego Pierwszej Komunii, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Może potem, gdy wstaną i będzie widział dalej, pod ściany kościoła. Ale też wtedy babcia łatwiej go zauważy i skarci, że znowu zachowywał się bez szacunku w obliczu Umęczonego Chrystusa.

Zaczęła się uroczystość. Ksiądz proboszcz miał surowy wyraz twarzy, jeszcze bardziej niż zwykle. Za to ksiądz Łukasz wyglądał, jakby był zmęczony, smutny czy niewyspany. Od prawie dwóch lat uczył ich religii, ale teraz zachowywał się, jakby ich nie znał. Nawet gdy wychodzili z ławek i poprawiał ustawienie, to nikogo nie dotknął. Inaczej niż na lekcjach, gdzie ciągle kogoś klepał albo głaskał. Kuba lubił religię z nim. Kiedyś nawet nie omawiał dziejów Świętej Rodziny, ale wypytywał ich o wymarzone miejsca, w których chcieliby się znaleźć.

Przez całą mszę fotografował ich ten wysoki pan, który już kiedyś robił u nich w szkole zdjęcia klasowe i z zawodów w trójboju obronnym. Nawet wysyłał Kubie fotki, jak rzuca granatem i strzela z wiatrówki. Miał ten sam aparat co wtedy, ale teraz nie był już ubrany w skórzaną kamizelkę i kraciatą koszulę, tylko w marynarkę bez krawata. Kiedy Kuba podchodził, aby pierwszy raz przyjąć Najświętszy Sakrament, lampa błysnęła mu prosto w oczy i na chwilę go oślepiła. Pan fotograf podniósł dłoń w przepraszającym geście.

2

– Teraz to ja do ciebie przyjadę. Siedz w Krakowie i czekaj, słuchaj mamy i Wita. OK? – Kacper trzymał dłonie na ramionach Jaśka.

Młodszy brat skinął poważnie głową, na co starszy trzepnął go lekko w daszek czapeczki ze świstakiem z reklamy czekolady. Czapka była prezentem od inspektora KESB – szwajcarskiej instytucji sprawującej kuratelę nad małoletnimi.

Nawrocki obawiał się, czy nie będą mieli problemów z zabraniem Jasia do Polski, ze względu na nielegalne przekroczenie przez niego granicy, a przede wszystkim pozory wskazujące na rażące zaniedbanie opieki nad dziewięcioletkiem. W sobotę miejscowa policja nie wydała go bratu, spędził noc w izbie dziecka w Zurychu, a dzisiaj po południu odbyła się debata z udziałem dwójki policjantów, przedstawiciela KESB, pracownika polskiego konsulatu, Gosi, Kacpra, Wita i bohatera eskapady. Na szczęście Szwajcarzy wykazali się poczuciem humoru. Pasma, jakie zachód słońca kładł na widocznym z okien komisariatu jeziorze, ze złotych zmieniły się w czerwone, a inspektor KESB i oficer miejscowej policji niebieskimi piórami kulkowymi podpisali niezbędne dokumenty. Może dzięki temu, że spędzają życie w tak pięknym miejscu, podchodzą do niego z większą pogodą i ufnością, uznał Nawrocki.

– Pa, matula. – Kacper przytulił się do mamy, mocno uściśnął dłoń komisarza. Poszedł do zaparkowanego w niedozwolonym miejscu mercedesa, którym woził ich dzisiaj po Zurychu. Samochód wypożyczył w salonie, w którego warsztacie dorabiał do stypendium na studia. Miał smykałkę do napraw wszelkich urządzeń mechanicznych, stara toyota Wita trzymała się od dwóch lat właściwie dzięki niemu. Dłubał w niej nawet, kiedy przyjechał dwukrotnie ze Szwajcarii na święta. Był pełen inwencji, przebojowy, zamarzył sobie studiowanie mechaniki na Politechnice Federalnej w Zurychu i pomysł zrealizował, przez kilka miesięcy bombardując uczelnię podaniami, listami motywacyjnymi i zaświadczeniami. Jednocześnie nigdy nikomu nie zwierzył się ze swoich pobudek. Pytany, dlaczego wybrał tak niezwykle miejsce (jego rówieśnicy wyjeżdżali na uczelnie w Niemczech, Anglii, ewentualnie w Stanach), odpowiadał żartem, że chce dostać taki sam dyplom jak Simon Ammann, który czterokrotnie ograł Małysza na igrzyskach. Starszym

napomykał o Gabrielu Narutowiczu. Był więc tajemniczy, a teraz, po wariackim rajdzie Jaśka, Nawrocki zastanawiał się, czy bracia rzeczywiście różnią się tak bardzo, jak mu się pierwotnie wydawało.

Wzięli duży pokój małżeński w jednym z najtańszych hoteli przy lotnisku Kloten, skąd jutro rano mieli odlecieć do Frankfurtu, a stamtąd do Krakowa. Byli tak zmęczeni nerwami, brakiem snu, podróżami, że prawie się nie odzywali. Jasiek na dodatek utykał, chodząc, a siedział boczkciem. Tak samo umościł się teraz na łóżku, z głową na kolanach mamy. Kość ogonową boleśnie pokłął mu ostry koniec parasola lub kijka do nordic walking. Drogę z Krakowa do Zurychu spędził w luku bagażowym autobusu. Zakradł się tam, korzystając z nieuwagi kierowców, jednak w trakcie podróży walizy się poprzesuwały, przygniotły go, kompletnie unieruchamiając, a na dodatek skądś wychynął wspomniany szpikulec. W Zurychu, w sobotnie popołudnie, pasażerowie znaleźli go wyczerpanego i przerażonego, a kierowcy z firmy przewozowej przekazali miejscowej policji. Jasiek niemieckiego nie zna, ale zdołał wytłumaczyć funkcjonariuszom, że ma tu brata, studenta, i podać adres.

Kiedy dzisiaj na komisariacie czekali na przedstawiciela polskiego konsulatu, a Gosia wyszła do toalety, chłopiec zwierzył się Witowi i Kacprowi, że postanowił tu przyjechać nie tylko z tęsknoty, lecz także ze złości na mamę, która chciała odebrać mu komiksy. Nawrockiego zszokowała jego przebiegłość granicząca z perfidią. Jaś wierzył, że partner mamy jest w stanie szybko namierzyć jego komórkę, więc żeby zmylić tropy, zostawił ją Bartkowi pod pozorem zakładu.

Dzięki niemu jednak komisarz coraz lepiej rozumiał chłopców zamordowanych w Krakowie – byli skłonni pójść za każdą iluzją, marzeniem, produktem rozbudzonej wyobraźni. I zrobić dla niej wszystko, nie bacząc na trudności i zagrożenia. Przewyciężając lęk i utrzymując sprawę w tajemnicy przed dorosłymi, których nie uważali za sprzymierzeńców.

Podczas lotu do Szwajcarii Gosia opowiedziała mu historię, którą w sobotę pocieszała ją jedna z koleżanek z pracy. Syn jej kuzynki mieszkającej w Łodzi, rok od Jaśka starszy, uciekł z domu, bo bał się egzaminu z religii dopuszczającego do Pierwszej Komunii Świętej.

Zdarzyło się to w kwietniu 2018 roku, kiedy chłopak był w tym wieku, co Jasiek obecnie. Syn Gosi pójdzie jednak do komunii za rok. Rozbieżności wynikały stąd, że odkąd sześciolatki zaczynały naukę szkolną, przesunięto religijną uroczystość z drugiej do trzeciej klasy, aby przystępowały do sakramentu nieco dojrzalsze dzieci. Kościół katolicki uważał, że dziewięć lat to właściwszy wiek niż osiem. Część dzieci ciągle jednak szła do szkoły dopiero w wieku siedmiu lat, więc mając dziewięć była w drugiej klasie, ale na pierwszą komunię musiała czekać do trzeciej. Tak jak Jasiek, którego mama posłała później do szkoły, twierdząc, że nie chce mu odbierać roku dzieciństwa, ale chyba ciężko jej było rozstać się z nim, póki mógł chodzić do jej przedszkola.

Podsumowując – uprzytomnił sobie komisarz – Jasiek nie dlatego nie zginął, że nie przystępował jeszcze do komunii, za to może tamci zostali zamordowani, bo właśnie szli do niej? I może nie miał tu znaczenia aspekt religijny, nadprzyrodzony, o czym rozmawiali w piątek z profilerem, ale sam fakt uczestnictwa dzieci w wielu spotkaniach i uroczystościach związanych z obrzędem?

Zasnął Jasiek na środku szerokiego hotelowego łóża, zasnęła Gosia po lewej stronie syna, ale Nawrocki, leżąc z zamkniętymi oczami, analizował swoje dotychczasowe błędy i zastanawiał się, czy nie myślał jasno, bo sprawa stała się zbyt osobista, czy traci z wolna wyczucie i refleks. Był zadowolony jedynie z tego, że przez cały weekend nie zapalił, choć ssalo go nieprzerwanie. A o mocniejszych bodźcach, które aplikował sobie w przeszłości, pomyślał zaledwie przelotnie.

Nie miały dzisiaj ochoty do walki, co nie wykluczało wigoru w treningu. Wyłomotały czterdziestokilogramowy skórzany worek, który łącznie z mocowaniem na suficie mierzył blisko dwa metry, więc pozwalał na niskie uderzenia z tajskiego boksu. Klaudia kopała tak zapalczywie, wprawiając worek w ruch wirowy, że cztery żelazne łańcuchy mocujące go do sufitu skręciły się w jeden.

Ćwiczenia z szesnastokilogramowym kettlem – podnoszenie jedną ręką od poziomu barków do pełnego wyprostowania nad głową, wymachy spomiędzy nóg do wysokości klatki piersiowej, przysiady, martwy ciąg, skręty tułowia w siadzie. Do tego pompki, plank. Klasyka.

Zmęczyły się bardziej niż sparingiem. Klaudia, siedząc na ławeczce już po prysznicu, czuła przyjemne ćmienie w udach, bicepsach i mięśniach brzucha.

– Jak tam, Kła, minął ci weekend? Bajlando? – zagaiła Gabriela, wycierając się turkusowym ręcznikiem.

– Aha, przy mojej pracy i z sześciolatką w domu... Wczoraj byłam na robocie w Gliwicach, a dzisiaj w Ogrodzie Doświadczeń i nie musiałam odpowiadać na pytania Izki tylko wtedy, gdy trafialiśmy na budkę z lodami albo frytkami.

– Wyobrażam sobie. Człowiek w takich chwilach żałuje, że nie uważał w szkole na chemii, geografii i fizyce. W sprawie tego mordercy dalej nic?

– Niestety. Mieliśmy stracha, że porwał synka przyjaciółki naszego dowódcy, ale okazało się, że mały sam nawiał i się znalazł. A ty gdzie się obracałaś?

– W spokojniejszych okolicach. Byłam u rodziców w Nowym Targu. Tyle że pojechałam tam autobusem, fiacik stał przez dwa dni w podziemnym garażu i teraz mi nie odpalił. Chyba akumulator się wyczerpał. Dobrze, że szybko złapałam taksówkę.

– Spoko, odwiezę cię. Nie wiedziałam, że jesteś góralska córka.

– Bo nie jestem. Żartuję sobie z rodziców, że jestem góralką w pierwszym pokoleniu. – Gaba uśmiechnęła się szelmowsko. – Oni pochodzą z Nowego Sącza, zresztą Potoniec to popularne tam nazwisko. A na Sądecczyźnie mieszkają Lachy. Natomiast ja urodziłam się już po ich przeprowadzce do Nowego Targu i tam się wychowałam. Oglądałaś może film Sekielskich?

– Nie miałam czasu ani nastroju. Podobno mocny.

– Wiesz, w mojej pracy stykałam się z takimi rzeczami, nierzadko z gorszymi. Trudniejszy do zniesienia był dla moich rodziców, bo są bardzo religijni, ale jednocześnie na tyle trzeźwi, żeby nie wypierać tego, czego się dowiedzieli.

– To chyba kwestia wielkości ośrodka, w którym się mieszka, może lokalizacji. W Płocku raczej spotykałam ludzi, którzy nie mieli złudzeń.

– Nawet na wsiach czy w małych miasteczkach podejście bywa zdroworozsądkowe. Zdarza się proboszcz sypiający z gospodynią albo wikary, który zrobił dziecko jakiejś pannie, co nie przeszkadza, żeby inni księża byli autorytetami. Ale też o przypadkach molestowania dzieci się tam nie słyszy. A w tym filmie leży to na patelni i pedofile nawet się przyznają. Do tego taki obrazek – konferencja, podają wyniki wewnętrznego dochodzenia: prawie cztery setki duchownych wśród sprawców, ponad sześćset ofiar. Pada pytanie, ile spraw zostało skierowanych do prokuratury przez władze kościelne, a ci hierarchowie siedzą jak zakorkowani. A pedofilia jest przestępstwem ściganym z urzędu i należy je zgłosić!

– No tak, o tym, że przesuwali takich klientów z parafii do parafii, mówiło się już dawno.

– Właśnie. Ale jest jeszcze jedna kwestia. Super, że ten film powstał, przetrze trochę dróg, wyostrzy spojrzenie na pewne sprawy. Ale najgorsze, co może się zdarzyć, to jeśli ograniczy postrzeganie pedofilii do duchownych, a reszta ukryje się w ich cieniu. Według raportu fundacji

Dajemy Dzieciom Siłę w 2017 roku dwanaście procent nieletnich doświadczyło jakiejś formy wykorzystywania seksualnego. Sama widzisz, że tylko niedużą część stanowią ofiary księży...

Przerwały jej podniosłe i agresywne dźwięki *Millenium Falcon Theme*. Klaudia wyjęła telefon z torby i ze zdziwieniem zobaczyła, że dzwoni Imbir.

– Cześć, Kładzia, gdzie jesteś, musimy się spotkać – powiedział niecierpliwie, ucinając jej ostrożne „halo?”.

– Teraz to chyba niemożliwe.

– Niemożliwe to rozłożyć parasol w dupie. Musimy się zobaczyć, za chwilę coś się może dzieć. Z komórki Grzelaka został wysłany SMS. Nie wiemy, do kogo, bo to w innej sieci. Poszła prośba, starają się złapać kogoś decyzyjnego, ale jest niedziela...

– O kurde – jęknęła Klaudia. – Jestem w Krak-Ficie na Zabłociu.

– Dobra, wiem gdzie, za dziesięć minut tam będę – szczerknął i się rozłączył, zanim zdążyła zaprotestować.

Gdy po dziesięciu minutach wychodziły z Gabą, czekał już w holu. Teraz to Klaudia nie dała mu dojść do głosu.

– Poznajcie się, Gabriela, Piotr, choć mówi się na niego inaczej. Słuchaj, Imbir, i tak jesteśmy uziemieni, będziemy czekać beczynnie na dane z sieci komórkowej. To ja w tym czasie podrzucę Gabę do domu. Samochód jej się zepsuł, obiecałam jeszcze przed treningiem.

– W sumie to ja też mógłbym podrzucić koleżankę – odrzekł Imbir, unosząc znacząco brwi. – A ty w tym czasie ochłoniesz po ćwicz...

– Nie wiem, czy podróż z góralką w jednym samochodzie wyszłaby ci na zdrowie – przerwała mu Klaudia.

– Góralką z Góry Kalwarii – zarżał.

– No cóż, twoje abstrakcyjne żarty słowne są przynajmniej strawniejsze niż zwyczajowe, fizjologiczno-genitalne – stwierdziła cierpko.

– Czego chcesz, nie od rzeczy nazywa się je dowcipami... – Mówiąc to, Imbir nie patrzył na nią, ale na Gabę.

– Dobra, bazę mamy na Mogilskiej, tak?

Skinął głową.

– To tam się widzimy. Zresztą gdyby w międzyczasie przyszedł meldunek, to może będę bliżej lokalizacji.

Kiedy przed dziewiątą wieczorem Klaudia jechała do Krak-Fitu, wietrzny dzień zaowocował deszczem. Teraz, po jedenastej, już nie padało, ulice były mokre i puste.

– Słuchaj, przecież masz nieporównanie ważniejsze sprawy, ja naprawdę mogę wrócić sama – odezwała się Gaba.

– OK, nic się nie dzieje. Nie ma sensu, żebyś płaciła za taryfę. I tak siedziałabym na Mogilskiej i denerwowała się z bezczynności.

Napięcie i świadomość zagrożenia czyhającego gdzieś w mroku sprawiły, że rozmowa nie kleiła się im tak jak wcześniej, w klubie.

Kuba wysiadł z tramwaju, wrócił się kawałeczek i skręcił w prawo. Ludzi w wagonie było mało, jedna pani patrzyła na niego dziwnie, lecz została w środku, kiedy wychodził. Nigdy tak późno nie

jechał sam tramwajem ani nie chodził po mieście. Nie bał się jednak, tylko cieszył na czekające go atrakcje, które widział na zdjęciach. To lepsze niż wszystkie prezenty, które dzisiaj dostał. Ale można zobaczyć to jedynie w nocy, kiedy nikt nie pilnuje. Smartfon zabrał ze sobą, jednak wyłączył go przed wyjściem z domu, tak jak prosił go nadawca esa.

Szedł zrazu w świetle latarni. Popatrzył w niebo, księżyc nie było widać zza chmur. Dobrze, że już nie padało, ale na wszelki wypadek włożył ortalionową kurteczkę.

Kiedy dotarł do bardziej zacienionego miejsca, zobaczył postać, która zrobiła ku niemu dwa szybkie kroki. Już miał powiedzieć „dobry wieczór”, co babcia zawsze nakazywała mu przy spotkaniu z dorosłymi, lecz poczuł rękę zasłaniającą usta. Napastnik obrócił go tyłem do siebie, a gdy przyłożył mu coś zimnego do szyi, Kuba stracił przytomność.

5

Klaudii zeszło jednak trochę dłużej, niż myślała. Kiedy przyjechała na Mogiłską, była już prawie północ. Imbir jednak na razie się nie odzywał. Ich służbowa vectra stała samotnie na niedużym, wyraźnie widocznym z ulicy, placyku na zewnątrz ogrodzenia komendy wojewódzkiej. Zaparkowała obok i wsiadła za kierownicę, bo jej partner póležał na siedzeniu pasażera. W kabinie roznosił się intensywny zapach wędzonego mięsa. Imbir pojadał cieniutkie kabanosy, które wyciągał z podłużnego czarno-czerwonego opakowania.

– Widzę, że byłeś w każdej chwili gotowy do akcji – skomentowała uszczypliwie.

– To dla ukojenia nerwów. – Wskazał na wędliny. – Nie chciałem pieprzyć się z dyżurnym i szlabanem, więc nie wjeżdżałem do środka. Tu mam wszystko, co mi potrzebne.

Ciągle nie wiedział nic więcej niż w pierwszym komunikacie. SMS z komórki Grzelaka został wysłany o godzinie 19.24, telefon logował się do stacji bazowych na Rybitwach i Mogile, a potem został wyłączony.

Posiedzieli z dziesięć minut w ciszy.

– Co to za zapach, męski? – Imbir trzykrotnie pociągnął nosem.

– A taki dezodorant mam, którego używam po treningu i przysznicu. Jakoś babskie mi wtedy nie pasują.

Pewnie by zaczął kręcić z niej bekę, gdyby nie rozległ się trzask w radiu.

– Jesteś tam, Imbir? – usłyszeli głos Pawła Robaka, nazywanego Pufciem. – Polifonia przekazała nam te dane. Telefon, do którego przyszedł SMS z numeru Grzelaka, jest...

– Z chujem się na łby zamieniłeś!? Adres dawaj najpierw! – wrzasnął na niego Imbir, a Klaudia zapalała silnik, wykręcała ku wyjazdowi z parkingu i wystawiała na dach migającą bombę, ale bez syreny.

– Brzozowa dziewiętnaście.

Wyskoczyła na Mogiłską, nawróciła na czerwonym i po chwili, żeby nie robić dużego koła na rondzie, wjechała pod spód, na tory tramwajowe. Szerokim łukiem ominęła pijanego faceta chwiejącego się na brzegu przystanku w oczekiwaniu na nocny. Kiedy po skręcie w lewo wydostała się pod górę na Powstania Warszawskiego, Pufcio skończył już krótki meldunek. Telefon był zarejestrowany na Alicję Rasek. Przez cały dzień logował się w dwóch stacjach BTS, które pokrywały Brzozową, aż do godziny 22:48, kiedy został wyłączony.

Przelatując na wszystkich czerwonych światłach, w ciągu pięciu minut dotarła do przełączki w Dietla, a od niej do kamienicy było już trzysta metrów. W trakcie swojego biegu ulica Brzozowa

w nietypowy sposób tworzyła dwa boki trójkąta i to właśnie pośrodku jednego z nich znajdowało się poszukiwane mieszkanie. Miejsca do parkowania były zajęte, więc Klaudia wjechała na asfaltowy chodnik wewnątrz placu, na środku którego gorzał skwer. To lampy prześwietlały z góry obsypane kwiatami korony dwóch drzewek, rzucając krwistą poświatę.

Wypadli z wozu, w bramie był domofon, ale drzwi stały niedomknięte, bo zepsuty dzyndzel od klamki blokował możliwość ich zatrzasknięcia. Błyskawicznie znaleźli się na wysokim parterze, jednak tu ich rozpęd wpłynął na mieliznę, bo mimo długiego dzwonięcia i stukania nikt nie otwierał.

– Kto tam hałasuje? Uciekać, bo policję wezwę – usłyszeli wreszcie zza drzwi zdania wypowiedziane z dziwną artykulacją.

– Proszę pani, to my jesteśmy policja – jęknął głośno Imbir. – Proszę otworzyć, mamy bardzo ważną sprawę.

– Niech pokaże legitymację.

Nie wiedząc, kogo dotyczy wezwanie, oboje wyszarpnęli blachy i poczęli na zmianę prezentować je przed wizjerem. Po drugiej stronie rozległ się szcęk przekręcanego zamka i drzwi zostały otwarte.

W rozświetlonym przedpokoju stała, mrużąc oczy, niewysoka kobieta około siedemdziesiątki. Ścisła pod szyją poły staromodnego, podobnego fakturą do kołdry szlafroka i mówiła niewyraźnie, gdyż zerwana z łóżka nie zdołała dokładnie założyć protezy.

– Co wy się tak tłuczecie po nocy. Już wszyscy śpią!

– Przepraszam, jak już mówiłem, mamy ważną sprawę. – Imbir wziął na siebie ciężar wyjaśnień. – Pani Alicja Rasek?

– Ta hadra już tu nie mieszka! – Starsza pani aż szarpnęła głową.

– Mamy telefon komórkowy zarejestrowany na to nazwisko z tym adresem.

– To pewnikiem telefon Kubusia, co mu go kupiła w zeszłym roku.

– A możemy porozmawiać z Kubą?

– Przecież mówię, że śpi! Dzisiaj miał komunię, cały dzień na nogach, jutro do szkoły idzie, musi się wyspać.

– Proszę pani, to bardzo ważne dla śledztwa, które prowadzimy.

Niechętnie poprowadziła ich przez przedpokój do drzwi po lewej stronie. Otworzyła, zapaliła światło, ponad jej głową zobaczyli, że posłanie jest zmierzwione i odrzucone na bok, a na prześcieradle nikt nie leży. Kobieta lunatycznym krokiem z wyciągniętymi przed siebie rękami podeszła do łóżka i obmacywała je.

ROZDZIAŁ 13

1

Klaudia śni bezsilność. Watę zastępującą mięśnie, niepozwalającą na żaden energiczny ruch. Pustkę w głowie odbierającą możliwość podejmowania decyzji. Ucisk w gardle rozlewający się strachem po całym ciele i stopniowo je paraliżujący.

Śni sekwencję groteskowych zdarzeń. Pistolet, z którego próbuje strzelać, ale uporczywe naciskanie spustu wywołuje jedynie szczęk iglicy w pustej komorze. Nóż z ostrzem tak rozchwierutany w rękojeści, że nie można nim zadać ciosu. Pogoń i ucieczkę, w trakcie których okazuje się, że jest ubrana zaledwie w majtki i biustonosz, a kiedy zrywa się do biegu, bielizna z niej spada. Stopy grzęznące w podłożu w momencie, gdy nadchodzi konieczność gwałtownych ruchów.

Śni mgłę, w której nikną cele dotychczas widziane bardzo wyraźnie. Bezwład. Niemożność zrobienia tego, co wcześniej robiła bez wahania.

2

„Koniec z tym bałwochwalstwem. Koniec. Nadchodzi sąd nad wilkami w koloratkach. Ofiarom należy się troska, także wasza, a nie bieganie na klęczkach wokół takiego czy innego biskupa”.

Ksiądz na ekranie rękami obejmował krawędzie blatu ambony, przy której stał. Treść jego słów kontrastowała z bielą obrzędowego stroju, surowość okularów w cienkich oprawkach – z szeroką, zarumienioną twarzą, a lekko szpakowate włosy – z grubą, pozłacaną ramą malowidła w tle.

Inspektor Chrostecki zatrzymał obraz na laptopie.

– To ksiądz Prusak, jezuita – powiedział. – Wczoraj wygłosił to kazanie w tym małym kościółku w cieniu Bazyliki Mariackiej.

– Nie ukrzyżują go za to? – spytał jego zastępca, Hadyna.

– Normalnie pewnie by to zrobili, ale teraz nie ma klimatu. Poza tym musiał dostać zgodę od zakonnych zwierzchników i oni będą go chronić.

Prokurator Łukasz Szymański patrzył na zgromadzonych w pokoju policjantów i walczył z ogarniającym go zniechęceniem. Trzecie zaginięcie dzieciaka, te same okoliczności i ten sam brak konkretnych śladów. Znowu chłopiec zniknął z domu, choć tym razem policjanci minęli się z nim niemal w drzwiach. Kolejna dysfunkcyjna rodzina, w przeciwieństwie do poprzednich spajana jednak przez babcię. Matka zaginionego Jakuba to egoistka, pomiatająca swoim mężem, regularnie porzucająca rodzinę dla kolejnego księcia. Poszukiwali jej z pomocą policji z Poznania, gdzie przystań miał jej najnowszy „narzeczony”, ale abstrakcyjne było przypuszczenie, że zależało jej na synu tak bardzo, żeby go porwać. Nie interesowała się nim od wielu miesięcy. Nie mógł opędzić się od myśli, że szukają już tylko ciała Kuby.

Czekali na Bator i Grzywacza, którzy do rana uczestniczyli w czynnościach, aż naczelnik wydziału kryminalnego, podinspektor Mania, wysłał ich do domu, żeby złapali odrobinę snu. Na domiar złego Witek utknął na lotnisku w Zurychu, gdzie ogłoszono podwyższony stan gotowości antyterrorystycznej, i już było jasne, że nie zdąży na zaplanowaną przesiadkę we Frankfurcie, więc do Krakowa przyleci najwcześniej wieczorem.

– Ten przerywnik homiletyczny ma służyć zabiciu czasu czy chodzi panu o zakomunikowanie jakiegoś przesłania? – spytał Szymański komendanta wojewódzkiego. Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to impertynencko, ale wszyscy byli już tak podminowani, że nie miał siły ani ochoty na grzeczność. Zresztą złością łatwiej pokonać defetyzm.

– O pokazanie, że nastroje są w kolorze sutanny – rzucił kpiąco Hadyna.

– Odpuść, Adam! – warknął poirytowany Chrostecki, podnosząc dłoń z rozcapierzonymi palcami, ni to dla osłony, ni to do uderzenia kolegi na odlew. – Film Sekielskich o pedofilii w kościele osiągnął osiem milionów odsłon w ciągu dwóch dni. Na księży napięprzają nawet swoi. My mamy dwóch nieżywych, zgwałconych chłopców, a trzeciego prawdopodobnie. Do tego trupa, który wysyła im SMS-y. Poza tym nic! Kurwa, nic! Czemu nie braliście dotąd pod uwagę klechy jako sprawcy? – To ostatnie zdanie, skierowane do Szymańskiego, zjechało dość znacznie po krzywej wzburzenia, ale prokurator odpowiedział ostro.

– Bo mieliśmy znaleźć mordercę, a nie duchownego, któremu da się to przypiąć. Żaden nie objawił się nawet w charakterze podejrzanego. Zespół Nawrockiego przesłuchiwał księdza, który miał lekcje religii z Mateuszem Matlakiem, ale nie było przesłanek, aby wiązać go ze śmiercią chłopca.

– Mamy ścigać przestępców, niezależnie od tego, kim są, kto za nimi stoi, jak są ustosunkowani. – Tym razem Chrostecki zaakcentował drugą połowę zdania.

– Pełna zgoda, ale...

– Nie wiem, czy pan rozumie i czy rozumieją ci w fioletowych beretach, ale lepiej, gdybyśmy szybko znaleźli sprawcę, nawet jeśli jest księdzem, niżby ludzie mieli niedługo zlinczować innego, niewinnego – wpadł mu w słowo komendant. – A przynajmniej: niewinnego morderstwa.

Nie wiadomo, czy skończył, czy chciał jeszcze coś powiedzieć, ale zrezygnował, bo usłyszeli pukanie, a w drzwiach pojawili się oczekiwani policjanci.

Grzywacz miał czerwone oczy; wchodząc, skrył ziewnięcie za potężnym łapskiem. Bator była ponura. To ona w środku nocy wysunęła teorię, że Kuba może się znajdować, martwy, uwięziony lub schowany, w Muzeum Inżynierii Miejskiej. Babcia powiedziała im, że to było ulubione miejsce chłopca w Krakowie. Grupa policjantów, którą udało się zebrać, od świtu przeszukiwała przy Świętego Wawrzyńca obszar o powierzchni blisko hektara. Także części nieudostępniłone do zwiedzania i aktualnie remontowane. Szperali w tramwajach i samochodach z czasów peerelu. Strażnicy muzealni, zmuszani do wyłączania alarmów, wierzgali, argumentując, że dzieciak nie mógł niepostrzeżenie dostać się w zabezpieczone miejsca. Dowodząca akcją starsza aspirant była jednak nieugięta, wspierał ją partner, więc ekipa w kilka godzin przetrzepała cały teren. Bezskutecznie, a na koniec Klaudii Bator dostało się kilka złośliwych komentarzy. Wypowiedzianych niby w gronie funkcjonariuszy, ale tak, żeby usłyszała.

Sam Szymański, który nadzorował część poszukiwań, zastanawiał się, czy bardziej celowe nie byłyby wzmożone patrole po mieście zamiast kierowania głównych sił do muzeum. Gdyby nawet był w stanie wyciągnąć z tego sensowne wnioski, to i tak nie miały w tej chwili znaczenia, bo najważniejszy dla poszukiwań zaginionego czas minął bezpowrotnie.

Artur Sulima ostatecznie nie pojechał w niedzielę do Limanowej, bo rodzina Konarskiego zjawiała się gremialnie w Szpitalu Uniwersyteckim, gdzie leżał na Oddziale Klinicznym Neurochirurgii i Neurotraumatologii. Byli to raczej poczciwi ludzie, ale z oczywistych względów podkomisarz musiał się zmagać z ich nieukrywaną wrogością i niewiele się dowiedział. Pojedzie tam pewnie jutro, szukać znajomych z młodości, zdolnych powiedzieć coś przydatnego.

Najpierw zobaczy, co przyniesie dzisiejsza rozmowa.

W weekend poczytał sporo o Gumisiu; zrozumiał, że to nie romantyczny bohater, jak można było wywnioskować z sobotnich wspominków na komendzie. Augustynek służył w desancie, ale zdezerterował. Pierwszy proces karny miał już w latach siedemdziesiątych, dostał dziewiątkę, jednak został zwolniony przed końcem wyroku. Włamania, rozboje, oszustwa, kradzieże samochodów, fałszerstwa. Zanim zaczął występy terrorystyczne, już poszukiwano go listem gończym. Za krakowskie bomby skazali go na pięć i pół roku, siedział w Strzelcach Opolskich, gdzie był kucharzem i atrakcją dla wycieczek odwiedzających więzienie („Siedzi u nas ten słynny Gumiś”).

W 2009 roku stworzył gang kradnący samochody w Szwajcarii i Niemczech. W ciągu trzech lat zwinęli ponad siedemdziesiąt luksusowych aut o wartości dwóch milionów euro. Sulima nie dostał wszystkich akt, bo trwało jeszcze postępowanie sądowe wobec jakiegoś pasera, będące odpryskiem tamtej sprawy, ale dowiedział się, że do grupy stworzonej wówczas przez Centralne Biuro Śledcze do ścigania złodziei samochodów został dokooptowany Robert Biel. Wtedy młody policjant z komendy miejskiej w Nowym Sączu, a dzisiaj podkomisarz z wydziału do walki z przestępczością gospodarczą małopolskiej komendy wojewódzkiej. Traf chciał, że był to jednocześnie człowiek, który pierwszy i jedyny raz zatrzymał Rafała Konarskiego.

Artur znał Biela z widzenia, gość był parę lat starszy od niego. Zgodził się chętnie na rozmowę, ale po południu, bo na razie jest zajęty, i nie na komendzie, nawet w stołówce, tylko w pizzerii w galerii Palace. Może po prostu chciał go naciągnąć na pizzę.

Palace znajdowała się o pięć minut drogi na nogach od komendy, ale dawno w niej nie był. Nie spodziewał się, że aż tak podupała. Gros witryn zasłaniały zielone płachty, niekiedy z optymistycznymi informacjami „Wkrótce nowe otwarcie”, nieliczne czynne sklepy miały na ogół napisy: „Likwidacja. Wyprzedaż”. Za to restauracja prosperowała, dysponowała uroczym położonym tarasem, wiszącym niemal nad stawem ze stadem kaczek i dwoma łabędziami, obrośniętym przez tatarak czy trzciny i ograniczonym od alei Pokoju przez zakrzaczony brzeg. Pizza też była bardzo smaczna.

– Słyszałem, że capnęliście Kunę, ale miał defekt przy ucieczce – powiedział Biel, odkładając sztucę na talerz. Podczas jedzenia rozmawiali tylko ogólnie o sytuacji w firmie.

– Kunę?! – zdziwił się Sulima.

– No, Konarskiego. Kumple uważali Rafała za przygłupa i przedrzeźniając, mówili o nim Kunarski, w skrócie Kuna. Ale większych jaj z niego nie robili, bo chłopak, choć łagodny, był bardzo silny i paru, co przegli, obskoczyło wpierdol.

– A jest przygłupem?

– Nisko uposażony intelektualnie, ale raczej nie debil. Bardzo naiwny przede wszystkim. Słyszałeś ten peerelowski dowcip o milicjancie, który stał przed automatem z wodą sodową, wrzucał monetę, wypijał z kubeczka, i znowu, i znowu?

– Nie.

– Zrobiła się kolejka, ktoś się odważył: „Panie, przepuść pan, tu ludzie też są spragnieni”, a on na to: „Nie ma głupich – dopóki wygrywam, gram dalej!”.

Artur zaśmiał się, choć raczej z uprzejmości i chęci zjednania sobie rozmówcy.

– Ten żart zawsze kojarzy mi się z Konarskim, który ponoć dał się wypuścić, że w takim dużym aucie z napojami i słodyczami siedzi facet wydający resztę. I Kuna czekał do wieczora, aż ten wydający resztę facet wyjdzie, kiedy się skończy jego zmiana.

– Nie do wiary.

– Wiem to wszystko ze słyszenia, więc nie mogę zaręczyć. Podobno w efekcie przegranej gry wszadł kanapkę z żelazem do włosów. Albo przekonywali go, że na idealnej randce powinien zaprosić dziewczynę na kompot z bobu i smalcowe lody.

– Pewnie łatwo było nakryć takiego „geniusza”.

– Wtedy tak, ale chyba skrojenie bryki wydawało mu się zabawą, za którą grozi kara w skali szkolnej. Wpis do dziennika, wezwanie rodziców itepe. No i nie miał żadnego doświadczenia. A później było jak w tym porzekadle: „Głupi ma zawsze szczęście”.

– Chcesz powiedzieć, że Konarski działał w biznesie samochodowym?

– Jestem o tym przekonany. Zwijaliśmy go nawet parę razy, ale nie puścił pary z gęby i nic nie dało mu się udowodnić. Czytał, poruszając ustami, ale miał dobrą pamięć, radził sobie w czynnościach życiowych i wszystko robił bardzo skrupulatnie. Może dlatego nie wpadł, bo kiedy dostał instrukcję, to ją wypełniał co do przecinka. Tak opowiadał jeden kapuś, ale nie chciał zeznawać przeciwko niemu.

– Dla kogo biegał?

– Najpierw dla Santany, a potem dla Gumisia.

– Cooo!? – Sulimę aż przeszył mesmeryczny impuls. – Znał się z Pietrkiem?

– Tak, mieli jakieś przemytnicze konszachty. Mało o tym wiedzieliśmy, bo gdy zaczęliśmy ich rozpracowywać, to Santana udusił żonę i uciekł, a spółka się skończyła. Potem kręcił się przy tym Augustynku, ale raczej trochę z boku. W każdym razie, gdy dorwaliśmy Gumisia i sypał, to Rafała nie wymienił. Tak samo jak Małyszki, mimo że ten miał już sankcję z innego paragrafu, więc mógł mu to spokojnie dokleić.

– Sprawa zamordowania Małyszki doprowadziła mnie właśnie do Konarskiego, ale nigdy nie słyszałem o powiązaniu tego pierwszego z Augustynkiem.

– Odłączył się od gangu Gumisia chyba rok wcześniej i dlatego siedział za co innego. Konarski też w ostatnim okresie był trochę z boku, podobnie taki Kamil Baran. Ale tego ostatniego zakapował później ktoś inny i siedzi w Sączu. Z Baranem to była jakaś lokalna sprawa, nie znam jej dokładnie, bo przeniosłem się już wtedy do wojewódzkiej. Był też taki Ukrainiec, Łysenko na niego mówili, który bodaj w 2011 roku wrócił do domu, ale tam go przydybali. U swoich miał chyba mocniejszy zarzut, o morderstwo. Rok później w gangu pozostało kilkunastu ludzi i Gumiś sypał ich równo.

– Jak działali?

– W Reichu i krainie szczęśliwych krów obserwowali salony z luksusowymi samochodami, wybierali te, które nie zatrudniały ochroniarzy. Przychodzili w nocy i włamywali się, albo technicznie, albo na chamca – wybijając okno. Wyszukiwali kluczyki do bryk stojących na podjazdach i stleniali się razem z nimi.

– Proste i skuteczne.

– Gumiś miał łeb jak sklep, ale wtedy już trochę zdziażdżał i trochę chyba mu się zwariowało. Przychodził do redakcji krakowskich gazet, proponował tematy artykułów o aferach, o których ma materiały i je udostępni, jeśli mu zapłacą. Albo dzwonił po prostu, żeby pogadać z dowolnym dziennikarzem, i denerwował się, że tamten nie wie, kim on jest. W grudniu 2013 odjechał zupełnie, bo włamał się do piekarni, siedział tam i jadł drożdżówki. Wezwany patrol pojawił się po dłuższym czasie, a on do nich, że już nie mógł się doczekać. Tłumaczył, że woli przezimować w ciupie niż prosić o zapomogę.

– Nie miał w ogóle kasy?

– Tak twierdził. Zajęliśmy mu majątek, konta, ale przecież bandyci ze starej szkoły nie trzymają całej forszy w banku. Jest w tym coś dziwnego, bo środki zabezpieczone u członków gangu niekoniecznie bilansują się z liczbą ukradzionych przez trzy lata samochodów, zwłaszcza że raczej wszystkich łupów nie udało się określić. Rzadko się tak zdarza, zwykle są niedoszacowane. Augustynek tłumaczył to tak, że Rusczy zalegają im milion dolarów. Krążyły też jakieś opowieści o skarbie zakopanym przez Gumisia, ale bajkami to ja się nie zajmuję. Może sam je rozpuszczał, bo miał nierówno pod sufitem.

4

Całkiem szybko przejechali od mostu Kotlarskiego wzdłuż Wisły. Tylko pokonanie skrzyżowania ze Starowiślną zajęło im dwie zmiany świateł. I wcześniej, i tutaj pełno było reklam przedwyborczych. Plakaty na słupach ogłoszeniowych, ogrodzeniach i fasadach budynków, podwójne tekturowe plansze spięte drutem i przymocowane do lamp, konstrukcje z dykty na chodnikach. Thun, Sonik i Szydło uśmiechali się z większością z nich.

– Z prezesikami to tak zawsze. A już Chrostecki jest taki nerwowy, jakby miał stosunki przerywane – utyskiwał Imbir, choć Klaudia nie była pewna, czy rozpamiętywał jeszcze naradę na komendzie, czy raczej poirytowała go świeża przeszkoda. Lepiej pojmowała natomiast, ile znaczył dla ich zespołu komisarz Nawrocki, stanowiący bufor pomiędzy podwładnymi a humorami i bezceremonialnością zwierzchników. Dostali szorstkie polecenie przeanalizowania wszelkich anonimowych sygnałów telefonicznych i mailowych w sprawie trzech chłopców oraz weryfikacji tych, które odnoszą się do duchownych. Nawet sprawdzanych już w ubiegłym tygodniu.

Nie zdołali jeszcze przekopać się przez pryzmę hejtu – owoce zazdrości, nietolerancji i złośliwości, podejrzliwości i lęku – narosła od początku śledztwa, bo znaleźli zgłoszenie dotyczące księdza z parafii Świętego Bartłomieja. To w niej Jakub Rasek miał wczoraj Pierwszą Komunię. I właśnie w niedzielę w środku nocy wzburzony młody mężczyzna zadzwonił na komendę, twierdząc, że tamtejszy wikary molestuje chłopców, a „gdyby nie mogli trafić do niego, to siedziba została podpisana”. Uznali, że trzeba to rozpoznać od razu.

Mijając ogrodzenie zakładu energetycznego albo gazowniczego, wzdrzygnęła się mimowolnie, bo uświadomiła sobie, że kilkanaście metrów za nim znajduje się Muzeum Inżynierii Miejskiej.

Kościół Świętego Bartłomieja mieścił się nad bulwarem, w równym, niewielkim odstępnie od klasztorów – na Skałce i bonifratrów. Jak to Marek powiedział? „W Krakowie, gdzie rzucisz kamieniem, tam kościół” czy „w Krakowie kościół od kościoła dzieli rzut kamieniem”? Co nie zmieniało faktu, że wszystkie zabytkowe świątynie były pięknie zdobione w środku i ciekawe architektonicznie na zewnątrz. Ten nieco nowszy, Klaudia się na tym nie znała, został ulokowany wewnątrz łuku rzeki, za którą, niemal dokładnie na wprost, stał hotel Forum, gdzie odwiedzała rzeźbiarza.

Na ścianie kościoła widniała *JASKINIA PEDOFILA*, w którym ostatnie A miało ogonek, jakby piszący za późno puścił przycisk puszki ze sprayem bądź chciał jeszcze narysować strzałkę wskazującą niewielki budynek plebanii, stojący u stóp wysokiego, żółtego apartamentowca z czerwonym dachem. Prowadził do niego szpaler krzaków bzu, uszeregowanych od białego do coraz ciemniejszych, a ten ostatni, fioletowy, pachniał najmocniej.

Na domofonie plebanii, poza kancelarią, umieszczono nazwiska proboszcza oraz dwóch wikarych. Anonimowy telefon tyczył tego drugiego, Łukasza Małeckiego. Klaudia nacisnęła guzik przy jego nazwisku, ale z sitka rozległ się zaskakująco stary głos:

– Słucham?

– Dzień dobry, policja, chcieliśmy rozmawiać z księdzem Małeckim – odpowiedziała.

– W jakiej sprawie?

– Ksiądz Małecki, tak? Chyba lepiej będzie przedstawić ją wewnątrz, a nie krzyczeć do domofonu...

Rozległ się brzęczyk. W obszernym przedpokoju wyszedł im na spotkanie mężczyzna w średnim wieku, w ciemnym garniturze i koszuli, z białą koloratką, nad którą jego twarz przybrała odpychającą minę.

– Czym mogę służyć? Nie sądziłem, że jeszcze będzie się nami interesować policja. – Ton komponował się z wyrazem twarzy.

Jeszcze?!

– Starsza aspirant Klaudia Bator i aspirant sztabowy Piotr Grzywacz. Czy rozmawiamy z księdzem Łukaszem Małeckim? – przejął inicjatywę Imbir. Mieli już to przećwiczone, zmuszał rozmówcę do defensywy samymi gabarytami.

– Nie. Jestem tutaj proboszczem. Wzywałem was wczoraj, żebyście się zajęli tym oburzającym aktem wandalizmu, to zlekceważyliście mnie. Nasza świątynia została zbezczeszczona tuż przed najważniejszą uroczystością dla dzieci z parafii.

Mówił chyba o graffiti na ścianie.

– Ale zgłoszenie zostało przyjęte?

– Tak, ale powiedzieliście, że trudno wykryć opryszka, który to zrobił.

Opryszek. Klaudia już dawno nie słyszała tego określenia.

– Księżę proboszczu, my jesteśmy z innej jednostki, z wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej, i przychodzimy w innej sprawie. Prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia Jakuba Raska i chcemy o tym porozmawiać z księdzem Łukaszem Małeckim.

– Chcę być przy tej rozmowie.

– To niemożliwe, nie jest ksiądz adwokatem, zresztą on nie jest zatrzymany, nie potrzebuje prawnika.

– Dlaczego w takim razie chcecie z nim rozmawiać?

– Chcemy go przesłuchać w charakterze świadka w sprawie zaginięcia Jakuba Raska, który wczoraj przystępował w tym kościele do Pierwszej Komunii Świętej, a ksiądz Małecki uczy go religii.

Tego ostatniego Klaudia nie wiedziała, ale strzeliła, zakładając, że w szkole podstawowej uczy nie proboszcz, a któryś z wikarych. Miała pięćdziesiąt procent szans i trafiła. Proboszcz wydał coś w rodzaju parsknięcia, wyjął z kieszeni klucz i otworzył drzwi po lewej stronie.

– Zapraszam do kancelarii – powiedział niechętnie. – Zaraz poproszę księdza Łukasza.

Nie zaproponował im niczego do picia. Usiedli na prostych, ale wyścielanych krzesłach stojących przed masywnym biurkiem, za którym mieściły się szafy, prawdopodobnie z dokumentami.

– O co tu chodzi? Pilnuje tego młodego jak tata Kaśkę, żeby jej chłopaki wianka nie skradli – szepnął Imbir do Klaudii.

Stłumiła śmiech, wkrótce pojawił się szczupły, drobny brunet z niemodnym wąsikiem. Sprawiał wrażenie spłoszonego, a pewności siebie nie dodało mu nawet zajęcie fotelika za biurkiem, co ustawiało niejako policjantów w pozycji petentów.

– Czym mogę państwu służyć? – spytał po rytualnym przywitaniu i ponownym przedstawieniu się funkcjonariuszy.

– Chcemy przesłuchać księdza w charakterze świadka w sprawie zaginięcia Jakuba Raska – zaczął Imbir.

– Ale ja nic nie widziałem, nie jestem świadkiem.

– To takie sformułowanie. Jak rozumiem, znał ksiądz tego chłopca, skoro uczył go ksiądz religii – stwierdziła Klaudia.

– No tak, uczyłem go w tutejszej szkole, przygotowywałem do sakramentu Pierwszej Komunii Świętej. Ale czy dobrze znałem? Chłopców było wielu...

W tym momencie uświadomiła sobie, że ani on, ani wcześniej proboszcz nie zareagowali na wiadomość o zniknięciu Kuby zdziwieniem, zmartwieniem, żalem. Jakby mieli to już od dawna przetrawione.

– Skąd wiecie o zaginięciu Jakuba Raska? – spytała.

– Jego babcia, pani Stanisława, była dzisiaj rano u nas w świątyni, kiedy odprawiałem prymarię, i po niej powiedziała mi o wszystkim. To nasza gorliwa parafianka, żarliwa katoliczka.

Klaudia słabo pamiętała terminy, z których obkuwała się w podstawówce, przystępując do kolejnych sakramentów. Prymaria to była chyba jakaś specyficzna msza poranna, a może po prostu pierwsza msza?

– Proszę scharakteryzować Kubę – odezwał się Imbir.

– Radosny, żywy chłopiec, jak wszyscy. Bystry, grzeczny. Ale jak mówiłem, nie poświęcałem mu szczególnej uwagi. Musiałem swoje zainteresowanie równo dzielić pomiędzy dzieci.

Wiedziała, że kłamie. Dzieci pochodzące z rozbitych rodzin rzadko były radosne. Z rozmów z najbliższymi oraz wychowawczynią Kuby wynikało, że był poważny, często zamyślony, chwilami wręcz wycofany do własnego świata. A Małecki musiał chłopca kojarzyć, skoro nieźle znał babcie, to pewnie rozmawiał z nią o wnuku

Zadawali mu pytania na przemian; o kolejne noce, kiedy ginęli chłopcy (spędzał je na odpoczynku lub modlitwie), telefon komórkowy (rzadko go używa), czy ma numer do Kuby (nigdy nie zbierał takich informacji o chłopcach). Odpowiadał wymijająco, nieco lękliwie, starał się dać do zrozumienia, że policja nie ma powodu, by się nim zajmować. Osiągał odwrotny efekt. Anonimowy rozmówca dzwoniący na komendę powiedział, że wikary prowadził przez Messengera dwuznaczne rozmowy z ministrantami, między innymi o masturbacji.

Przypomniała sobie jeden z ubiegłotygodniowych biuletynów i wpadła na pomysł. Pochyliła się do przodu.

– Proszę księdza – powiedziała z naciskiem. – Dzisiaj w Łagiewnikach zgarnęliśmy trzydziestoletniego mężczyznę podejrzanego o rozbój i rabunek telefonów komórkowych oraz dokumentów. Miał w torbie susz roślinny, biały proszek i przezroczyste kryształki. A przede wszystkim: kilka aparatów telefonicznych. Treści, które odkryliśmy w jednym z nich, stawiają księdza w bardzo złym świetle.

W połowie była to nawet prawda. Zerknęła ukradkiem na Imbira, czy się nie zdradzi, ale on siedział niewzruszony, jak kamienny obelisk. Ręka z długopisem zawisa w oczekiwaniu nad notesem, w którym od początku rozmowy prowadził zapiski.

– Ale co... co ja mam... mam z tym wspólnego... – Widać było, że ksiądz miota się między strachem a niezrozumieniem.

– Sama zadaję sobie to pytanie. Prowadzimy śledztwo w sprawie dwóch morderstw i gwałtów oraz zaginięcia, które może okazać się trzecią identyczną zbrodnią, i pewne ślady przyprowadziły nas tutaj.

– Ale ja... nie... nie zrobiłem nic Kubie. A tamtych chłopców w ogóle nie znałem. – Teraz trochę mniej się jękał.

– To proszę powiedzieć, co pan zrobił. Proszę zacząć od masturbacji.

Patrzył na nią przez chwilę z paniką w oczach, a potem zwiesił głowę i ukrył twarz w dłoniach. Jego słowa docierały do nich nieco przytłumione, ale zrozumiałe.

– Spotykałem się z ministrantami. Dwa razy. Trzy właściwie, ale za trzecim razem nic nie było, bo chłopiec się rozplakał. Poleciałem, aby się onanizowali przy mnie, a ja ocenię, czy to w ich przypadku grzech ciężki czy lekki. Już... już wcześniej o tym rozmawialiśmy. I oni to zrobili, ale ja ich nawet nie dotknąłem. I sam to zrobiłem pó... później, gdy już poszli.

ROZDZIAŁ 14

1

Wit Nawrocki czuł się, jakby siedział na jo-jo. Po dwóch straszliwie stresujących, bezsennych dobach, w hotelu w Zurychu spał niemal dziewięć godzin. Tyle samo przedzemał wraz z Gosią i Jaśkiem, koczując na dwóch lotniskach i podróżując dwoma samolotami. Efekt był taki, że ostatniej nocy nie mógł zasnąć. Przeczytał raporty z ostatnich czterech dni przysłane przez Klaudię i Imbira (uzupełnili za niego piątek i sobotę, kiedy jeszcze uczestniczył w śledztwie), położył się, ale po kilkudziesięciu minutach wstał znowu i zaczął studiować wszelkie materiały namnożone od pierwszego maja. Niczym natręctwo dręczyło go przeświadczenie, że od początku coś im umyka. Jakiś nieoczywisty element łączący wszystkie przypadki.

Wreszcie wykapał się, ogolił i uznał, że odwiedziny w mieszkaniu Kuby Raska niedługo po siódmej nie będą nadużyciem. Biorąc pod uwagę okoliczności, domownicy pewnie są już na nogach.

Niestety, wpakował się w poranny korek, równie epicki jak te późnopołudniowe, złożony z ludzi jadących do pracy i odwożących dzieci do szkół i przedszkoli. Jaśka miała dzisiaj zaprowadzić do szkoły mama. Wit nie nocował u nich. Wolał nie zastanawiać się na razie, czy ostatnie traumatyczne wydarzenia wpłyną na ich związek.

Dopiero przed ósmą przebił się przez zwięźenie na Dietla, gdzie za mostem Grunwaldzkim wyłączono z ruchu nie tylko tory tramwajowe, lecz także jedną jezdnię, i skręcił w prawo w Brzozową. Ze względu na wszechobecne samochody musiał objechać trójkąt z dwóch stron, a miejsce do zaparkowania znalazł dopiero na Berka Joselewicza, niedaleko Starowiślniej. Gdy na nogach wrócił na plac tworzony przez Brzozową i Berka, światło słoneczne szerokim strumieniem napływało od strony Miodowej, opramieniając sprawiedliwie kamienice jasnoszare, jasnobezowe, jasnożółte, ciemniejsze i jakby przybrudzone, dwie odrapane, z odsłoniętymi ceglami, a także nieliczne odnowione i kolorowe, którym jednak oczyszczenie z patyny lat odebrało nieco uroku.

Przecinając trójkątny skwerek, zauważył z rozbawieniem tabliczkę: Skwer Kółeczko.

Brama obok sklepu z używaną odzieżą, zepsuty domofon, wysoki parter, mężczyzna w drzwiach we frotowym, burym szlafroku, spod którego wyzierała pasiasta piżama, budzący domniemanie, że to jego zwyczajowy strój całodzienny.

– Dzień dobry, komisarz Wit Nawrocki. Jestem członkiem zespołu poszukującego Kuby. Chciałbym rozmawiać z panią Jadwigą.

– Mama jest w szpitalu – odparł tamten ponuro. Był to w takim razie Jerzy Rasek, ojciec chłopca.

– Tak?! Co się stało?

– Wczoraj przed wieczorem pogotowie ją wzięło. Coś z sercem. Przez to, co się dzieje... Na szczęście żyje i przytomna jest, przez telefon mi powiedzieli. Pójdę do niej niedługo, to się dowiem więcej.

W raporcie przeczytał, że Jadwiga Rasek była kucharką w zespole szkół elektrycznych przy Loretańskiej. Owdowiała już dawno, a funkcjonowanie reszty rodziny przypominało kiepski dowcip

także z powodu inercji jej syna. Przede wszystkim jednak w efekcie nieodpowiedzialnego podejścia jego żony, Alicji, do macierzyństwa i frywolnego do kwestii małżeństwa.

Na niespełna rok Kuba został skierowany do ośrodka opiekuńczo-wychowawczego na Wesołej. Wtedy jednak babcia przeszła na emeryturę i na powrót sfastrygowała rodzinę. Uzyskała prawo opieki nad chłopcem, ściągnęła go razem z ojcem do swojego mieszkania, a na kilka miesięcy, zanim porwał ją kolejne tango, zamieszkała z nimi nawet Alicja.

Poważniejsze perturbacje zdrowotne babci będą katastrofą dla wnuka. O ile jeszcze zajmują go ziemskie problemy...

– Mogę rozejrzeć się trochę po mieszkaniu? – spytał komisarz. W tym celu tak naprawdę tu przyszedł. Klaudia i Imbir dokładnie przepytali w nocy babcię i ojca chłopca. – Może zobaczę coś, co będzie jakąś wskazówką. Chodzi mi głównie o pokój Kubu, ale też pozostałe pomieszczenia.

– Proszę. Ja śpię w kuchni – z lekkim zawstydzeniem oznajmił Jerzy Rasek, ściągając poły szlafroka. – Tam mama, dalej Kubuś. To była w dawnych latach spiżarka, przerobiona na pokój dla mnie i dla brata, gdyśmy byli kawalerami.

Wszystkie pomieszczenia stały otworem. Ukazywały nienowe, ale nieźle zachowane meble, meblościanki, kanapy z wzorzystą kapą, okrągły stół przykryty koronkową serwetą. W przedpokoju stała sześcienna bryła z lakierowanego drewna, w której rozpoznał złożoną maszynę do szycia.

Półkotapczan Kubu był rozłożony, z pościelą jakby czekającą na właściciela lub niedawno przezeń opuszczoną. Na górze stały autka, żołnierzyki, pociągi. Za zasuwanyimi drzwiczkami trzymał książki, zeszyty i przybory szkolne.

Na ścianie wisiał niebieski plakat z samochodami unoszącymi się w powietrzu w tle gór i napisem *Szybcy i wściekli 7*. Komisarz skojarzył, że to tytuł filmu. Tylko skąd ta siódemka?

Okręcił się na pięcie.

– Macie państwo zdjęcia? Chodzi mi zwłaszcza o takie, na których jest Kuba. – Liczył, że babcia nie uległa modzie digitalizowania wspomnień, i się nie zawiódł.

– U mamy na nakastliku leży album. Właśnie wczoraj go przeglądała i jej się pogorszyło...

Na szafce nocnej przy łóżku znalazł prostokątną księgę z przyklejonymi półkoliście na okładce literkami, układającymi się w słowa: *NASZ KUBUŚ*. W środku zdjęcia, wkładane rogami za plastikowe opaski. Niemowlak w beciku, kilkunastomiesięczny dzieciak obracający zabawkę w dłoniach, ale z rozdziawionymi ustami patrzący na fotografa. Przedszkole, choinka – chyba w ośrodku na Wesołej. Kuba w czapie z bibułki tańczący z jakąś dziewczynką, potem na kolanach u wręczającego mu prezent Świętego Mikołaja. Zdjęcia szkolne, klasowe, chłopcy uganiający się za futbolówką po asfaltowym boisku. Zawody paramilitarne i Kuba mierzący do tarczy z wiatrówki, a potem robiący zamach atrapą granatu. W Tauron Arenie, pozujący z uśmiechem na trybunie, z dziwnymi, dużymi pojazdami w dalekim tle. Stojący na stopniu prowadzącym do kabiny lokomotywy eksponowanej na terenach Akademii Górniczo-Hutniczej. W starym tramwaju, który już wycofano z użytku. I kilka fotografii przy eksponatach w Muzeum Inżynierii Technicznej.

– Czy mógłbym to pożyczyć? – Nawrocki zamknął i podniósł album. Czuł, że między tymi stronami z grubego, szorstkiego papieru kryje się odpowiedź na pytanie, gdzie jest chłopiec.

– Tak, proszę. Odda pan razem z Kubusiem. – Ojciec uśmiechnął się lekko.

Komisarz skinął głową. Sam miał jeszcze odrobinę nadziei, ale domyślał się, że w przypadku tego mężczyzny to nie jest owoc wiary czy optymizmu, ale pewnego oderwania od rzeczywistości.

– Gratuluję wam wczorajszego odkrycia. Beze mnie najwyraźniej lepiej wam idzie. – Klaudii zdawało się, że komisarz wygłasza powitalne serdeczności najzupełniej szczerze. Pod pachą trzymał jakieś tomiszcze koloru czekolady.

– Gratuluj tej pani. Mój driver okazał się mistrzynią blefu. – Imbir się uśmiechnął. Gestami prawej dłoni pokazał kubki, w których mieli herbatę, stojący opodal czajnik bezprzewodowy oraz Wita, ale ten odmownie pokręcił głową. – Gdybyś szukał kogoś do brydża i to nie czwartego, ale partnera do pary, Kładzia nada się idealnie. Potwierdzone info.

– Po prostu szczęśliwie się złożyło, że ten ksiądz miał kontakty z Kubą i bał się, że go powiążemy z głośną sprawą morderstwa. Wolał się przyznać do prawdziwego przestępstwa, za które grozi znacznie łagodniejsza kara. – Machnęła ręką. Kiedy okazało się, że ksiądz Małecki nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Kuby Raska, przejęli go ludzie z zespołu zwalczającego przestępczość przeciwko dzieciom.

– Jesteś kobietą, Klaudia, musisz się nauczyć przyjmować komplementy – mrugnął do niej Nawrocki.

– Póki co, najlepiej nam wychodzi wykluczanie podejrzanych – skwitowała kwaśno.

– Pożyczyłem z domu Rasków pamiątkowy album ze zdjęciami Kuby – powiedział Nawrocki, kładąc księgę na skraju biurka Klaudii. – Przejrzyjcie go, bo pewnie ubiegłej nocy nie mieliście na to czasu.

Imbir podjechał do niej biurowym krzeselkiem na kółkach i razem pochylili się nad zdjęciami. Komisarz dalej mówił, ale chyba nie chodziło mu o dyskusję, skoro wcześniej dał im zadanie odwracające uwagę.

– Zastanawiałem się, czemu morderca wybiera jedynaków. I czy ich wybiera, czy przypadkiem tak się złożyło. Ale przecież taki przypadek był mniej prawdopodobny, bo rodziny dysfunkcyjne, z marginesu, niezamodne są częściej wielodzietne. Wydaje mi się, że to celowe działanie. Nad takim dzieckiem jest mniejsza kontrola. Nie ma brata, któremu by się zwierzał, siostry, która by go szpiegowała. Albo na odwrót. Nie mieszka w pokoju z rodzeństwem, dzięki czemu może opuścić go w nocy niepostrzeżenie.

– No i mniej osób po nim rozpacza – przerwała Klaudia, patrząc na niego znad albumu.

– Nie sądzę, aby to była motywacja sprawcy, że jest tak wrażliwy. – Nawrocki zrobił sceptyczny grymas. – Natomiast takie dzieci czują się bardziej samotne, częściej uciekają w świat wyobrażeń. Już o tym mówiliśmy, a ostatnio znowu się o tym przekonałem.

Zrozumiała, że nie mówi o żadnej z trzech ofiar, ale o synu swojej przyjaciółki, który uciekł do brata w Szwajcarii.

– Morderca, który zna numery telefonów chłopców, na pewno wie też o ich upodobaniach, a nawet marzeniach – skonkludował komisarz. – I prawdopodobnie do nich się odwołuje, wywabiając ich z domu. Po kolei: co było pasją Manuela?

– Samochody. Motoryzacja. – Imbir się wyprostował, bo właśnie skończyli przeglądać album. – Nawet znaleziono go w rowerze wodnym w kształcie auta. Ten Szreniawski mówił o meczach żużlowych, gokartach, na które mieli się wybrać.

– Ale czy to była jego główna fascynacja? – spytał Nawrocki. – W nocy czytałem znowu raporty. Artek Sulima, który jest bardzo dokładny, wręcz drobiazgowy, zapisał, co powiedziała do nich na powitanie Byrdowa, gdy już się przedstawili, że są policjantami. „Jakby on chciał z wami się przejechać”. Sam je zlekceważył, my też. Ja zawałem najbardziej, bo puściłem mimo uszu stwierdzenie Szreniawskiego w czwartek, że mały cieszyłby się z naszej obecności na pogrzebie. A może dzieciak był wielbicielem policji i policjantów? I przyszedł nad zalew, bo wiedział, że będzie mógł popływać samochodzikiem policyjnym.

– Przecież to byle rower wodny i miał oznaczenie nie policji, ale komunistycznej milicji – sprostował Imbir.

– Dziewięcioletni chłopcy nie dźwigają na plecach bagażu peerelowskich zaszłości – zgryźliwie odparł Nawrocki. – Wszystko razem mogło być jeszcze bardziej atrakcyjne: samochód jeżdżący po wodzie i policja z dawnych czasów.

– Coś w tym jest. – Klaudia wycelowała palcem wskazującym w komisarza. – Opiekunka z MOPS-u powiedziała coś takiego: „Manuel był zawiedziony, że to nie policja się tym zajmuje”. Dotyczyło to wywiadu w sprawie wystawienia Niebieskiej Karty, który z nim przeprowadzała.

– To jest kolejne potwierdzenie – przytaknął. – Teraz Mateusz. *Gwiezdne wojny*. Czy kamieniołom Libana kojarzy się z nimi?

– Niektórym tak. Na przykład mojemu mężowi. – Klaudia, kręcąc biodrami, poprawiła się na krzeselku. Miała nadzieję, że nie okazuje zakłopotania. – On ma hopla na punkcie gwiazdnej sagi, jak nazywa te filmy. Wszystkie części oglądałam po raz pierwszy właśnie z nim. Teraz już nie muszę, za to regularnie zmienia mi dzwonki w telefonie na kolejne tematy z filmu.

– Przekonuj nas, że Liban mógłby grać w *Gwiezdnym wojnach*, a nie że masz fajnego męża – zakpił Imbir.

Posłała mu zimne spojrzenie.

– Rozmawialiśmy niedawno o Mateuszu, że go tam znalezione. Nie mówiłam Markowi nic o zainteresowaniach chłopca, tylko stwierdziłam, że ten kamieniołom to taka nierzeczywista trochę, filmowa scenografia. A on stwierdził, że to wygląda jak planeta Endor. Albo księżyc Endor? – zawahała się. – W każdym razie to było kluczowe miejsce w *Powrocie Jedi*, znajdował się tam generator pola siłowego Gwiazdy Śmierci; rebelianci musieli go zlikwidować, żeby potem ją zniszczyć. W kamieniołomie jest lasek, zarośla, jakieś jezioro, słupy z tymi porcelanowymi bańkami do instalacji elektrycznych, konstrukcje przemysłowe, do tego z boku sawanna czy step.

– Dla Mateusza musiało to wyglądać filmowo i kusząco – zgodził się Nawrocki. – Zwłaszcza jeśli tam nigdy nie był.

– Na pewno nie był w nocy, kiedy wszystko jest jeszcze bardziej tajemnicze – dorzuciła Klaudia.

– Profiler też uważał, że miejsca śmierci miały większe znaczenie dla ofiar niż dla mordercy – przypomniał komisarz. – Przejdźmy do Kuby, który był fanem techniki.

Użył czasu przeszłego, zauważyła Klaudia. Cóż, zgodnie z powszechnymi odczuciami...

– No tak, na to postawiliśmy wtedy, w nocy, ale mnie to fanów nie przysporzyło – powiedziała z przekąsem.

– Tok myślenia był dobry, tylko strzał niecelny, zdarza się – pocieszył ją komisarz. – Wybraliście najbardziej prawdopodobne rozwiązanie.

Imbir otworzył album i wyciągał z oprawek zdjęcie po zdjęciu, układając je tylną stroną do góry.

– Co robisz? – zdziwiła się.

– Chcę zobaczyć, czy nie ma tu jakichś notatek, czegokolwiek, co mogłoby być wskazówką.

Na fotkach z niemowlęstwa i wczesnego dzieciństwa nie było nic. Szkolne oraz z zawodów sportowych i paramilitarnych (też pewnie organizowanych przez szkołę) miały na odwrocie pieczętkę z nazwą Foto-Agencja MiBiał, stroną internetową i telefonem, lecz bez nazwiska autora i adresu pracowni. Kilka zdjęć opatrzone odręcznymi opisami, wykonanymi starannym, wręcz eleganckim charakterem pisma: *Kuba w Muzeum Inżynierii Miejskiej*, *Kuba na Monster truck show*, *Kuba na Żyłecie*, *Kuba w Batyskafie*.

– Wszystkie zdjęcia zostały wykonane w podobnym czasie, widać po wyglądzie chłopca – mówił Imbir, odwracając je jedno po drugim. – Mógł mieć wtedy z sześć lat, góra siedem. Pewnie działało

się to w okresie, kiedy przebywał w ośrodku na Wesołej, i opisy pochodzą od opiekunki lub wychowawczyń stamtąd.

Mądrze kombinował. Koledzy pokiwali głowami. Klaudia przewróciła zdjęcie z adnotacją *Kuba w Batyskafie*, gdzie chłopiec stał za szybą pustego, starego tramwaju o wydłużonym przodzie.

– Ciekawe, bo na przykład w Warszawie „Batyskafami” nazywają inne tramwaje, z obniżoną podłogą – powiedziała powoli.

– To może być zupełnie lokalny, wręcz indywidualny przydomek używany w kręgu znajomych albo w rodzinie autorki opisów – wyjaśniał Nawrocki. – Ten tramwaj pamiętam, taka „piętnastka” jeździła do Cichego Kącika. „Żyleta” to lokomotywa? – Pokazał olbrzymi kształt wymalowany na czarno i czerwono, ustawiony na fragmencie torów, obsypanych drobnymi szarymi kamykami. Chłopiec na schodkach podnosił rękę na sposób kierownika pociągu dającego sygnał do odjazdu. – W twoich stronach raczej kojarzy się to z kibicami na Legii, co? – Uśmiechnął się do Klaudii.

Obserwowała z fascynacją, jak przełożony coraz bardziej się ożywia, a kolejne myśli migają mu w oczach, niczym cyfry na liczniku.

– Lokomotywa. Już chyba z dziesięć lat tam stoi. – Imbir kiwnął głową.

– Coś mnie zalecało, ale to już nie moje czasy, kiedy obracałem się na Miasteczku Studenckim. A czemu Żyleta? Ze względu na żyletki? Czy taka szybka była?

– Nie, no coś ty, popatrz na nią. Prezentuje się tak, że z biedą mogłaby się z rowerem ścigać. Stary rzech.

– Odpicowana, że wygląda jak funkel nówka.

– Ale wzięta ze złomu. Czekaj. – Zniecierpliwiony Imbir wyciągnął smartfon, postukał w ekran i pokazał im wpis z Wikipedii. – „Lokomotywa rdzewiała na bocznicy w Chojnicach” – przeczytał.

– A w Krakowie nie ma takich złomowisk starych lokomotyw i wagonów? Wydawało mi się, że są. W Płaszowie chyba.

– Tak, chyba coś takiego jest tam za pocztą, razem z warsztatem naprawczym. – Imbirowi zaczęło się udzielać podekscytowanie dowódcy. – To tam ten zboczeniec mógł zwabić Kubę! Do starych pociągów!

– Albo do złomowanych tramwajów – wtrąciła Klaudia.

– Ze zdjęć wynika, że w zajezdni tramwajów Kuba już był, poza tym odwiedzał je w muzeum przy Wawrzyńca. Pociągi powinny być silniejszym magnesem. – Komisarz wstał, a oni, nienawoływani, poszli za jego przykładem.

3

Uznali, że pojedą dwoma samochodami, aby w razie potrzeby móc łatwiej dzielić się na zespoły. Wit wszedł do swojej toyoty, tamta dwójka wzięła służbowy. Stojąc długo na skrzyżowaniu Powstańców Wielkopolskich z Wielicką, z widokiem na kopiec Kraka, komisarz w nieunikniony sposób zaczął się zastanawiać, czy mieli wystarczająco dużo danych, aby na początku ubiegłego tygodnia, dzień wcześniej, znaleźć tutaj Mateusza. Czy wtedy mogli skojarzyć kamieniołom z *Gwiezdnymi wojnami*? Czy w ogóle ta teoria ma sens?

Dotychczas na ogół taka taktyka przynosiła mu powodzenie.

Czasem stawał na ludzi, co do których czuł, że mogą go do czegoś doprowadzić. Jak Kris przed rokiem. Zwykle na miejscu przestępstwa i w czasie śledztwa, oglądając ślady, analizując informacje, rozmawiając ze świadkami, poddawał się działaniu bodźców, wizualizował sobie przebieg zdarzeń i umiejscawiał w nim sprawcę. Logicznie lub intuicyjnie wysuwał teorie, za

którymi podążał, ufając własnemu nosowi. Nierzadko bywały błędne, ale uważał, że liczy się strzał na bramkę. Prędzej czy później trafiał. Teraz jednak na dodatek musiał odpychać od siebie świadomość, że poprzedni dwaj chłopcy zostali zamordowani tuż po zaginięciu...

Trzymając się opła podwładnych, minął ciemnobłękitny gmach poczty, potem otwartą tylną bramę fabryki kabli i stojącą tuż za nią ciężarówkę. Wąska, asfaltowana, ale dziurawa dróżka wiodła wzdłuż ogrodzenia zbudowanego z betonowych płyt podwyższonych siatką z drutem kolczastym. Powyżej niej ukazały się olbrzymie, cylindryczne silosy z prowadzącymi do nich w powietrzu wysięgnikami, po lewej – obła, wąska miniwieża, a na wprost droga kończyła się przy popielatym dwupiętrowym budynku. Zaparkował obok vectry.

Niewiele mówiąc, minęli tablice: „Wstęp wzbroniony – teren monitorowany”, powieszono na ścianie i na słupie oświetleniowym w odległości dwudziestu metrów. Dalej był przejazd przez tory, ze znakiem stop i szlabanem, ale nie opuszczanym, tylko zamykanym na zawiasie, a teraz otwartym na oścież. Tory prowadziły w prawo do hal zakładów remontowych, przed którymi stały dwa nowoczesne, opływowe pociągi z pomarańczowymi pasami wzdłuż kadłuba. To warsztaty naprawcze, które ich jednak nie interesowały, bo tam codziennie od rana kręcili się pracownicy.

Przed nimi, na starych szynach, w bujnej trawie stały wagony pozbawione drzwi, czasem okien wraz z metalowymi futrynami, niektóre tak skorodowane, że brząz zupełnie przykrył pierwotny kolor.

Utworzyli tyralierę i sprawdzali każdy ze stojących w dwóch rzędach wagonów, zarówno wewnątrz, jak na zewnątrz, pod podłogą. Przeważały towarowe, niektóre rozmontowane do tego stopnia, że zostały jedynie żebra lub kratownice, na których dawniej trzymały się elementy poszycia. Do nich wystarczyło zajrzeć, nie trzeba było wspinać się po schodkach. Raz jednak Nawrocki wskoczył do środka, aby przegarnąć jaskrawe worki foliowe, które prawdopodobnie ekipa sprzątająca przygotowała na śmieci, ale na tym etapie przerwała działanie.

Osadzony na ziemi niski betonowy prostokąt miał zamocowane sztywno okrągłe odbojniki, z którymi zderzają się wagony, ale nie prowadził do niego tor, którym cokolwiek mogłoby podejść i się zatrzymać. Za to równolegle, nieco z tyłu, rdzewiał olbrzymi parowóz. Po raz pierwszy widział, żeby okrągłe wieko stanowiące przód jego brzucha było odchylone. Zapraszająco.

– Ja pójde – powiedziała Klaudia. Nie czekając na odpowiedź, wspięła się po dwóch wypustkach na przypominającej pług pochylni i zniknęła we wnętrzu pieca.

Do lokomotywy doczepiona była otwarta węglarka, więc Imbir, tworząc koszyczek z dłoni, podsadził komisarza aż na swoje barki. Wit nie zobaczył w środku nic poza brudem, za to dostrzegł, że w głębi, praktycznie ukryty w zaroślach, stoi jeszcze jeden parowóz. Ten miał przód zamknięty, po bokach – niczym uszy – dwie podłużne blachy, a do kabiny z tyłu prowadziły zamontowane na stałe schody. Idealne miejsce dla Kuby. Pobiegł tam, błyskawicznie pokonał schodki, ale w środku nie zastał nic, nawet śmieci.

– W tamtym też nic nie było – stwierdziła z rezygnacją Klaudia, gdy już spotkali się na dole.

Bez słowa ruszyli z powrotem. Przepuścili jeden z tamtych dwóch pociągów, wyjeżdżający z lokomotywni. A kiedy przejechał, zobaczyli, że w tym czasie przed budynkiem zatrzymał się granatowy, zabudowany pikap mitsubishi, z niebieskim kogutem i pomarańczowym napisem na burcie: Straż Ochrony Kolei. Zaparkował tak, że uniemożliwił wyjazd ich samochodom. Wysiadło z niego czterech umundurowanych sokistów, z bronią, pałkami i pojemnikami z gazem przy pasie, i skierowało się do policjantów. Na czele szedł niski, korpulentny, rumiany trzydziestoparolatek. Jeśli nawet przez swoją zażywność sprawiał wrażenie spolegliwego i sympatycznego, było ono zupełnie mylne.

– Straż Ochrony Kolei, wtargnęliście bezprawnie na teren strzeżony, proszę okazać dokumenty – zażądał.

Wit usłyszał, że za jego plecami Imbir wciąga powietrze, więc czym prędzej wydobyl skórzane etui, do którego jednego skrzydełka przypięta była odznaka, a za przezroczystą osłonkę drugiego – włożona legitymacja.

– Policja. Prowadzimy poszukiwania zaginionego chłopca – powiedział.

– Takie działania należy konsultować ze służbami odpowiadającymi za bezpieczeństwo i porządek na tym terenie. – Facet nie zmienił suchego, oficjalnego tonu. Na naramiennikach miał trzy żółte romby i żółtą linię wiodącą od nich w kierunku szyi. Wit nie znał się na ich stopniach, ale rozumiał, że tamten i tak uważa się za ważniejszego, niż wskazywałaby przydzielona mu ranga.

– To prawda, przepraszam. Niestety, wszystko wydarzyło się nagle, podążyliśmy za pewnymi sygnałami i nie mieliśmy czasu na skomunikowanie się z kimkolwiek – odrzekł pojednawczo. – Dobrze się złożyło, że trafiliśmy na panów, bo pewnie będziemy mogli liczyć na pomoc w akcji. Musimy spenetrować stare, wycofane z obiegu wagony i lokomotywy oraz ich bezpośrednie sąsiedztwo.

– Powinniśmy stworzyć grupę operacyjno-interwencyjną, wezwać odpowiednią jednostkę.

– To chyba zbędne; szukamy dziesięciolatka, a nie terrorystów czy gangsterów. Wystarczyłyby pan i pańscy ludzie, może jeszcze jeden patrol straży.

– To nie takie oczywiste ani proste – napuszył się sokista. – Należałoby się najpierw zastanowić, czy mamy właściwe wyposażenie i czy nie powinniśmy z tego powodu odwołać się do zwierzchników.

– Ale w jakim celu?

– Decyzję o zwolnieniu z obowiązku noszenia umundurowania służbowego podejmuje Komendant Główny Straży Ochrony Kolei – w stosunku do wszystkich podległych funkcjonariuszy, lub Komendant Komendy Regionalnej – w stosunku do funkcjonariuszy podległej mu komendy regionalnej i posterunków. Przemawiać za tym mogą: wykonywanie czynności służbowych w miejscach, w których umundurowanie może być zniszczone lub uszkodzone; wykonywanie określonych zadań służbowych, jeżeli przemawia za tym charakter tych zadań; uczestniczenie w naradach i spotkaniach organizowanych poza siedzibami jednostek organizacyjnych Straży Ochrony Kolei, jeżeli organizatorem tych spotkań nie jest Straż Ochrony Kolei.

Nawrocki zastanowił się, czy bardziej kuriozalne jest to, że facet usiłuje podkreślić własne znaczenie, wygadując takie kretynizmy, czy fakt, że recytuje regulaminy całymi akapitami z pamięci. Postać niczym z *Przygód dobrego wojaka Szwejka*. Za to Imbira nigdy nie pociągały wysublimowane rozważania.

– Opona ci w dupie pęknie, jak się poschylasz trochę w mundurze!?! – wypluł z siebie.

Tamten poczerwieniał i aż się zatrząsł.

– To oburzające – zagadał.

– Przepraszam, wszyscy jesteśmy podminowani, bo waży się życie dziecka. Możemy porozmawiać racjonalnie? – Nawrocki wiedział, że mógłby wyprostować gościa za pośrednictwem Hadyny, który wpłynąłby na jego zwierzchnika, ale zależało mu na czasie. A poza tym przymuszony nie będzie współpracował tak chętnie, jak pozyskany. – Nazywam się Wit Nawrocki. Komisarz Wit Nawrocki z wydziału kryminalnego komendy wojewódzkiej.

– Komendant zmiany Jacek Litwin. Posterunek Kraków.

– Na pewno świetnie zna pan ten teren, wszelkie realia.

– Na towarowym, a przede wszystkim tutaj, pomiędzy Płaszowem a Bieżanowem, mamy blisko dziesięć kilometrów nieużywanych składów – oznajmił sokista minorowym tonem. – Gonimy

z nich bezdomnych, imprezowiczów, włóczykiów. No i złodziei, ale ich to raczej z czynnych pociągów, przewożących towary.

– A czy jest jakieś miejsce, podobne do tego tutaj, które byłoby najbardziej atrakcyjne dla chłopca pasjonującego się wycofanymi z obiegu pociągami, infrastrukturą kolejową?

– A może torowisko koło ZNTK w Biezanowie? – wyrwał się stojący dotychczas z tyłu, najmłodszy z sokistów.

– Trochę dalej, przy Lokomotywni Prokocim, też stoi parę ciekawych rupieci – dodał Litwin, krzywiąc się wyraźnie na inicjatywę podwładnego.

– W porządku. Czy zechciałby pan zorganizować akcję przeczesywania składów, począwszy od stacji w Płaszowie, i nią dowodzić? – Nawrocki zwrócił się do niego, a kiedy ten wyprostował się dumnie i skinął głową, komisarz wiedział, że ma go na haczyku, bo zakompleksionemu formalistcie nie wypada się już wycofać z żadnych ustaleń.

– Starsza aspirant Klaudia Bator będzie naszym oficerem łącznikowym pod pańską komendą. – Mówiąc to, Nawrocki wolał nie patrzeć na koleżankę. – Razem z aspirantem sztabowym Grzywaczem pojedziemy do Biezanowa, a później do Lokomotywni Prokocim. Dobrze byłoby, gdyby któryś z pańskich ludzi został naszym przewodnikiem. Może pan? – Nawrocki wskazał sokistę, który odezwał się wcześniej.

Litwin przyzwalająco, z namaszczeniem skinął głową.

– W takim razie możemy ruszać. – Nawrocki teatralnie klasnął w dłonie. – Na pewno mogę liczyć na pana komendanta, że zdalnie uruchomi pan patrol, który sprawdzi Dworzec Towarowy.

Kiedy podchodzili do samochodów, manewrował tak, żeby wziąć na bok Klaudię.

– Przepraszam cię, ale ktoś musi pilnować tego bajoka, a Imbira nie mogłem z nim puścić, bo by mu twarz utarasił butami.

– Najwięcej nieszczęść bierze się z tego, że ludzie przeceniają moją cierpliwość – westchnęła policjantka, ale okrasila to uśmiechem.

Jechali jego samochodem, Klaudia wzięła służbową vectrę. Obok siebie posadził sokistę, który przedstawił się jako Paweł Karcz. Imbira wysłał na tylne siedzenie, niech się męczy, ale i tak nie mógł się powstrzymać od strofowania grubasa:

– Kiedyś narobisz takiego gnoju, że po kopie nie zatrzymasz się w prewencji, a na ulicy. Po drugiej stronie, w charakterze luja. Czy ty nie rozumiesz, że aby realizować swoje cele, czy chociażby wykonywać zadania, musisz pozyskać sympatię ludzi, niezależnie od tego, co o nich sądzisz i jacy są w rzeczywistości?

– Nie bardzo. Zawsze wychodziłem z założenia, że jesteś gwiazdą nie wtedy, kiedy cię lubią, ale gdy kobiety chcą z tobą być, a mężczyźni chcą być tobą.

No tak, na dodatek popisuje się przed tym młodym sokistą. Wrócili już na Wielicką, skrzyżowali w Biezanowską, a potem Karcz sprawniej niż GPS poprowadził ich labiryntem osiedlowych uliczek i dalej na tereny kolejowe. Jechali asfaltową drogą pośród podkładów ułożonych w stosy i hałd grysu czy kamyczków służących do wysypywania między szyny, obok sznura wagonów-cystern stojących na skraju rozległych rozjazdów kolejowych.

Nawrocki zaczął wątpić, czy Kuba w niedzielną noc mógł się zapuścić tak daleko.

Zwrócił uwagę na dwie żółte konstrukcje, przypominające domki na pojedynczych palach.

– To stanowiska kontroli ruchu, tam codziennie są ludzie, niemożliwe, żeby ktokolwiek się ukrył – wytłumaczył Karcz, widząc, że zwolnił i patrzy w lewo.

Droga kierowała się dokładnie na przedziwną budowlę, silos na czterech dziesięciometrowych słupach, zwężający się ku górze w grubym kominie. Zerknął na swojego przewodnika.

– To wieża do nawęglania parowozów – objaśnił tamten. – Tutaj tankowali parowozy węglem. Wjeżdżał pomiędzy te nogi i z góry sypali mu paliwo, lali wodę, a wyciągali popiół. Mówią na to „bunkier amerykański”, bo po drugiej wojnie światowej w częściach zostało przysłane ze Stanów.

– Brzmi intrygująco i nęcąco... – zawiesił głos Nawrocki.

– Trzeba będzie sprawdzić, co? Ja pójdę.

– Wolę cię nie narażać, pójdę sam, bo Grzywacz przestał nadawać się do takich zadań czterdzieści kilogramów temu. – Z tyłu dobiegło go urażone syknięcie Imbira.

– Pójdę, panie komisarzu. Jestem lekki, najmłodszy... – Karcz zreflektował się, że popełnia nietakt i urwał. – To mój rewir w każdym razie, nawet kiedyś tam byłem, w środku. Już cztery lata temu, kiedy przychodziłem do straży, mieli to rozbierać, ale jakoś do tej pory się nie udało. Skoczę raz dwa, nie trzeba mnie ubezpieczać, możecie już zacząć z pociągami.

Wzięli z Imbirem po jednym sznurze wagonów. Klasyczne osobówki z przedziałami, jakimi przejeździł kawałek Polski w młodości, na ogół stojąc w niesamowitym ścisku na korytarzu, z plecakiem opartym o stopy. Teraz zaglądał do wszystkich przedziałów; dwa spojrzenia na półki nad siedzeniami i do następnego. Czasem tylko musiał mocować się z odsuwającymi drzwiami. Kibel na początku i na końcu.

W czwartym czy piątym wagonie, kiedy tylko wszedł, usłyszał szloch, towarzyszący nabieraniu powietrza i wypuszczaniu go w przeciągłym „O Jezuuu”. Pobiegł. Zaczepił tchu, w nozdrza uderzył go smród. Następne dwa kroki, zobaczył żuła leżącego wzdłuż siedzeń, przykrytego płaszczem, tonącego w oparach zastarzałego brudu i przetrawionego alkoholu, śpiącego albo półprzytomnego, no bo skąd te odgłosy.

Musi mieć złamany i źle zrosnięty nos, pomyślał. Trącił butem trampki mężczyzny. Tamten obudził się z rozgłosnym jękiem.

– Co jest, masz flaszkę? – wymamrotał.

– Nie, pytanie.

– Co jest, kurwa, gub się flaku. – Tamten podniósł się na łokciu.

– Ogarnij się, chłopie, bo zepsuję ci wieczór. Policja. Szukam dziesięcioletniego chłopca. Nie widziałeś go gdzieś tutaj na terenach kolei?

– Od wczoraj widziałem tylko Wojtka. Obaliliśmy parę mózgojebów i zaofiarował się, że skołuje dwa szczeniaczki. Wziął ode mnie szpeje, żeby sprzedać, ale się nie pojawił. Dziecka nie widziałem.

– Nie widziałeś nikogo ani niczego podejrzanego?

– Tylko tego Wojtka. Zachachmęcił moje szpeje, buc jeden.

Wit machnął ręką. Sprawdził pozostałe wagony, na zewnątrz zastał Karcza ligninową chusteczką rozmazującego na twarzy sadzę.

– Co się stało?!

– Zaglądałem z góry do tego zbiornika i w jednym miejscu była taka podejrzana kupka. Rzuciłem w nią kawałkami połamanego krzesła, które znalazłem w kabinie operatora, i się okazało, że to pył węglowy, który się podniósł. – Sokista się skrzywił.

– Gdzie Imbir?

– Poszedł sprawdzić parę sztuk po wschodniej stronie.

– Powiedz mi jeszcze, co to jest? – Nawrocki pokazał za swoimi plecami pięciokątną, murowaną, trzydziestometrową wieżę, zaopatrzoną w zaledwie kilka lufcików.

– Kolejowa wieża ciśnień. Też już niepotrzebna.

– Dobra, weź klucze do mojego samochodu, w schowku znajdziesz butelkę mineralnej; umyj nią sobie twarz i czoło. Jeśli spotkasz Imbira, zabierz go, poczekajcie tam na mnie. Sprawdzę tę wieżę i dołączę do was.

Omszałe, zielone schodki prowadziły do niezamkniętych drzwi, ale łatwo sforsowana przeszkoda nie kryła za sobą nic. Wewnątrz, od parteru po dach, włącznie z wieńczącym wieżę pustym zbiornikiem na wodę, znalazł jedynie kobierce gołębiego gówna. Próbką została mu na butach. Jeszcze podchodząc do toyoty, kompulsywnymi ruchami tarł bokiem podeszwy o asfalt. Dobrze, że rano było chłodno i zrezygnował z założenia sandałów.

– To jest problem wszędzie na kolei – powiedział Paweł Karcz, oparty wraz z Imbirem o kabinę samochodu. – Wieża ciśnień w Płaszowie, koło której przedtem byliśmy, jest tak samo obesrana.

– Przecież tam takiej wieży nie było?! – zdziwił się komisarz.

– Bo ona ma inny kształt. Jest niższa i półkolista – odparł tamten.

– Aha, widziałem coś takiego – przypomniał sobie. – Ale sądziłem, że nie należy do kolei, stała osobno i była ogrodzona.

– Należy, należy. Tu jest w ciul budynków i rzeczy, z którymi nie wiadomo, co zrobić, niczemu nie służą, a skontrolować je wszystkie trudno.

Zrezygnował z odwiedzin w Lokomotywowni Prokocim, jechał znowu do Płaszowa i znowu czuł ciarki na plecach, ale teraz był skłonny przypisywać je biorącej w nim górę obsesyjnej naturze.

Wypadł z samochodu, bramki w ogrodzeniu nie było, na ścianie żółta tablica „budynek uszkodzony, grozi zawaleniem”, drzwi brak. Obiegł ją, znalazły się z drugiej strony. Drewniane drzwi z kłódką.

Podniósł rękę i zaraz opuścił. Jeśli zacznie majstrować przy niej, nawet w rękawiczkach, to zetrze ewentualne odciski palców.

– Daj, ja to zrobię. – Imbir odsunął go delikatnie. Po czym schylił się, złapał za dolny brzeg drzwi, podniósł i pociągnął. Zatrzeszczały, zapiszczały i odchyliły się od strony zawiasów.

Nawrocki wbiegł do środka: na dole pusto, trochę gruzu i desek, rusztowanie. Prostokątne okna złożone z małych, kwadratowych szybek. W każdym co najmniej jedna, dwie były wytłuczone. Betonowe schody bez poręczy pokryte dywanikiem ptasiego łajna o różnym stopniu miękkości. Kiedy oczy przyzwyczaiły mu się do półmroku, dostrzegł na co drugim stopniu wyraźnie odcisnięte podeszwy sportowych butów. Ubrany w nie człowiek musiał być bardzo ciężki albo coś nieść.

Pobiegł, starając się nie nadepnąć na tamte ślady, serce jak szalone tłukło mu się w piersi. Kiedy dotarł do szczytu, podjechało mu do gardła, bo przed drzwiami do usytuowanej na dachu nadbudówki leżało piekło-niebo.

Drzwi były zamknięte tylko na metalowy skobel, schował dłoń do rękawa ortalionowej kurtki i ostrożnie zdjął wrzeciędz, łapiąc go przez materiał jak najbliżej zawiasu. Pierwsze jego spojrzenie za drzwiami przykuły otwarte, ale nieprzytomne, błyszczące gorączką oczy. Drugim spojrzeniem objął wszystkie pozostałe szczegóły: chłopiec leżał w śpiworze, zapakowany niczym mumia, śpiwór był przewiązany dwoma pasami przypiętymi do belki stanowiącej rusztowanie ściany. Obok głowy dziecka, w obecnym stanie słabo przypominającego Kubę Raska, stał dwulitrowy karton soku ananasowego z wystającą słomką.

ROZDZIAŁ 15

1

Wit Nawrocki był tak skoncentrowany na analizie widzianych wczoraj obrazów, że płytki szpitalnej posadzki zwały mu się przed oczami w jednolite beżowe tło, a ciemniejsza kratka fug rozmyła się zupełnie. Szukał w pamięci elementów, które pozwoliłyby mu zrozumieć stan, w jakim znaleźli Kubę, i fakt, że go w takim stanie znaleźli. Był pierwszym z chłopców, który żył i nie został zgwałcony. Jednocześnie wyglądał na tyleż zniewolonego, co zabezpieczonego. Pętały go dwa zestawy pasów: pierwszy na ciele, którego w pierwszym momencie komisarz nie zauważył, drugi – na zewnątrz śpiwora, mocujący go jednocześnie do ściany. Nie mógł się poruszać, nawet przeturlać, ale śpiwór chronił go przed wychłodzeniem organizmu. Pozostając w najwyższym punkcie wieży, w pomieszczeniu bez okien, nieopodal hałasującej fabryki kabli, nie był w stanie zaalarmować nikogo krzykiem, za to nie był zakneblowany i w wygodny sposób mógł popijać sok, dzięki czemu nie odwodnił się i dostarczył organizmowi trochę cukru.

Być może słuszny jest komentarz Imbira – „Skurwiel zostawił go sobie na później” – ale komisarz stronił od łatwych, oczywistych wniosków. Może sprawcy coś przeszkodziło lub nie miał czasu na dłuższą sesję. Kuba na razie nie mógł im niczego wyjaśnić. Kiedy go znaleźli, był półprzytomny z gorączki i szoku, chwilami mamrotał coś niezrozumiale. W szpitalu dziecięcym w Prokocimiu zaaplikowano mu leki, a lekarz wygonił policjantów za drzwi. Ryzyko traumy psychicznej oraz zapalenia płuc nie pozwala w tej sytuacji niepokoić dziewięcioletniego dziecka, wytłumaczył im, głuchy na nieco demagogiczne argumenty, że może dzięki rozmowie z Kubą uda się uratować jakieś inne życie.

Dzisiaj miała zapaść decyzja, czy i kiedy dostaną szansę przesłuchania chłopca. Nawrocki zerwał się znowu świtaniem i przyjechał do szpitala, luzując dwóch funkcjonariuszy, których zostawił na noc na korytarzu na wypadek, gdyby zjawił się tutaj morderca, aby dokończyć robotę.

Natomiast Imbir i Klaudia założyli na niego wieczorem pułapkę w wieży, już po przebadaniu miejsca przez techników. Sami się napraszali, więc się zgodził, choć wątpił, czy znalezienie chłopca długo będzie tajemnicą po zamieszeniu, jakie w sąsiedztwie wieży zrobili policja, pogotowie, sokiści i ekipa techników. Ostatecznie odwołał ich przed północą, kiedy internet huczał już od wiadomości o cudownie uratowanym chłopcu.

Za to dzisiaj wysłał ich do Otwocka, żeby prześledzili głębiej przeszłość właściciela telefonu, Mariusza Grzelaka. Stamtąd wyjechał na studia do Gliwic i resztę życia spędził na Śląsku. Katowicka komenda zgromadziła dossier z tego okresu, które jednak nie nasuwało żadnych tropów. Może jego podwładni odkryją jakieś powiązania. Przecież z komórki Grzelaka wykonano połączenie do tamtejszego domu dziecka.

W wieży znaleźli konkretne ślady, brakowało im człowieka.

Niestety, w tamtym miejscu kamery istniały wyłącznie wymalowane na licznych tabliczkach ostrzegawczych „Teren monitorowany”, natomiast ta przy wjeździe do fabryki kabli sięgała niedaleko za bramę. Już wczoraj udało się uzyskać z niej nagranie; ujęcie obejmowało ledwie skraj

Prokocimskiej, więc samochody przejeżdżające w kierunku lokomotywowni zostały zarejestrowane pod postacią cieni.

Mieli za to odciski butów sportowych, numer czterdzieści dwa, najprawdopodobniej męskich. Powszechny rozmiar, marka bardzo popularna, obecna we wszystkich sklepach, więc nie da się dotrzeć do kupującego. Ale jeśli znajdą tę parę u sprawcy, to analizując deformacje podeszwy, będą mogli ją powiązać ze śladami.

Na papierowym piekło-niebo tym razem był odcisk palca wskazującego, ale bokiem, za to w miarę dobry – środkowego. Kilka śladów linii papilarnych, w tym wyraźny kciuk, znaleźli również na kłódce. Wszystkie należały do tego samego człowieka, którego odciski zachowały się na papierowej zabawce leżącej obok zwłok Mateusza Matlaka w kamieniołomie. Rozpoznają mordercę. Jeśli go odkryją i dopadną...

– Przepraszam, czy to pan komisarz Nawrocki? Renata Krzywoń, rozmawialiśmy przez telefon. – Z wyciągniętą ręką podeszła do niego kobieta po trzydziestce, bez wyraźnych właściwości, za to z sympatycznym, wręcz serdecznym uśmiechem.

– Bardzo mi miło, pani doktor. – Wstał, aby się przywitać. Podczas rozmowy z Kubą miał być obecny psycholog i doszli do wniosku, że zamiast policyjnego specjalisty lepiej zaprosić kogoś znanego chłopcu. Już wczoraj wieczorem zadzwonił do ośrodka na Wesolej i dostał numer do pani Renaty, która od dawna współpracowała z tamtą instytucją. Podczas krótkiej rozmowy zwierzyła się, że kiedy przebywał tam Kuba, spędzała z nim sporo czasu. Umówili się na rano w szpitalu.

– Jak właściwie mnie pani poznała?

Stropiła się nieco.

– Powiedziałałam w recepcji, że mam spotkanie z komisarzem policji, i usłyszałam, że to ten facet w sandałach, który siedzi w korytarzu na pierwszym piętrze – odparła z przepraszającą miną.

– Lepszy znak rozpoznawczy niż purpurowy kwiat w butonierce albo czytany demonstracyjnie aktualny „Kurier Krakowski”, których dawniej używali randkowicze i szpiedzy – zażartował. – Czy to nie pani robiła Kubie zdjęcia podczas wycieczek do lokomotywy na AGH, do Tauron Areny i innych?

– Koleżanka, wychowawczyni z ośrodka. Natomiast ja opisałam je i dałam Kubusiowi w prezencie, kiedy wracał do domu.

– Bardzo nam pomogły te zdjęcia.

– Cieszę się! Jakże dzisiaj ma pan wobec mnie oczekiwania? Nie znam się na policyjnych przesłuchaniach.

– Przypuszczam, że ma pani dużo lepsze przygotowanie do wyciągnięcia czegoś od dziesięciolatka niż ja. Wszystko, co uczyni go bardziej otwartym, wszelkie odwołania do wspólnych wspomnień albo aktualnych spraw są oczywiście mile widziane. Jeśli zechce pani dopytać o coś, co zainteresuje panią w jego wypowiedzi, doprecyzować coś, co zwróci pani uwagę – śmiało. Proszę tylko nie robić tego, wpadając mu w słowo. Niekiedy odbiera to wylewność rozmówcom, a jeszcze częściej ucieka im wątek.

– To się zgadza z taktyką psychologów. Trzeba pozwolić wygadać się rozmówcy.

– Nie wiem, jak długo będziemy musieli czekać. Za niespełną godzinę ma być obchód. Miałem nadzieję, że uda się wcześniej, ale niechby nawet po obchodzie wpuścili nas do niego.

– W porządku, jestem przygotowana, wzięłam wolne przedpołudnie. Pójdę tylko po kawę, bo przez tę sprawę strasznie dzisiaj roztargniona byłam. Nalałam wody do kawiarki, ale nie nasypałam kawy. I dopiero w połowie filiżanki zorientowałam się, że piję taką lurę, bo to wywar z osadu na naczyniu...

– Przyniosę pani, sam też potrzebuję jakiegoś wzmocnienia. – W międzyczasie usiedli, ale teraz poderwał się znowu. Ta kobieta, poza tym, że miała mu pomóc w niezwykle ważnym zadaniu, budziła odruchową sympatię. Zaczęła wyciągać pieniądze, on przekonywał ją, żeby tego nie robiła, ona krygowała się, że nie może pozwolić, aby tak zaczynała się ich znajomość, i wtedy podeszła do nich młoda lekarka.

– Dobrze rozumiem, że państwo czekają na rozmowę z Jakubem Raskiem? – spytała. – Przyjmie państwa. – Uśmiechnęła się figlarnie.

– To świetnie!... – zaczął Nawrocki, ale szybko mu przerwała.

– Muszę jednak prosić, abyście ograniczyli się państwo do piętnastu, dwudziestu minut. Kuba nie ma w tej chwili gorączki, ale bardziej miarodajne będzie wskazanie wieczorne. Nie wiemy też, czy traumatyczne przeżycia nie miały negatywnego wpływu na jego organizm. Lepiej na razie go nie forsować. Zwłaszcza że po południu mają go odwiedzić bliscy.

Babcia, którą wczoraj komisarz osobiście poinformował o odnalezieniu Kuby, czuła się już lepiej, ale na razie na pewno nie dostanie zgody na opuszczenie szpitala, więc syna zobaczy dzisiaj jedynie tata.

2

– No, jest moje warzywko. – W głosie Imbira stawiającego na stole talerz z golonką zabrzmiała czułość. Mięso miało stożkowaty kształt i ciemnobrązowy pas skóry po wierzchu, niczym daszek, plus dwie wystające z boku kostki. W drugiej ręce trzymał czerwoną plastikową butelkę z końcówką w kształcie smoczka, gęsią w locie wymalowaną na etykiecie i napisem: Sriracha Hot Chili Sauce. – To się nazywa pomieszanie kultur; sprawdzimy, czy po tajskim sosie Sriracha nie biega się do sracza. Skład wygląda mniam, mniam; papryczka chili i czosnek.

Zatrzymali się w przydrożnej karczmie czy raczej barze, bo nawet obsługi kelnerskiej tutaj nie było, pomiędzy Skarżyskiem a Szydłowcem. Niedługo po wyjeździe z Krakowa partner Klaudii dodzwonił się do domu dziecka w Otwocku. Rozmawiał z kobietą pełniącą funkcję zastępcy kierownika, która była tam wychowawczynią, gdy w placówce przebywał Mariusz Grzelak. Zgodziła się ich przyjąć pomiędzy jedenastą a dwunastą, bo wcześniej ma ważne obowiązki. Imbir wymógł więc postój na wyżerkę w knajpie, w której był kilka lat temu. Klaudia, która na śniadanie w domu wypija kawę przegryzaną kromką z miodem, wzięła pierogi po amerykańsku. Głównie z ciekawości: usłyszała od kasjerki, że to ruskie, ale zamiast białego sera jest żółty. Były smaczne – za ten efekt odpowiadały, podobnie jak w ruskich, podsmażona cebulka oraz przyprawy – i bardzo syte.

Imbir odkroił pasek szarawego mięsa poprzetykanego paskami tłuszczu, posmarował sosem i włożył do ust. Przegryzł chlebem.

– Sriracha, nie usłyszysz dzięki od zwieracza – westchnął z błogością poprzez jedzenie obracane w ustach. – Poprawia smak i wyostrza apetyt, ale chyba przyda się krem Nivea na rano.

– Wejdzie ci to całe? – Klaudia wskazała bryłę na talerzu. Na co bardziej ordynarne jego teksty nie reagowała z zasady, żeby nie prowokować kolejnych.

– Wejdzie, razem z talerzem. – Żuł pracowicie.

– No tak, bandzioch masz wielki jak Ukraina.

– Uhm, z Krymem. Nie każdy może być szczupły, ktoś musi być zajebisty.

– Trudno pozbyć się zajebistości?

– Koleżanki sobie chwalą, kochanego ciała nigdy za dużo. Staniki fruwają.

– Ale i tak nie dałbyś rano rady zjeść na czczo więcej jajek na twardo niż ja.
– No, czuj się. To ile obstawiasz?
– Jedno. Drugie już nie będzie na czczo, hu, hu, hu.
– To przecież stary dowcip, dopiero teraz skojarzyłem. Dałem się nabrać.
– Widzisz, większość żartów jest zabawna tylko raz, ale z ciebie można śmiać się bez przerwy. –
Przychodził zawsze taki dzień, kiedy Klaudia hurtowo rewanżowała mu się za wszystkie kpiny i szowinistyczne gadki. Nie zostawiała niewyrównanych rachunków z facetami.

– Kurde, odbija mi się, chyba ktoś mnie obmawia – skrzywił się Imbir.

– Tak se tłumacz. Ciągłe cię obmawiają. Nie jedz tak łapczywie, to przestaną.

Minęli Białobrzegi, Grójec. Widząc kierunkowskaz w lewo z napisem „Łubna 9 km”, zaczęła się zastanawiać, czy nie słyszała niedawno tej nazwy. Przerwał jej znowu partner, klikający dotychczas w ekranik smartfona. Przypuszczała, że mota jakąś panienkę na czacie, ale jej wnioskowanie okazało się błędne.

– Dostałem info, że w poniedziałek przyszło zgłoszenie od kobiety, która w niedzielę w nocy widziała Kubę Raska w tramwaju, w „szóstce”. Ale dyżurny to zbagatelizował, bo kobieta według niego dziwnie się zachowywała i dzwoniła dopiero późnym popołudniem.

– Powaga?!

– Bez kitu. Kto w policji choć rok służył, ten w cyrku się nie śmieje. Powiem ci, że kiedy Wicio się wylogował ze służby, a potem mnie posunęli z kryminalnej, miałem ochotę jebnąć papierami. Tyle że alternatywy nie były dostatecznie pociągające, bo Pod Koziółkami w Rynku, gdzie se dorabiałem i mógłbym dostać cały etat, tylko branie było dobre, ale robota nieprzyjemna i bardziej nerwowa niż w linii.

– Pod Koziółkami?! Przecież to klub dla lamusów. Przechodziłam tam parę razy wieczorem i za tym wielkim wystawowym oknem zawsze ludzie w średnim wieku bawili się na scenie przy karaoke.

– Tia, to przyjdź kiedyś w środku nocy z piątku na sobotę albo z soboty na niedzielę. Zobaczysz, jak ochrona napierdała się z pijanymi Angolami albo wywleka za nogi swojskich wirażków, którzy się nawciągali nosem, więc włączyła im się nieśmiertelność. I trzeba uważać, żeby nożem w brzuch nie dostać.

– No to faktycznie, przykrość. A Nawrocki właściwie dlaczego miał przerwę? Co się z nim działo? Bo same niedopowiedzenia słyszę.

– I to ci musi wystarczyć. Skup się na drodze – uciał sucho Imbir.

Lekko obrażona, nie odzywała się do samego Otwocka.

Wkrótce po wyjeździe z Krakowa ustalili taktykę wywiadu z wicekierowniczką domu dziecka, kolejność poruszanych problemów, a nawet dosłowną treść pytań. Co z tego, skoro ledwo weszli do jej gabinetu (choć to zbyt szumna nazwa dla czegoś pomiędzy niedużym pokojem gościnnym a biurkiem, z mnóstwem dokumentów na biurku i niskiej ławie oraz ozdobami, zabawkami i gadżetami na wyższym poziomie), Imbir zatrzymał się jak wmurowany. Klaudia podążyła za jego wzrokiem – patrzył na półeczkę na lewo od biurka, gdzie w cieniu kilku albumów leżało piekło-niebo.

– Co państwa tak zaabsorbowało? – spytała zdziwiona kobieta. Nawet nie zdążyli się sobie ceremonialnie przedstawić, choć Imbir podał jej już przez telefon ich nazwiska oraz dowiedział się, że się nazywa Irena Podworska.

– Skąd pani ma tę papierową zabawkę? – wykrztusiła Klaudia.

– Piekło-niebo? Nie wiem. Sama zrobiłam, zrobiło ją któreś z moich podopiecznych. Nie pamiętam. – Wychowawczynie wzruszyła ramionami.

Policjanci patrzyli na siebie zaskoczeni.

– Uczę dzieci składać je od ponad trzydziestu lat, odkąd zaczęłam tu pracować. – Jak to zwykle bywa, milczenie interlokutorów sprowokowało drugą stronę do wzmożonej produkcji słów. – Za komuny brakowało zabawek, choć czasem dostawaliśmy je z darów zagranicznych przysyłanych do miejscowej parafii. Zachodnie były lepsze niż sklepowe, ale dzieci najchętniej się nimi bawiły, więc szybko się psuły i niszczyły. A piekło-niebo to tania, wdzięczna rozrywka, zwłaszcza w fazie tworzenia, kiedy dziecko ma satysfakcję, że samodzielnie zrobiło coś działającego. Później sytuacja rynkowa się poprawiała, zabawek było coraz więcej, zmieniały się zainteresowania dzieci, ale pozostałam przy składaniu piekła-nieba. Traktowałam to jako zadanie z zakresu prac plastycznych, ćwiczenie zdolności manualnych, cierpliwości, staranności. A przy tym test na wyobraźnię, bo dzieci miały samodzielnie pokolorować zabawkę, wiedząc, co symbolizuje.

– Mariusz Grzelak też składał tę zabawkę? – spytała Klaudia.

– Tak, oczywiście. I dowodził, że nie trzeba jej malować, tylko oznaczał kolory równoległymi liniami – to był niebieski, i krateczką – czerwony. Czy trudno było zgadnąć, że zostanie inżynierem? – Pani Irena uśmiechnęła się, ale zaraz spochmurniała, przypominając sobie dalszy los wychowanka. – To tragedia, że tak skończył. Ale niestety nie jest to odosobniony przypadek.

– Co pani ma na myśli? – odezwał się Imbir. Oboje ciągle stali, a Podworska siedziała. Wyglądali na parę niesfornych uczniów wezwanych na reprimendę, ale to oni mieli silniejszą pozycję w dialogu.

– Choćby jego przyjaciel, Wacek Rejman, był narkomanem, po kilkunastu latach nałogu umarł przez „złoty strzał”. Jemu z kolei nie chciało się malować i tylko pomazał trochę ścianki. A znowuż przywódca ich trójki, Michał Skura – Skura przez u otwarte – narysował flamastrami postaci niebieskich aniołów w niebie i czerwonych diabłów w piekle.

3

Kuba podciągnął koldrę pod brodę, dłońmi trzymał za brzeg materiału. Nawrockiego poruszył ten ewidentny odruch obronny, ale jeszcze bardziej – powitalna kwestia psycholożki.

– Czołem, Kubuś, hardkorowy biwak miałeś, co?

– Noo. – Oczy chłopca zgubiły czujny wyraz, usta rozciągnęły się w uśmiechu.

Policjant sądził, że kobieta odezwała się szorstko i żartobliwie, aby nie uwznioślać przeżyć dziecka, bo dzięki temu nie przerodzą się w trwałą traumę.

– Przedstawiam ci pana komisarza Nawrockiego, który cię znalazł. – Wskazała Wita.

– Cześć, Kuba. – Podniósł dłoń. – Przy okazji dzięki tobie pozwiedzałem trochę zabytkowych pociągów i lokomotyw.

– Fajnie pan miał. A myślałem, że to ja zobaczę te parowozy. – Mina mu się trochę wydłużyła.

– Jeszcze się naoglądasz. Razem tam kiedyś pójdziemy. Teraz, gdy mamy znajomości w policji, wszędzie będziemy mogli wejść. – Renata Krzywoń przysiadła na skraju łóżka.

Nawrocki przysunął sobie białe, szpitalny taboret.

– Dostałeś SMS-a o tych lokomotywach, prawda? – Odtąd już on zadawał pytania.

– Aha. Tam pisało, że zobaczymy parowóz starszy niż Żyleta. Taki, co ciągnął wagony z legionistami i Marszałkiem Piłsudskim. – Widząc, że chłopiec rozochocił się na samo

wspomnienie, komisarz nie miał wątpliwości, że coś takiego mogło go wyciągnąć nocą z domu. – Były też zdjęcia. Superzdjęcia!

– Znasz tego człowieka, który ci to wysłał?

– Nie, no nie. – Kuba poprawił się na posłaniu. – Ale numer nie był zastrzeżony. Chciałem zobaczyć te parowozy. Babcia by się nie zgodziła, bo tam wszędzie jest wstęp wzbroniony.

– Nie domyślasz się, kto to mógł być?

– Pomyślałem, że to tak jak ze Świętym Mikołajem, który przynosi prezenty; nie wiemy, kto to, ale wiadomo, że to taki miły, przebrany pan. To miał być jeszcze jeden prezent na komunię.

– Czym się tam dostałeś?

– Tramwajką, „szóstką” spod Wawelu. W SMS-ie pisało, żeby przyjechać ostatnim tramwajem.

Będą mogli ustalić dokładne ramy czasowe podróży chłopca, porwania i uwięzienia. Co się przyda przy ewentualnym alibi ewentualnego podejrzanego. Wszystko w trybie przypuszczającym, cholera!

– Ten człowiek jechał z tobą?

– Nie, razem nie.

– A czy to mógł być ktoś z ludzi w tramwaju?

– Nie wiem, raczej nie, bo wysiadłem na Płaszowie i sam szedłem koło poczty, dopiero tam dalej, po lewej są takie budyneczki, chyba garaże. I koło nich mnie złapał...

Chłopiec lekko zadrzał, przypominając sobie koszmarne chwile. Policjanci spenetrowali wczoraj miejsce, o którym mówił. Za budyneczkami leżało mnóstwo domowych odpadów – sprzętów i ich części, bezdomni uwielbiali bobrować między nimi.

– Już nic ci nie grozi z jego strony. – Renata Krzywoń uspokajająco poklepała go po dłoni.

– Widziałeś jego twarz? – spytał Nawrocki.

– Nie, obrócił mnie tyłem do siebie, złapał za szyję, ścisnął i zemdlałem.

– Czasem zdarzało ci się tak mdleć, gdy byłeś u nas, pamiętasz. Gdy wydarzyło się coś niezwykłego albo zaskakującego – powiedziała psycholożka i niemal natychmiast z miną winowajczyni zerknęła na policjanta. Uświadomiła sobie, że przerwała chłopcu, przed czym ją przestrzegali. Rozumiał jednak, że to kolejna próba usytuowania ostatnich dramatycznych zdarzeń w szeregu przeszłych doświadczeń. Przedstawienia ich w formie rutyny.

– A możesz coś o nim powiedzieć? – przejął dochodzenie. – Wyglądzie, ubraniu, może coś miał jeszcze, na przykład zegarek.

– Był wysoki i silny. A zegarka chyba nie miał. Aha, no i ładnie pachniał.

– Ładnie?

– No jakimiś perfumami.

– Kobięcymi czy męskimi?

– Ja się nie znam, chyba męskimi. Tata takich nie ma, babcia też. Mama miała różne perfumy, ale raczej takie, od których aż dusiło albo kręciło w nosie. A to był taki... taki zapach...

– Delikatny – odpowiedziała Renata Krzywoń.

– O, właśnie. Przyjemny.

Zbyt wiele to nie wносиło, bo taki efekt mógł dać trochę lepszy dezodorant za kilkanaście złotych. Nie należało również sugerować się pobieżnym opisem porywacza. Wit Nawrocki w pracy policyjnej przekonał się, jak bardzo ludzie różnią się od siebie, jeśli chodzi o widzenie zdarzeń, inaczej je zapamiętują i kilku świadków potrafi podać zupełnie odmienny przebieg czy okoliczności. Ludzki umysł dopasowuje wspomnienia do doświadczeń, wyobrażeń, stereotypów, modeli, przez co niekiedy bardzo wypacza wspomnienia.

– A czy ten człowiek odwiedził cię jeszcze w więzy?

– Nie, obudziłem się, kiedy już tam byłem, dopiero pana zobaczyłem pierwszego.

– Jak ci się wydaje, jak długo tam leżałeś?

– Gdy się obudziłem, to się przejaśniało, potem był dzień, noc i znowu dzień. Ale dokładnie nie wiem, bo spałem nie tylko w nocy, coraz bardziej mnie choroba brała.

Chłopak miał gorączkę, gubił kontakt z rzeczywistością, ale nie stracił poczucia czasu. Wszystko się zgadzało – musiał tam trafić w nocy z niedzieli na poniedziałek, a we wtorek późnym popołudniem go znaleźli. Rozległ się pisk otwieranych drzwi. Nawrocki obejrzał się i zobaczył lekarkę, która ich tu przyprowadziła. Z założonymi rękami oparła się o futrynę i popatrzyła wymownie.

– No nic, Kuba, dziękuję ci za rozmowę, bardzo mi pomogłeś. Na pewno jeszcze się spotkamy, a teraz wypoczywaj – powiedział i wstał. Podniosła się też jego towarzyszka.

– Pa, Kubuś. Miło było cię znowu zobaczyć.

– Złapiecie go? – spytał lękliwie chłopiec.

– Na pewno. Już depczemy mu po piętach. – Komisarzowi udało się nasycić głos przekonaniem, którego bynajmniej nie odczuwał.

Na korytarzu Renata Krzywoń zatrzymała się, jakby niezdecydowana.

– Sądzi pani, że to możliwe, że dziewięcioletni chłopiec wyszedł w nocy z domu na SMS-owe, anonimowe wezwanie?

– Tak, zwłaszcza tamtego, szczególnego dnia. Pierwsza Komunia, pomijając aspekt religijny, to dla dziecka także przeżycie towarzyskie, społeczne. Jest w centrum uwagi, odbywa się przyjęcie na jego cześć, dostaje prezenty. Taka nocna wycieczka była ukoronowaniem całej celebry; colą, którą trzeba popić tort i inne przysmaki.

Uśmiechnął się na to porównanie. Pamiętał, kiedy cola, zagraniczna, oryginalna, sama w sobie była największym przysmakiem i atrakcją.

– Pojadę na Mogiłską, mogę panią podwieźć do centrum – zaproponował. – Muszę tylko wezwać kogoś, kto będzie na wszelki wypadek pilnował Kubę. Póki nie przyjdzie, powinienem tu zostać. Lepiej nie kusić losu.

– Cieszę się, że tak się troszczycie o Kubusia. Pójdę na tramwaj. Obiecałam sobie, że będę robić codziennie te dziesięć tysięcy zalecanych kroków, a ciągle mam deficyt.

Pożegnali się, zadzwonił na VI Komisariat, żeby przysłali kogoś do szpitala. Z Ćwiklińskiej powinni dotrzeć szybko, ale zdąży jeszcze się dowiedzieć, jak w Otwocku wiedzie się Klaudii i Imbirowi.

Żadne z nich jednak nie odbierało, także po upływie kwadransa, kiedy zluzowany przez patrol policyjny, odjeżdżał z Prokocimia.

4

Irena Podworska stwierdziła, że nie pamięta październikowego nocnego telefonu do sekretariatu ani nagrania na automat. Prawdopodobnie go nie było lub nagrała się chwila ciszy, póki dzwoniący się nie rozłączył. Potem trochę zdryfowała, porównując warunki, jakie zastała w domu dziecka, gdy podjęła w nim pracę w czasach schyłkowego (pod każdym względem) peerelu, z obecnymi oraz tymi sprzed dwóch dekad, kiedy w ośrodku przebywał Grzelak. Policjanci nie przeszkadzali jej, oszołomieni informacjami usłyszanymi na wstępie. Liczyli też, że wśród wspomnień pojawiają się istotne fakty. Wreszcie Klaudia przerwała.

– Proszę opowiedzieć o przyjaźni tych trzech chłopców, Mariusza, Wacka i Michała. Jak wyglądała?

– No jak to chłopcy, mieli tajne bractwo. Trzymali się razem, od zawsze. Czasem to nawet szło w złą stronę, bo rządili innymi młodszymi dziećmi.

– Rządzili?

– Nawet je trochę terroryzowali. Ale wtedy od razu interweniowałyśmy – zastrzegła.

– Na czym polegało to rządzenie, a nawet terroryzowanie?

– Wszystkiego nie pamiętam... Wciągali je w swoje zabawy w takich rolach, że tak powiem, podległych, niby giermków, służbę czy personel. Wyznaczali im zadania do realizacji. Na przykład wykonywanie dyżurów za nich. Czasami było to dobre, bo pilnowali porządku. Michał był przywódcą.

– Ten Skura, przez u otwarte?

– Tak, to był najładniejszy dzieciak w ośrodku. Ładniejszy nawet niż Marysia. Zresztą potem w krótkim czasie zostali adoptowani. Ale to już było po tym, jak ich drogi się rozeszły.

– Michała i Marysi?

– Nie, nie. Marysia to taka młodsza dziewczynka. Miała taką wyrazistą, nieco tajemniczą urodę i dałam ją za przykład do porównania z Michałkiem. Chodzi mi o trzech chłopców, ich przyjaźń się urwała.

– Dlaczego?

– Nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Było nas za mało, żebyśmy mogły się zajmować takimi sprawami, poświęcić czas pojedynczemu dziecku i skłonić go do zwierzeń. Dobrze, że wystarczyło go na sytuacje alarmowe czy choćby niepokojące.

– A ta nie była niepokojąca? – po raz pierwszy odezwał się Imbir.

– No, nie, to naturalne. W tym wieku przyjaźnie są na śmierć i życie, ale też rozpadają się z chwili na chwilę, niekiedy z błahego powodu. Oni oddalili się od siebie. Nie było widać wrogości, ale przestali trzymać się razem. Tak jakoś niedługo po Pierwszej Komunii do tego doszło.

Policjanci popatrzyli na siebie.

– Jest pani pewna?

– Tak, tak. To było chyba wtedy, kiedy w Otwocku wydarzyła się ta tragedia. Umarła dziewięcioletnia dziewczynka, zresztą ich koleżanka z klasy. Może to na nich tak podziało? Ale to wyłącznie spekulacje.

– Co konkretnie się wydarzyło?

– Nie pamiętam. Zresztą chyba nawet wtedy nie znałam szczegółów. Jakaś zapaść, choroba, wypadek? Zbyt straszne to było, żeby wnikać. Nie znałam jej zbyt dobrze. Była miejscowa, a ja mieszkałam i mieszkam w Górze Kalwarii. Odwiedziła nasz ośrodek kilka razy, wpadała do chłopców, podkochiwała się chyba w Michale. Taka nieduża blondyneczka. Basia, Kasia? Chyba Basia. Więcej mogłaby powiedzieć o niej, a może również o chłopcach, ich wychowawczyni. Justyna Kruszyńska. Ciągłe uczy w szkole podstawowej numer cztery.

– Jak rozumiem, ten Michał jest jedynym żyjącym z całej trójki? – spytała Klaudia.

– Tak sądzę. Nie dotarły do mnie żadne informacje, żeby było inaczej. Po adopcji kontakt się urwał.

– A gdzie mieszka?

– Być może w Krakowie. W każdym razie adoptowało go małżeństwo z Krakowa.

Kolejna niespodzianka.

– Może pani podać bliższe dane?

– Chyba nie powinnam... – zawahała się.

– Prowadzimy śledztwo i nie będzie problemu z uzyskaniem nakazu prokuratorskiego. A pani pomoc mogłaby przyspieszyć bądź wykluczyć pewne działania – przekonywała ją Klaudia. – Może poda pani choć nazwisko?

– No cóż, ale proszę tego nie zdradzać. Sprawdziłam je po tym, gdy pani zadzwoniła. Ci państwo nazywali się Białońscy. Joanna i Henryk Białońscy.

Imbir był zamyślony w drodze do szkoły podstawowej, do której uczęszczali wychowankowie domu dziecka. Nie odzywał się do Klaudii także podczas kilkunastominutowego oczekiwania na koniec lekcji przed drzwiami klasy, do której skierowała ich sekretarka dyrektora szkoły.

Justyna Kruszyńska uczyła geografii. Na ścianie za jej plecami widniała wielka mapa świata, opuszczana na wzór kurtyny w teatrze. Wymień i pokaż wszystkie półwyspy Azji, przypomniało się Klauddii.

– Badamy przeszłość Mariusza Grzelaka, pani Irena Podworska skierowała nas do pani – wyjaśniła powody wizyty.

– Ale przecież on zginął w ubiegłym roku?! – zdziwiła się kobieta, której włosy delikatnie przyprószyła siwizna, a twarz sprawiała wrażenie ściągniętej; może przez zmarszczki w kącikach oczu i ust. – Zrobił coś złego, zanim umarł?

– To bardziej skomplikowana sprawa, niestety, dla dobra śledztwa, nie mogę wchodzić w szczegóły. To nie dochodzenie przeciwko niemu, ale szukamy śladów w jego przeszłości, które można powiązać z teraźniejszością. Pani była jego wychowawczynią?

– Tak, wychowawczynią jego klasy. To w ogóle była dziwna grupa, naznaczona klasa – tak o niej dawniej myślałam. Może nie powinnam mówić tego głośno...

– Naznaczona? W sensie – przeklęta?

– Nie, nie doszukuję się tu żadnych sił nadprzyrodzonych. A znowu słowo „pechowa” byłoby niewłaściwe. Choćby ze względu na tę tragiczną śmierć Basi. Inną dziewczynkę, chyba pod wpływem tamtego dramatu, mama przeniosła od nowego roku do „dwójki”. W lecie Michał został adoptowany, już nie wrócił do naszej szkoły. W trakcie pierwszego semestru dwóch chłopaków wyjechało z rodzicami, którzy się przeprowadzili, jeden do Warszawy, już we wrześniu, drugi za granicę, po świętach Bożego Narodzenia. No a w ostatnich latach doszła do tego śmierć Wacka i Mariusza.

– Jak zmarła Basia?

– Miała krwotok wewnętrzny. To zdarzyło się w maju, tuż po Pierwszej Komunii.

– Było dochodzenie?

– Tak, chyba tak. Ale nie znam dokładnych ustaleń. Stanęło na tym, że to był wypadek. Nie dowiedzieliśmy się, na czym polegały jej obrażenia. A mama po jej śmierci była leczona psychiatrycznie, od kilkunastu lat przebywa w zakładzie w Górze Kalwarii.

– Basia nie miała rodzeństwa?

– Miała siostrę bliźniaczkę, która zmarła podczas porodu lub wkrótce po nim. Niedługo później rodzice się rozstali, ojciec wyjechał z Otwocka. Nie wiem, gdzie się podziewa, nie pojawił się na pogrzebie Basi. Mama i Basia mieszkały we dwójkę, pewnie to, co stało się z pierwszą córką, miało wpływ na stan matki. Z jednej strony była przewrażliwiona na punkcie zdrowia Basi, na przykład ubierała ją zbyt ciepło, a z drugiej zaniedbywała ją czasami. Dziewczynka chodziła samopas.

– Z Michałem? Ponoć była jego dziewczyną?

– No nie, w wieku dziewięciu lat... – Nauczycielka zastanowiła się. – To były dzieci jeszcze. Na pewno bardzo jej się podobał, snuła się za nim wszędzie.

– A ona jemu?

– Czy ja wiem... Wie pani, jacy są chłopcy w tym wieku, jak traktują dziewczynki.

Klauddię ukłuły wspomnienia.

– Pamiętam taką sytuację – ożywiła się kobieta. – Basia nosiła przez parę tygodni w tornistrze tę zabawkę, piekło-niebo. Chwaliła się, że Michał jej podarował. A pozostali śmiali się, że pewnie

sama sobie zrobiła.

– A Michał co mówił?

– No tak, jasne! – Imbir niemal wykrzyknął te słowa, strzelając przy tym w powietrzu palcami. Nauczycielka i policjantka spojrzały na niego jak na wariata.

– Przepraszam panią. Bardzo dziękujemy za pomoc! – Zerwał się z krzesła i pociągnął koleżankę za rękę.

– Pocięło cię!? Co ty odpieprzasz? – wjechała na niego na korytarzu.

– Sorczak. Ale wreszcie chwyciłem zagadnienie i nie mogłem się powstrzymać. Od złej strony do tego podszedłem i nie mogłem zatrybić, skąd znam nazwisko Białoński i gdzie je ostatnio widziałem. A przecież jeśli Michał Skura został adoptowany przez Białońskich, to nazywa się Michał Białoński. To musi być MiBiał – ta firma fotograficzna, która sygnowała szkolne zdjęcia Kubu Raska! – Imbir klasnął dłońmi o uda. – A nie zdziwię się, jeśli robił zdjęcia we wszystkich trzech szkołach, do których chodzili chłopcy. Że to ten gość, którego widzieliśmy na pogrzebie Manuela! Na pewno jest dawnym kumplem Grzelaka, z którego telefonu dzwoniło, i od dziecka składa te papierowe zabawki. Dzwonię do Wicia, trzeba gościa sprawdzać. Czuję, że wreszcie mamy naszego człowieka!

ROZDZIAŁ 16

1

Mężczyzna przegląda zdjęcia i ma dojmujące przeświadczenie, że robi to po raz ostatni. Powinien wykorzystać te chwile tym wydajniej, ale nie sprawiają mu radości. Nie czuje znanego uderzenia dopaminy w mózgu, nie czuje poruszenia w kroku luźnych spodni.

Klika znowu w kartę, gdzie otworzył informację o chłopcu znalezionym w wieży przy zajezdni kolejowej. Czyta ją ponownie i zdaje sobie sprawę, że koniec się zbliża. Jeśli nawet dzieciak nic im nie powie, to znajdą inne ślady. Bezradna dotychczas policja dokonała pierwszego przełomu w śledztwie i nic jej nie zatrzyma.

Wspomina, że jeszcze kilka dni temu był taki pewny siebie. Może jednak trzeba było rozegrać to inaczej? A może największy błąd, skutkujący obecną sytuacją, popełnił znacznie dawniej, ponad dwadzieścia lat temu?

Położy się choć na parę godzin, może wraz z nim zaśnie niepokój.

2

Niestety, ta noc była chłodniejsza od poprzedniej i znacznie chłodniejsza niż dzień. Woleli nie włączać ogrzewania, bo po północy furgonetka stojąca przy Odmetowej z pracującym silnikiem mogłaby zwrócić uwagę. Obserwację prowadzili dwie przecznice dalej – obiektu przy ulicy Heleny Kurcewiczówny.

Lesisko to był w ogóle rejon rodem z *Trylogii*, a ogólniej – z Sienkiewicza, ze szczególną jednak reprezentacją *Ogniem i mieczem*: ulice Kmicica, Podbipięty, Zagłoby, Wołodyjowskiego, Wiśniowieckiego. Powinno się nazywać Dzikie Pola. Do tego jeszcze Jagienka i Zbyszko z Bogdańca. Co ciekawe, Skrzetuskiego nie ulokowano tutaj, ale na Górze Borkowskiej, a Powagę z Taczewa i Zyndrama z Maszkowic – po sąsiedzku ze sobą, na Piaskach Wielkich.

Stara corolla Nawrockiego, jako zwyczajna i nierzucająca się w oczy, parkowała naprzeciwko domu sąsiadującego z posesją Michała Białońskiego. W kłoszu tylnego lewego kierunkowskazu umieszczono kamerę, która obejmowała wejście do domu podejrzanego, nieduże podwórko, bramkę i bramę wjazdową w ogrodzeniu. Na szczęście, nie było tam żywopłotu, tylko druciana siatka. W ogóle dom z tej perspektywy wyglądał na kiepsko utrzymany. Niestrzyżony jeszcze w tym roku trawnik, klomb, na którym nic nie rosło, parę rachitycznych krzewów obok. Zgoła inaczej było z willą stojącą przy ulicy Oleńki, zwróconą do domu Białońskiego tyłem. Wszelaka ozdobna roślinność bujnie się przy niej pleniła i dlatego obraz z kamery umieszczonej w parkującym przy tamtej ulicy nieoznakowanym radiowozie mieli bardzo skromny. Ot, część podwórka i dwa okna parteru.

Tak czy owak, od późnego popołudnia, kiedy założyli obserwację, z żadnego kierunku nie zarejestrowali ruchu na posesji podejrzanego. Po zmroku w ani jednym oknie się nie zaświeciło, nie dostrzegli nawet słabego poblasku. Nigdzie nie namierzyli też zarejestrowanego na Białońskiego samochodu, sześcioletniego grafitowego seata Ibiza. Fotograf miał na koncie dwa punkty karne, nałożone w lutym przez patrol drogówki za przekroczenie prędkości. Musiał być grzeczny i spolegliwy, skoro wyznaczyli mu najniższą karę.

Za przednią i tylną szybą toyoty technicy przymocowali też kamerki pokazujące ulicę Kurcewiczówny, ale one bardziej miały się przydać jako ubezpieczenie, jeśli zdecydują się wejść do domu. Na razie Szymański postanowił tego nie robić, lecz mieli reagować elastycznie. W stanie gotowości był zespół z SPKP, choć angażowanie do akcji antyterrorystów wydawało się Nawrockiemu lekką przesadą.

Ustalili, że Michał Białoński mieszka sam w tym niedużym, jednopiętrowym domu. Szymański polecił sprawdzenie okoliczności śmierci rodziców, ale wyglądały na naturalne. Matka – rak, ojciec rok po niej, chyba po trosze z tęsknoty, ale bezpośrednią przyczyną było serce.

Wszystkie przesłanki wskazywały, że ich adoptowany syn był porywaczem, gwałcicielem i mordercą. Współpracował ze szkołami Manuela i Kuby, ich zdjęcia znaleźli na jego stronie internetowej, gdzie notabene wyraźnie przeważają podobizny chłopców. Szreniawski, który nie wyjechał jeszcze do Norwegii, więc odwiedzili go w Kocmyrzowie ze zdjęciem Białońskiego, rozpoznał w nim fotografa obecnego na próbnej komunii Manuela.

Białoński miał kontakt z dziećmi, a sprzedając im fotografie bądź zwracając się o zgody na ich publiczne udostępnienie, mógł zdobyć bliższe dane, adresowe i telefoniczne. Wcześniejszą znajomość mógł wykorzystać do zwabienia Manuela nad Zalew Nowohucki. Zarazem jednak Kubie się nie pokazał. Według stworzonej wczoraj *ad hoc* opinii profilerka to odejście od rutyny może oznaczać eskalację działań. Sprawca ośmielił się i chce urzeczywistnić inne, bardziej zaawansowane fantazje. Jest mniej niecierpliwy, zaczęło podniecać go samo przetrzymywanie dziecka.

Ale gdzie jest w tej chwili? Klaudia zadzwoniła do niego na numer podany na stronie internetowej z przygotowaną legendą o zamówieniu na sesję fotograficzną z urodzin syna, jednak nie odebrał przy żadnej z trzech prób.

Nawrocki popatrzył na swoich współpracowników. Przyjechali w te pędy z Otwocka, byli już blisko dwadzieścia godzin na nogach, ale nie widać po nich zmęczenia. Imbir, o dziwo, nie wołał jeść ani nawet nie gadał o żarcie. Kiedy przed północą Nawrocki zaproponował im odpoczynek i rotacyjne dyżury w zimnej furgonetce, odparł: „To i tak postęp, bo wczoraj siedzieliśmy w ptasim gównie. Wszystko dobrze, byle z Kładzią”.

O dziwo, mimo irytującego stylu bycia Imbira i nie do końca rozpoznanych fobii Klaudii, całkiem nieźle się dogadywali, a przede wszystkim – tworzyli coraz sprawniejszy i skuteczniejszy zespół. Komisarz sądził, że działają na siebie motywująco: z jednej strony „instynkt łowiecki” i chęć zaimponowania dziewczynie, z drugiej – ambicja i potrzeba rywalizacji z płcią przeciwną.

3

Klaudia miała nadzieję, że znajdą przekonujące dowody na to, że Białoński jest mordercą dwóch chłopców, i skończą się jej zgrzyoty.

Przecież znał Grzelaka od dziecka. Będą musieli jeszcze prześledzić, co robił w czasie, gdy tamten zginął na Rodos, czy to możliwe, że go zamordował. W każdym razie wszystkie logowania

telefonu Grzelaka do stacji Mogiła zdarzyć się mogły właśnie na Lesisku. Niedaleko stąd, po wyjeździe w Klasztorną i w lewo, blisko było do Bulwarowej, a gdyby skręcić w prawo – zaraz most na Wiśle, Półnanki i przelotowe ulice, którymi w nocy szybko można dotrzeć na Płaszów i do Kamieniołomu Libana.

Mieli zdjęcie Białońskiego z jego strony internetowej: wysoki blondyn o pociągłej twarzy stoi odwrócony lewym profilem, z aparatem w prawej ręce, trzymany na wysokości lewego bicepsa. To na pewno ten facet, którego widzieli z Imbirem na pogrzebie Manuela tydzień temu.

– Mam dziwny ruch przy posesji – odezwał się od monitora policyjny technik obsługujący podgląd domu Białońskiego. – Co to jest?! Jakież czarne kule.

Akurat kiedy pochylili się za jego plecami, obiekty przesunęły się w krąg światła rzucanego przez latarnię. Kwartet dzików, trzy nieco mniejsze, pewnie samica z potomstwem. Technik parsknął śmiechem.

– Żyją w zaroślach na terenach zalewowych przy korycie Wisły, a najczęściej w nocy wypuszczają się na żer – powiedział Nawrocki. – Nawet w centrum można je spotkać, a co dopiero tutaj.

Dziki na monitorze przegrzebywały wąski pasek ziemi pomiędzy siatką ogrodzenia a chodnikiem. Uaktywniły także Imbira, który do tej pory jakby drzemał lub wsłuchiwał się w muzykę wygrywaną mu w jelitach przez sos Sriracha. Przynajmniej jest mu ciepło, pomyślała złośliwie.

– One się w tańcu nie pierdolą, tylko wyłażą po swoje. A my czemu nie wchodzimy? – spytał jej partner z pretensją w głosie. – Przecież na kwadracie go ewidentnie nie ma. Możemy przeprowadzić zwyczajne, zgodne z prawem przeszukanie.

– Nie wiemy, gdzie jest – odparł komisarz. – Gdyby miał w domu urządzenie monitorujące lub gdyby ostrzegł go ktoś z sąsiadów, mógłby uciec i gdzieś się zamelinować.

– Gdyby to tu trzymał trofea i rekwizyty używane podczas morderstw, korzystniej dla oskarżenia byłoby złapać go razem z nimi – dodała Klaudia. – Dlatego lepiej poczekać, żeby się pojawił.

– Gdyby, gdyby – przedrzeźniał ich Imbir. – Gdybym ja był szczupłym brunetem i miał faję po kolana, to za ciężki hajs grałbym w filmach porno na Florydzie, a nie męczyłbym się tu za cztery tysiące. Trzeba działać w zastanych warunkach, to moje motto. Nie wiadomo, co tam w środku się dzieje i czy nie należy tego przerwać. A może znaleźlibyśmy wskazówki, gdzie zboka szukać.

– Tak czy owak, to decyzja prokuratora prowadzącego śledztwo – uciął Nawrocki. – Nad ranem mamy się skontaktować z Szymańskim i prawdopodobnie wejdziemy o szóstej, jak Pan Bóg przykazał.

Klaudia otworzyła laptopa. Przejrzyj jeszcze raz fotografie z pogrzebu Mateusza. Planowali, że we wtorek pojawią się na cmentarzu Podgórskim, ale pochłoneły ich poszukiwania Kuby na Płaszowie. Dużą galerię opublikował jednak serwis lajkiolakraka.pl. Wprawdzie oglądali ją już wszyscy po kolei i nie zauważyli Białońskiego między żałobnikami, ale może jej teraz się uda. A przynajmniej zajmie czas i uspokoi nerwy.

4

Raport złożony przez komisarza prokuratorowi za kwadrans szósta dałby się streścić w jednym zdaniu. A i tak wszelkie słowa poza „nic się nie dzieje” byłyby zbędnym gadulstwem.

– Jest sens dłużej czekać? – spytał Szymański.

Nawrocki powstrzymał się od rozważań, czy w ogóle należało czekać całą noc. Szkolne koleżeństwo miało swoje granice, a miłość własna Łukasza – niekoniecznie.

– Uważam, że trzeba wejść do środka, poszukać dowodów, sprawdzić, czy nikogo tam nie ma, nikogo nie więzi – powiedział. – A jeśli jego nie ma, to może trafimy na wskazówki, gdzie mogłyby się znajdować.

– Dobra, to wchodźcie, ale najpierw antyterroryści, a wy dopiero, gdy dom będzie zabezpieczony. Daj znać możliwie szybko, co wynikało z przeszukania.

Komisarz odłożył komórkę, a włączył radio, słuchawkę od zestawu włożył do ucha.

– Granat zgłoś – wywołał. Taki pseudonim przyjęła współpracująca z nimi tej nocy grupa Samodzielnego Pododdziału Kontrterrorystycznego Policji.

– Granat, zgłaszam.

– Przejmujemy obiekt. Według planu. Minimum siły i zniszczeń. – Scenariusze akcji opracowali już wieczorem.

Klaudia i Imbir słyszeli wszystko, ożywili się, nie musiał wydawać im poleceń. Oglądał na monitorze, jak pod ogrodzenie domu Białońskiego zajeżdża czarny nieoznakowany furgon Volkswagena, a z rozsuniętych drzwi wysypuje się sześciu ludzi. Jasnobeżowe buty, spodnie moro, czarne podkoszulki, na nich kamizelki kuloodporne, karabinki szturmowe w dłoniach obciążonych brązowymi rękawiczkami, brązowe kominiarki na twarzach, hełmy i czarne okulary. Bramkę sforsowali błyskawicznie, wystarczyło podważyć zapadkę. Trzech pobiegło na tyły domu, mignęli kilka razy w obrazie z drugiej kamery. Trzech zostało przy drzwiach frontowych, ale też szybko zniknęli w środku.

– Wszędzie czysto: dom, garaż, komórka, brak ludzi – rozległo się po kilkunastu minutach w słuchawce. – W garażu stoi seat ibiza. Wycofujemy się na pozycję.

Postaci i pojazd na monitorze wykonały dokładnie te same działania, niczym przewinięte wstecz na podglądzie, tylko furka pozostała otwarta. Za to ich furgonetka ruszyła i po pokonaniu dwóch przecznic stanęła pod bramą.

– Pilnuj gospodarstwa, Romek – rzucił Nawrocki do technika, wysiadając. Podniósł rękę, dając sygnał kierowcy. Obaj wiedzieli, że mają stanąć za rogiem i ostrzegać przed samochodami i pieszymi zbliżającymi się do domu Białońskiego.

Szedł ostatni, zamknął za sobą furkę na klamkę.

– To może ja wezmę garaż i komórkę – zadeklarowała Klaudia na podwórzu. Trochę się zdziwił taką inicjatywą, dotychczas czekała na rozkazy.

– W porządku. Imbir pójdzie na piętro, ja biorę parter, a które z nas skończy pierwsze, zejdzie do piwnicy – zadysponował.

Ubrał plastikowe, szpitalne pokrowce na buty i lateksowe rękawiczki. W środku odniósł wrażenie, że Białoński nie za wiele zmienił tu po śmierci przybranych rodziców. Żył zresztą w tych samych pomieszczeniach, co w młodości. Sypialnia na parterze była pusta i zakurzona, salon też wyglądał na nieużywany, za to fotograf przejął gabinet, wcześniej chyba należący do ojca. Na półkach wciąż stały książki o geodezji, którą zajmował się Henryk Białoński, jakieś dyplomy, statuetki otrzymywane z okazji kolejnych okrągłych rocznic pracy. Na biurku natomiast był komputer, obok drukarka z załadowanym papierem, a dalej jeszcze jedna kupka kartek formatu A4. Prawdopodobnie to z nich zostały wykonane piekła-nieba.

Biurko też było podzielone na strefy starego i nowego właściciela. W szufladach po lewej stronie pozostały pamiątki po ojcu, szuflad po prawej używał syn. Komisarz zaczął przeglądać ich zawartość, jednak nie znalazł niczego, co by potwierdzało podejrzenia lub wzbudzało nowe. Przeszedł do kuchni, która była posprzątana, w zlewie nie zalegały brudne naczynia. Na pewno jednak regularnie przyrządzano w niej jedzenie, bo w szafkach i na półkach zobaczył mąkę,

cukier, sól, ryż, kasze, sporo rozmaitych przypraw. Na garnkach i talerzach umieszczonych na podorędziu nie zalegał kurz.

Nagle usłyszał trzask drzwi i tupot. U wejścia do kuchni pojawiła się zaczerwieniona twarz Klaudii z rozszerzonymi oczami.

– Komisarzu, niech pan patrzy – wydyszała. Położyła na terakotowej podłodze trzymany w dłoni podłużny czarny plecak. Po rozsunięciu zamka odchyliła się cała przednia ścianka. To musiał być specjalny plecak przystosowany do noszenia sprzętu fotograficznego; wyłożony wewnątrz żółtym nieprzemakalnym materiałem, ze sztywnymi przegródkami – główną na aparat i mniejszymi na obiektywy czy inne przyrządy. Teraz były w nich cztery telefony komórkowe, rozdzielone do dwóch komór, pudełko prezerwatyw, pudełko z lateksowymi rękawiczkami oraz zwinięty w kłębek czarny przewód. W ciągnącej się przez całą wysokość plecaka, wąskiej przegródce, normalnie zawierającej pewnie rozsuwany statyw, leżał miecz Jedi ze srebrną rękojeścią i zieloną klingą.

– Plecak był w tym budynku, wetknięty w przerwę między drewnianą belką przytrzymującą dach a szczytem muru – powiedziała już spokojniej Klaudia. – Są tam też buty sportowe, ale nie brałam ich, bo całe utylane.

– Tego też nie powinnaś dotykać, nawet w rękawiczkach – syknął Nawrocki, któremu zaczęło się udzielać zdenerwowanie. Wyglądało na to, że mieli narzędzia morderstw i gwałtów. Reprimendę przerwał łoskot wydawany przez słonia biegnącego do wodopoju. To Imbir sadził po schodach.

– Czy wy musicie zachowywać się w domu podejrzanego jak u kuzynów na urodzinach, robić harmider i wszystko macać łapami? – wkurzył się komisarz.

Imbir gapił się na zawartość plecaka.

– Widzę, że sprawa się klaruje – odezwał się wreszcie. – Nie złość się, Wiciu, sam wiesz, jaka adrenalina się wyzwała, gdy jesteś na tropie. Jakbyś popił energetykiem dwie kapsułki spalacza tłuszczu albo kawę ugotował na red bullu. Świat obraca się dwa razy szybciej.

– Trzeba wezwać techników, żeby pozdejmowali odciski palców i poszukali śladów biologicznych ofiar – powiedział Nawrocki, wyjmując telefon. – Zarządzamy poszukiwania Białońskiego.

– Chyba wiem, gdzie on jest, a na pewno był. I dlaczego nie skończył roboty z Kubą. – Imbir podsunął mu kolorowy folder.

Było to zaproszenie na warsztaty fotograficzne organizowane przez firmę Sony, od poniedziałku do środy, w Warszawie. Połączone z kursami prowadzonymi przez znakomitych specjalistów korzystających ze sprzętu Sony, laureatów Grand Press Photo, a także prezentacją i testowaniem nowego modelu bezlusterkowego aparatu z serii Alpha. *Fotografie mają moc zatrzymywania najpiękniejszych chwil w życiu* – brzmiało hasło wybite pogrubioną kursywą na całej szerokości strony. Znalazł program imprezy. Wczoraj zajęcia miały się skończyć późno, około dwudziestej pierwszej, więc niewykluczone, że Białoński został na noc w Warszawie. A może i przedłużył pobyt na czwartek. Trzeba się skontaktować z organizatorami, może uczestnicy byli kwaterowani za ich pośrednictwem.

W tym momencie w uchu wybuchł mu podekscytowany krzyk Romka. Miał nie reagować na ludzi wychodzących bądź wyjeżdżających z sąsiednich domów i do tej pory się nie odzywał.

– Właśnie minęła nas taksówka! Wydaje mi się, że z tyłu siedział blondyn! Zaraz zobaczę go na monitorze! – meldował *staccato*. – Podjeżdża pod posesję. Tak! Z tyłu siedzi podejrzany, właśnie płaci kierowcy.

– Bierzemy go! – zgrzytnął rozkaz dowódcy antyterrorystów.

Nawrocki podszedł do kuchennego okna. Stojąc za firanką, widział, że Michał Białoński, niemal identyczny jak na zdjęciu ze strony internetowej, tylko w zamszowej kurtce zamiast koszuli i kamizelki, wysiada z taksówki. Ciągnie niedużą walizkę na kółkach. Kiedy otwiera i zamyka za sobą bramkę, taksówka odjeżdża. Robi trzy kroki, za jego plecami hamuje czarna furgonetka. Wypada z niej trzech antyterrorystów, dwóch wbiega bramką, jeden przeskakuje wprost przez bramę. Białoński odwraca głowę zaalarmowany hałasem, a oni spadają mu na plecy, rzucają go na trawnik obok chodnika, wbijają twarz w ziemię, wykręcają ręce za plecy i skuwają kajdankami.

– Mamy gada! – zabrzmiało triumfalnie w słuchawce.

5

Podkomisarz Sulima popatrzył przez stół na swojego szefa Sławomira Manię i prokuratora Krzysztofa Sobola. Dobrze, że tak usiedli, będzie mógł zwracać się do obu jednocześnie, a nie wybierać jednego, urażając być może drugiego. W tym niełatwym, chwilami kuriozalnym śledztwie czekała go najtrudniejsza rozmowa. Musiał przekonać do swoich teorii ich, ale po prawdzie i siebie. Tak definitywnie.

– Sprawę morderstwa Krzysztofa Małyszki uważam technicznie za rozwiązaną – powiedział. Natychmiast przyciągnął ich uwagę. – Dokonał go Rafał Konarski, o czym świadczą wszelkie dowody i poszlaki, o których dotąd panów informowałem. Jeszcze jeden dowód uzyskaliśmy dzisiaj, kiedy nasi technicy dostali się wreszcie do smartfona podejrzanego. Nigdy nie dzwonił z niego do Małyszki, co paradoksalnie potwierdza inne przesłanki. Nie był z nim w tak dobrych relacjach, by się umówić normalnie na spotkanie. Za to logował się ze swojego telefonu na profil Maniek Baniek, za pomocą którego zwabił ofiarę do hotelu. Gdyby doszło do procesu, zapewne wystarczyłoby to, razem z wcześniejszymi znaleziskami z mieszkania na osiedlu Centrum B, do skazania Konarskiego.

Zgodnie pokiwali głowami.

– Jak panowie wiedzą, Rafał Konarski zmarł wczoraj, nie odzyskawszy przytomności, więc nie poniesie kary za swój czyn. Co jednak według mnie nie zamyka sprawy.

Znowu podnieśli głowy i patrzyli na niego bacznie.

– Chodzi o ten list? – spytał naczelnik wydziału kryminalnego.

– Tak. Teza, od której zacznę, jest taka, że list ten napisał Dawid Pietrek, na papierze, który Konarski dostarczył mu do więzienia w Starym Wiśniczu, wskutek czego były na nim jego odciski palców. Santana mógł się postarać, aby pisząc list i wkładając do koperty, nie zostawić na kartce śladów linii papilarnych. W niedzielę piątego maja Pietrek oddał Konarskiemu list w zaklejonej kopercie zaadresowanej do mnie, polecił usunąć z niej odciski palców i wysłać z Warszawy.

– Sądzi pan, że mógł mieć aż taki wpływ na Konarskiego? – Ton prokuratora był sceptyczny.

– Jest to bardzo prawdopodobne. Z tego, co ostatnio się dowiedziałem, Konarski poznał Pietrka, będąc nastolatkiem, i uważał za swojego mentora. Drugim, także chronologicznie, mentorem, co będzie istotne w tej historii, był Sylwester Augustynek, legendarny Gumiś. Pietrek ma maturę, to inteligentny człowiek, mógł napisać list o takiej treści. Kiedy trzeciego maja spotkałem się z nim w więzieniu, użył jednego z nietypowych określeń, które padło w liście: młódka. „Małyszka lubił sobie przemacać młódki”. Wszyscy znajomi Konarskiego podkreślają jego olbrzymią naiwność i prostolinijność. Pietrek mógł go przekonać do wysłania listu do policjanta pod dowolnym zmyślonym powodem, być może skierowania śledztwa w sprawie morderstwa Małyszki na

falszywe tory. Ale przede wszystkim: wcześniej namówił go do zabicia Małyszki i zaplanował całą akcję.

– Moglibyśmy oskarżyć go o podżeganie – zauważył Soból. – Ale nie jesteśmy w stanie tego udowodnić, chyba że wyciągnie pan takie zeznanie od Pietrka. Nie przesłuchiwał pan go od tamtego piątku?

– Nie. Proszę pozwolić mi przedstawić całość teorii. Decyzja o przesłuchaniu będzie należała do panów – oznajmił Sulima.

– Przejdźmy do motywu kierującego Pietrkiem – zaproponował prokurator.

– Chodzi o pieniądze, milion dolarów, które ukrył Gumiś, zanim zespół CBS rozbił jego gang. Co symptomatyczne, rok wcześniej rozpuścił swoisty „zakon” gangu, swoich pierwszych współpracowników: Małyszę, Kamila Barana, Ukraińca Łysenkę. Żadnego z nich nie sypnął w śledztwie; zostali skazani za inne przestępstwa. Przypuszczam, że Konarski nie należał do tej grupy. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, Augustynek nie traktował go poważnie, uważając za mało rozgarniętego. Obawiał się jednak wiedzy i naiwności Konarskiego, dlatego nie zeznawał przeciwko niemu.

– Ale jaka w tym rola Pietrka? – zniecierpliwił się prokurator.

– Augustynek, Baran, Małyszka i Pietrek siedzieli razem w Nowym Sączu. Santana prawdopodobnie już wcześniej, od Konarskiego, wiedział sporo o gangu samochodowym. W więzieniu dowiedział się o pieniądzach. Równie prawdopodobne jest to, że siedemdziesięcioletni Gumiś w sposób naturalny dostał udaru, który go zabił, jak i to, że Pietrek przyspieszył rozwój zdarzeń... Na pewno natomiast zaatakował Barana i go okaleczył, za co został przeniesiony do Nowego Wiśnicza. Władze zakładu karnego w Nowym Sączu zakwalifikowały to jako bójkę więźniów, ale Pietrek używał żyletki umocowanej do uchwyty do szczoteczki do zębów. Przeciął Baranowi skórę na żuchwie, co każe przypuszczać, że celował w szyję.

– W porządku, przenieśli go do Wiśnicza i wtedy jego narzędziem stał się Konarski? – Pytanie podinspektora przypominało bardziej wystawienie piłki do strzału i podniosło Sulimę na duchu.

– Po kilku miesiącach Pietrek dostał zgodę naczelnika na odwiedziny osoby niebędącej adwokatem, nienależącej do rodziny, bliskich. Wprawdzie został przeniesiony za czyn karalny, ale w Nowym Wiśniczu zachowywał się wzorowo. Wyrok Konarskiego sprzed kilkunastu lat uległ zatarciu, był on traktowany jako niekarany. Od szefa tamtejszej służby więziennej wiem, że od tamtej pory Rafał odwiedzał swojego nauczyciela zgodnie z regulaminem, dwa razy w miesiącu. Było to tak monotonne i grzeczne, że po pewnym czasie odbywało się już bez nadzoru strażnika.

– Dlaczego uważa pan, że Pietrek namówił Konarskiego do zamordowania Małyszki?

– Sekcja zwłok Małyszki wykazała bardzo wysoki poziom histaminy. Jak panom wiadomo, ten związek chemiczny wydziela się wskutek zranienia żywego organizmu: im dłużej trwa okaleczanie, tym stężenie jest wyższe. Na początku myślałem, że to forma okrutnej zemsty na pedofilu. Ale Małyszka, mimo określonych skłonności, nigdy nie był podejrzany o skrzywdzenie dziecka. Nie było więc nikogo, kto mógłby się za to mścić. Sądzę, że był torturowany, żeby wyjawiał miejsce ukrycia pieniędzy. Co nie wyklucza zemsty: odcięty członek włożono mu do ust. Tak oznacza się zdrajców, donosicieli. Wydaje się, że Pietrek w taki właśnie sposób podburzył Konarskiego. Wmówił mu, że Małyszka zdradził Gumisia po odejściu z gangu.

– Skoro Małyszka wiedział, gdzie są pieniądze, to dlaczego ich nie użył? – Podinspektor po raz pierwszy zadał pytanie obnażające luki w teorii.

– Po wyjściu z więzienia był pod nadzorem kuratora, w tej chwili byłoby zbyt podejrzane, gdyby nagle zaczął szastać gotówką. Uważam też, że dowiedział się o pieniądzach później, już w więzieniu. Stąd ten rozbój dokonany w okresie, kiedy był spłukany. Gumiś w ostatniej dekadzie

życia uwielbiał skupiać na sobie uwagę słuchaczy, opowiadać rzeczy prawdziwe na równi z fantasmagoriami. Wydawało mu się, że niczym nie ryzykuje, miał wyjść z więzienia pierwszy, w 2018 roku. Dlatego w 2015 roku poddał się dobrowolnie karze, dzięki czemu otrzymał nieco łagodniejszy wyrok. Niewykluczone, że Małyszka i Baran mieli dostać udział w skarbie, ale na jego warunkach i pod jego kontrolą.

– Ma pan potwierdzenie istnienia tego „skarbu”? – Krzysztof Soból narysował palcami w powietrzu znak cudzysłowu.

– Członkowie z gangu Gumisia, przeciwko którym zeznawał, rozmawiają ze sobą o tych pieniądzach, lecz nikt nie wie, gdzie mogłyby być. W zeznaniach Augustynek twierdził, że zarobili mniej na skradzionych samochodach, bo Rosjanie zalegają im milion dolarów. To nie wytrzymuje konfrontacji z logiką: przecież Rosjanie raczej nie płacili jednorazowo takich kwot, to jest równowartość ponad dwudziestu kradzionych samochodów po cenach paserskich. Nie zdobywa się tylu aut w tydzień. Mamy uwierzyć, że gang Gumisia kradł samochody, wysyłał je taśmowo na wschód, nie czekając na zapłatę, ale licząc, że tamci uregulują wszystko hurtowo, po fakcie? Nie w tej branży i nie z takim kontrahentem, który mówiąc oględnie, nie jest godny zaufania.

– Brzmi sensacyjnie, ale jednocześnie sensownie – zgodził się prokurator. – Problem w tym, że ta misterna konstrukcja może runąć od lekkiego uderzenia.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Jest pan gotowy zweryfikować ją w konfrontacji z osadzonym Dawidem Pietrkiem?

– Tak, ale uważam, że nic nam to nie da, a przyniesie efekt odwrotny, ujawnimy naszą wiedzę. To bezwzględny, perfidny, wręcz wyrafinowany morderca i manipulator. Podczas mojej wizyty w więzieniu napuścił mnie na Małyszę, o którym wiedział, że nie żyje, licząc, iż dzięki temu szybciej ruszę tropem zabójcy. Dwa dni później za pośrednictwem Konarskiego wysłał list, który go pogroził. Zniszczenie Konarskiego musiał zaplanować z dużym wyprzedzeniem, kiedy poprosił go o przyniesienie papieru do pisania. Mógł ten papier zdobyć w więzieniu, ale wtedy nie byłoby na nim odcisków palców Konarskiego. W tej chwili o pieniądzach wie tylko on i najprawdopodobniej Kamil Baran, ale Santana wychodzi wcześniej.

– Może jakieś dowody znajdują się w celi? – spytał Mania.

– Zbadaliśmy to. Trzech w niej osadzonych wysłano na badania medyczne, pod pretekstem zmiany przepisów. Przeszukaliśmy w tym czasie celę. U Pietrka znaleźliśmy pilot do telewizora, czego jednak domyślałem się już z naszej rozmowy na początku maja. Jeden ze współwięźniów ma natomiast smartfon, na którym Pietrek mógł śledzić informacje o morderstwach w Nowej Hucie. Media pisały z nazwiska o Grzegorzu Pasternaku, ojcu Manuela Byrdy. W sobotę ukazał się taki tekst, wyguglałem go. Poza tym nie znaleźliśmy w celi niczego, co można powiązać ze sprawą. Nie ma papieru, którego użył do napisania listu, ani czarnego długopisu, lecz niebieski. Jeśli zniszczył wszelkie ślady, to na przesłuchaniu wszystkiego się wyprze. A jest inteligentny i opanowany, o czym przekonałem się osobiście kilka tygodni temu.

– Jak więc brzmi pańska propozycja?

– Nie ujawniamy na razie niczego, nawet tę komórkę służba więzienna znajdzie dopiero za parę tygodni, żeby Santana nie nabrał podejrzeń. Poczekajmy dwa lata. Pietrek wyjdzie w czerwcu 2021, weźmiemy go wtedy pod obserwację. Jeśli moja teoria jest słuszna, to prędzej czy później sięgnie po te pieniądze. Wtedy go zgarniemy. Jeśli poczuje się przez moment bogaty, a potem nagle wszystko straci, nie będzie już taki opanowany i może się zdradzić. Wtedy będzie można również docisnąć Kamila Barana, sugerując mu, że Pietrek zagarnął jego majątek, a potem go zmarnował. Jest też szansa udowodnienia, że te pieniądze pochodzą z przestępstwa. Czuję, że one są gdzieś w Nowej Hucie, dlatego Małyszka się tu osiedlił, choć nic wcześniej nie łączyło go z tym miejscem. Niewykluczone, że Konarski je widział, miał sporo gotówki w mieszkaniu, blisko sześć tysięcy

złoty. Choć musiałyby wcześniej wymienić dolary, a pokwitowania takiej transakcji nie znaleźliśmy.

Tamci dwaj patrzyli na niego w zamyśleniu, ale jednocześnie z zainteresowaniem, więc zanim się odezwali, spodziewał się już, że ich przekonał. Wygrał!

– Umorzę sprawę morderstwa Małyszy z powodu śmierci prawdopodobnego sprawcy. Za dwa lata będzie można ją wznowić ze względu na pojawienie się nowych dowodów. – Prokurator ubrał jego triumf w słowa. – Jednocześnie pomoże to w zbudowaniu u Pietrka fałszywej oceny sytuacji, jeśli informacja o umorzeniu zostanie upubliczniona lub przynajmniej dotrze do niego nieoficjalnymi kanałami.

ROZDZIAŁ 17

1

Prokurator Łukasz Szymański siedział przy stoliku w pokoju przesłuchań, odchylony na oparcie krzesła, i patrzył na podejrzanego. Patrzył na mordercę i gwałciciela, nie miał co do tego wątpliwości.

Gdyby nawet jakieś się pojawiały, po tym, jak ekipa Nawrockiego przyniosła mu znalezisko w plecaku oraz ubabrane gołębimi odchodami buty, rozwiąła je ekipa techników, która przez cały czwartek wykonała kawał dobrej roboty.

Odciski palców pobrane od Michała Białońskiego odpowiadały zdjętym wcześniej z papierowych zabawek piekło-niebo i kłódki, na którą zamknięta była wieża, gdzie uwięził Kubę. Te same odciski były na butach i plecaku. Nie znaleziono śladów linii papilarnych na rzeczach wewnątrz plecaka oraz na telefonach, ale to dało się logicznie wytłumaczyć – kiedy porywał, dusił i gwałcił chłopców, używał rękawiczek. Substancja powlekająca niewykorzystane prezerwatywy była taka sama, jak odkryta w odbytach dwóch zamordowanych. Pomiar zranień na ich szyjach wskazywał, że zostały dokonane znalezionym w plecaku kabelkiem. Był to przewód od myszki do komputera. Dzisiaj laboratorium ma zbadać jego powierzchnię, czy nie ma na niej śladów biologicznych, na przykład mikrocząstek naskórka startych z szyi w trakcie duszenia.

Otworzyli telefony Kuby, który podał hasło, oraz Mateusza, do którego hasło znali rodzice.

Były w nich SMS-y ze zdjęciami. W drugim przypadku – tajemniczych zakątków kamieniołomu Libana wraz z tekstem: „Dzisiaj wybieramy się na wyprawę na Endor. Spotkanie o północy na cmentarzu Podgórskim, przy dzwonnicy za kaplicą”. Jeszcze jedna fotografia ukazywała dzwon na słupie, usytuowany obok budynku z czerwonej cegły. Z tego, co pamiętał, budynek zasłaniał dzwonnice od strony głównego wejścia i prowadzącej doń uliczki.

U Kuby w SMS-ie znalazły się zdjęcia pordzewiałych, zabytkowych wagonów i lokomotyw, opatrzone wiadomością: „Parowóz nie odjedzie bez ciebie. Tylko przyjdź do Lokomotywni dzisiaj o północy”. W obu przypadkach na końcu było polecenie: „Nie daj się nikomu namierzyć – wyłącz telefon przed wyjściem z domu”.

Nie udało się jeszcze otworzyć smartfonów Grzelaka i Manuela.

Szymański, siedząc, pochylił się, oparł łokciami o stół i patrzył na bezwzględnego, przebiegłego i perfidnego mordercę. Po upływie doby od złapania i nocy spędzonej w izbie zatrzymań jego rysy, i tak pociągłe na szczupłej twarzy, wyostrzyły się, blond włosy zmatowiały. Ciągłe jednak patrzył nieprzyjaźnie, by nie powiedzieć – hardo.

Wczoraj przeszedł trzy fazy. Najpierw – po przedstawieniu zarzutów – oburzenia, kiedy zapluczał się okrzykami o skandalu i bezprawnym uwięzieniu, potem złości, gdy miotał wyzwiska o skorumpowanej prokuraturze. A przy tym kłamał bez mrugnienia okiem. Buty mu się zapodziały, podobnie plecak, którego już nie używał, bo miał nowy. Kłódka? Może miał taką, ale kto by przywiązywał wagę do starych rupieci. Ktoś musiał to wszystko zabrać, a potem podrzucić.

Wreszcie osiągnął stadium ironizowania. „Pływaliśmy w Morzu Śródziemnym razem z Grzelakiem i delfinami, ale Mario był nieuprzejmy dla zwierzaków i to one go ukarały. Jedynym, co zlikwidowałem w życiu, był pomnik krasnoludka, który stał przed domem. Nienawidziłem patrzeć na tę ohydę, więc pozbyłem się jej po śmierci rodziców. Przybranych rodziców? To byli moi jedyni rodzice!”

Wreszcie Szymański kazał odprowadzić go na „dołek”. Dowody być może pozwoliłyby na domaganie się dożywocia, ale jego zawodowa duma cierpiała. Że też nie potrafi go złamać, mając wszystkie atuty w ręku!

Witek Nawrocki asystował mu w znacznej części przesłuchania. Wyjawszy dwie godziny, kiedy dostał zgodę lekarza i z psycholożką z Wesołej pojechał do Kuby, aby dać mu powąchać dezodorant Bossa zabrany z łazienki u Białońskiego. Chłopiec rozpoznał zapach, który poczuł od napastnika. W roli jedyne dowodu w sądzie nie miałyby to zbyt wielkiej wagi, bo te kosmetyki są dość rozpowszechnione, ale dla nich było kolejnym argumentem upewniającym o winie tego faceta. Jeszcze jednym elementem układanki.

Dzisiaj postanowił zacząć przesłuchanie, realizując pomysł Witka, że może coś sięgającego głębiej w przeszłość wyrwie mordercę z pozycji, na których się okopał.

– Nie chce mi się z tobą gadać, wiem już wszystko. Wiem dość, żeby cię wsadzić za to, co zrobiłeś, dewiancie. O jedno spytam, bo mnie to nurtuje. – To mówiąc, sięgnął po teczkę stojącą obok nogi, wyciągnął z niej tekturowe pudełeczko, a z niego piekło-niebo poskładane wczoraj przez jego żonę według filmiku instruktażowego z YouTube’a i pieczołowicie pokolorowane przez córki (po prawdzie, Monika zrobiła dwa egzemplarze, bo przy jednym dziewczynki by się zgodziły, a on przyniósł ten bardziej udany).

Przesunął zabawkę nad stołem w kierunku Białońskiego i na przemian otwierał niebieską i czerwoną komorę.

– Dlaczego zostawiałeś to przy wszystkich ofiarach? Przenosiłeś je z nieba do piekła?

Jeszcze nie raz w przyszłości wspominał zdumienie, z jakim obserwował wówczas, jak błahy papierowy przedmiot hipnotyzuje zwyrodnialca. Jak rozszerzają się jego oczy, jak widok drażni mózg, a potem wstrząs wraca grymasem na twarz. Morderca dziewięcioletnich chłopców złapał się lewą ręką za usta, a po chwili zakrył twarz obiema dłońmi.

2

Wracając z Nowej Huty, Klaudia zajechała od strony Dąbskiej, gdzie na stadionik okolony staromodnym ogrodzeniem z betonowych płyt, nowoczesny hotel i zaniedbane centrum handlowe coraz mocniej napierały zewsząd wyrastające jak grzyby po deszczu apartamentowce. Na coraz powszechniejszy w Krakowie sposób postawiono je tak blisko siebie, że gdyby istniał jeszcze zwyczaj pożyczania szklanki cukru, nie trzeba byłoby chodzić po nią do sąsiadów, wystarczyłoby podać przez balkon z położonego naprzeciw mieszkania.

Byli z Imbirem na Lesisku, aby przepytać okolicznych mieszkańców, których wczoraj nie zastali. Od śmierci rodziców adopcyjnych fotograf nie utrzymywał kontaktów towarzyskich z sąsiadami, ot, ledwie okazjonalne, grzecznościowe wymiany zdań. Nie znaleźli śladów żadnego życia erotycznego, czy to z kobietami, czy z mężczyznami. Incydentalnie miewał gości. Pewien starszy pan, ale ewidentnie bardzo dbały o swój wygląd (gruby złoty łańcuszek spoczywający na siwych włosach wystających z rozpięcia koszuli, starannie zaczesana jasnoszara grzywa, wypielęgnowana

bródka, złoty sygnet), taki playboy z Ciechocinka, stwierdził, że „pan Michał korzystał z usług profesjonalistek”. Wyglądało to jednak na projekcję własnych fantazji, bo nie miał silniejszego uzasadnienia dla tej tezy, poza tym, że kilka razy widział Białońskiego wychodzącego późno. Ktoś inny również był świadkiem, gdy tamten wychodził bądź wyjeżdżał wieczorem, nikt nie widział go wracającego, ale słyszano warkot samochodu i pisk otwieranej bramy. Tak czy siak, żadnej z tych sytuacji nie dało się dopasować do którejkolwiek z trzech nocy, kiedy zostali porwani chłopcy.

Na korytarzu natknęli się na trzydziestolatkę, z brodą i fryzurą jak wprost od barbera, w błękitnej koszuli wpuszczonej w spięte szerokim skórzanym pasem dżinsy i skórzanych butach z noskami, na dość wysokim obcasie. W rękach trzymał doniczkę owiniętą złotawym celofanem, z roślinką o podłużnych listkach i kwiatkach z fioletowymi płatkami i żółtymi sercami. Klaudia skojarzyła, że to musi być Sulima, którego wcześniej widywała przelotnie i z daleka, a kwiatek kupił w pokoju szefowej związku zawodowego, handlującej na komendzie storczykami zamawianymi u znajomego hodowcy. Kwiatki były tanie, nawet teraz, kiedy z sześciu złotych podniosła cenę na dziesięć.

– Fajne buty, Arturo. Męskich nie było? – Szyderczy ton Imbira współgrał z jego wyrazem twarzy.

– Na pewno nie nadają się do służby na ulicy – warknął tamten. – Gdzie niedługo wrócisz, jak każdy urodzony krawężnik. W doborowym towarzystwie. – Skinął w kierunku Klaudii.

– To wróć. Lepiej ryc pługiem, niż płużyć ryjem. – Imbir popatrzył znacząco na kwiaty.

– Pierdol się, grubasie! – wybuchnął tamten.

– Ja zawsze mogę schudnąć, a ty mordy sobie nie poprawisz, bo takich operacji nie robią.

Powietrze zgęstniało od testosteronu, Klaudia zamrugła, bo zaczął szczypać ją w oczy. Czas przerwać program rozrywkowy. Stanęła pomiędzy nimi, twarzą do Sulimy.

– O nim wiem, że je za dużo mięsa. – Pokazała kciukiem na Imbira. – A ty pod jaką postacią przyjmujesz męskie hormony, w tabletkach czy zastrzykach? Bo mógłbyś tą samą drogą wziąć coś na uspokojenie. W każdym razie zmniejsz sobie dawkę, bo ci żyłka pęknie albo nawet pikawa wysiądzie.

Sulimie zapaliła się w oczach wściekłość, ale szybko się opanował. Pewnie ma dominującą mamusię i zakodowany lęk przed konfrontacją z kobietą, pomyślała złośliwie. Podkomisarz zaklął pod nosem, wyminął ich i poszedł w kierunku klatki schodowej.

– Po gościu zostały ślina i smarki – skomentował z uznaniem Imbir.

– Mania ma imieniny i ten kwiatek był dla niego? – Klaudię olśniło, przypomniała sobie, że dzisiaj jest Sławomira, i skojarzyła to z niedawnym widoczkiem.

– Dedukcja rasowej śledczej.

– A ty nie chcesz złożyć mu życzeń? Może zarobiłbyś parę punkcików u naczelnika, bo jak wieść gminna niesie, masz głęboki deficyt.

– Ja w to lachę wbijam.

3

Takiego podejrzanego jeszcze Łukasz Szymański nie miał. Wczoraj zdystansowany i zamknięty, wściekły i wrogi, dzisiaj – niemal katatonik, zatopiony w myślach (wspomnieniach?) bardzo odległych od pokoju przesłuchań.

Nawet kiedy poirytowany prokurator, usiłując wywołać jakąkolwiek reakcję, spytał go, czy chciałby skorzystać z prawa do adwokata – tamten obojętnie błędził wzrokiem po ścianie. Na której nic nie było.

Szymański już wczoraj zwrócił się o, obligatoryjną w przypadkach morderstw, opinię biegłych psychiatrów, ale nie zostanie wystawiona w najbliższych dniach. Jutro po ósmej rano upłynie czterdzieści osiem godzin, dzisiaj musi uzyskać postanowienie o aresztowaniu. Pozwoli działać przyrodzie, po weekendzie na Monte morderca może skruszeje i będzie bardziej otwarty.

– W kwietniu 1988 roku w więzieniu przy Montelupich powieszono Stanisława Czabańskiego i była to ostatnia kara śmierci wykonana w Polsce. Gdyby nie zmienili przepisów, objęłaby i ciebie – powiedział do Białońskiego, który spojrzał mu prosto w oczy. – Ale przynajmniej zwiędzisz to miejsce, zanim po wyroku zostaniesz osadzony gdzieś na dwadzieścia pięć lat.

Wrócił do siebie na Mosiężniczą, sprawdził w rozpisce otrzymanej na początku kwartału, który sędzia ma dyżur. Gerard Karol. Dobrze się składa, pomyślał, on jest sprawny, dzisiaj to rozpatrzy.

Sędzia odebrał już po pierwszym dzwonku.

– Dzień dobry, panie sędzio, z tej strony Szymański z prokuratury okręgowej – przywitał się. – Chciałem poinformować, że przyjdzie dzisiaj wniosek o tymczasowe aresztowanie podejrzanego w sprawie morderstw i gwałtów dwóch chłopców oraz porwania trzeciego.

– Czytałem właśnie, że złapaliście wczoraj kogoś... – zawiesił głos sędzia. – Dobrze, w takim razie nie jadę do domu, bo nie ma sensu potem wracać i tracić czas w piątkowych korkach. Zawiadomię protokolantkę i czekam na dokumenty.

Rutynowa czynność układania uzasadnienia dla wniosku spodobała mu się już podczas studiów i sprawiała przyjemność w każdym kolejnym przypadku. To był znak, że wykonał dobrą robotę i jest na właściwej drodze do skazania przestępcy. Wpisywał dobrze znane, lubiane frazy: *...o tymczasowe aresztowanie dla zabezpieczenia prawidłowego toku postępowania... zachodzi wysokie prawdopodobieństwo, że doszło do popełnienia przestępstwa... zagrożenie surową karą...*

Po przesłance ogólnej wymienił szczegółowe: może uciec, mataczyć, wpływać na świadków. Wskazał dowody.

Wysłał to przez posłańca do sądu, a Gerard Karol oddzwonił po kwadransie:

– Dostałem właśnie przesyłkę od pana. W ciągu niespełna trzech godzin się z tym uporam, zostawiam mały margines czasowy na nieprzewidziane sytuacje, więc posiedzenie wyznaczam na osiemnastą.

4

Nawrocki wraz z dwójką podwładnych przywiózł do sądu Białońskiego, prokurator przyszedł z Mosiężniczej. Na miejscu byli już protokolantka oraz sędzia: parę lat od niego starszy, wysportowany, z kilkudniowym zarostem i opaloną łysiną. Gra w siatkówkę plażową – komisarz przypomniał sobie opowieści policjantów, który widywali go przy Bulwarowej od marca do października.

Gerard Karol otworzył posiedzenie, a uwaga Nawrockiego uciekła na chwilę. Dzisiaj po południu odbętnili bombastyczną konferencję prasową, na którą zabrał podwładnych, mimo że Mania i Chrostecki trochę się krzywili. Nie chodziło mu nawet o dzielenie się zasługami, choć podkreślał rolę Klaudii i Imbira, odpowiadając na pytania dziennikarzy. Sprawa się skończyła, nie

wiadomo, czy nie zechcą ich skierować znowu do prewencji. W przyszłym tygodniu czeka go batalia o utrzymanie obojga w wydziale kryminalnym, a medialna sława może być ich poważnym atutem.

Duet jego współpracowników niekoniecznie patrzył aż tak dalekosiężnie, za to konferencja ewidentnie była dla nich sporym przeżyciem, zachowywali się niczym nastolatki po pocałunku na pierwszej randce.

– Podobny do Jasona Stathama – szepnęła teraz Klaudia, której chyba nie minął tamten nastrój, najwyraźniej zauroczona sędzią.

Ten przeszedł do przesłuchania podejrzanego, którego rozkuli po wejściu do sali i usadzeniu między Imbirem a Nawrockim.

– Czy rozumie pan treść zarzutów?

Białoński pokiwał głową.

– Proszę odpowiedzieć.

– Tak.

– Co tak?

– Rozumiem.

– Co pan rozumie?

– Rozumiem treść zarzutów. – Fotograf powtórzył tępo.

– Czy przyznaje się pan do popełniania zarzucanych panu czynów?

Zwiesił głowę.

– Jak mam to rozumieć? Proszę odpowiedzieć.

Bez reakcji.

– Czy chce pan złożyć wyjaśnienia?

Dopiero po powtórzeniu tego pytania Białoński pokręcił głową. Widać było, że sędzia Karol z trudem powściąga irytację.

– Proszę o chwilę cierpliwości, niedługo wezwę państwa na odczytanie postanowienia – powiedział.

Szymański odszedł na drugi koniec korytarza, rozmawiał z kimś przez telefon. Nawrocki posadził po swojej lewej stronie skutego na nowo Białońskiego. Prawym uchem łowił pyłowanie współpracowników na sąsiedniej ławce.

– Dobrze, żeśmy się uwinęli z tym dynamicznie; teraz jeszcze odstawimy klienta na sankcję i zdupcam do domu, wykąpać się i przebrać – mówił Imbir. – Zdążę na Noc Muzeów.

– Yyyy! – pełne niedowierzania stęknęła Klaudia.

– Co się tak wybałuszasz? Odchamię się trochę i na pewno kogoś poznam. Tam będzie tłum studentek, a jeszcze bilety po złotówce.

– Kolejny serwis randkowy upada przez takich jak ty.

– Bądź spokojna, mają się dobrze. Ale to, kurwa, żalotne. Już się gościom nie chce na miasto wyjść, żeby poderwać chętną laskę, tylko na dupczenie umawiają się przez internet. Albo przez telefon zamawiają sobie babę do domu. Nie wierzę, żeby taki facet, bez odwagi i finezji, był zdolny do jakichkolwiek osiągnięć w życiu.

– Gorzej będzie, gdy ograniczą się do wirtualnego seksu.

– Nie sądziłem, że masz zdanie na ten temat. Myślałem, że ty wyłącznie z mężusiem, po bożemu, na pleckach, pięć minut i gotowe.

– Pewnie trudno ci będzie uwierzyć, ale z małżeńskiego seksu można mieć dużą przyjemność. I trwa on znacznie dłużej niż pięć minut.

– Masz rację, seks jest jak kebab jagnięcy – nawet przeciętny smakuje dobrze. Ale od małżeńskiego seksu wolę seks z mężatkami. Mężatki są bezpieczne.

ROZDZIAŁ 18

1

Dawno minęła północ, posnęła już większość garowników na Monte, ucichł ruch w Alejach i zgrzytanie tramwajów na pobliskiej pętli Dworzec Towarowy. Tylko Kafar ciągle był podkurwiony. Na Bekona i Ciapka, że go zostawili z tym szajsem, na papugę, który za damski chuj nie chciał go bronić, chociaż Kafar mu obiecywał, że kasa później się znajdzie. Skończy się na tym, że piłat da mu pajdę i pewnie trzeba będzie te dziesięć lat przegibać od gwizdka do gwizdka.

Nie mógł zasnąć. Strzelił w gruchę, ale to go nie uspokoiło i jeszcze plamę w gaciach musiał wycierać. Wkিতrał się do oddzielonej metrową ścianką części kiblowej. Wpadł na pomysł. Wieczorem przyszedł cynk, że za ścianą położyli tego dzieciojebcę, z nim się zabawi.

Wziął materac z wolnej pryczy i umieścił go na kłopie. Obiema rękami kilkanaście razy mocno naciskał materac pośrodku, jakby pompował, a stworzone w ten sposób ciśnienie wypchnęło wodę z porcelany i najbliższych rur.

Zdjął materac, klęknął przed jaruzelem i gadał do niego, niby do mikrofonu.

– Ty kurwooo!! Słyszysz mnie, kurwo!?! Myślisz, że zawsze będziesz sam w bunkrze siedział? Myślisz, że jak dostaniesz ćwiare, to se posiedzisz w ciepelku, a te biedne dzieciaczki doktor glinka leczy. Taki chuj, szmaciarzu! Co Temida schrzani, grypsera naprawi! Dostaniesz sankcję i wyślą cię pod celę z charakternymi ludźmi. Taborettem cię nie zajebią od razu, o nie! Na dzień dobry będziesz zlizywał wrzątek z podłogi albo witki i giry ci będą w nim moczyć. Do popicia dostaniesz szampon z proszkiem do prania, a kakao ci przetkają plastikową butelką. Nie będziesz miał prawa szamać z git ludźmi, tylko na stojąco albo na kłopie. A po każdej szamie wsadzą ci łeb do bardachy i będą szczać na niego, a potem spuszczą wodę. Zobaczysz, kurwooo!

Głos przepuszczony przez rury i wydobywający się z muszli klozetowych miał głucho, studzienne echo, przydające słowom niesamowitości. Był słyszalny w kilku sąsiednich celach, obudzili się też towarzysze z bunkra Kafara, puentując rżeniem i okrzykami aprobaty co mocniejsze sformułowania.

– Cykorujesz? To dobrze. Zagraj se na puzonie, bo już niedługo będziesz się nim cieszył, kurwo! Na kręceniu wora się nie skończy. Widziałeś, jak się pali kindybał nasmarowany maścią rozgrzewającą? Jak nie widziałeś, to zobaczysz z bliska! A widziałeś, jak się trzebi barana na Podhalu? Tak samo i tobie białka pochlastają. Szklęm z lusterka rozetną ci worek i orzechy wyjmą. I fiuta ci urzną!

Plutonowy Maciej Łoboda był akurat na obchodzie. Dolatywały do niego na korytarz urywki monologu Kafara, reszty się domyślił. Wrócił na dyżurkę. Jacek, siedzący przed trzema ekranami podzielonymi na prostokąty obrazu z cel wyposażonych w monitoring wizyjny, spojrział na niego sennie.

Mogą pilnować tego zwyrola, pedofila pierdolonego, wsadzili go samego do celi, żeby mu się krzywda nie stała, ale za niańkę nie będzie robił. Krew się nie leje, nie ma co interweniować. Trochę presji nie zaszkodzi skurwysynowi, tamte dzieci bały się bardziej. Włączył *Nocny Szlak*

Radia Kraków. Nie słyszał już stłumionych słów Kafara, od których oczy leżącego na pryczy Białońskiego z przerażenia otwierały się coraz szerzej.

– Do fryzjera lepiej nie chodź, szmaciarzu, bo prawie każdy fryzjer to git człowiek. Mógłbyś się wypierdolić i nadziać na nożyczki. Ale nie zdechniesz, kurwo, tak prędko, póki się przydasz. Smaruj styję margaryną, bo ułani jadą! Będą cię rąbać, cwelu, na potęgę, że ci kartofle będą wypadać...

2

Wit Nawrocki leżał na kanapie i – jak to nazywał Żółwik – czilował. Do odtwarzacza włożył składankę *The Long Goodbye*, nagrałą przez Procol Harum w latach dziewięćdziesiątych, w ramach drugiej jedнопłytkowej reaktywacji, z trzema londyńskimi orkiestrami i chórem. O parapet stukał majowy deszcz. Dobrze, że zdążył dzisiaj skosić trawę na działce i wyplewić ziemniaki, wyłaniające się z ziemi na wyścigi z zielskiem.

Z głośników płynęło *A Whiter Shade of Pale*, a w orkiestrowej aranżacji, ze skrzypcami, brzmiało niemal jak *Aria na strunie G* Bacha, która je zainspirowała. Kupił sobie ten kompakt w Virgin Megastore na Polach Elizejskich, podczas podróży poślubnej do Paryża. Sklep miał imponujące zasoby, nawet w dziale z rockiem progresywnym znajdował albumy i wykonawców, o których nigdy nie słyszał. Kręcił się między regałami, żeby choć pooglądać, a Ania śmiała się, że łatwiej byłoby psa wyprowadzić ze sklepu mięsnego niż jego stamtąd.

Odtwarzacz przełączył się na ósmy utwór, *Repent Walpurgis* – jedyny z płyty nagrany w All Saints Church. Matthew Fisher gra na kościelnych organach jak diabeł, a wokoło wszyscy święci: Brooker, Trower, Reid. Brakuje tylko B.J. Wilsona, którego do odejścia z Procol Harum nie skłonili nawet Page z Plantem, gdy chcieli posadzić go za bębniami w Led Zeppelin jeszcze przed Bonhamem, ale zmusił go do tego rak.

Czemu rozstali się po szesnastu latach znajomości, a trzynastu małżeństwa? Odganiał od siebie wniosek, że nie chodziło nawet o jego nieobecność fizyczną, kiedy całymi dniami i wieczorami był w pracy, lub absencję duchową, kiedy w domu rozmyślał o prowadzonym śledztwie, lecz raczej o to, że nie był w stanie zapewnić jej warunków materialnych, poziomu życia, o jakim marzyła. Może to jednak zbyt krzywdząca dla niej teoria, nawet jeśli z czasem w jej błyszczących brązowych oczach i zmysłowych ustach zaczął coraz częściej dostrzegać rys wyrachowania. A może po prostu ulotnił się jego czar: współczesnego wcielenia romantycznego rycerza, czyli szlachetnego detektywa ścigającego złych ludzi, i nic nie pozostało, bo nic poza tym nie było? Ludzie biorą ślub, bo wydaje im się, że nie mogą bez siebie żyć, a potem się okazuje, że dzięki temu dowiedzieli się, iż nie potrafią żyć ze sobą. Ale on dostał nieporównanie więcej: Julkę. Dzięki niej nigdy nie pomyślał, że małżeństwo było błędem czy porażką.

Leciała już ostatnia, dwunasta kompozycja na płycie, tytułowa *The Long Goodbye*. Nigdy nie rozstrzygnął, czy była smutna czy optymistyczna. Choć Gary Brooker śpiewał jak zwykle nostalgicznie:

„If I see you again, it will be as a friend
With time for a long goodbye”

Jeśli spotkamy się znowu, będzie to na stopie przyjacielskiej
z czasem na długie pożegnanie.

Jeszcze parę lat temu, słuchając tego, marzył, że jego związek z Anką ma szansę naprawy. Miał nadzieję, że mogą wrócić do siebie, choć ona planowała wyprawdzkę i dała mu papiery rozwodowe.

Od dwóch lat nie nachodziły go podobne myśli. Dzisiaj przypomniał sobie chwile spędzone przed południem na działce z Gosią i Jaśkiem. Cieszył się, że nie zaszkodziły im majowe perturbacje. Po południu musiała zawieść synka na urodziny szkolnego kolegi, a potem go stamtąd odebrać, ale wieczorem miał ją odwiedzić.

3

Już wczoraj, umawiając się z Gabą na walkę, Klaudia zaproponowała, żeby później skoczyć gdzieś do knajpy. Nie wzięły samochodów. Teraz koleżanka miała poczekać na nią przy recepcji, bo Klaudii dłużej zeszło z suszeniem włosów po kąpielu. Szła korytarzem, kiedy za ścianą ze szkła zobaczyła siedzącego na atlasie, przodem do niej, Sulimę. Skinęła mu głową, ale nie zareagował; patrzył na nią beznamiętnie, ściągając przed twarzą ramiona przyrządu. Czemu pierwsza się z nim witam? – pomyślała ze złością.

– Masz jakieś konkretne życzenie, bo wczoraj nic nie mówiłaś? – spytała Gaba, podnosząc się z krzeselka pod ścianą.

– Może na Kazimierz?

– Na Kazka czuję się trochę za stara. – Tamta się uśmiechnęła. Dużo dłużej mieszkała w Krakowie i wiele miejsc oraz rzeczy nazywała inaczej.

– Aha, stara. A potem rozkładasz mnie za każdym razem. Jak ty to robisz w ogóle, że się prawie nie męczysz?

– Żadnego seksu przez dwie doby przed walką. – Gaba wystawiła na nią język. Kiedyś aluzjnie sugerowała, że ma romans z dyrektorem ośrodka adopcyjnego, którego żona jest jego zastępcą. Co wbrew pozorom było korzystne, bo facet na ogół orientował się, gdzie jego połowica aktualnie się znajduje.

– To prawie tak jak ja. Tylko że ja nie mogę uprawiać seksu przez dwie doby po walce z tobą, bo mnie bolą żebra i mięśnie – odparowała.

– Wyrazy współczucia. Przy Wenecji jest fajna kawiarnia, Cynamon. Cuda tam dodają do kawy.

– Gdzieś o niej słyszałam. Ale wolalabym coś bardziej znieczulającego i usypiającego wypić, za to w bardziej rozrywkowej atmosferze.

– A może na Rynku usiądziemy? Wieczór powinien być ciepły, ci wszyscy ludzie, światła. Poza tym padało, to i powietrze będzie czystsze.

– Dla mnie spoko.

Wieczór pachniał świeżością, kwitnącymi drzewami i mokrym asfaltem. Na Kazimierz mogłyby przejść piechotą, a do Starego Miasta trzeba było dotrzeć tramwajem. Wkrótce pojawiła się „dwudziestka” do Cichego Kącika, która jechała tam zgodnie z logiką człowieka drapiącego się lewą ręką w prawe ucho: zamiast od przystanku Dworzec Główny, teraz nazywanego Teatrem Słowackiego, ruszyć prosto w Basztową, skręcała w lewo do Poczty Główniej.

Klaudia w trakcie drogi przetrawiała niedawną porażkę. W pewnym momencie kopnęła Gabę dwa razy prawą nogą w bok, lewym sierpem uderzyła w pochyloną głowę. Przeciwniczka zasłoniła się, ale zachwiała, więc poprawiła hakiem od dołu, pchnęła ją na matę i już czuła się zwyciężczynią. Nie zauważyła jednak, że Gaba upadła trochę zbyt dynamicznie i efektownie. Klaudia zamierzyła się do kopnięcia, lecz rywalka przewróciła się przez prawy bark,

a jednocześnie zrobiła unik i ją podcięła. Klaudia przeturlała się, od razu upadając, ale Gaba rzuciła się na nią skokiem tygrysim i przygwoździła do gleby. Siadła jej na plecach i wykręciła prawą rękę.

Shit!

Akurat wysiadły na placu Wszystkich Świętych przy Dominikanach, kiedy przeparadowała przed nimi grupa kilkunastu mężczyzn w chustkach na twarzach. W gęstym, strojnym, rozbawionym tłumie w różnym wieku wywierali surrealistyczne wrażenie. Podeszli do Prozaka, zaczęły się przepychanki z ochroniarzami. Huk, błysk, czerwono-żółta luna! Jeden z nich odpalił racę.

– Nie interweniujesz? Chodź, pomożemy im! – powiedziała Gaba.

Spojrzała na nią jak na wariatkę. Przebrały się w klubie. Była w krótkiej sukience i kurteczce dżinsowej, tamta w białych spodniach i bluzce, kremowy sweterek narzuciła na razie na ramiona. Rozpuściły włosy, ciasno spięte podczas walki. Obie w czółenkach.

– Nie jesteśmy przygotowane. Zaraz powinien ktoś się pojawić.

Późnym popołudniem, praktycznie równolegle odbywały się mecz na Wiśle i manifestacja LGBT, ruszająca spod Muzeum Narodowego, więc zabezpieczającej obydwie wydarzenia policji wciąż powinno być sporo na mieście. Faktycznie, z obu stron placu pojawiły się niemal równocześnie radiowozy, trzeci przebiegał się od Rynku.

Chuligani, widząc to, pobiegli w dół Grodzkiej, jeden na pożegnanie rozpylił gaz w kierunku ludzi stojących przed McDonaldem.

– Chętnie bym przylutowała takiemu żłobowi – prychnęła Gabriela.

– Może zechcesz robić to w dobrym towarzystwie. Cały czas są naborzy do prewencji – zakpiła Klaudia. – W pojedynkę czy w parze, nie jest to takie proste i może skończyć się kiepsko.

Mimo zapadającej nocy o stolik w restauracyjnych ogródkach nie było łatwo. Na szczęście, szybko znalazły miejsca w kawiarni na płycie Rynku pod Wieżą Ratuszową. Gdy już zamówiły i dostały swoje piwa (Gaba z sokiem) oraz solone orzeszki ziemne, koleżanka zagaiła:

– Gratulacje, Kla. Widziałam cię w telewizji. – Uśmiechnęła się. – Ale nie występu gratuluję, tylko sukcesu. Dorwaliście drania.

– Dzięki. Powiem ci, że ja już we wtorek się cieszyłam, kiedy wreszcie znaleźliśmy żywego dzieciaka.

– Nie wiem, czy to mówić, bo pewnie teraz stawiasz piwo na konto tego złapanego Michała B., o którym piszą, ale wiesz... Z tego, co czytałam i słyszałam od ciebie, okoliczności tych morderstw i gwałtów nie pasują do niego. Skoro miał upodobanie do chłopców, widoczne między innymi na tej stronie internetowej, to nie powinien ich tak traktować. Nawet gdyby miał ich wykorzystać seksualnie czy wręcz zabić, co jeszcze mniej prawdopodobne, to nie w taki sposób.

– Rozumiem. Ale dowody są naprawdę bardzo mocne.

– To dobrze. Bo gdyby ktoś kazał mi wystawić opinię, to powiedziałabym, że to nie on.

ROZDZIAŁ 19

1

Po południu nastąpiło oberwanie chmury. Z okien położonych powyżej muru dzielącego dziedziniec aresztu śledczego przy Montelupich przez ścianę wody nie było widać nawet najbliższego skrzydła dawnych austriackich koszar. A więźniowie w czasie deszczu nudzą się tak samo jak dzieci. Zawsze zdarzają się awantury. Kapral Rafał Matyja wracał już na dyżurkę, ale postanowił zajrzeć jeszcze do tego pedofila. Tego Białońskiego. Nie umieścili go w celi z monitoringiem wizyjnym, bo siedział sam, a ponoć w przesłuchaniu twierdził, że jest niewinny, więc byli spokojni, że ani on sam, ani nikt inny krzywdy mu nie zrobi.

Matyja zaglądał do niego kilka razy przez wizjer. Zbok telewizji nie oglądał, siedział przy stoliku i coś pisał albo rysował. Potem leżał na pryczy i chyba drzemał. Chłopaki z nocnej zmiany mówili, że Kafar brał go na huki, więc raczej się nie wyspał. Kapral spotykał się z sytuacjami, kiedy zwyczajni, nowi więźniowie, zastraszeni krzykiem przez grypsujących, przez kilka nocy mieli problemy z zaśnięciem. I to nawet nie dlatego, że bali się o swoje bezpieczeństwo podczas snu, po prostu nerwy im się rozwijały w zderzeniu z tym przerażającym światem.

Akurat z tą myślą zaglądał w kukiel, a od tego, co zobaczył, przeszył go lodowaty dreszcz. Białoński, na wpół przodem, na wpół bokiem do drzwi, wyglądał, jakby kłękał pod oknem. Ugiął już kolana, ale wisały z pół metra nad podłogą, której dotykał palcami stóp w skarpetkach. Ramiona zwisały mu bezwładnie, broda opadła na pierś, a część twarzy przysłaniały jasne włosy. Matyja zrozumiał, co oznacza ten obraz, i panicznymi ruchami próbował trafić kluczem do zamka. Dopiero, gdy mu się to udało i wbiegł do celi, z bliska zobaczył szarawą sznurówkę przywiązaną do kraty okiennej i szyi Białońskiego. Nie, dwie sznurówki, splecione razem.

Podniósł go, nawet przez ubranie czuł, że jest jeszcze ciepławy. Próbował oderwać sznurówki od kraty, ale się nie poddawały. Nie mógł ich rozsupłać, za mocno były zaciśnięte. Szarpiąc się, wpadł na leżący taboret. To na nim musiał kłęczeć więzień, wieszając się.

– Ratunku! Pomocy!! – krzyczał histerycznie. Odpowiedziało mu walenie o ściany z obu sąsiednich cel.

Wreszcie zdołał poluźnić, a potem rozwiązać sznurówki okręcone wokół szyi Białońskiego. Położył go na podłodze i zaczął reanimować, ale uciskanie klatki piersiowej nie przynosiło efektu. Po chwili wahania pochylił się i przywarł ustami do ziejącego w obrzmiałej twarzy otworu ust. Kiedy usłyszał tupot butów, docierało już do niego, że całuje się z trupem. Wstał, koledzy go odsunęli, jeden podjął przerwane czynności reanimacyjne.

Matyja rozejrział się bezmyślnie, półprzytomnie. Na pryczy wygładzony koc w wielkie białe i czarne kwadraty, u szczytu dwie poduszki ułożone jedna na drugiej. Pedantyczny porządek dookoła. Posprzątał przed podróżą, przemknęła kapralowi przez głowę jaśniejsza myśl.

Na stoliku, przy którym dzisiaj długo siedział więzień, leżało coś poskładanego z papieru. Przypominało kraba stojącego na czterech szpiczastych nogach, u góry miało cztery rogi. Kapral

podszedł bliżej. Wewnątrz było osiem ścianek, na każdej rysunki długopisem: diabełki, aniołki, dzieci wyglądające jak Bolek i Lolek.

2

Wit siedział u Świętej Anny, jeszcze trochę czasu zostało do ostatniej niedzielnej mszy, o wpół do dziesiątej wieczorem. Nad sobą miał ciemne, puste wnętrze kolegiackiej kopuły, a obok niej przymocowanego do sufitu Chrystusa na krzyżu, wiszącego poziomo, równoległe do posadzki, jakby leciał. Nawrocki patrzył, zadzierając głowę, i zastanawiał się, czy to symbol. Jego myśli uciekły do dzisiejszej tragedii w areszcie, śmierci Białońskiego. Wyrzucił je z głowy. Nie tutaj, nie teraz.

Julia zajęła miejsce blisko ołtarza. Na tej mszy panował zwyczaj, że ksiądz kilka minut przed rozpoczęciem pytał, kto chce przeczytać fragment Pisma Świętego, a dwóch pierwszych chętnych było lektorami. Kiedy kapłan się pojawił, wyskoczyła z krzeselka niczym sprinter z bloków. Wit nie mógł powstrzymać uśmiechu, ale siedzący obok niej chłopak zachował powagę.

Student Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którym spotykała się od kilku miesięcy. Miał go poznać dzisiaj, ale – jak zapowiedziała – tylko przelotnie, więc nie znał zamysłu córki. Może po prostu chciała go ściągnąć do kościoła. Pod tym względem, autentycznych motywacji i znaczeń ukrywanych pod tymi, które doczekały się werbalizacji, nie różniła się tak bardzo od matki.

Ponownie zobaczył Żółwika nad drewnianym, zdobionym złotem pulpitem, pochylającego się lekko do mikrofonu. Czarne proste włosy okalające okrągłą, bladawą twarz, w której odcinały się ciemne oczy, przesunęły się na policzki. Śledził ruch szerokich ust o ładnym kroju, odrobinę wyginających się na końcach ku górze, z niedużym, ale wyraźnym pieprzykiem nad prawym różkiem, a jednocześnie docierał do niego jej dźwięczny głos:

Paweł i Barnaba wrócili do Listry, do Ikonium i do Antiochii, umacniając dusze uczniów, zachęcając do wytrwania w wierze, „bo przez wiele ucisków trzeba nam wejść do królestwa Bożego”. Kiedy w każdym Kościele wśród modlitw i postów ustanowili im starszych, polecili ich Panu, w którego uwierzyli.

Potem przeszli przez Pizydję i przybyli do Pamfilii. Głosili słowo w Perge, zeszli do Attalii, a stąd odpłynęli do Antiochii, gdzie za łaską Bożą zostali przeznaczeni do dzieła, które wykonali.

Czytała płynnie, sprawnie przemykając przez niewygodne nazwy. Przypomniał sobie przedszkolaka, a potem uczennicę pierwszych klas podstawówki odczytującą biblijny fragment przed wieczerzą wigilijną. Zaczynała się przy Galilei, a jeśli nad nią udawało jej się prześlizgnąć gładko – potykała się na brzemiennej.

Później, już będąc nastolatką, w powieści Małgorzaty Musierowicz znalazła podobny motyw. „Widzisz, to najwyraźniej trudny punkt dla wszystkich dziewczynek” – śmiała się i wciskała mu tę książkę opartą na zabawnym pomysle. Chłopak i dziewczyna, pierwotnie obcy dla siebie, przebrani za Świętego Mikołaja i Aniołka roznoszą w Wigilię prezenty na zamówienie, poznając różnych ludzi i siebie nawzajem. Opowieść była urocza i pełna humoru, ale tak drastycznie różniła się od jego codziennych przeżyć, że nie zdołał jej przeczytać. Julka natomiast, boleśnie odczuwająca rozpad ich małżeństwa, czerpała jakąś otuchę z książek Musierowicz, których była cała seria.

Wrócił do dziewiętnastego maja 2019 roku. Mrużący oczy za okularami ksiądz, niewiele chyba starszy od niego, mówił o zrozumieniu, odpowiedzi złem na zło, zemście.

– Do kogo się kierować ze słowami na kazaniu? Do kogo uda się trafić? – spytał retorycznie w pewnym momencie. – Ja mam taką zasadę, że mówię kazanie do siebie. Przynajmniej mam pewność, że jedna osoba mnie słucha i jedna osoba będzie miała z tego pożytek. Zawsze to lepiej dotrzeć do jednego niż do nikogo.

Gremialne śmiechy i trzęsące się bezgłośnie plecy świadczyły o tym, że słucha go więcej niż jedna osoba. Może ten żartobliwy wtręt miał służyć właśnie sprawdzeniu uwagi zgromadzonych.

Podczas liturgii komisarz wykonywał mechanicznie wszystkie czynności i wypowiadał formułki. Miał je zakodowane, choć już dawno nie był na mszy. Nie przypominał sobie natomiast z przeszłości kapłana, który by z taką łatwością i wdziękiem nawiązywał kontakt z wiernymi o rozpiętości wieku wynoszącej około sześćdziesięciu lat.

– Mniej więcej ten okres w maju, dwadzieścia siedem lat temu, matury – powiedział pod koniec ogłoszeń duszpasterskich. – Byłem akurat po egzaminach pisemnych, a przed ustnymi. Wahalem się, czy pójść do seminarium czy jednak na studia. Zwierzyłem się naszemu wikaremu. „Zastanawiasz się?!” – on do mnie. „Cała wieś wie, że będziesz księdzem, a ty się zastanawiasz?!”.

Kościół zahuczał od śmiechu.

– Ludzie wiedzieli. – Ksiądz też chichotał. – Oni wiedzieli. Trzeba było ich posłuchać. Bóg przez nich przemawia.

Tłum wysypywał się ze świątyni na szerokie kilkunastostopniowe schody, niektórzy wrzucali datki do puszek żebrzących. Nawrocki przeszedł ulicę Świętej Anny i stanął pod ścianą Collegium Medicum, żeby było go dobrze widać. Wkrótce Julka przyholowała wysokiego, ciemnowłosego chłopaka.

– Tato, to jest Beryl. Ciekawe, czy jesteś spostrzegawczy – przedstawiła go zagadkowo.

– Rozumiem, apostołowie namalowani na filarach w kolegiacie są podpisani nazwami kamieni szlachetnych. Niestety, nie wiem, który z nich jest Berylem – odparł komisarz, wyciągając rękę na powitanie.

– Filip. Filip Mikołajczak. – Tamten ucisnął jego dłoń. – Detektywem jest się przez całą dobę, prawda?

– Nie zawsze z takim skutkiem. To było łatwe zadanie, bo siedziałem między Sardonyksem a Sardiusem, ale nie wiem nawet, komu oni odpowiadają.

Julia się nie odzywała.

– Nie dziwię się, że ten ksiądz przyciąga najrozmaitszych ludzi – powiedział Nawrocki. – Jest nadzieją dla Kościoła w dobie afer z udziałem duchownych.

– Ksiądz doktor Wojciech Węgrzyniak. Jest świetny, racja. Tak jak wielu innych, choć większość nie jest tak efektowna. Jest też trochę buców, są niegodziwi, niegodni kapłaństwa, a nawet tego, by pozostawać na wolności. Tyle że ja nie chodzę do kościoła, żeby spotkać się z księdzem. – Dwudziestolatek mówił spokojnie, ale z przekonaniem, wręcz stanowczo.

– Pamiętam z czasów, kiedy byłem pańskim rówieśnikiem, takie zdanie: „Nie ma znaczenia, że palec pokazujący słońce jest brudny. Nie odbiera mu blasku”.

– Ładne. Chodzi mi generalnie o to, że jeśli ktoś twierdzi, iż nadużycia czy przestępstwa ludzi związanych z Kościołem zniechęcają go do katolicyzmu, wiary, jest to aintelektualne, dziecinne.

Miał w sobie typowy, młodzieńczy radykalizm i bezkompromisowość. Nawrocki zauważył jednak, że zależy mu, aby dobrze wypaść w jego oczach.

Podeszli do samochodu, który zostawił przy ulicy Jabłonowskich, niemal naprzeciw swojego starego instytutu, obok kamienicy, której właścicielem była kancelaria prowadzona przez czterech profesorów UJ, w tym byłego ministra sprawiedliwości.

– Zabierze się pan z nami? – spytał.

– Proszę mi mówić po imieniu. Dziękuję, ale się przejdę, do Żaczka mam dwa kroki. Przewietrzę głowę, bo czeka mnie noc nauki. A jutro egzamin z prawa rzymskiego.

Domyślał się, że w maju egzamin musi być w przedterminie, więc chłopak prawdopodobnie jest prymusem. Życzili mu powodzenia, wsiedli i Wit kolejnymi zakrętami w prawo sterował ze śródmieścia na Aleje, a potem w lewo – do Rząski, gdzie Julia mieszkała z mamą w willi jej nowego męża.

– Może jestem prosty i stereotypowy jak but, i to but zapinany na rzepy, ale bardziej mnie uspokaja takie towarzystwo mojej córki niż imprezowicz w szalowych ciuchach, gwiazda sportu czy syn bogaczy ze sportowym wozem – umyślnie przerysował, aby sprowokować ją do reakcji.

Dusiła się ze śmiechu.

– Ale trzeba zaznaczyć, że jest bardzo przystojny jak na mózgowca – dodał.

– No wiesz, to nie przeszkadza... – rzuciła kpiąco.

– Chcesz wyjść za niego za mąż?

– Zadał mi to pytanie, gdy będę bliżej trzydziestki.

– No tak, obecnie małżeństwo wychodzi z mody.

– Nie w tym rzecz. Trzeba spokojnie i dokładnie rozważyć różne rozwiązania. A może i przetestować różne osoby. Przykłady z najbliższego otoczenia nie są zbyt zachęcające...

Kiedy rozmawiasz z kobietą, niezależnie od wieku, w każdym momencie możesz się spodziewać szpilki. Westchnął.

– Przypadki bywają różne i nie wszystkie kończą się źle. A jeśli nawet, to czasami zostaje ci z małżeństwa córka, która bywa całkiem do rzeczy i nie jest poważnie obrażona, kiedy musi spędzić trochę czasu z ojcem czy w ogóle ze starszymi od siebie.

– I tego się trzymajmy. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

Zdawał sobie sprawę, że jego relacje z Julką są łatwiejsze, bo nie mieszka z córką i nie wychowuje jej na co dzień. On nie musi jej niczego nakazywać ani zabraniać, Anka przejmuje ten ciężar i niekiedy odium spada na nią.

– A ty zdecydowałaś się, co po maturze, czy jeszcze się wahasz, jak ksiądz Węgrzyniak dwadzieścia siedem lat temu?

– Mam jeszcze rok do matury, ale jestem pewna, że nie pójdę do seminarium. Ho, ho, ho.

– No tak, nawet dla ciebie go nie otworzą.

– Myślę o psychologii. Ale Marika się ze mnie śmieje, że na psychologię idą głównie ludzie, którym się wydaje, że nauczą się tam, jak sobie radzić z własnymi problemami.

– Nie musisz tak we wszystkim słuchać tej Mariki – zirytował się lekko, bo przypomniały mu się ubiegłoroczne występy jej koleżanki.

ROZDZIAŁ 20

1

Mężczyzna nie przegląda już fotografii. Krew nie krąży w nim żywiej na widok pobudzających wyobrażeń obrazów, nie wypełnia ciał jamistych penisa, który już zawsze będzie sflaczały. Rzeczy, wśród których toczyło się jego życie, leżą opuszczone, pozbawione znaczenia, jakie im nadawał. Ludziom, między którymi upływała jego egzystencja, staje się obojętny. Nie odczuwa pożądania, miłości, zazdrości, niechęci. Niczego nie pragnie, niczego nie wie, niczego nie pamięta. Nikogo nie będzie podziwiał, nikogo lekceważył, nikim nie będzie kierował, nikogo poniżał.

Nikogo nie skrzywdzi.

Nikomu nie zmarnuje życia.

Nikomu go nie odbierze.

2

Komisarz Wit Nawrocki został zaproszony na poniedziałkowe zebranie kierownictwa Policji Małopolskiej dopiero pod koniec, gdy już omówiono kwestie strategiczne, a część naczelników wydziałów opuściła salę konferencyjną. Został komendant wojewódzki i jego zastępcy oraz podinspektor Sławomir Mania, który był bezpośrednio zainteresowany sprawą jako szef wydziału kryminalnego.

– Trochę się wymknął ten pedofil, co oczywiście nie umniejsza waszego sukcesu – zaczął inspektor Witold Chrostecki. Uporczywy gest pocierania ręką łysiny oznaczał, że jest nieco zakłopotany. Wit przypuszczał, że niespieszno mu do problemu, który przed nim postawił, i dlatego uciekł w inny temat. – Dochodzenie na Monte jeszcze trwa, ale nie stwierdzili udziału innych osób. Powiesił się, przebywając samotnie w celi. Nikt nawet do niej nie zaglądał.

– Ponoć współwięźniowie go straszili, ale nie przesadzajmy, że gość taki wrażliwy – dodał Mania. Jego irytacja wynikała z tego samego co konfuzja Chrosteckiego.

– Dupa mi się kraje z żalu. – Pierwszy zastępca komendanta wojewódzkiego, inspektor Adam Hadyna, włączył się w swoim stylu. – Może sumienie go ruszyło i wałnęła się na linę. Bywa i tak.

Nawrocki odczekał, a że dwaj pozostali zastępcy komendanta nie odezwali się, przeszedł do sedna.

– Mam pytanie, co będzie z moim piątkowym wnioskiem – i prośbą jednocześnie – o włączenie do wydziału kryminalnego na stałe aspiranta sztabowego Piotra Grzywacza i starszej aspirant Klaudii Bator.

– Grzywacz już tutaj był i wyleciał z określonych powodów – powiedział komendant.

– Tak, ale to były powody rodem z burleski. Poszły w zapomnienie, zresztą Imbir odpękał swoje – argumentował komisarz. – Jest specyficzny, ale dzięki temu przydatny, ma parę atutów.

Poza tym nie znam nikogo tak spostrzegawczego jak on.

– Ta dziewczyna też ma za uszami. Duet śmierci, kurwa – fuknął Mania.

– Tercet, jeśli już – odparł chłodno Nawrocki.

– Pewnie nie pamiętacie Juliana Kantka? Pułkownik od łączności – odezwał się Hadyna ni w pięć, ni w dziewięć. – Poznałem go, gdy już był na emeryturze i pracował w Dyskampie, tej firmie monitoringu i ochrony, którą założyli z kolegami. Niestety, chyba z dziesięć lat temu wyładował w drewnianym piórniku, ale był to najlepszy towarzysz do biesiady. Latami był kierownikiem drużyny siatkarek Wisły i znał tysiąc anegdot. Ale najlepszą opowiedział o sobie. Nawiedzili go kumple, a nie miał czym ich podjąć, więc zaiwanął żonie spirytus, który dodawała do ciast, i rozmaił. Recepta jest znana, nie muszę was uczyć. Parę dni później zorientował się, że żona planuje wypieki, a zapomniał odkupić to, co skubnął. Miał za to tym razem wódkę, więc postanowił zrobić z niej spirytus. Podgrzewał ją w garnuszku na kuchence gazowej, bo liczył, że w ten sposób woda się ulotni. Niezbyt mu się ten zamiar powiódł, za to upił się oparami.

– No dobra, Adaś, ale po chuj to opowiadasz – niemal jęknął Chrostecki.

– To miała być metafora – odpowiedział tamten z godnością. – Takie ciągłe przenoszenie tej dwójki z prewencji do kryminalnego i z powrotem nie da tego samego efektu. A tu jeszcze opary mogą zaszkodzić.

Nawrocki, korzystając z tego, że tamci zastanawiali się, o co Hadynie w ogóle chodzi w tej absurdalnej i nieadekwatnej historyjce, pospieszył z argumentacją.

– Bator i Grzywacz zebrali kluczowe dla ostatniej sprawy materiały w Gliwicach i Otwocku – podkreślił. – Zresztą, nie chodzi tylko o ich kompetencje. Rywalizują ze sobą i starają się pokazać przede mną. To efekt synergii, bo wydobywa z nich dodatkowe zdolności. Ze mnie też, bo nie chcę się wygłupić przed młodzieżą.

– Decyzja jest następująca, nieodwołalna. Dzisiaj mają uzupełnić papiery ze sprawy pedofila, we wtorek dzień urlopu, a od środy do niedzieli robią w prewencji. – Chrostecki potarł głowę dłonią. – Zwłaszcza na weekend wyborczy potrzebujemy ludzi, gdy te ciule będą zrywać i zaklejać plakaty albo cyrki odprawiać przed lokalami wyborczymi.

Nawrocki przypuszczał, że komendant miał już odpowiedź przygotowaną.

– W tej chwili mam jeden etat i to na biedę – ciągnął inspektor. – Przez ten tydzień zobaczymy, czy uda się uskrobać drugi. Może coś wykombinujemy przez jakieś przesunięcia. Ostatecznie weźmiemy jedno z tej dwójki; komisarz Nawrocki będzie mógł wybrać...

Wychodząc, Wit znalazł się sam na korytarzu z Hadyną.

– Dzięki za pomoc. Wyhamowałeś ich trochę, wpuszczając w krzaki – zwrócił się do niego.

– Drobiazg, jeśli się uda, to postawisz flaszkę. Jeśli nie, to też możesz przynieść, wypijemy razem. Ty z żalu.

– Każdy pretekst jest dobry.

– Trzeba walczyć o przetrwanie tradycji, bo spożycie w narodzie bardzo spadło. Gdy ostatnio kupowałem dwie żytnie w sklepie, dostałem zakurzone butelki.

– Na ile ci wystarczyły?

– Całkiem długo. Jeśli człowiek pije wódkę czterdzieści lat, to zaczyna wreszcie czuć jej smak i może się delektować. Siedzę i tak sobie sączę, cienką strużką puszcza ją po języku.

Już ponad godzinę siedzieli nad raportami. Klaudia wyprostowała się na krześle, założyła ręce do tyłu, prawą od góry, lewą od dołu, złapała je palcami, wyprostowała kręgosłup, wypchnęła klatkę piersiową do przodu. Zauważyła, że Imbir ukradkiem zerka na jej biust.

– Słyszałeś coś, są jakieś ustalenia w sprawie samobójstwa Białońskiego? – spytała, żeby odwrócić jego uwagę.

– Przemielili go jak gówno w betoniarnie. Ale już wcześniej.

– Co ty pieprzysz?! Że niby został wrobiony?! Przy tych dowodach, pogięło cię?

Imbir popatrzył na nią uważnie. Już miał odpowiedzieć, gdy wszedł Nawrocki.

– Serwus. Cześć pracy. Trzeba wam pomóc? – spytał.

– Nie, dzięki, koniec widać – odparł Imbir.

– To się dobrze składa, bo muszę zaraz gdzieś wyskoczyć. Na razie przynoszę wieści. W przyszłości mogą się okazać dobre.

Jeśli to literackie wyrażenie „zawisnąć wzrokiem na ustach” opisuje rzeczywistość, to oni byli go najbliższymi.

– Jeden etat w kryminalnym już prawie jest, ale starają się o drugi. Wszystko się rozstrzygnie za tydzień. Jutro macie wolne, a od środy do niedzieli będziecie służyć w macierzystym komisariacie, pomożecie przy wyborach.

Rozczarowanie było niemal namacalne.

– Dobrze w chuj – zaburczał Imbir. – Ostatnio równie świetne wieści usłyszałem od dentystki, kiedy powiedziała, że zęba musi usunąć operacyjnie. Gdyby rzeczywiście nas tu chcieli od przyszelego tygodnia, to by teraz nie wyduplicali na ulicę.

– Nie kwękaj – uspokajał go Nawrocki. – Komendant ma wojskową zasadę, że żołnierzy należy trzymać w gotowości. Nawet gdy nie ma wojny, czy choćby ostrzału, to rano trzeba naganiać ich do kopania rowów, a wieczorem do zasypywania.

Komisarz już poszedł, gdzieś się spieszył. Klaudii został ostatni raport, z piątkowych rozmów z mieszkańcami Lesiska, ale nie potrafiła się zmobilizować.

– Dlaczego uważasz, że Białoński został wrobiony? Przecież mieliśmy jego odciski palców na piekle-niebie zostawionym na miejscu przestępstwa.

– No właśnie, zostawione jak podpis... Może sam je zrobił i miał w domu, a sprawca je ukraść.

– Byłyby to w takim razie jedyne trzy egzemplarze, jakie wykonał, bo żadnych innych u niego nie znaleźliśmy.

– Albo zostały zabrane wszystkie, a wykorzystane trzy z nich. Ale mam inny pomysł. Bo gdyby on je złożył, to zostawiłby więcej odcisków palców albo w ogóle żadnych. Wpadłem na to, studiując ostatnią sprawę Sulimy, tam był podobny wątek. Dobrze mieć bliskiego wroga, chłe, chłe, chłe.

– Do brzegu.

– Dobra, to paczaj, Kładzia. – Imbir zdjął z wyciągnika drukarki gruby plik papieru i odłożył na biurko. Rzadko jej używali. – Skończył się papier, tak?

Podniósł puste ręce przed sobą.

– Skoro tak mówisz.

– Zwykle kupuje się to w paczkach po pięćset sztuk. No to wyciągam z paczki część tej ryzy i kładę na drukarkę. – Demonstrował, trzymając plik kartek z obu stron grubymi paluchami: z jednej kciukiem, z drugiej – wskazującym i środkowym. – Potem okazuje się, że nałożyłem za dużo, papier źle wchodzi do drukarki, więc ubieram. – Zabrał część kartek z wierzchu i odłożył na biurko.

– Jest duża szansa, że na krańcowych kartkach w obu plikach są odciski osoby, która je nakładała i przekładała – kontynuował. – Z tym, że górna kartka z pliku leżącego na drukarce

najprawdopodobniej została wykorzystana, bo podczas drukowania poszła jako pierwsza. Więc jeśli sprawca wziął cztery kartki, stanowiące „okładki” obu plików, to najmniejsza szansa na odciski była właśnie na tamtej. Ale to mogła być kartka użyta do zabawki zostawionej w rowerze wodnym. Tam było największe prawdopodobieństwo, że się rozmoczy, można ją było spisać na straty.

– OK, ale zakładasz, że ten facet musiał się włamać do domu Białońskiego i to dwukrotnie – stwierdziła.

– Wystarczyło raz, żeby zabrać papier i ten plecak, który pewnie był nieużywany, do tego buty i kłódkę z budynku gospodarczego lub garażu. Za drugim razem ten człowiek wszedł tylko do budynku, gdzie wszystko znalazłaś. Telefony, garota, prezerwatywy, rękawiczki – wyliczał Imbir, odginając kolejne serdelki lewej ręki serdelkiem wskazującym prawej. – Te rzeczy nie musiały należeć do Białońskiego, nie było na nich jego odcisków. I wszystko mogło zostać podrzucone w plecaku, razem z butami, kiedy fotograf był w Warszawie. Jeśli ktoś go obserwował, to wiedział, że używa sprzętu Sony, reklamował go na swojej stronie internetowej. Promował nawet te ostatnie warsztaty w Warszawie. Dla mnie ta sprawa jest ewidentna. Nie ma chuja na Mariolę.

– Kto to zrobił według ciebie?

– Szkoda na razie strzępić ryja. Muszę coś jeszcze sprawdzić i przemyśleć.

– Myślałam, że jesteście zespołem!

– Luzuj majty. Za kilka dni wszyscy się dowiedzą.

Z chwili na chwilę owładnęło nią zniechęcenie.

– No tak, udowodnisz im, że jesteś dobrym śledczym, a ja wrócę do szlifowania bruku – mówiła z goryczą w głosie. – Kiedy przenosiłam się z biura do prewencji, byłam zadowolona, że coś robię. Ale teraz przypomniałam sobie, na czym polega prawdziwa praca dochodzeniowa i żal z niej rezygnować.

– Nie płacz, Kładzia. Mogę cię pocieszyć.

– Niby jak? – warknęła. Wkurzało ją jego samozadowolenie.

– Wprawdzie jesteś koleżanką i podlegasz ochronie, ale dzisiaj jest Ogólnopolski Dzień Dobrych Uczynków, więc chętnie się poświęcę. Nawet po Krakowie ma kursować tramwaj dobroczynności. Można się w nim spotkać z Schimscheinerem i Cammy, będą rozdawali słodycze i uśmiechy. No to ja też mogę ci podarować trochę słodyczy.

– Zapomnij. Czep się lepiej tramwaju.

– Poważnie mówię, nawet liczyłem dzisiaj na randeczkę z ostrą laską.

– Czasem się zastanawiam, czy tym ciągłym gadaniem o seksie nie próbujesz przekonać sam siebie. Tacy erotomani gawędziarze to zwykle ludzie, którzy mają niedobory na tym polu albo po prostu im nie staje.

– Mogę cię przekonać.

Podniósł się z krzesła i zrobił krok w jej kierunku. Na to ona też wstała, zgięła knykcie trzech palców prawej ręki, z wysuniętym środkowym, i uderzyła go w splot słoneczny. Trafiła idealnie, tuż nad półciem słońca pokrywającym węzeł twardych mięśni, a cios bez wielkiego zamachu, ale wprowadzony z bieder, miał dużą siłę.

Imbir gruchnął na kolana i wypuścił z siebie powietrze głośniejsze niż osiemnastokółowa ciężarówka.

– Myślałam, że twoją piętą achillesową jest kutas, ale jeszcze słabszy masz bebech. – Akompaniowały jej krótkie, głuche stęknienia. Cofnęła się, żeby nie zrzygał się jej na buty. – Jesteś niby taki macho, co je orzechy razem z łupinami, a rozłożyła cię dziewczyna, która waży pięćdziesiąt pięć kilo z butami, pasem i pistoletem.

Zabrała torebkę i wyszła. I tak pewnie on dostanie ten etat, niech więc skończy raport.

4

Artur Sulima z wściekłością kroił mięso. Mama nudziła go, żeby się tym zajął, bo na Kleparzu kupiła kawał polędwicy „tak soczystej, że żal byłoby ją tam zostawić”. Zresztą i tak nie było sensu wychodzić z chaty, bo trzeci dzień, z różną intensywnością, padał deszcz. Do Krakowa dotarła też dzisiaj fala powodziowa z ubiegłotygodniowych opadów w górach i dorzeczu Wisły, więc pojawiły się podtopienia. Klasyka.

Z eleganckiego bloku z drewna bukowego wyjął największy nóż w zestawie, który kiedyś kupił mamie w prezencie. Był idealnie wyważony, miał wyprofilowaną rękojeść i dwudziestocentymetrowe, nierdzewne, tnące niczym brzytwa ostrze.

W złości i zdenerwowaniu dźgał poleć schabu. Jego emocje nie brały się z konieczności wykonywania prozaicznych zadań domowych. Lubił, gdy czerwone mięso rozstępowało się pod ostrzem, które szlifował co najmniej raz w miesiącu, niezależnie, jak często było używane. Nie irytował się też, że mama zaganiała go do pomocy w kuchni. I tak sam potem zjadał większość tych schabowych. Marynowane przez dwa dni w jej specjalnej mieszance przypraw, a potem obtoczone w jajku i bułce tartej, po czym usmażone – były pyszne.

Tracił panowanie nad sobą przez to, czego się dowiedział od podinspektora Mani. To niemożliwe, że te dwie mendy przyjdą na stałe do kryminalnego! A w jednym przypadku to ponoć praktycznie przesądzone. Nie wiadomo, co gorsze, ten tłusty buc czy ta suka z Płocka, o której krążą dziwne plotki. Ona upokorzyła go w piątek jeszcze bardziej. Błyskawicznie się skumała z grubasem, jak chyba nikt wcześniej. Pewnie obciągała mu już w radiowozie.

Pochłonięty nienawistnymi myślami atakował mięso z takim zapamiętaniem, że zamiast na kotlety pociął je na bitki. No cóż, pomyślał, najwyżej mama je udusi, zamiast usmażyć. To nawet zdrowsze. Wziął tłuczek i bił kawałki mięsa, aż podskakiwała na stole drewniana deska, na której leżały. Nie zostawi tak tej sprawy, musi coś z nią zrobić, żeby codziennie nie spotykać tych mord na korytarzu i nie konkurować z nimi.

ROZDZIAŁ 21

1

Klaudia śni krew. Gorącą i lepłą, buchającą na dłoń, która trzyma nóż. Śni krew zalewającą ostrze, odbierającą mu blask i barwiącą je na czerwono. Śni nóż cofający się i opadający, rozcinający tkaninę, skórę, mięśnie, jelita i żołądek. Śni wnętrzości wysuwające się na zewnątrz w ślad za krwią i dłonie próbujące zatrzymać je nieporadnymi, omdlewającymi ruchami.

Śni osuwające się ciało. Krew, która wypływa teraz rytmicznymi chluśnięciami i rozlewa się kałużą po podłodze. Śni zamierające serce, które przestaje bić i pompować krew.

Śni żelazisty, a może miedziany zapach w powietrzu. Wyobraża sobie, że emanująca nim ciecz ma lekko słonawy smak. Powstrzymuje impuls, nakazujący, aby ją polizała i sprawdziła. Krew na jej dłoni powoli zasycha.

2

Rano Wit uznał, że jest zbyt chłodno, by założyć sandały na gołe stopy. A skoro i tak będą się z niego śmiać, że ubiera skarpety do sandałów, równie dobrze mogą być białe. Choć na komendzie kpili już raczej rutynowo, przyzwyczajeni do jego dziwactw.

Kilkanaście dni temu zaproponował Klaudii, aby mówiła mu na ty. Ta się spłoniła i stwierdziła, że nie ma śmiałości, poza tym nie wypada, z racji różnicy stopnia i wieku. Wtedy uświadomiła sobie, że popełniła nietakt, więc zawstydziała się jeszcze bardziej. Na to Imbir: „No co ty, Kładzia, myślisz, że gość, który nosi onuce do sandałów, będzie się przejmował tym, co wypada i co ludzie powiedzą?”. Czym rozładował atmosferę i rozluźnił koleżankę. Ale i tak ciągle zwracała się do niego per „panie komisarzu”.

Myślenie o Imbirze przed południem nie jest zdrowe. Powinien się tego wystrzegać w dni wolne, co najmniej do trzynastej; jak za komuny, kiedy do tej właśnie godziny obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu.

Lubił sandały, bo było mu w nich wygodnie i stopy się nie męczyły, ale lubił też, by było mu w nie ciepło. Inaczej niż z Humphreym Bogartem, który według Marka Hłaski miał powiedzieć, że wypada tak autentycznie w *Casablance*, cierpiąc z miłości do Ingrid Bergman, dzięki temu, że zakłada lewy but na prawą nogę, a prawy na lewą. Wit babrał się w bagnie za dnia i wracał do piekła rozpadającego się małżeństwa wieczorem, ewentualnie spędzał w syfiastej pracy także wieczór, więc tylko dzięki sandałom, póki był na nogach, czuł, że jego życie jest bezproblemowe, zadbane i przyjemne, co pozwalało mu zachować resztki pogody ducha i uśmiechu.

A po drugie to był świetny sposób, by pozostać anonimowym wśród obcych, by jego twarz nie zapadała w pamięć. Już nieraz przekonał się, że za sprawą skarpet (zwłaszcza jasnych) noszonych do sandałów rzucał się w oczy, ale nikt nie potrafił go opisać, bo zwracano uwagę głównie na stopy.

Teraz pogratulował sobie decyzji sprzed kilku godzin, bo choć zbliżało się już południe, temperatura nie dobiegała nawet do piętnastu stopni. Dobrze, że przynajmniej deszcz przestał padać.

Te kilka godzin spędził na komendzie, porządkując akta sprawy Bialońskiego oraz wcześniejszej, którą zamknął w kwietniu. Zauważył, że brakuje zeznań dwóch osób, sąsiadów fotografa z Lesiska. Nie wiedział, czy było to zadanie Klaudii czy Imbira. Żadne z nich nie odbierało telefonu.

Skończył wszystko, co miał do zrobienia, i postanowił, że pojedzie do Piotrka na Złocien. Batorowej wolał nie nękać w domu, nie byli na tak zażyłej stopie. Poza tym z Imbirem chciał pogadać sobie od serca. Jeszcze nie wiadomo, co z nimi będzie, czy dadzą te etaty. Mogą dać jeden – będą mieli wytłumaczenie, zamanifestują dobrą wolę, a jednocześnie utną niewygodną osobę. I jeszcze jego upokorzą, każąc mu wybierać. Wczoraj nadrabiał trochę miną i jego podwładni chyba to dostrzegli.

Jadąc przez zaporę na Dąbiu, odruchowo spojrzął w prawo, lecz ślady po najdziwniejszej przygodzie jego życia uprzątnięto w ciągu minionych dziesięciu miesięcy. Choć znowu woda podmyła gdzieś bulwary i jeśli nawet nie miało to porównania z ubiegłoroczną powodzią, przypominało tamte wydarzenia.

Szybko pokonał Saską, Lipską, Rybitwy. Przez odsunięte okno zaleciał odorek, na który od dawna skarżyli się mieszkańcy tego terenu, jednak jego pochodzenie nie zostało dotychczas w pełni zdefiniowane. Głównymi podejrzanymi były oczyszczalnia ścieków, kompostownia i garbarnia.

Przy giełdzie rolnej skręcił w prawo, w Półanki, niedługo w lewo i znalazł się w rejonie, gdzie wdzięczne nazwy ulic – Agatowa, Ametystowa, Topazowa, Malachitowa, Nefrytowa – komponowały się z wyglądem budynków. Od trzech do pięciu kondygnacji, elewacje utrzymane w ciepłych, pastelowych barwach. Tu też z żółtym, tam różne odcienie brązu z białym, gdzie indziej kombinacja pomarańcza, beżu i seledynu. Czytał wczoraj, że Serafa wystąpiła z brzegów, ale tym razem Złocien nie odczuł tego tak bardzo jak w przypadku poprzednich powodzi. Załała rejon pomnika Pod Orłem, zbiegu ulic Biezanowskiej i Popiełuszki.

Kopulatorium na Złocieniu – jak zgryźliwie nazywał mieszkanie Imbira, póki nie spostrzegł, że lokatorowi bardzo podoba się to określenie – odwiedzał do tej pory trzy czy cztery razy. U wyjścia z klatki schodowej akurat młoda kobieta mocowała się z wózkiem, jedną ręką przytrzymując drzwi, a drugą usiłując przepchnąć pojazd przez próg. Pomógł jej, otrzymując w zamian uśmiech i zwolnienie z konieczności opowiadania się do domofonu. Na drugim piętrze jednak uznał, że nie było to korzystne, bo na dzwonek nikt nie reagował. Imbir w wolny dzień pewnie wyspał się do woli, niewykluczone, że nie sam, ale prawdopodobnie już wywłókł się z łóżka i gdzieś poszedł. Może tylko na zakupy i wkrótce wróci. Komisarz wyciągnął komórkę i zatelefonował do niego. Usłyszał ostre terkotanie wewnątrz mieszkania. Imbir zainstalował sobie w smartfonie bezpretensjonalny, prosty sygnał, jaki dawniej miały telefony stacjonarne. Zgłosiła się poczta. Rozłączył się, spróbował jeszcze raz. Znowu ten terkot. Przecież nie śpi, zbudziłoby go dobijanie się do drzwi albo telefon. Nacisnął klamkę. Drzwi się otworzyły, obezwładniła go chmura smrodu i już wiedział, że to, co za chwilę zobaczy, będzie gorsze niż ten zapach.

Na wprost drzwi wejściowych znajdowały się łazienka i toaleta, a obszerny przedpokój rozciągał się po lewej. Leżał w nim Piotrek z rozrzuconymi rękami i nogami, w kałuży skrzepłej krwi. Górna połowa kręconych blond włosów pozostała jasna, dolna przybrała kolor wiśniowy, choć może była to ciemna czerwień, a cienie kładące się w przedpokoj, rozpraszane przez padające z kuchni światło słoneczne, dawały taki efekt. Podkoszulek pozostał białawy jedynie na ramiączkach, a niżej nasączony był krwią. Potężne mięśnie ramion zachowały jeszcze

wspomnienie dawnej siły, ale rozpruty od splotu słonecznego po pępek brzuch, z widocznymi wnętrznościami i brodzącymi w nich muchami, budził diametralnie odmienne skojarzenie.

Policjant był ubrany w popielate portki dresowe, poplamione w kroku. Kiedy otrzymywał ciosy, puściły mu zwieracze i w powietrzu przeważał fetor kału. Niedługo jednak zdominuje go woń rozkładu. Do śmierci musiało dojść kilkanaście godzin temu, krew na płytkach wokół ciała w półmroku przypominała galaretkę.

Oniemiały, zszokowany Wit oparł się ramieniem o ścianę. Mężczyzna, który był uosobieniem witalności i graniczącej z hedonizmem radości życia, został zredukowany do skrwawionego pościa mięsa. Bezużytecznego, bezwolnego, bezwładnego. Nieczującego już nic. Wyglądał, jakby nie spodziewał się napaści i zupełnie się nie bronił.

Przyszła mu do głowy pierwsza przytomna myśl, żeby nie wchodzić dalej, nie oglądać niczego, bo percepcję ma zaburzoną, pożytku to nie przyniesie, a może zniszczyć ślady. Wybrał numer Hadyny na komórce.

– Zabili Piotrka Grzywacza, jestem u niego w domu, zorganizuj ekipę – powiedział bez żadnych wstępów, gdy tamten odebrał, i się rozłączył. Uświadomił sobie, że nie podał adresu Imbira. Mają go w danych osobowych, znajdą.

Wyszedł z mieszkania, usiadł na schodach. Zauważył, że ma czerwoną plamę na skarpetce i to go ostatecznie rozłożyło.

W tej robocie wydaje ci się, że wystarczy odreagować, by wydalic z ciebie syf, z którym się stykasz. Że odskocznią jest rodzina, seks, woda, imprezy, narkotyki, hazard, którymi oczyszczasz głowę albo blokujesz napływ pewnych wrażeń.

To złudzenie. Nawet jeśli przez pewien czas wszystko funkcjonuje należycie.

Obrzydliwości odkładają ci się w mózgu, jak zanieczyszczenie w płucach palacza lub mieszkańca Krakowa, i w końcu dławią. A to, co miało być odskocznią, staje się ucieczką, a więc i zmorą, kompletnie cię zniewala, a więc i niszczy. Tracisz kontrolę nad swoim życiem.

Tak było i z nim. Znajomi przypisywali jego załamanie rozpadowi małżeństwa, ale to nie był powód, tylko kropla przepełniająca czarę. Zło, którego był świadkiem, zło, które wyrządził, choćby temu Czeczenowi, przelały mu się i poszedł w amfę. Nałóg zracjonalizowany, budżetowy, działka po dziesięć złotych. Nie rypał sobie tak mózgu i narządów wewnętrznych jak alkoholem, ale i tak stracił nad tym panowanie.

Dobrze, że udało mu się wydobyć z tego piekła, dzięki kilku fachowcom i zycliwym ludziom. Był wśród nich Imbir, choć u niego dobre chęci wystarczały za wszystko. Przychodził do Wita, leżącego na detoksie, siadał przy łóżku i opowiadał o swoich podbojach erotycznych albo popadał w dygresje typu: „Nie lubię skórzanych spodni u kobiet. Kojarzą mi się z polskimi filmami porno z lat osiemdziesiątych. Spytasz, dlaczego nazywam je polskimi, a nie niemieckimi? Jestem patriotą i Teresę Orłowsky mimo wszystko uważam za Polkę”. Sądził, że dzięki temu kolega nabierze ochoty na seks, a więc i na życie. Jeśli chodzi o pobudzenie libido Nawrockiego, trud Imbira okazał się daremny, za to aspekt humorystyczny tych bająć był nie do pogardzenia.

Właśnie tak zastał go Hadyna: siedzącego na najwyższym stopniu schodów, z głową opartą o barierkę, ze ściągniętymi rysami, zamysłonego, ale leciutko uśmiechniętego.

Prokurator Łukasz Szymański zdawał sobie sprawę, że tym razem będzie współpracował z policją według nieco innych zasad, niekoniecznie przewidzianych w Kodeksie postępowania karnego. Nie w roli lidera śledztwa, ale obserwatora z głosem doradczym. Zginął jeden z nich i byli niczym sfera zdezorientowanych psów, które węszą, na kogo skierować swoją furję.

Nawet jeśli Grzywacz nie był powszechnie lubiany (on sam nie przepadał za nim po utarczkach w trakcie rozmowy z profilerem), to znalezienie sprawcy było dla nich warunkiem istnienia. Chodziło o potwierdzenie starej zasady i przypomnienie jej światu przestępczemu: że potrafią bronić swoich, a jeśli trzeba – pomścić ich.

Choć początek zebrania stanowił dysonans z powyższymi koncepcjami.

– To na pewno morderstwo? – spytał komendant.

– Inspektorze... nawet Irek Sekuła sam by się tak nie wypatroszył – odparł jego zastępca, Hadyna, a nie zwracając się do niego jak zwykle po imieniu, dał do zrozumienia, co sądzi o swoim szefie i jego kuriozalnym pomysłe.

Nawiązał do partyjnej gwiazdy schyłku peerelu, a w nowej Polsce szefa urzędu cel i biznesmena, który umarł z trzema kulami w tułowi. Warszawska prokuratura przełomu wieków uznała, że Ireneusz Sekuła trzykrotnie strzelił sobie w brzuch i zakwalifikowała to jako samobójstwo.

– Dobra, zapowiedzcie wszystkim, że wszelkie ustalenia śledztwa są *top secret*, mordy w kubek. Mamy je ogłosić łącznie z przedstawieniem mordercy. – Chrostecki potoczył groźnym spojrzeniem wokół stołu, przy którym poza Szymańskim siedzieli jego zastępcy, naczelnik wydziału kryminalnego i Nawrocki. Co z rodziną?

– Piotrek miał trzy siostry. Wszystkie mieszkają w Krakowie, matka z jedną z nich, ojciec nie żyje. – Witek odpowiedział dopiero po dłuższej chwili, kiedy zorientował się, że wszyscy milczą i patrzą na niego. Nie był w najlepszej formie.

– Pytam, czy powinniśmy im komunikować, co się stało. Może odczekamy do czasu zamknięcia śledztwa. – Komendant miał jednak jeszcze gorszy dzień niż komisarz. Sadził kocopoły jeden za drugim.

– Trudno ukrywać śmierć człowieka przed najbliższymi. Ta wiedza im się należy – nie wytrzymał Szymański.

– Ja tu nie mówię o konwenansach. Pieprzenie w bułkę przez bibułkę! – uniósł się inspektor Chrostecki. To ostatnie sformułowanie brzmiało jak cytata z Imbira, ale komendant musiał zaczerpnąć je od swojego zastępcy. – Lepiej dla policji byłoby, żeby nie rozeszło się natychmiast po świecie, że ktoś wypruł flaki z naszego śledczego i to jednego z bohaterów niedawno zakończonej, medialnej sprawy.

– Byli ze sobą blisko – odezwał się Wit. – Piotrek często dzwonił do mamy albo ją odwiedzał. Siostry z kolei kontaktowały się z nim, zapraszały go po jedzenie, które dla niego przygotowały. Najmłodszy z rodzeństwa był ich pupilkiem. Niewykluczone, że już dzisiaj przed wieczorem wszystko się wyda.

– W takim razie komisarz Nawrocki będzie odpowiedzialny za powiadomienie rodziny. – Komendant wskazał na niego palcem. – Ze sprawy morderstwa jesteś wyłączony, więc będziesz miał zajęcie. Zrób to jeszcze dzisiaj, choć nie musisz się spieszyć. I proszę, żeby na razie zachowały dyskrecję. Do pogrzebu nie muszą się przygotowywać, bo ciała i tak szybko nie dostaną.

Już wcześniej zapadła decyzja, że śledztwo poprowadzi naczelnik wydziału kryminalnego, Sławomir Mania. Nawrockiego i Klaudię Bator odsunięto ze względu na osobiste zaangażowanie, choć tak po prawdzie mogli w tym uczestniczyć. Komisarz jednak nie protestował, podobnie jak teraz, kiedy przełożony wlepił mu najgorszy syf, opatrując to na dodatek absurdalnymi oczekiwaniami. Zdecydowanie z Witkiem działo się coś niedobrego, ocenił Szymański.

– Mów, Sławek, co już macie. – Chrostecki zwrócił się do podinspektora.

– Technicy ciągle przeczesują mieszkanie, więc nie wchodzimy, ale wyjęli telefon Grzywacza, który leżał na stoliku w przedpokoju, a komisarz Nawrocki znał hasło. – Mania wyciągnęła z wewnętrznej kieszeni marynarki złożoną na czworo kartkę, rozprostował ją i posiłkował się notatkami. – W poniedziałek były połączenia tylko od Wita i z numeru prywatnego. W weekend też numery zapisane w książce: mama i kilka żeńskich imion, które odpowiadają imionom sióstr, ale to zweryfikuje komisarz Nawrocki, kiedy do nich pojedzie. W niedzielę dzwonił do niego ktoś z numeru prywatnego, nie wiadomo, czy to ten sam, co w poniedziałek. Sprawdzamy. Przepytujemy sąsiadów, także z okolicznych budynków. Z tym że zdarzyło się to w nocy z poniedziałku na wtorek, więc o świadków będzie trudno.

– Ilu masz ludzi?

– Wystarczająco, tylko Artka Sulimy brakuje, bo rano zadzwonił i wziął dzień urlopu na żądanie. Obiecał, że jutro dołączy. Batorowa też zniknęła, nie odbiera telefonu. Poprosiłem, żeby wysłali do niej radiowóz z szóstego komisariatu, ale nikogo nie było w domu.

– Pomówmy o kierunkach śledztwa, możliwych motywach morderstwa – włączył się prokurator. Domyślał się, że teraz odezwie się Hadyna, i spodziewał się, co mniej więcej powie.

– Czyżby naciął się na jakąś dupę? – Zastępca komendanta miał na dodatek kpiący wyraz twarzy. Co ciekawe, pozostali zdawali się rozważać jego tezę zupełnie poważnie.

– Sekcja ma się odbyć możliwie szybko, liczymy, że nawet dzisiaj, ale jeszcze nie przewieźliśmy ciała. – Ta odpowiedź była dla Szymańskiego oczywista, bo to on wydał postanowienie o sekcji, która miała się zacząć w jego obecności. – Musimy zbadać, czy nie miał stosunku, czy nie ma śladów biologicznych na penisie, za paznokciami. Problem w tym, że wszędzie, na wszystkim, jest jego własna krew. Mnóstwo krwi. Przypuszczam jednak, że nie zabiła go porzucona dziewczyna, ale raczej zazdrosny facet. Być może znajomy. Na rękach nie ma śladów, które wskazywałyby na obronę, walkę z mordercą.

– Skąd tyle krwi? – zainteresował się komendant.

– Ma przeciętą aortę na odcinku brzuszny, chlustało z niego jak wodą z rynny podczas ulewy. – Prokurator sądził, że Mania musiał raczej usłyszeć od kogoś to porównanie. – Technicy mówią, że to mógł być szeroki nóż kuchenny, bardzo ostry. Raczej nie sztylet, nie sprężynowiec. Duży nóż.

– Istnieje pewien aspekt uboczny. – Witek chrząknął zakłopotany. – Imbir, znaczy Piotrek Grzywacz, w czasie kiedy został przesunięty do prewencji, dorabiał jako ochroniarz w tym klubie przy Rynku, Pod Koziołkami. Chyba niezbyt często, ale tam przychodzą rozmaici ludzie i mógł komuś nadepnąć na odcisk.

Chrostecki zrobił minę, jakby podano mu na talerzu zepsutą rybę do zjedzenia. Policjanci teoretycznie mogli podejmować dodatkową pracę zarobkową, ale za pisemną zgodą przełożonego, a tych udzielano rzadko. Grzywacz pewnie nawet się o nią nie zwracał. Obecni wysocy oficerowie powstrzymali się jednak od komentarzy, bo na nieżyjącego nie było sensu się żołądkować.

– W porządku, weźmiemy to pod uwagę, przesłuchamy ochronę i pracowników klubu. – Naczelnik wydziału kryminalnego skinął głową. – Jeszcze jedna kwestia. Niektóre fragmenty mieszkania zostały już przebadane, a ślady zabezpieczone. Dostałem od techników taki obrazek. – Sięgnął do teczki stojącej obok jego nogi, wyciągnął rulon elastycznego materiału, odwiązał tasiemkę i rozłożył go na stole konferencyjnym. – Czy ktoś potrafi wytłumaczyć, co to robiło na ścianie u takiego dupcyngiera jak Grzywacz?

Zgromadzeni pochylili się nad zdjęciem formatu A2 przedstawiającym nagiego chłopca alabastrowej barwy, o wypukłym brzuszku i dorosłych, a może dojrziałych, rysach twarzy. Chyba nie wszyscy od razu zorientowali się, że to rzeźba.

ROZDZIAŁ 22

1

Ta muzyka budziła lęk, ale trudno było się od niej uwolnić. Klaudia ocknęła się wreszcie i zrozumiała, że tę samą melodię słyszała przez sen. W drugim tempie dotarło do niej, że to jej własny telefon wzywa ją zainstalowanym w niedzielę przez męża *Marszem imperialnym*. Dzwonek pasował nastrojem do ostatnich dni, zwłaszcza wczorajszego, rodem z koszmaru.

O, umilkł. Usłyszała, że Marek i Iza dokazują w kuchni, ale oni już wczoraj po południu zachowywali się, jakby zapomnieli o tym, co się zdarzyło wcześniej. Lub kompletnie się tym nie przejmowali.

We wtorek rano niewyspana i w kiepskim nastroju odprowadziła Izkę do przedszkola, jej grupa miała jechać na wycieczkę do Parku Pinokio w Wieliczce. Ledwo wróciła do domu, zjadła śniadanie i zaczęła się zastanawiać, co zrobi z wolnym dniem, którego połowę będzie miała wyłącznie dla siebie, zadzwonili z przedszkola. Straszna afera, Iza ugryzła jedną dziewczynkę w ucho. Obie płaczą, wychowawczynie proszą, żeby zabrać córkę dla rozładowania atmosfery, ale też ze względów wychowawczych – musi ponieść karę za swój postępek. Kiedy przywiozła małą do domu, ta dostała regularnej hysterii. Bo przecież miała jechać na wycieczkę do Pinokia! Zszokowana Klaudia, odnosząca postępowanie dziecka do własnych doświadczeń i zachowań z przeszłości, sama zaczęła panikować i nie była w stanie się nim zająć. Na wzór bezwolnej, durnej żony z karykatury, zadzwoniła po ratunek do męża. Marek zwolnił się z pracy, spacyfikował Izę i zabrał obie, z zapasem kupionej po drodze czekolady, do Energylandii.

Klaudia nie potrafiła jednak cieszyć się sytuacją.

– Ma to po mnie – szepnęła do męża, kiedy przysiedli na ławeczce, słuchając radosnych pisków Izy w samolociku przesuającym się kolejką widokową.

– Bzdura. A ile razy ugryzłaś kogoś w ucho?

– Nigdy, to prawda. Ale gorsze rzeczy robiłam.

– Eee tam, takie rzeczy. Tak czy owak, już nie robisz. Jej też uda się poskromić agresję.

Żebyś ty wiedział... Takich instynktów nie da się opanować tak łatwo jak wybryków sześciolatki. Zresztą i w przypadku Izy dopiero w przyszłości dowiedzą się, czy to incydentalny impuls czy cecha charakteru. Może powinni zaprowadzić ją do psychologa. W jego skuteczność jednak nie wierzyła, bo jej nie pomógł. Może porozmawia o tym z Gabą.

Marek jeszcze w domu za pomocą klamerki do prania zaprezentował małej, jak boli ugryzienie w ucho, co o dziwo trafiło do niej i obiecała, że nigdy więcej tego nie robi, a jutro przeprosi Antoninę. Tosia miała narazić się tym, że zajęła jej miejsce przy oknie, na którym Iza siedziała wcześniej, zanim wstała na chwilę, żeby coś powiedzieć innej koleżance.

Po męczącym i nerwowym dniu, nużącym powrocie z Zatora, urozmaiconym przez złapaną gumę, w domu Klaudia położyła się natychmiast spać, mimo że dopiero minęła dwudziesta pierwsza. I spała jak nieprzytomna ponad dziesięć godzin.

Znowu odezwał się ten niepokojący werbel. Gdzie on jest? Dźwięk dobiega chyba zza fotela albo spod lampki stojącej przy nim na miniszafce. Tak, to tam stała wczoraj, kiedy dzwoniła do Marka, i rzuciła telefon na fotel, biegnąc do Izy, której płacz przybrał wtedy na sile.

2

Do wczorajszego wieczora Nawrockiemu nie udało się skontaktować z Klaudią. Dzisiaj rano zadzwonił do niej jeszcze z domu, po nocy spędzonej na majakach i niespokojnym przewracaniu się z boku na bok. Wreszcie wstał i położył się w pokoju Kacpra, bo wierceniem co rusz budził śpiącą obok Gosię.

Klaudia ciągle miała włączony telefon, ale nadal go nie odbierała. Następny raz spróbował dopiero po przyjeździe na komendę, czekał długo i ku jego zaskoczeniu, kiedy już miała odezwać się poczta głosowa, usłyszał niepewne „halo?”.

– Klaudia, szukamy cię od wczoraj. Złe wieści, Imbir został zamordowany. – Po traumatycznej sesji z siostrami i mamą Piotrka, które zawiadamiał osobno, nie miał siły wymyślać łagodzącego wstępu. Zresztą wtorkowe doświadczenia przekonały go, że takowy nie istnieje.

W słuchawce panowała cisza.

– Jesteś tam?

– Tak, myślę właśnie... to znaczy... to straszne. Boże.

– Gdzie się podziewałaś?

– Wyjechaliśmy poza Kraków, a komórkę zostawiłam w mieszkaniu.

– Musimy się spotkać jak najszybciej.

– Tak, dobrze, to gdzie przyjechać?

– Nie rozumiem, jak to gdzie?!

– No bo miałam od dzisiaj wracać na komisariat.

– Aha, racja. W tej sytuacji to nieaktualne... Przyjedź na komendę, trzeba będzie załatwić formalnie twoje zatrudnienie w kryminalnym, ale to raczej nie dzisiaj, bo nikt tu teraz nie ma głowy do takich spraw.

Przyjechała dopiero po godzinie. Miała czerwone oczy, kontrastujące z jej jasną karnacją niczym u królika angory. Wit obawiał się wcześniej, że będzie musiał ją pocieszać, ale ona była opanowana. Poprosiła o pokazanie zdjęć, a potem przeglądała je, z widocznym w sylwetce napięciem, w laptopie, przed którym ją posadził. Nie komentowała wyglądu zwłok ani sposobu popełnienia zbrodni, o który wcześniej nie spytała.

– Macie podejrzanych? – Lekko odsunęła laptopa od siebie i okręciła się na krzeselku w stronę komisarza.

– Mają. Śledztwo prowadzi podinspektor Mania, ja w nim nie uczestniczę.

– Tak?! Dlaczego?

– Zostałem odsunięty ze względu na zbyt osobiste zaangażowanie w sprawę. Ty zresztą też, ale i tak cię nie było.

– Co mają?

– Hipoteza od początku była taka, że to jakiś zdradzony facet się mści. Ochroniarz z tego klubu Pod Koziółkami twierdzi, że Imbir spotykał się z żoną jednego z przywódców Jude Gangu, tej bojówki kibiców Cracovii, zamieszanego w handel narkotykami i podejrzanego o zasztyletowanie

członka konkurencyjnego gangu Sharks – kibiców Wisły. Nazywa się Krzysztof Szalacha, ksywa Szlachta, trzy lata temu uciekł do Londynu, jest poszukiwany czerwoną notą Interpolu.

– I on miałby to zrobić? Wrócił?

– Sam raczej nie, ale mógł zlecić. Użyte narzędzie też by na to wskazywało.

– Mężatki są bezpieczne – bąknęła Klaudia.

– Słucham?

– Nie, nic. Tak mi się przypomniało.

– To było powiedzonko Imbira, prawda? Ale chyba chodzi w nim o to, że nawet jeśli zajdą w ciążę, to idzie na konto ich męża.

– Wiem, załapałam. A sąsiedzi widzieli kogoś?

– Nie. Markowski i Gomułka z nimi rozmawiają, ale nikt niczego nie zauważył, nawet ci, którzy nie spali pomiędzy dziesiątą wieczorem a drugą w nocy. Takie są orientacyjne ramy czasowe morderstwa, patolog ma je sprecyzować.

– Markowski i Gomułka? Ludzie Sulimy?

– Tak. Jest jeszcze jedna sprawa. Niedaleko, przy Złocieniowej, czterech narąbanych gości rozwalalo worki z piaskiem ułożone na brzegu Serafy w charakterze wału przeciwpowodziowego. Wracali z imprezy i taką rozrywkę sobie znaleźli. Niezidentyfikowana kobieta zgłosiła to do nas, patrol zgarnął klientów i odstawił na izbę. Zostali spisani, były namiary, więc wczoraj przesłuchano ich, czy czegoś nie widzieli. Za bardzo jednak byli pijani i nic nie pamiętają. Może za to tamta kobieta widziała coś, co wtedy nie wzbudziło jej podejrzeń, a byłoby przydatne. Szukają jej, ale na razie bez powodzenia. Chyba zresztą nie chciała się ujawniać, bo dzwoniła z zastrzeżonego numeru na telefon dyżurny komendy miejskiej, a nie na sto dwanaście. Rozłączyła się, kiedy dyżurny spytał ją o nazwisko, głosu też nie da się rozpoznać, był zduszony, przypominał męski.

– I naprawdę do niczego pana nie dopuścili?!

– Powiadaiałem rodzinę...

– Ekstra fucha.

– Dostałem jeszcze jedną rzecz do sprawdzenia. Imbir miał na ścianie coś w rodzaju plakatu z jedną z tych rzeźb, które widzieliśmy w kamieniołomie. Pojechałem do Forum, żeby pogadać z tym Górnickim, ale zastałem żonę sprzątającą pracownię. Powiedziała, że mąż już w piątek wyjechał na warsztaty do Hiszpanii. Potwierdziłem to w innym źródle, ale to może być trop, tyle że prowadzący w innym kierunku.

– Do kogo?

– Przypuszczam, że ta rzeźba zrobiła na Imbirze duże wrażenie, kiedy zobaczył ją pierwszy raz. Patrzył codziennie na jej zdjęcie, bo to go motywowało w śledztwie dotyczącym zamordowania chłopców, którzy wyglądali podobnie do niej. I poddaje myśl, że nie zamknął tej sprawy...

– Przecenia pan jego skłonność do porządkowania najbliższego otoczenia. Prawie codziennie musiałam z nim walczyć, żeby nie zaśmiecał radiowozu zgniecioną w kulki spożywczą folią aluminiową z opakowań po kebabach.

– Wyobrażam sobie. Sam się jednak zastanawiałem, czy nie uczestniczyliśmy w zaplanowanym wcześniej spektaklu. Choćby termin. Film Sekielskich był zapowiadany od dawna, na jego realizację zbierali fundusze przez platformę crowdfundingową. Data premiery została wyznaczona z wyprzedzeniem. Można się było spodziewać, że jeśli w tym okresie wydarzą się morderstwa dzieci na tle seksualnym, podejrzeń padnie na księży, a policja państwowa chętnie przyjmie rozwiązanie nieprowadzące do duchownego.

– Przecież my w taki sposób nie działaliśmy.

– Owszem, ale ten ktoś mógł tak myśleć.

– Sugeruje pan, że wiąże się to ze śmiercią Imbira, który podejrzewał, że Białoński został wrobiony. Imbir został zamordowany okrutnie, w furii, a ci chłopcy na zimno, ale raczej delikatnie, wręcz litościwie, z użyciem tylko takich środków, żeby pozbawić życia. To wskazuje na różnych sprawców.

– Może morderca chciał, żeby te zbrodnie się różniły, a może zabijały dwie różne osoby, działające w zмовie, nawet wspólnie. To, co mówisz o metodach zastosowanych w przypadku dwóch pierwszych chłopców, plus fakt, że penetracja odbywała się już po ich śmierci, a więc krzywda się nie sumowała, może świadczyć, że nie byli podmiotami, lecz przedmiotami tych morderstw. Niejako rekwizytami, mówiąc brutalnie. Niestety, nie zwróciliśmy na to uwagi, bo mieliśmy zakodowane, że ścigamy pedofila.

– A teraz zaczniemy prowadzić śledztwo przeciwko sobie?

Nawrocki popatrzył na nią uważnie.

– Witam cię w świecie ludzi dorosłych – powiedział cierpko. – Dałabyś radę żyć ze świadomością, że być może wsadziliśmy do więzienia niewinnego człowieka?

– Nie wierzę, że Białoński był taki zupełnie niewinny, nie wyglądał na to. I nie popełniłby samobójstwa, gdyby tak było.

– Tym bardziej powinniśmy to sprawdzić. Zwłaszcza że możemy w ten sposób wykryć mordercę Imbira. Jest jeszcze jedna kwestia, o której dowiedziałem się wczoraj, a dzisiaj przysłali mi zdjęcia. Zobacz, co Białoński zrobił, zanim się powiesił. W przeciwieństwie do zabawek pozostawianych przy ofiarach na tej było dużo jego odcisków palców... – Komisarz znacząco zawiesił głos.

Przysunął ku niej laptopa i kliknął w folder o nazwie *p-n Monte*. W środku było sześć zdjęć papierowego piekło-niebo, jednak niepomalowanego na niebiesko i czerwono, ale z rysunkami na wewnętrznych ściankach. Autor zdjęcia nie wiedział, jak układać zabawkę, ukazując poszczególne komory. Sfotografował ją po prostu rozwartą, leżącą na stole, dwa ujęcia z góry i po jednym, pod kątem, z każdej z czterech stron.

Rysunki na ściankach przedstawiały prawdopodobnie: trzech chłopców, szatami i minami przypominających nieco aniołki, tyle że bez aureoli; trzy diabełki z różkami, ogonkiem ze szpicem na kształt grota strzały i demonicznym uśmiechem; jedną dziewczynkę już zdecydowanie wyglądającą na aniołka (choć ciągle bez aureoli) oraz dziewczynkę podobną do tamtej, lecz z różkami. W trakcie manewrowania zabawką diabełkowate postaci obsadziłyby jedną komorę, a anielska drużyna – drugą. W tej perspektywie jednak zdjęcia pokazywały, że każdy chłopczyk ma „za rogiem”, po swojej lewej lub prawej, diabełka, a dobra dziewczynka – tę złą.

– I dokąd nas to prowadzi? – spytała Klaudia, która długo wpatrywała się w ekran jak zahipnotyzowana.

– Do Otwocka. Czuję, że wyjaśnienie kryje się w dzieciństwie Białońskiego. Gdzieś w przeszłości urodził się motyw wydarzeń ostatniego miesiąca, a motyw wskaże nam sprawcę.

– Chce pan tam jechać? Badać śmierć tej dziewczynki, która przyjaźniła się z Białońskim i dwójką jego kumpli?

– Może pojawią się też inne kwestie. Nie mam nic innego do roboty, bo do tutejszego śledztwa mnie nie dopuszczają, więc równie dobrze mogę sprawdzić tę teorię. Ty jesteś w tej samej sytuacji i mam dla ciebie miejsce w samochodzie.

Zaledwie tydzień temu przemierzała tę trasę, tym samym wozem, ale zdawało jej się, że działa się to w innym świecie. Tyle się wydarzyło... Przede wszystkim facet, który wtedy siedział obok niej, a na postoju napychał się golonką z tajskim sosem, teraz leżał w chłodni z pociętymi wnętrznościami. W samochodzie został po nim żart z fejsa stylizowany na ogłoszenie prasowe sprzed wieku: *Leczenie histeryj pokarmowych: wegetarianizm, niedobory sadła, brak uciechy z tłustej strawy (zgroza łojowa)*. W piątek to sobie wydrukował, przyniósł do samochodu i miał uciechę przez całą drogę do Huty.

– Tobie kuracja nie jest potrzebna, bo żadna z tych dolegliwości ci nie grozi – powiedziała wtedy.

– To ja lecę – mlasnął Imbir. – „Ma się dar Boży zmarnować, lepiej zjeść i odchorować”, zadekłamował wierszyk z wydruku niczym swoje *credo*.

Ona również była już innym człowiekiem. Rozstali się w złości, dogoniła ją przeszłość, bała się, że jest zdolna do wszelkich gwałtów.

Teraz fotel pasażera zajmował komisarz Nawrocki, w leżącej na kolanach lewej dłoni trzymał przedmiot o kształcie grubego, czarnego pióra kulkowego, z którego nieregularnie pociągał (a czasem chyba dmuchał – w każdym razie nie zawsze unosił się z tego dym, nie czuła też woni zdolnej się przebić przez tę, którą emanowało wiszące na lusterku drzewko zapachowe).

Jechali do Otwocka, gdzie Nawrocki znalazł za pomocą policyjnych znajomych emerytowanego oficera, który w latach dziewięćdziesiątych zajmował się ponoć śmiercią Basi. Komisarz rozmawiał również z kimś z lokalnej Komendy Powiatowej, ale okazało się, że akta tamtej sprawy nie zostały zdigitalizowane, a ich papierową wersję zniszczono, bo nie dotyczyły morderstwa.

– Nie wiedziałam, że pan pali – zagadnęła, bo milczenie utrzymywało się, odkąd minęli Kielce.

– Rzuciłem, a teraz robię wszystko, żeby nie zacząć. Dostałem e-papierosa od znajomej, liczę, że przetrwam z nim najbliższe dni i nie wrócę do knotów.

– To kiedy pan rzucił?

– Na Walentynki, o taki prezent poprosiła mnie ta właścicielka e-papierosa, która nie używa go od dwóch lat. Policzyłem, że dwudziestego czwartego maja będzie sto dni.

– Mały jubileusz.

– Tia, jest okazja, żeby się napić i zajarać. Dziwne urządzenie. – Podniósł czarny przedmiot. – Wydaje mi się, że nie czuję tej nikotyny, którą mam wchłaniać w formie pary, ale uspokaja mnie ruch ręki papierosem do ust i pociąganie. Jak powiedział pewien gliniarz, palenie to stosunek oralny. Gdy chce się rzucić, trzeba w zamian uprawiać dużo seksu oralnego.

– To był Imbir?

– No nie, on nigdy nie palił, ale tekst by mu się spodobał – westchnął Nawrocki.

Klaudia zacisnęła zęby.

– Czytałam, że palenie można zastąpić wysiłkiem fizycznym na świeżym powietrzu – powiedziała.

– W krakowskim powietrzu to trudne. Gdy zaczynałam, zażywałam tabletki z cytyzyną i chodziłam na długie, forsowne spacerki. Niekiedy następnego dnia budziłam się z podobną gulą w gardle, jak w czasach, gdy wypalałam dwie paczki fajek.

Dom emerytowanego młodszego inspektora Andrzeja Maślanki był klockowaty, szary, jednopiętrowy, przed nim jednak feirią barw pyszniły się rabaty kwiatów i ozdobne krzewy. Musiała tu gospodarować jakaś kobieta, ale jej nie zobaczyli. Maślanka zaprowadził ich na tyły domostwa, gdzie usiedli na tarasie, nieopodal kwitnącego drzewka owocowego, otoczeni sypiącymi się z niego białymi płatkami i ich intensywnym, przyjemnym zapachem. Były policjant sam przyniósł kompot z rabarbaru, bazę kompotu widzieli nieopodal na niewielkich,

wyplewionych grządkach. Nie proponował alkoholu, ale chyba nie mógł pić, bo miał czerwoną twarz ciśnieniowca.

– Naprawdę sprowadza was śmierć tej dziewczynki dwadzieścia jeden lat temu? – zdziwił się.

– Tak, chodzi o nią i chłopców z domu dziecka – przytaknął Nawrocki. – Mamy powiązanie ze sprawą, którą prowadziliśmy w Krakowie.

– No, czekaj... – Niemal było widać, jak gospodarz przetwarza informacje. – Nie mów, że ten, co się wyhuśtał na tygrysku, a wcześniej zgwałcił i zabił tych dwóch chłopców, to jeden z dzieciaków z naszego domu dziecka?! – Musiał być niezłym śledczym, bo błyskawicznie skojarzył fakty. – Który?

– Michał Białoński – odrzekł Nawrocki. – Nie, zaraz, Michał Skura.

Maślanka patrzył ciągle nierozumiejącym wzrokiem.

– Blondynek – dodała Klaudia. – Ten, który został adoptowany.

– Już kumam. No popatrzcie, nigdy bym nie przypuścił.

– Jak zmarła ta dziewczynka, Basia? – spytał komisarz.

– Krwotok wewnętrzny, spowodowany stanem zapalnym i wzrostem ciśnienia śródbrzusznego. – Tamten uśmiechnął się chytrze. – Tak wpisał w papiery lekarz, który był wtedy na pogotowiu. Dobra dusza, chociaż pijak, a może właśnie dlatego.

– To chyba nie do końca precyzyjne wyjaśnienie, nawet w świetle mojej znikomej wiedzy medycznej – stwierdziła Klaudia.

– Nikt aż tak nie wnikał. Dziewięcioletnia dziewczynka przywieziona z krwotokiem na pogotowie, z przebicciem ścianki macicy. Powiedziała, że sama sobie włożyła kij bilardowy, wiecie gdzie, z ciekawości.

Wit i Klaudia popatrzyli na siebie zszokowani.

– Lekarz wiedział, że mama ma odchyły od normy, co bywa dziedziczne, więc napisał, że to wypadek – kontynuował Maślanka. – Gdyby wyszło, co naprawdę się stało, do dzisiaj ludzie w mieście opowiadaliby o nich świństwa.

– A jakiego ty byłeś zdania? – spytał Nawrocki. – Że sama to sobie zrobiła?

– Jestem starym gliniarzem i widzę świat na czarno. Nie wierzę w wypadki. Miałem dwa wyjaśnienia: że okaleczyła ją matka-wariatka lub chłopcy z domu dziecka, z którymi się szlajała.

– To czemu nie przeprowadził pan śledztwa? – Klaudia zadała to pytanie dosyć konfrontacyjnym tonem.

– Dziecko, nie wiesz, jaki to był dziki czas. – Gospodarz dotychczas traktował ją z galanterią, ale teraz w jego głosie zabrzmiało pobłażanie. – Komendanta głównego nawet odjebali. Pruszków i Wołomin strzelały się na ulicy, jak u siebie na chacie. A kiedy Gołota walczył we Wrocławiu, to gangsterzy i politycy siedzieli przy ringu obok siebie, na najlepszych miejscach. Chłopaki z Piaseczna znajdowali trupy na wysypisku w Łubnej, wyrzucone niby śmieci. A ja miałem roztrząsać kwestie moralne w sprawie, która niejednemu mogła złamać życie, zupełnie niezasłużenie? Gdybym zaczął przesłuchania, życie zwyczajnych, normalnych ludzi zniszczyłyby plotki. Jasne, rozmawiałem nieoficjalnie z paroma osobami, między innymi z tymi dzieciakami, ale nic nie wiedzieli. Matka wcześniej jakoś się trzymała, nie odebrali jej prawa opieki, ale wtedy jej się pogorszyło. Bredziła tylko, że pierwsze dziecko jej zabrali, a teraz przez to zginęło drugie.

– Zabrali jej dziecko?!

– Króliki pieprzyły się jej we łbie. Dzisiaj jest w domu wariatów w Górze Kalwarii. Jej pierwsza córka, bliźniaczka tej Basi, zmarła tuż po urodzeniu. Poród przyjmował ten sam lekarz, który potem wysyłał Basię na tamten świat. On wypisał akt zgonu.

– Ten pijak?

– No tak, nie żyje już. Zawał. Jak to w tym zawodzie.

– Jest grób tej siostrzyczki, jak ona się nazywała? – Odkąd Maślanka obruszył się na Klaudię, ciężar rozmowy wziął na siebie Nawrocki.

– Kasia chyba. Została pochowana w grobie dziadków, w nogach ją umieścili.

– To jest pewne, sprawdzone?

– A co ty, wierzysz w duchy? Nawet było coś w rodzaju ekshumacji, bo pod koniec lat osiemdziesiątych mieliśmy tu taką hienę cmentarną. Facet był grabarzem, we dnie zasypywał groby, a w nocy z powrotem rozkopywał. Kradł różne rzeczy, ale też czasem ciała czy szkielety i to sprzedawał. Zeznał, że tamten grób też rozgrzebał, i rzeczywiście był naruszony.

– A ciało Kasi?

– Ciało nie było... Słuchajcie, ten świat zawsze był chory. Ale teraz jest kompletnie popierdolony! – ożywił się gospodarz, twarz jeszcze bardziej mu poczerwieniała. – Zanim przyjechaliście, czytałem właśnie w komputerze, że w Brześciu Kujawskim zamaskowany skurwiel wszedł do szkoły, rzucił petardy hukowe, a potem przy użyciu pistoletu zaatakował sprzątaczkę i strzelał do uczniów. Zranił tę sprzątaczkę i uczennicę z czwartej klasy. Osiemnastoletni były uczeń, chory psychicznie, leczony, rok wcześniej zatrzymany z nożem. Ameryka, kurwa! Uczniowie zabarykadowali się w klasach i w toalecie, bo tak byli szkoleni. Dobrze, że woźny był przytomny, nie speniał i go obezwładnił.

Maślanka zaparł się dłońmi o poręczę wiklinowego fotela, jakby chciał wstać. Pewnie ma ich już dość i zaraz się pożegna.

– Mam jeszcze pytanie o jedyne z trzech chłopców z domu dziecka, który pozostał w mieście. Tego Wacka Rejmana – szybko powiedziała Klaudia. – Jakie były okoliczności jego śmierci?

– To był lokalny luj otwocki. Nie chodziłem po ulicach, to nie miałem z nim do czynienia, nie zdarzyło mi się go zgarnąć. Pił chyba od podstawówki, potem zaczął ćpać. Rzadko miał robotę, sępił kasę od ludzi, czasem coś ukradł. Rok temu wreszcie spróbował kompotu, bo to tańsze i mocniejsze. Polska heroina w końcu. Ale to był jego pierwszy raz, nikt go nie poinstruował, nie umiał dobrać dawki i się przekręcił. Oni to nazywają złotym strzałem.

4

Nawrocki kątem oka obserwował Klaudię, która prowadziła równo i pewnie. Identycznie było, gdy jechali w przeciwną stronę. Zdecydowanie, ale bez gwałtownych manewrów. Szybko, ale bez szarżowania. Kryje się w niej kilka osób, pomyślał.

– Masz mocno zakorzenione poczucie sprawiedliwości – zagadnął ją. – Prawie napadłaś na tego Maślankę za zatuszowanie sprawy.

– Raczej chodzi o wyrównywanie krzywd – odparła. – Uważam, że każda powinna się spotkać z odplątą, nawet jeśli prawo jest w danej sytuacji bezsilne.

– Jak w *Ojcu chrestnym* – zażartował. – „Tej nocy rodzina Corleone reguluje swoje rachunki”.

Uśmiechnęła się wymijająco, pewnie nie oglądała filmu.

– Wiesz, słyszałem, że Maślanka zaczynał w silniejszej służbie – powiedział. – Im się tam wydawało, że są bogami i mogą ferować wyroki. Dopiero tuż przed przełomem, prawdopodobnie ratunkowo, przeniósł się do milicji. Ale był dobry, od razu rozwiązał jakąś głośną sprawę, chyba tego grabarza, więc zweryfikowali go pozytywnie.

– Sama niedokładnie to pamiętam, za to mama ze szczegółami i od czasu, kiedy wstąpiłam do policji, używa historii w charakterze towarzyskiej anegdoty. – Klaudia patrzyła przed siebie, ale wykrzywiła się do przedniej szyby w ironiczno-szyderczym grymasie. – W szkole podstawowej

miałam kolegę, który ciągnął mnie za włosy i kłuł cyrklem. Siedział za mną w ławce. To było w drugiej lub trzeciej klasie. Mieliśmy razem dyżur po lekcjach, taki co to trzeba kwiatki podlać, tablicę dokładnie umyć, poukładać różne rzeczy, wyrównać stoliki i krzeselka. Zamknęłam drzwi od wewnątrz na klucz, żeby mi nie uciekł, i mu wtłukłam. Do końca roku szkolnego po lekcjach nosił mi tornister do domu. Z własnej inicjatywy.

– Zrozumiał swoją winę – zaśmiał się Nawrocki. – Dobrze, że nie przełożyłaś tych metod na dorosłe życie. – Niemal od razu dotarło do niego, że popełnił faux pas, bo przecież ten policjant w Płocku został ukarany na podobnej zasadzie.

– Skąd właściwie wziął się konflikt Imbira z Sulimą? – zmieniła temat.

– Nie wiem, czy jestem wystarczająco w temacie, nigdy nie miałem ochoty zgłębiać tej sprawy. Artek spotykał się z sekretarką czy z dziewczyną z Wydziału Prezydialnego, z którą wcześniej Imbir był dość blisko. Któreś z nich powiedziało o tym Sulimie.

– Ale co Sulima myślał? Że była dziewicą, gdy ją poznał?

Nabiera bezceremonialności swojego byłego partnera, pomyślał komisarz.

– Musiałabyś go spytać. Chyba drażniło jego dumę, że przejął ją akurat po Imbirze, bo już wcześniej nie przepadali za sobą. A od tamtego czasu byli wrogami.

– Chyba się pobili i Imbir wygrał. Kiedyś zobaczyliśmy Sulimę, siedząc w radiowozie, jeszcze nawet nie wiedziałam, kto to jest, a Piotrek zaczął tak śmiesznie recytować: „I nagle bęc, i nagle bum, i nic nie widzę, czarno, czarno i gwiazdy”. A dzisiaj goście z zespołu Sulimy szukają podejrzanych o morderstwo Imbira...

Powiedziała to, podjeżdżając do jasnobeżowej bramy z trójkątnym frontonem i tabliczką: Dom Pomocy Społecznej im. Waleriana Łukasińskiego, po czym wysiadła, aby opowiedzieć się portierowi.

Otworzono im szlaban i znaleźli się w rozległym, ładnym, gęsto zadrzewionym parku. Przed wyjazdem z Otwocka do Góry Kalwarii Klaudia wyczytała na stronie internetowej DPS, że to zabytkowe obiekty, składające się z ponadczterystuletnich budynków po klasztorze pijarów i dwustuletnich carskich koszar artyleryjskich. Jeszcze w dziewiętnastym wieku zrobiono z nich przytułek, potem dom schronienia, a teraz był to ośrodek dla osób przewlekle somatycznie i przewlekle psychicznie chorych.

Zaparkowali w jednej z ocienionych alejek. Na żółtej ławeczce przed wejściem do budynku, odmalowanego w kolorze bramy, siedział mężczyzna w wieku Nawrockiego. Mocno szpakowate, długie włosy miał zebrane w kucyk, na szyi apaszkę. O uda opierał ukośnie plastikową podkładkę z kartką kratkowanego papieru, którą zapełniał długopisem drobnymi, schludnymi literkami. Pisząc od prawej do lewej.

Kobieta pełniąca funkcję zastępcy dyrektora do spraw medycznych przywitała się przyjaźnie, co okazało się mylące.

– Nie mogę państwu pozwolić na przesłuchanie pacjentki. Pani Anna obecnie czuje się gorzej, a coś takiego mogłoby jej zaszkodzić. – W jej głosie zabrzmiała ukształtowana przez stanowisko stanowczość. Obecność policjantów na służbie nie skłoniła jej do zarzucenia utartych zasad.

– Nie chcemy jej przesłuchiwać, to będzie zwyczajna rozmowa – argumentował komisarz.

– Macie w ogóle takie? Niezależnie od tego, w tej chwili lepiej, żeby pozostała we własnym świecie.

– A co jej dolega?

– Tajemnica lekarska. Na pewno nie pomoże jej przypomnienie o śmierci obu córek.

– Nam za to pomogłoby rozwiązać ważną sprawę.

– Wydarzenia sprzed dwudziestu, trzydziestu lat?! Nie wierzę. Zresztą nie usłyszycie od niej więcej, niż ja wam mogę przekazać. I nie jest to tajemnica, powtarza tę frazę od kilkunastu lat,

odkąd do nas trafiła. Jako pierwszą z bliźniaczek urodziła Kasię, którą zabrali jej zaraz po przyjściu na świat. Później chcieli też zabrać Basię, ale się broniła, więc ją zabili. Na szczęście Kasia uciekła złym ludziom, żyje, kocha ją i przyjdzie po nią. Ale najpierw musi pomścić siostrę.

ROZDZIAŁ 23

1

Klaudia odholowała Izkę do przedszkola, mając ją opowieściami o wielkim smoczym widowisku plenerowym w zakolu Wisły pod Wawelem, które zaplanowano na przyszły weekend. Małą pochłonęły wyobrażenia pokazów sztucznych ogni nad wodą, pływających łodzi i latających nad nimi smoków oraz rozważania, czy podczas parady następnego dnia lepiej będzie maszerować ze smokami, czy stać z boku, aby wszystkie dokładnie obejrzeć.

Kiedy przyjechała na komendę, Nawrockiego nie było, ale na biurku leżał dzisiejszy „Kurier Krakowski”. Musiał już tu być i wyjść, bo tylko on kupował papierową gazetę. Tłumaczył, że to kilkupokoleniowa tradycja kultywowana jeszcze przez część krakowskich rodzin, mimo że więcej informacji, i to szybciej, można było znaleźć w internecie.

Przekartkowała dziennik. Wieści o Imbirze ciągle nie przeniknęły do mediów. Przeczytała o usuwaniu wody z terenu przygotowanego pod budowę Trasy Łągiewnickiej, gdzie parę dni temu wylała Wilga, i o wczorajszym osunięciu się skarpy obok pomnika Ofiar Faszyzmu przy Kamieńskiego, co było z kolei opóźnionym efektem powodzi.

Dalej artykuł, że trudniej o męża w wielkim mieście. Na sto czternaście kobiet przypada stu mężczyzn, a wśród dwudziesto- i trzydziestolatków nawet sto trzydzieści na stu. Już widziała tę bekę, jaką mieliby z Imbirem, który rozważałby, czy zdoła zagospodarować całą resztę bez przydziału. Pewnie powiedziałyby, że na niego przypada więcej niż trzydzieści jeden, bo nie tylko on nie chce się żenić i nie potrzebuje wyłączności, a poza tym ktoś musi pocieszyć dziewczyny, które są same, bo otaczają je łajzy, niepotrafiące nawet zastartować. I opatrzyłyby to jednym z tych bzdurnych powiedzonek: „Chłopiec powinien być tak samo grzeczny jak niebezpieczny, a im większa ura, tym większa rura”. Przypomniała sobie, że w poniedziałek mówił o tej randeczce z ostrą laską. Wtedy wzięła to do siebie, ale raczej nie o nią chodziło, a o kogoś innego, z kim już wcześniej chciał się umówić.

Odpaliła laptopa i zaczęła przeglądać w biuletynie wewnętrznym interwencje z początku tygodnia.

Kierowca bmw stracił panowanie nad samochodem i wpadł w ludzi na przystanku przy Balickiej, pięć osób poszkodowanych, miał zero i trzy promila.

Osiemdziesięciodwuletnia mieszkanka osiedla Złotego Wieku odebrała telefon: „Pani wnuczka spowodowała wypadek i musi zapłacić odszkodowanie, by uniknąć konsekwencji karnych”. Kobieta była bardzo ogarnięta, zadzwoniła na policję, zrobili zasadzkę i w trakcie przekazywania trzydziestu ośmiu tysięcy zawinęli oszusta, młodego chłopaka.

O, jest ta sprawa, o której opowiadał wczoraj Nawrocki. Na podstawie telefonicznego zgłoszenia dokonanego dwadzieścia cztery minuty po północy, z poniedziałku na wtorek, patrol zatrzymał czterech facetów rozsypujących worki z piaskiem. Imbir najprawdopodobniej został zamordowany niedługo przed północą. Dzwoniła kobieta, która wiedziała, że jeśli ominie numer alarmowy sto dwanaście, trudniej będzie ją namierzyć, i miała zmieniony, gruby głos. Do

zdarzenia doszło przy Złocieniowej, gdzie ciągle sporo się buduje i nie ma za dużo sąsiadów, którzy mogli zobaczyć to z okna.

Klaudię męczyło coś, co usłyszała niedawno, coś nietypowego. Jakby sprawdził się fakt z czytanego parę dni temu horoskopu albo jakby pomyślała o kimś, kogo dawno nie widziała, a on zadzwonił tego dnia.

A jeśli policję wezwała morderczyni!?

Przemknęła jej przez głowę absurdalna myśl, że to Gaba. Przypomniała sobie, jak chciała bić tych kiboli na placu Wszystkich Świętych, mimo że ich nie zaczepiali – tylko dlatego, że była świadkiem rozróby. Jej telefon nie miał identyfikacji, zawsze gdy dzwoniła do Klaudii, wyświetlał się komunikat „Numer prywatny”.

Ale co ona miała wspólnego z Imbirem? Poznali się, gdy przyjechał po Klaudię do Krak-Fitu, ale chyba nie zamienili nawet słowa. Klaudia powiedziała wtedy coś w stylu, żeby nie zadzierał z góralką, on rzucił jeden z tych głupich dowcipów nadających się jedynie do spuszczenia z wodą w kiblu, Gaba się nie odzywała. Klaudia patrzyła na Imbira, ale Imbir na Gabę. Co on powiedział? „Góralka z Góry Kalwarii”! Czyżby jej kumpelę zdradził wyraz twarzy, a on zaczął ją podejrzewać? Może złożył to do kupy dopiero po wizycie w Otwocku? Albo nawet po samobójstwie Białońskiego.

Zadzwoniła do Nawrockiego, lecz nie odebrał.

2

Sulima był wzburzony i trochę chyba zaniedbany. Jego włosy i broda wyglądały, jakby nie podgalało, przyszyrzygano czy trefiono ich w ostatnim czasie. Ale Nawrocki nie znał się na tym, może tej wiosny zmieniła się moda. Podkomisarz nie chciał rozmawiać na komendzie, wyciągnął go do tej opustoszałej galerii nad Stawem Dąbskim. Wit nie protestował, zastanawiał się tylko, czy tamten nie chce, żeby ktoś ich razem zobaczył.

Sulima zaczął mu opowiadać, że był we wtorek w Płocku i rozmawiał między innymi z policjantem, który po starciu z Klaudią Bator przeszedł operację jądra.

– Słuchaj, to nie był pierwszy facet, którego okaleczyła! – z naciskiem mówił Artek. – Ten podkomisarz Piotrek Mięka zbadał jej przeszłość. Od dziecka była pojebana, agresywna i zadziorna. Potem teoretycznie się uspokoiła. Ale nikt nie wie, że po drodze posadziła człowieka na wózku.

– Widziałeś go? – spytał Nawrocki, aby nieco wybić podkomisarza z tego stanu nerwowego podniecenia.

– No nie, on pracuje, mimo że jest inwalidą. Był psychologiem, a teraz zajmuje się coachingiem, doradztwem biznesowym w kwestiach rozwoju i motywowania pracowników. Miał jakieś sympozjum poza Płockiem.

– Kiedy poznał Klaudię?

– Gdzieś w liceum. Znacząca ona chodziła do liceum, a on miał ją leczyć z agresji, był wtedy psychologiem. Mieli kilka czy kilkanaście sesji, ale skończyło się na tym, że go pobiła i złamała mu rękę. Najgorsze, że coś mu się popsło w kręgosłupie, pęknięty krąg, ucisk na rdzeń czy coś, i facet nie może chodzić.

Siedzieli w pizzerii, Sulima wyciągnął go na pustą o tej porze taras nad wodą, jakby bał się podsłuchu. Jego palce ciągle były w ruchu, to przesuwiał filiżankę, to przekładał łyżeczkę i papierową tutkę z cukrem. Gdy kelnerka przyniosła zamówione napoje, a potem podeszła kolejny raz, by spytać, czy czegoś jeszcze nie potrzebują, umilkł.

– I taka gruba rzecz przeszła bez echa? – zdziwił się komisarz.

– Nie było świadków, a Bator groziła mu, że go oskarży o molestowanie. Miała nagrania z sesji, zrobione telefonem albo dyktafonem, w każdym razie audio, bo wtedy jeszcze komórki nie pozwalały na kręcenie filmików. Nagrania niby wyglądają, jakby ją podrywał, ale on tłumaczy, że po prostu ją komplementował. Taki był kierunek terapii, aby obudzić w niej kobiecość, co osłabi pobudliwość i złość. Nawet teraz bał się o tym rozmawiać, bo ona jest policjantką, Miłucha musiał mu obiecać, że nie wykorzysta tej wiedzy.

– W jakiś sposób wykorzystał...

– Powiedział tylko mnie, a ja tobie. Słuchaj, trzeba się tym zająć. Ten psycholog na podstawie pracy z Batorową stworzył jej profil. Twierdzi, że ona ma odmianę schizofrenii, przypisuje swoje cechy i postęпки innym, wymyślając wokół tego fabularne historie, które mają usprawiedliwić jej czyny. Albo wprost zrzucić winę na innego człowieka. Albo przenosi działania w sferę snu, wmawia sobie, że to, co zrobiła, to była wyłącznie iluzja, majak. Psycholog mówił Piotrkowi, że do policji wstąpiła, żeby realizować swoje krwiożercze instynkty. Ostrzegał też, że dawna przemoc fizyczna może jej już nie wystarczać, agresja będzie eskalowała.

– Nie zauważyłem u niej takich zachowań.

– Nikt nie zauważył, bo wie, jak się z tym kryć. Chociaż i tak nie zawsze, bo co tydzień w Krakowie napierdala się z drugą, tak samo jebniętą. Tamta jest podobno psychologką czy czymś takim. Obląkane samice. Ale Klaudia to prawdziwa modliszka i trzeba ją włączyć do grona podejrzanych o zamordowanie Imbira. Szukamy pestek w dupie, kibola, który zabunkrował się na Wyspach i leje na to, co się dzieje w Krakowie, a Grzywacz mógł dostać kosę od najbliższej osoby.

– Dobrze rozumiem, że nie gadałeś o tym z nikim, ale zacząłeś ode mnie? Dlaczego? Dlaczego nie poszedłeś choćby do Sławka Mani?

– Bo to delikatna sprawa, będzie kosmiczny skandal, kiedy się okaże, że policjantka zarznęła swojego partnera. Na komendzie już nie trzymają mocz, nie wiedzą, co się dzieje. Każdy wie, że nie lubiliśmy się z Imbirem, i jeszcze będą mnie podejrzewać.

Nawrocki obiecał Sulimie, że zajmie się tą sprawą. Miał pomysł na sprawdzenie niektórych informacji.

Służbę w policji zaczynał w II Komisariacie, w Białym Domku przy Lubiczu, pod skrzydłami aspiranta sztabowego Jana Gorczyca, który choć starszy od Wita o siedem czy osiem lat, pochodził kompletnie z innej epoki. Alkohol spożywał w ilościach przemysłowych, w dowolnej lokalizacji.

Przyszedł kiedyś do fabryki i mówi:

– Kurwa, nie wyhamowałem.

Pusta butelka po bolsie przetoczyła się spod siedzenia do przodu i zablokowała mu pedał hamulca. Przydzwonił fiatem punto o betonowy klomb, rozwalil zderzak, grill, światła i pogiął fragment maski.

Niedrogi blacharz z Rudnika koło Myślenic całkiem nieźle wyszykował mu samochód, ale trzy tygodnie później Jasiak znowu przywitał Nawrockiego tekstem:

– Kurwa, nie wyhamowałem.

– Przecież dopiero co naprawiłeś auto?! – zdziwił się Wit.

– Nie o to chodzi. Będę miał dziecko.

Okazało się to najbardziej fortunnym wydarzeniem jego życia. Ożenił się, młoda żona nakłoniła go do odejścia z policji. Razem z byłym oficerem służby celnej i bratem wieloletniego radnego miejskiego założyli firmę ochroniarską, która bardzo się rozwinęła. Pod jej pieczę znajdowało się wiele obiektów w mieście, zwłaszcza na coraz modniejszym Zabłociu, choćby właśnie budynek, w którym mieścił się Krak-Fit. Gorczyca ograniczył tonaż wypijanego alkoholu, ale ten obalony

wcześniej stał się paliwem napędowym jego nowej kariery. Znał wielu ludzi, a oni na ogół go lubili i ufali mu. Bo z nimi pił. Mieli też swoich kumpli od kieliszka, co razem tworzyło olbrzymią sieć ochłapusów, u których można było uzyskać rozmaite przysługi.

Wit nie mógł się do niego dodzwonić, więc pojechał prosto do ich biura przy Zakopiance. Sekretarka Gorczyca powiedziała, że pan prezes ma wypełniony grafik na cały dzień. Łaskawie zgodziła się poinformować go, kto prosi o rozmowę. Zaraz wróciła ze zdziwioną miną i zaprosiła komisarza do środka.

– Ale mnie zaszczyt kopnął! – Rozwartymi ramionami i rozgłośnym klepaniem po plecach przywitał Nawrockiego siwy już mężczyzna, w dżinsach, kraciastej koszuli i szelkach flankujących pokaźny brzuch. – Dobrze się trzymasz, Wiciu – rzekł z uznaniem. – Ja to co bym nie robił, zawsze wyglądam, jakbym się z gównem bił.

– Dobrzy ludzie ładnie się starzeją – odparował komisarz. – Za to z tego, co słyszałem, twój biznes prezentuje się wystrzałowo.

– Żebyś wiedział. Jedna korporacja z Warszawy chce nas wykupić. Przyjeżdżają skubańcy, za każdym razem wszyscy w garniakach, i śpiewają coraz więcej. Aktualnie osiem milionów na nas trzech. Wiesz, ile to jest!?

– Wiem, morze wódki i jeszcze flaszka.

– W tym ustępie masz całą kupę racji – roześmiał się Gorczyca. Nawet żarty miał przedpotopowe. – Mów, co cię sprowadza.

3

Klaudia patrzyła na mapę Krakowa, którą na początku śledztwa powiesili na ścianie i zaznaczali na niej miejsca zamieszkania oraz odnalezienia chłopców, a Nawrocki dzisiaj rano musiał dorysować do tego krzyżyk na Złocieniu. Odwróciła wzrok, kiedy dotarło do niej, że rozchodzą się one promieniście od jej mieszkania.

Analizowała możliwości działania Gaby, przyjmując roboczo hipotezę, że to ona pchnęła nożem Imbira, bo odkrył jej tajemnicę. Jeśli Gaba wrobiła Białońskiego w zamordowanie tych chłopców, to musiała sama ich zabić. Kierowała się przy tym pewnym humanitaryzmem, dlatego gwałt następował już po śmierci. Oni zastanawiali się, czy morderca nie potrafi osiągnąć wcześniej stanu pobudzenia, a ona robiła to po prostu za pomocą dildo obleczonego w prezerwatywę.

Kluczowa była kwestia, skąd miała informacje o trzech chłopcach, ich pasjach. Ale będąc pracownicą szeroko pojętego systemu opieki społecznej, zaangażowaną w postępowania adopcyjne, na pewno miała kontakty w MOPS-ie czy w ośrodku na Wesołej.

Klaudia próbowała odtwarzać w pamięci treść ich rozmów przy okazji sparingów w Krak-Ficie oraz kilku następujących po nich wyjść towarzyskich. W minioną sobotę Gaba zachwalała kawiarnię Cynamon, Klaudii ta nazwa wydała się znajoma, choć na pewno nigdy tam nie była. Kiedy powiedziała, że gdzieś o niej słyszała, Gaba usiłowała stworzyć przekonanie, że nie wierzy w winę Białońskiego, aby zamaskować wcześniejszą wpadkę. Gadała i gadała. Właśnie! Gaduła. Klaudia przypomniała sobie, gdzie zetknęła się z tą nazwą. Współwłaścicielka Cynamonu jest kuzynką matki Mateusza Matlaka, drugiej ofiary. Klaudia czytała jej zeznanie, ale to Nawrocki ją przesłuchiwał i dlatego nie zatrybiła od razu, skąd zna nazwę. Komisarz opowiadał, że słowa się z niej wylewały; o cenie paliwa, mąki, cukru, prądu i wynajmu, o chrześniaku, o głupiej kuzynce, o klientach i ich problemach. Zwierzała się też, że w swojej kawiarni obsługuje ludzi. Pewnie przy

okazji opowiadała historię swojego życia stałym, znajomym klientom. A Gaba chyba należała do grona bywalczyń. Zresztą nie musiała nawet rozmawiać z właścicielką, wystarczyło podsłuchać.

Klaudia czuła, że otwierają się kolejne śluzy, a przez nie wydostają się zdarzenia, cytaty, skojarzenia. Ta Łubna widoczna na drogowskazie mijanym podczas obu wizyt w Otwocku! Ciągle miała uczucie, że kiedyś słyszała o tej miejscowości. A to przecież Gaba po zabiciu Manuela stwierdziła, że jego rodziców należałoby wyrzucić na śmietnisko w Łubnej albo zagonić do porządkowania wysypiska w Łubnej. Coś takiego.

To by znaczyło, że jest z tamtych stron! Z Łubnej właśnie, a może Otwocka albo Góry Kalwarii, i dlatego dziwnie zareagowała na żart Imbira. Utrzymywała, że pochodzi z Nowego Targu, i bała się, że ją zdemaskował. Ale jakie mogły być jej motywy, dlaczego chciała pognać Białońskiego? Odpowiedzi na to pytanie trzeba będzie poszukać bliżej niej.

Uznała, że nie będzie dzwonić do Nawrockiego, póki czegoś nie odkryje. Z Gabą też się nie kontaktowała, żeby nie ostrzegać jej zawczasu.

Musiała jeszcze skoczyć do domu, przebrać się i wziąć zestaw wytrychów, przechowywanych w bocznej przegródce Markowej skrzynki z narzędziami. Jednym z niewielu mężczyzn spotkanych podczas służby w policji, którzy polubili ją szczerze i bezinteresownie, był magazynier uzbrojenia z Centrum Szkolenia Policji w Legionowie. Starszy pan z córką w jej wieku, którą ponoć przypominała, w czasach peerelu działał pod przykrywką wśród gangsterów Trójmiasta. Potem zapadł na chorobę płuc; jako alternatywę niezbyt wysokiej renty otrzymał synekurę, na której jednak nudził się setnie. Co roku wybierał sobie jednego ze studentów i prowadził z nim, jak to nazywał, prywatny kurs pozadyplomowy. Aby lepiej czytali postępowanie przestępców, uczył adeptów metod ich przyszłych przeciwników. Technik włamań, kradzieży, niepozostawiania bądź zacierania śladów lub wręcz tworzenia mylnych tropów. Od tamtej pory potrafiła otworzyć wiele drzwi, dosłownie i w przenośni.

W domu zeszło jej dłużej, niż planowała, więc zanim wyjechała, poszła poprosić tę sympatyczną Weronikę z sąsiedniej klatki, która też miała sześćioletnią córkę, aby odebrała Iżę z przedszkola i zatrzymała ją u siebie, póki nie wróci Marek.

Czuła, że dzisiaj będzie zajęta do bardzo późna.

Dojazd na Radzikowskiego, gdzie mieszkała Gaba, w rozpoczynającej się porze szczytu minął z mozołem, za to później poszło Klaudii sprawnie. Kiedy odwoziła ją tamtej pamiętnej niedzieli, gdy zaginał Kuba Rasek, koleżanka podała jej kod do bramy, ponieważ panel był usytuowany od strony kierowcy. Jak to było? Rok jej wprowadzenia się na to osiedle czytany wspak. 6102.

Budynki były nowe, miały ostre, „drapieżne” krawędzie, stonowaną kolorystykę, po cztery piętra. Gaba mieszkała na pierwszym. To był ten, tutaj podjechały, a ona wskazała ręką: „Mam najbliżej, najniższe piętro”. Musiała wtedy, gdy Klaudia się zmyła, zejść do garażu podziemnego i od razu pojechać na Płaszów.

Nie wiedziała, które z dwóch mieszkań na kondygnacji zajmuje Gaba. Nacisnęła dwa pierwsze guziki domofonu, z żadnego nie było odpowiedzi. Gaba jest pewnie w pracy, na to liczyła. Wdusiła wszystkie pozostałe przyciski, z kilku rozległy się zmieszane głosy: „Kto tam?”, „Słucham”, ale zabrzmiał też brzęczyk. Zawsze jest ktoś, komu nie chce się nawet pytać, ktoś czekający na kogoś, z kim jest umówiony, albo ktoś przeświadczony, że to listonosz lub kurier z nieoczekiwaną przesyłką właśnie dla niego.

Dopasowanie dwóch wihajstrów z bogatego zestawu zajęło jej trzy minuty, tyle samo – majstrowanie nimi przy zamku. Na szczęście nikt się nie pojawił na klatce schodowej, póki drzwi nie stanęły otworem.

4

Wit Nawrocki wiedział, że to ciasne, ciemne pomieszczenie, w którym się znajduje, to bagażnik, bo był przytomny, gdy samochód się przemieszczał, słyszał warkot silnika i ruch dookoła. Wiedział, że to nie bagażnik jego toyoty, bo w nim śmierdziało ropą; Gosia nie chciała wkładać tam koca czy ciuchów, bojąc się, że potem będzie je nieprzyjemnie czuć. Rozumiał, że teraz auto stoi w spokojnym, odseparowanym miejscu, bo z rzadka dobiegały go drogowe hałasy, za to częściej – głosy ludzi. Nie mógł wyjść i sprawdzić ani nikogo zawołać, bo był mocno, dokładnie skrępowany i zakneblowany. Dodatkowo jego podwinęte do tyłu, zgięte w kolanach nogi, dłonie oraz szyję łączyły więzy, a pętla zaciskała się i dusiła go przy każdej próbie zmiany pozycji.

To był błąd, że poszedł do niej sam, bez wsparcia. Chciał tylko pogadać, rozejrzeć się, wy badać ją. Ona jednak zrozumiała, że ją rozszyfrował, i wystartowała do niego. Sięgnął po pistolet, lecz nie zdążył, była przygotowana, że ma broń. Od dawna preferował austriackiego glocka; lepiej leżał mu w dłoni, na strzelaniach robił więcej punktów, więc wybrał go kosztem P-99, produkowanego w Radomiu na komponentach walthera. Dzisiaj chyba zapłacił za to, bo glock był cięższy i miał nieco dłuższą lufę, więc odrobinę wolniej go wyjmował. Kopnęła go w podbrzusze, wtłaczając mu jądra w pachwiny. Leżał wtedy sparaliżowany, półprzytomny, nie był w stanie nawet się odezwać.

Ciągle jeszcze czuł tępy, cięjący ból w dole brzucha, a niekiedy od żołądka do ust falami podchodziły mu nudności. W efekcie nie był w stanie dostatecznie jasno myśleć, aby ogarnąć całość sprawy, ale instynkt i policyjne doświadczenie podpowiadały mu, że czekają na noc, a pod osłoną ciemności wydarzą się rzeczy ostateczne.

Był skrępowany jakimś szalikami, apaszkami, w ustach miał kłęb tkaniny. One nie pozostawią śladów na skórze i łatwiej będzie upozorować wypadek.

5

Klaudia prawie od razu trafiła na ten zeszyt. Leżał na wierzchu, tak jakby miał być znaleziony. Kolorowa okładka z serii „jeans COLLECTION”. Dziewczyna i chłopak w dżinsach i skórzanych kurtkach siedzący na motocyklu, w to wkomponowane mniejsze zdjęcie z udziałem tej pary, stylizowane na kadr z taśmy filmowej, powyżej odbite czerwone usta. Klaudia sama miała takie w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych, gdy poszła do szkoły.

Otworzyła go, przekartkowała. Jej uwagę przykuło własne imię na początku strony. *Klaudia śni śmierć...* Nie było daty. Z bijącym coraz mocniej sercem wróciła do początku zeszytu. Wpisy zrazu były długie, dalej krótsze. Zmieniał się też charakter pisma, dojrzewał wraz z autorką, stawał się bardziej zdecydowany, choć zdarzały się fragmenty z nakreślonymi nerwową lub drżącą ręką kulfonami. Różne długopisy, najczęściej niebieskie albo czarne.

Czytała o dziewczynce z domu dziecka, która starała się zaprzyjaźnić z trójką o rok starszych chłopców, bo takie towarzystwo bardziej odpowiadało jej aktywnej, niespokojnej naturze. Czytała o innej dziewczynce, spoza ośrodka, która lgnęła do tych chłopców, bo się zakochała w jednym z nich.

Wiedziała już, kim były wszystkie postaci narysowane przez Białońskiego przed śmiercią na ścianach nieba-piekła, niby swoisty rachunek sumienia i opis historii. Trzej chłopcy, aniołki, to Manuel, Mateusz i Kuba, ofiary majowych wydarzeń w Krakowie. Dziewczynką aniołkiem jest Basia. Trzy męskie diabełki to Michał, Mariusz i Wacek, dziecięcy mizogini, co wynikało z wpisów w pamiętniku, choć autorka nie знаła wtedy tego określenia. Dziewczynką, ni to diabełkiem, ni to

aniołkiem, była Gaba. Wtedy Marysia, siedmiolatka o tajemniczej urodzie, dzisiaj dobiegająca trzydziestki kobieta, przypominająca z twarzy niektóre gwiazdy filmowe okresu międzywojennego. Fotograf musiał się domyślić, że to ona jest inspiratorem i reżyserem jego gehenny.

Klaudia czytała o Marysi, której w czasie jednej z perwersyjnych, okrutnych zabaw włożyli do pochwy jakiś przedmiot. Czytała o Basi, która miała mniej szczęścia, gdyż taki sam postępek dokonany kilka tygodni później, w maju, zakończył się poważniejszymi obrażeniami wewnętrznymi i tragiczną śmiercią.

Do tej pory miała irracjonalne przekonanie, że ściągają ducha Basi lub ducha jej zmarłej przy porodzie siostry. Ewentualnie szukają tej drugiej, Kasi – prawdziwej, jakimś cudem ocalałej. Teraz zrozumiała, że Gaba jest wychowanką domu dziecka w Otwocku, tą ładniutką, o której wspominała Irena Podworska, gdy odwiedzili ją z Imbirem. Podczas adopcji ubłagała nowych rodziców o zmianę imienia przy okazji zmiany nazwiska. Dotychczasowe imię było dla niej emblematem wszystkich traum. *Sierotka nie będzie już dłużej Marysią* – brzmiało jedno ze zdań w quasi-pamiętniku.

Czytając dalej, Klaudia pojęła, że Gaba kanalizowała w zeszycie złe myśli i mordercze instynkty, co pozwalało jej funkcjonować na co dzień w roli lubianej, troskliwej, kompetentnej pani psycholog.

Od pewnego czasu jednak było to bardziej obłaskawianie zbrodniczych czynów, przesuwanie odpowiedzialności na inne osoby.

Marta gotowała słomę makową, którą przywiozła z podsądeckiej wsi, recepturę znalazła w internecie (*dzisiaj wszystko można znaleźć w sieci, nawet przepis na bombę atomową, a co dopiero polską heroinę*). Odszukała żyłę w zgięciu ramienia, wciągnęła odrobinę krwi, wstrzyknęła wyprodukowaną osobiście miksturę. Pijany Wacek nawet nie wiedział, kiedy przeniósł się na tamten świat.

Marta wyjechała na wczasy na Rodos, gdzie zamiast seksu nad odludną zatoczką zaaplikowała Mariuszowi chwyt podduszający, który poskutkowało utratą przytomności, i wrzuciła go do Morza Śródziemnego, by utonął.

Klaudia pamiętała opowieść Gaby, że jej wcześniejszą sparringpartnerką była właśnie kobieta o imieniu Marta, informatyk, której zespół rezydujący w Krakowskim Parku Technologicznym obsługiwał globalny szwajcarski bank, tworząc oprogramowanie do instrumentów finansowych. Potem dostała propozycję od Google'a i przeniosła się do ich centrum badawczego w Warszawie.

Rolę Marty przejęła Klaudia, a jej sny przeplatały się z opisami odstręczającego, spaczonego mężczyzny, pedofila, którym najprawdopodobniej miał być Białoński. Tak odrażająca kreatura od początku skazana była na śmierć wskutek wyrafinowanej, perfidnej zemsty.

Poznała jeszcze parę szczegółów wiosennych wydarzeń. To sąsiadka Byrdów przez pomyłkę zadzwoniła najpierw do ośrodka w Bronowicach z doniesieniem, że Manuel jest źle traktowany. Gaba dowiedziała się o nim, gdyż przypadkowo odebrała telefon i wysłuchała ją, zanim skierowała do MOPS-u.

Klaudia dotarła do ostatniego wpisu zapowiadającego zadżganie Imbira, widniejącego na lewej stronie. Prawa była pusta, ale coś prześwitywało przez kratkowany papier, więc przewróciła kartkę i poznała zakończenie tej historii.

ROZDZIAŁ 24

1

Klaudia śni księżyc. Światło przydające efektu niesamowitości trawie, drzewom i skałom, ścieżkom wśród nich. Odbijające się w turkusowej za dnia toni, wracające do bezchmurnego nieba i gubiące się w blasku gwiazd.

Śni białe, trupie światło wydobywające z ciemności Wita, którego prowadzi do Elvisa. Niezłe spotkanie, myśli we śnie, wielbiciel sandałów i piewca butów z niebieskiego zamszu.

Śni, jak wspinają się razem na brzeg, ona ciągnie byłego szefa za szal przywiązany do szyi. Śni, jak usypia go chwytem duszącym, zdejmuje mu więzy, a potem wysyła go do Presleya. Śni szerokie kręgi rozchodzące się tam, gdzie jego ciało przecięło wodę. Śni, jak punktowo oświetlone przez księżyc ślady stopniowo się zmniejszają, aż wreszcie zamierają zupełnie.

Niedługo zacznie się proces jego powrotu na powierzchnię, potrwa około tygodnia. Ona jednak nie będzie tu na niego czekała.

2

Nie знаła jeszcze wtedy w ogóle Zakrzówka, a Imbira słabo, kiedy uraczył ją opowieścią o swoim pierwszym seksie pod chmurką, w licealnych czasach.

– Zapiąłem pannę na rejonie u Króla. Sam jestem niezłym rock’n’rollowcem. – Dalej wytłumaczył, że Aleję Elvisa Presleya i poświęcony mu pomnik usytuowano po północnej stronie Skałek Twardowskiego. Nieopodal kamiennego głazu upamiętniającego wokalistę znalazł pomiędzy drzewami wygodne posłanie z liści i trawy.

Niedługo później, podczas rowerowej wycieczki z mężem, odkryła położony nieco na południe Zakrzówek – głębokie kamienne wyrobisko zalane wodą. Dzika i piękna, a fragmentami nawet niebezpieczna enklawa w centrum ośmiusetysięcznego miasta, przyciągająca rzesze mieszkańców i zabijająca niektórych, zafascynowała ją od początku.

– Elvis żyje: myślę o nim za każdym razem, gdy robię to w innym miejscu niż łóżko – brzmiało jej w uszach tamto rżenie Imbira, gdy jechała Armii Krajowej, Piastowską, Królowej Jadwigi, Kościuszki, dociskała pedał gazu na długim, wyprofilowanym łuku za mostem Zwierzynieckim.

Stała na czerwonym na Kapelance, naprzeciwko tego okrągłego banku tworzącego wraz z budynkiem mieszkalnym kształt kotwicy. Zielone, zakręcił w prawo i szybko znowu w prawo.

W blasku reflektorów zobaczyła tablicę „Bielańsko-Tyniecki Park Krajobrazowy”, wjechała w prowadzącą do góry wąską uliczkę obok niej. Po półtora kilometra uliczka zaczęła odbijać w lewo, na zewnątrz od Zakrzówka. Klaudia skręciła w prawo na dość szeroką, ale nierówną ścieżkę utwardzaną kamieniami.

Nie ma czasu!

Pięła się w górę, silnik wył na wysokich obrotach, zawieszenie jęczało. Po jednej stronie koła zabuksowały, po drugiej kilka razy podskoczyły na pagórkowatym brzegu. Było coraz bardziej nierówno, ścieżka się zwęziła i zrobiła lejkowata. Po prawej otworzyła się polanka na skale z panoramą widocznych w świetle księżyca Skalek Twardowskiego. Po lewej, tuż, tuż, był urwisty brzeg, trzydziestometrowa pionowa ściana i tyle samo wody u jej podnóża.

3

Nawrocki wytłukł się w bagażniku, podskakiwał bezwładnie niczym siedemdziesięciokilowy worek ziemniaków. Liczył, że przy takiej jeździe po wertepach może straci panowanie nad kierownicą i będzie dachowała, choć pewnie nie oznaczałoby to dla niego ocalenia, ale wspólny pogrzeb w płaszczu pogiętej blachy. Była jednak dobrą kierowcą.

Ciągle był skrępowany i zakneblowany, poluzowała mu jedynie więzy na nogach, a prowadząc go i przeciskając przez dziurę w rdzewiejącej siatce, trzymała w dłoni szal zaciskający się na szyi. Leżał teraz na skalnej półce kilka metrów poniżej szczytowej krawędzi; musieli na nią zejść, bo gdyby zrzuciła go z góry, to właśnie tu by wylądował i pewnie nawet się nie zabił.

Inteligentna i sprawną; wiedziała, jak zaaranżować wszystkie kolejne przestępstwa, aby nie pozostawić śladów, skierować śledztwo na fałszywe tory, dopasować poczynania do profilu domniemanego sprawcy.

Patrzył na nią, gdy szerokim zamachem wyrzucała jego pistolet do wody i nasłuchiwała chlupnięcia.

No cóż, są gorsze miejsca śmierci niż Zakrzówek. Próbował opanować lęk, uciekając myślami od morderczynie stojącej kilka metrów od niego.

Prowadził tu kiedyś dochodzenie w sprawie samobójstwa, z podejrzeniem udziału osób trzecich. Sporo się wtedy dowiedział o Małej Chorwacji, jak fantaści nazywali akwen zawdzięczający kolor pokładom wydobywanego tu dawniej wapienia. Na dnie leżały ponoć fiat 125p, autobus, furgonetka i łódzie, a nawet granitowa tablica upamiętniająca Karola Wojtyłę, który pracował na terenie kamieniołomu podczas II wojny światowej.

Wiedział, że po przeciwnej stronie są schody z kamienia oraz długi skalny taras nisko nad wodą, gdzie najprzyjemniej było plażować i się opalać. Pewnie nawet o tej porze są tam jacyś imprezowicze, ale miejsce leżało właściwie nad osobnym jeziorem, połączonym z tym przesmykiem, lecz zasłoniętym dwoma wystającymi cyplami.

Po lewej, u podnóża łagodnego zjazdu, był klub nurkowy, chociaż już im wypowiedzieli umowę. Mają rewitalizować cały teren, co oznaczało, że pewnie przytulą się do niego deweloperzy. No cóż, on już tego nie zobaczy.

4

Następny psycholog, od którego zależy moje życie, myślała Klaudia. Kiedy miała piętnaście lat, na wakacjach przed trzecią klasą gimnazjum, mama zabroniła jej trenować dalej tajski boks i zapisała

ją na terapię. Niepokoiła ją agresja córki, a facet, którego nazwiska nie chciała nawet wspominać, stwierdził, że zna sposób wyleczenia jej.

Najlepszą metodą miało być odkrywanie kobiecości Klaudii, bo ciągle konfrontacje to według niego męski rys jej charakteru, mentalności. Zalecał jej makijaż, noszenie krótkich spódniczek i wydekoltowanych bluzek, choć nie miała zbyt wiele do pokazania. Wtedy motywy jego postępowania niezupełnie do niej docierały, zrozumiała to dopiero dużo później. Ciągle czarował ją i wydawało mu się, że stwarza w ten sposób napięcie seksualne i uzależnia ją od siebie.

Wreszcie zaprosił ją na sesję u siebie w domu. Był sam, usiedli w pokoju ładnie urządzonej i porządnie wysprzątanym, ale na fotelu z boku leżały jego slipki. Jakby zapomniał je założyć.

Nalał jej alkoholu, rzucał coraz cięższe aluzje. Ledwie zamoczyła usta w winie, ale nawet tego nie zauważył, za bardzo był napalony. Obmacywał ją, dała mu po łapach, wtedy przygniół ją do sofy własnym ciężarem, włożył rękę pod spódniczkę, podarł na niej majtki. Wierzgała, a on, usiłując ją unieruchomić, stracił podparcie i zsunął się z sofy. Zaczęła uciekać, dopadł ją przy wejściu na schody, ale gdy dobiegał do niej, rzuciła mu się pod nogi, uderzając barkiem i ramieniem w piszczele. Wytrąciła go z równowagi, a gdy starał się nad nią przeskoczyć, pchnęła jego lewą nogę, którą zawadził o jej plecy. Leciał już wtedy w dół, nadała mu tylko przyspieszenia. Może skończyłoby się na zwichniętym podczas koziołkowania na schodach prawym nadgarstku i złamanej przy lądowaniu na podeście lewej ręce, gdyby nie stał tam taboret, na którym domownicy siadali, by założyć buty. Odbijając się od podłogi, zrobił jeszcze pół obrotu i plecami uderzył w ten taboret. Leżał w bezruchu, ale był przytomny. Klaudia zadzwoniła na pogotowie z telefonu, który stał w holu, mówiąc przez chusteczkę i przyciskając brodę do piersi, co zmieniło jej głos niemal w męski. I uciekła.

Nie mógł jej oskarżyć, nie tylko ze strachu, że dziewczyna ujawni, co próbował jej zrobić. Nie miał też żadnych dowodów, a poważnie obciążał go fakt, że wydarzyło się to w jego domu. Powiedział ratownikom pogotowia i rodzinie, że się potknął i spadł ze schodów. Ona do dzisiaj nie przyznała się nikomu, że była wtedy u niego. I od tamtej pory cudze tragedie, nawet tak potworne, jak morderstwa dziewięciolatków czy Imbira, były dla niej czymś nieco nierzeczywistym. Owszem, czuła smutek, żal, nawet ból, jednak nie były w stanie wstrząsnąć nią do głębi.

Już w liceum poznała pewną dziewczynę z równoległej klasy, która nadrinkowana na ponuro podczas półmetka, zwierzyła się jej, że kiedy chodziła do tego samego psychologa, urządził jej seksualną sesję w domu. Spotkało ją to jeszcze przed terapią Klaudii, więc też na pewno nie miała piętnastu lat.

Dzisiaj musi się zadowalać starszymi korpobiurwami z kursów coachingowych, które łapie na litość.

5

– Musimy już kończyć garden party – powiedziała Gabriela Potoniec, podchodząc do leżącego Nawrockiego. – Kiedy ty czekałeś w samochodzie pod ośrodkiem, wychowawca, z którym siedziałam na dyżurze, wprawdzie usnął po tym, jak spuścił sobie z krzyża, ale ma dać mi alibi na całą noc. Taka nieprzyjemność nie może pójść na marne. Jeśli się obudzi i zobaczy, że mnie nie ma, to nie mogę się tłumaczyć, że dwie godziny spędziłam w łazience.

Z daleka, narastając, zaczęły dobiegać do nich odgłosy silnika piłowanego na niskim biegu. Potońcowa wyprostowała się i nasłuchiwała. Hałas był coraz bliżej, aż samochód zatrzymał się nad ich głowami i silnik zgasł. Kierowca musiał zobaczyć fiata tamtej.

Ujrzeni Klaudię zbiegającą po szutrowym, wąskim uskoku na skalną półkę. Nawrocki był chyba bardziej zaskoczony niż pani psycholog. Nie liczył, że koleżanka domyśli się, kto był ich podejrzanym. Była zbyt blisko tamtej, żeby wyraźnie widzieć szczegóły, zbyt długo, żeby mieć ogłęd całości i zauważać związki sparingpartnerki z prowadzonym śledztwem.

Nawrocki po rozmowie z Sulimą w żadnym momencie poważnie nie podejrzewał Klaudii, nie posądzał jej nawet o współudział. Starał się wyjaśnić sprawę pozapolicyjnymi kanałami, aby jej nie uprzedzać, ale bardziej chodziło o to, by nie czuła się urażona, że pośrednio ją sprawdza. Zaufał instynktowi, „dobrze jej z oczu patrzyło” – jakby powiedziała jego mama. Za dobrze, żeby była zdolna przekonująco grać rolę w takiej wielopiętrowej intrydze. Za to dzwoneczek alarmowy obudziła w nim informacja Artura, że od dawna blisko śledztwa funkcjonuje silna, zręczna, przepełniona energią kobieta. Kiedy Gorczyca ściągnął dane z Krak-Fitu, gdzie w formularzu niezbędnym do wystawienia klubowego karnetu Potoniec wpisała, że pracuje jako psycholog w ośrodku adopcyjnym, komisarz poprosił go o zdobycie wszelkich dostępnych informacji. Udało się ustalić, że w wieku ośmiu lat została adoptowana z domu dziecka w Otwocku.

Czuł, że to musi być ona, a nie żadna z tamtych bliźniaczek. W duchy nie wierzył nawet po speedzie.

– Kla, ty durna suko, nie mogłaś sobie odpuścić? – W powitalnych słowach kobiety wyraźnie wybrzmiał żal.

– To ty mogłaś sobie odpuścić zemstę – odparła Klaudia. – Niezależnie, jak straszne przejścia miałaś w dzieciństwie, to później życie ci się ułożyło, mogłaś je darować tamtym.

– Ułożyło? A co ty wiesz!? – Gabriela z jękiem wciągnęła powietrze. – Mam przecięte przewody, nie mogę mieć dzieci, dotyk mężczyzny budzi we mnie lęk i obrzydzenie. Nie potrafię im zaufać ani ich polubić. Michał i jego kolesie odebrali mi życie.

– A ty pozbawiłaś go dwóch dziewięcioletnich chłopców, którzy jeszcze wszystko mieli przed sobą.

– Jakie wszystko, co ty pieprzysz? Widziałaś tę patologię, wśród której egzystowali? Kuba jako jedyny miał szansę i dlatego go oszczędziłam.

Wit odniósł wrażenie, że ułożenie ciała Klaudii jest nieco defensywne, jakby bała się tamtej.

– Każdy miał szansę, zależała od niego – powiedziała policjantka. – Ty też miałaś władzę nad własnym życiem. Nie musiałaś zostać morderczynią. Imbir też mógł jeszcze zrobić dużo dobrego.

– Kto?

– Piotrek, mój partner.

– Ten sprośny wieprz? W niedzielę powiedziałam mu, że to niefortunne zbiegi okoliczności, a jutro przyjadę do niego i wszystko wyjaśnię. Wystarczyło, żeby przestał widzieć cokolwiek poza dupą. Przywitał mnie z wyrazem chuci na tym obmierzłym ryju i...

I wtedy Klaudia zaatakowała.

6

Już wcześniej postanowiła, że nie będzie czekać na koniec wyjaśnień, ale ruszy w trakcie rozmowy, w połowie zdania, aby zaskoczyć Gabę. Niestety, źle wybrała moment, bo przeciwniczka była strasznie podekscytowana poruszoną tematem, zgalwanizowana wręcz, a i sama Klaudia nie obserwowała jej, tylko się poderwała, gdy tamta ubliżała Imbirowi.

Rywalka łatwo sparowała jej ciosy z obu rąk, skontrowała sierpem i odskoczyła.

– Tego chcesz? – warknęła. – Dobra, teraz nie zajmiesz drugiego miejsca, jak zwykle, ale ostatnie i już nigdy nic ci się nie przyśni.

Klaudia przypomniała sobie, że kilka miesięcy temu, przy tym zapoznawczym serniku, zwierzyła się jej ze swoich fabularnych snów. One nie były jednak nawet w części tak naturalistyczne i przesycone złem, jak opisy w zeszycie. Nie inspirowały jej do drastycznych czynów, ale razem z aktywnością fizyczną, nawet zwykłymi spacerami, rozładowały pobudzenie i agresję, która rozpuszczała się w nich niczym wódka w soku i traciła moc.

Gaba skoczyła na nią. Wprawdzie jeden z jej prostych Klaudia zablokowała, a drugi obślizgnął się na jej głowie, ale kopnięcie przyjęła na żebra. Jezu, ależ to boli bez ochraniaczy, jęknęła w duchu.

To była najbrzydsza i najkrótsza ich walka. Gaba zasypała ją gradem chaotycznych, lecz bardzo silnych i przynajmniej w połowie celnych ciosów. Klaudia była tak oszołomiona, że nie zdołała sensownie się bronić. Zresztą na półce skalnej o powierzchni niespełna trzydziestu metrów kwadratowych nie dało się utrzymywać dystansu, bo dalej ziała przepaść.

Klaudia zbliżyła się do zwania, aby utrudnić przeciwnicze bombardowanie jej pięściami, lecz ta podcięła ją, rzuciła na plecy i spadła na nią. Prawym kolaniem przygniotła jej lewą rękę, lewe kolano wcisnęła w żołądek, lewą ręką przyciskała jej prawą rękę do podłoża i zaczęła dusić prawym przedramieniem.

Klaudia dwukrotnie się wygięła, ale nie zdołała jej zrzucić ani uwolnić którejkolwiek z rąk, Gaba docisnęła bardziej. Nie zobaczy Wielkiej Parady Smoków, w weekend Izka będzie oplakiwać mamę – przemknęła jej przez głowę ostatnia klarowna myśl, przed oczami wirowały coraz większe i gęstsze czerwone plamy.

Poczuła na twarzy włosy rywalki, które w trakcie szarpaniny wydostały się z węzła. Gaba w zapamiętaniu pochyliła głowę, czołem dotykając niemal skały obok Klaudii, aby własnym ciężarem wzmocnić napór. Klaudia jeszcze raz wyprężyła się konwulsyjnie. Dało jej to zaledwie centymetr, półtora luzu, ale dość, aby szarpnięciem przekręcić głowę kawałeczek w prawo. Otworzyła usta i z całej siły zacisnęła szczęki.

Nieludzki wrzask, znienacka uwolnione gardło i lewa ręka. Zaczerpnęła tchu i rozcapierzone, sztywne palce wbiła jej we wzgórek łonowy. Gaba rzuciła się w bok i próbowała przeturlać, ale po połowie obrotu zatrzymała się na brzuchu, bo zahaczyła o podłoże ręką, którą ciągle przyciskała do prawej strony głowy.

Klaudia czuła, że przez jej ciało przepływa czysta adrenalina, która wypłukała z niego wszystko poza żądzą zniszczenia. Spadła Gaby na plecy, kolaniem ugodziła w kręgosłup, oderwała jej prawą rękę od głowy, swoją lewą położyła jej na tricepsie, prawą pociągnęła za dłoń.

Chrupnięcie i jednostajne, straszne wycie. Dźwignia złamała jej staw łokciowy.

Musiała ją obezwładnić. Nie można igrać z drapieżnikiem, zostawiać mu możliwości kontrataku.

Lewą rękę wykręciła jej na plecy tak gwałtownie, że wywichnęła ją ze stawu, przytrzymała obie swoją prawą dłonią, a lewą wyciągnęła jej pasek ze spodni. Skórzany, wąski, idealny. Związała nim obie ręce. To musiało okropnie boleć, z ust Gaby dobywał się szloch i wizg przywodzący skojarzenie z cierpiącym psem.

Nie miała dla niej współczucia, to nie tamta skrzywdzona dziewczynka z domu dziecka, lecz dorosła, inteligentna kobieta – otrzymała wiedzę i aparat pojęć, który powinien jej pomóc w uporządkowaniu przeszłości.

Dopiero teraz wypluła odgryzione w dwóch trzecich ucho Gaby.

– U nas są dyplomy za drugie miejsce w pojedynku z policją, ale to sąd je wypisuje na wyroku skazującym – wycharczała. Tamta chyba uszkodziła jej duszeniem coś w krtani. – A ja przyniosę ci

do pierdla medal z buraka.

KONIEC

Kraków-Łańcut, czerwiec 2021 roku

OD AUTORA

Dziękuję Tomaszowi Górnickiemu, że zgodził się wystąpić w mojej książce i autoryzował wykorzystanie swoich publicznych wypowiedzi do policyjnego przesłuchania. Zdjęcia jego prac – także tych, które odegrały ważną rolę w *piekle-niebie* – możecie znaleźć na stronie internetowej tomaszgornicki.com. Z profilu @goornicki.tomasz na Instagramie dowiecie się ponadto, w jakich projektach aktualnie uczestniczy i gdzie planowane są wystawy jego rzeźb.

Autentyczną postacią jest również ksiądz dr Wojciech Węgrzyniak, o czym możecie się przekonać, biorąc udział we mszy świętej o godzinie 21.30 w kościele Świętej Anny w Krakowie. „Msza ostatniej szansy” – jak ją nazywa proboszcz Uniwersyteckiej Kolegiaty, ksiądz prof. Tadeusz Panuś, czy też „msza dla leniów” – jak sam ją nazywam żartem (no bo skoro komuś nie chciało się przez całą niedzielę pójść do kościoła...), od pewnego czasu nie jest już zresztą ostatnią w Krakowie. Siedem minut później – i to codziennie – rozpoczyna się msza w kościółku Świętego Wojciecha na Rynku.

Ksiądz dr Jacek Prusak jest Dyrektorem Instytutu Psychologii Akademii Ignatianum w Krakowie.

Wszyscy inni bohaterowie tej książki zostali wymyśleni, choć niektóre ich przygody i powiedzonka zaczerpnąłem od kilku znajomych osób, głównie ze świata sportu. Natomiast określić „poduchy” i „nołnejmy” używają tylko moi powieściowi policjanci.

Nie istnieją opisane w *piekle-niebie* krakowskie kościoły Świętej Małgorzaty przy ulicy Dekerta i Świętego Bartłomieja naprzeciwko hotelu Forum, a także dom dziecka w Otwocku w opisanej tu postaci (proszę nie identyfikować go z zespołem placówek Domy dla Dzieci w Otwocku), ośrodki opiekuńczo-wychowawcze na Wesołej i w Bronowicach, klub Pod Koziółkami oraz kamienica przy ulicy Kiełkowskiego (ale bardzo podobną do niej można było znaleźć po drugiej stronie Wisły). Kiedy piszę te słowa, w grudniu 2022 roku, rozbierane są Plaza – prototyp Galerii Palace – oraz truchło hotelu JB. Kilka lat temu zlikwidowano budkę z hamburgerami na osiedlu Wandy. Po długiej przerwie została reaktywowana na Łęgu, ale już bez kanapek z trzema plasterkami sera, w których tak gustował Imbir.

Pozostałe książkowe plenery istnieją (choć niektóre się zmieniają – przykładem Zakrzówek czy Zalew Nowohucki), zachęcam do spacerów i porównania ich z tekstem.

Fanów Procol Harum przepraszam za uproszczenie tragicznych losów B.J. Wilsona – zdaję sobie sprawę, że rak był pośrednim, a nie bezpośrednim powodem jego śmierci.

Dziękuję kilku osobom, które pomogły mi przy pisaniu *piekła-nieba*:

– Katarzynie Tomszi za wyjaśnienie pewnych aspektów działalności placówek opiekuńczo-wychowawczych, MOPS-u i procedury Niebieskiej Karty;

– Karolowi Gondrze za poprowadzenie sprawy zgodnie z zasadami procedury karnej oraz za Jasona Stathama rodzimego wymiaru sprawiedliwości;

– mojemu bratu, Tomaszowi Fleszarowi, za skonsultowanie całości książki i szereg sugestii szczegółowych;

– Danielowi Libusze za informacje o działalności policji i za Inspektora Wawelka;

– Wojciechowi Łyżwińskiemu za tłumaczenie niektórych słów i zwrotów na śląski;

– Maciejowi Kusinie za komiksy.

Dziękuję również wszystkim ludziom zaangażowanym w wydanie książki, nie tylko wymienionym na stronie redakcyjnej. Ze szczególnym uhonorowaniem Agaty Żabowskiej, która przeczytała *piekło-niebo* jako pierwsza, oraz Magdaleny Mendys, która przeczytała je najdokładniej i naniósł wiele pożytecznych poprawek. A przy tym pozwoliła się przekonać, że krakowianie chodzą „na nogach” (a nie pieszo), choć jej wrażliwość językowa cierpiała. O podobną wyrozumiałość wobec pojawiających się gdzieś „krakoskich” określeń proszę też pozostałych Czytelników pochodzących z innych rejonów Polski.



Fot.: Tomasz Markowski

PAWEŁ FLESZAR – pisarz, dziennikarz, absolwent studiów politologicznych, dziennikarskich i medioznawczych na Uniwersytecie Jagiellońskim. Po dwudziestu latach pracy dziennikarskiej postanowił spróbować dłuższych form. Debiutował w 2019 roku powieścią kryminalną *Powódź*. Za opowiadania był wyróżniany i nagradzany w konkursach literackich: „O Pióro Reymonta”, „Gniewińskie Pióro” i „Krajobrazy słowa”, a także w konkursie „Gazety Wyborczej” i platformy Netflix na alternatywne zakończenie serialu *W głębi lasu* i książki Harlana Cobena. W 2019 roku został jednym ze zwycięzców konkursu „Kryminał na 100-lecie AGH” – jego opowiadanie *Dodatkowy rzut osobisty* ukazało się w antologii *Archiwum Groźnych Historii*. Choć poznał blaski i cienie pisania, nigdy nie przestał lubić czytania książek.

SPIS TREŚCI:

Okładka

Strona tytułowa

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Od autora

Autor